



Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski

NAUKOWCY

SPOD
CZERWONEJ
GWIAZDY

 PWN

Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski

NAUKOWCY
SPOD
CZERWONEJ
GWIAZDY

 PWN

Copyright © by Wydawnictwo Naukowe PWN, 2016

Grupa PWN

ul. Gottlieba Daimlera 2

02-460 Warszawa

tel. 22 695 45 55

www.pwn.pl

Copyright © for the text by Marta i Andrzej Goworscy, 2016

Wydanie pierwsze

Wydawca: Dąbrówka Mirońska

Redaktor inicjujący: Marcin Kicki

Redakcja: Renata Lewandowska

Korekta: Olga Gorczyca-Popławska, Tatiana Hardej

Projekt okładki: Piotr Gidlewski

Zdjęcie na okładce: KUCO/Shutterstock

Zdjęcia na wkładce: Agencja Topfoto/Forum: 7 góra; Agencja Keystone/Getty: 13 góra; Agencja East News: LASKI DIFFUSION 16 dół; PersonaStars/CapitalPictures 15; Science Photo Library 1 dół, 7 dół; SHONE NESIC V./SIPA 16 góra; SPUTNIK 2, 3 góra, 6 góra, 8 dół, 13 dół, 14, 3 dół; Agencja Diomedia: Tass Archive 4; Valery Gende-Rote/ITAR-TASS 11; Fine Art Images 9; Science Photo Library RM/RIA NOVOSTI 5 góra, 10; Muzeum Akademii Medycznej w Niżnym Nowogrodzie: 6 dół; wikimedia commons: 1 góra, 5 dół, 8 góra; ze zbiorów Siergieja P. Glancewa: 12

Fotoedycja: Barbara Chmielarska-Łoś

Produkcja: Mariola Iwona Keppel

Skład wersji elektronicznej na zlecenie Wydawnictwa Naukowego PWN: Tomasz

Szymański / konwersja.virtualo.pl

eBook został przygotowany na podstawie wydania papierowego z 2016 r., (wyd. I)

ISBN 978-83-0118797-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza publikacja ani jej żadna część nie może być kopiowana, zwielokrotniana i rozpowszechniana w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

prawolubni *Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.*

Szanujmy cudzą własność i prawo.

Więcej na www.legalnakultura.pl

Polska Izba Książki

Naszym Dzieciom

*Za pomoc w pracy nad książką dziękujemy
kardiologowi i historykowi medycyny,
profesorowi Siergiejowi P. Glancewowi.*

SPIS TREŚCI

GWIAZDA DOMOWA

Iwan Pawłow. GWIAZDA PSIA

Olga Lepieszynska. GWIAZDA SUBSTANCJI ŻYWEJ

Nikołaj i Siergiej Wawiłow. GWIAZDA BRATERSKA

Andriej Tupolew. GWIAZDA FRUWAJĄCA

Michaił Bachtin. GWIAZDA KARNAWAŁU

Lew Termen. GWIAZDA MAGICZNEJ STRUNY

Trofim Łysenko. GWIAZDA BOSONOGA

Grigorij Majranowski. GWIAZDA TRUCIZNY

Ernst Krenkel. GWIAZDA POLARNA

Lew Landau. GWIAZDA FIZYKI I SZCZĘŚCIA

Władimir Demichow. GWIAZDA SERCA

Michaił Kałasznikow. GWIAZDA MILITARNA

Andriej Sacharow. GWIAZDA POKOJU

GWIAZDA PS (OD PAWŁOWA DO SACHAROWA)

Ilustracje

GWIAZDA DOMOWA

Dwudziestego czerwca 1941 roku za szesnastoletnią Zoją, jej mamą i młodszym bratem Włodzimierzem zatrzasnęły się drzwi ciepłuszki. Na burcie wagonu widniał napis: „Czterdzieści osób lub osiem koni” i radzieccy żołnierze zadbali, żeby obłożenie odpowiadało tym wartościom. Pociąg ruszył z małego miasteczka na Podlasiu i skierował się na wschód. Gdy się w końcu zatrzymał, Polacy ujrzeli *białyje muchy*, czyli pierwsze październikowe płatki śniegu. Minęło sześć lat i Zoja wróciła do kraju, którego musiała uczyć się od nowa. Mawiała potem, że Związek Radziecki zabrał jej wszystko. Nie tylko dom, lecz także ukochaną mamę. Pozbawił najpiękniejszych lat, zostawiając piętno do końca życia; babcia zamierzała zostać stomatologiem, a w darze od czerwonej gwiazdy otrzymała dyplom buchaltera. Mimo to zawsze powtarzała, że od żadnego Rosjanina, osobiście, nie zaznała zła.

Przypominamy tę rodzinną historię z myślą o tych Czytelnikach, którzy mogliby się zachnąć na kolejną „ruską” książkę. Słowa babci Zoi przekonują nas, że można mówić nie o narodach, ale o ludziach, i nawet bagaż traumatycznych doświadczeń nie musi być przeszkodą.

Na pierwszy ogień poszli radzieccy naukowcy i to właśnie im poświęcamy tę publikację. Nie będzie to jednak tekst akademicki czy też pean pisany na zamówienie. Nie zamierzamy również poprzez słowa babci sugerować, że wśród bohaterów tej opowieści byli sami dobrzy ludzie. Przeciwnie, Majranowski mógłby iść w piekielne konkury z hitlerowskim doktorem Mengele, a poczynania Łysenki legły u podstaw niejednego studium rządu władzy. Opisanym postaciom przyświecała gwiazda o wielu obliczach. Mogła głaskać i stać się opiekunem, jak w przypadku wybitnego biologa Pawłowa, lecz także zadawać śmierć (*casus* Wawiłowów). W historii Termena wcieliła się w smutnych panów, pilnujących, aby geniusz na zawsze pozostał w niebycie. Dla Kałasznikowa wyszykowała zaś ścieżkę szyderstwa i sarkazmu, na której końcu dzieło życia przeistoczyło się w narzędzie masowej zbrodni.

Czym jest owa czerwona gwiazda? To Stalin, a może system komunistyczny czy też historia? Zapewne wszystkim po trochu, choć domyślamy się, że Czytelnik samodzielnie rozłoży akcenty. Nie bez znaczenia jest sam sposób lektury. Tę książkę można czytać na wiele sposobów: chronologicznie, na wrywki, szeregując bohaterów wedle dyscyplin, a nawet wspak. Jedyne, czego nie można z nią zrobić, to odrzucić bohaterów tylko ze względu na gwiazdę, pod którą przyszło się im urodzić – gwiazdę

w sensie geograficznym.

GWIAZDA PSIA

PODWÓJNA AKADEMICKA RACJA

Trzydzieści kilogramów mąki pszennej, 11 kilogramów mięsa, 5 kilogramów świeżej ryby, 2 kilogramy czarnego kawioru, 5 kilogramów bobu, grochu i soczewicy, 2 kilogramy sera, 2 kilogramy suszonych owoców, 750 sztuk papierosów i 10 paczek zapalek zawierała podwójna miesięczna akademicka racja, którą Iwanowi Pietrowiczowi Pawłowowi przyznała Rada Komisarzy Ludowych. Na mocy specjalnego dekretu z 24 stycznia 1921 roku, podpisanego przez samego Lenina, powołano także komisję, w której skład wszedł między innymi pisarz Maksym Gorki. Celem owego ciała było „zabezpieczenie w jak najkrótszym czasie korzystnych warunków naukowej pracy akademika Pawłowa i jego współpracowników”. W dokumencie zagwarantowano także „ekskluzywne” wydanie dzieł sławnego fizjologa.

Skąd taka zmiana? – zachodzili w głowę bliscy Pawłowa. Od rewolucji siedemdziesięciodwuletni naukowiec żył na granicy ubóstwa i dawno zapomniał o burżuazyjnych przyjemnościach, takich jak poranna kawa czy befsztyk na obiad. Dzień w dzień jadał teraz czarny chleb z kaszą oraz, podobnie jak cały Piotrogród, marzył w nieogrzewanych pokojach. Co gorsza, nie mógł kontynuować badań. Brak środków na utrzymanie samych laboratoriów, radykalne cięcia kadrowe (z kilkudziesięciu pracowników pozostał mu w 1920 roku jeden), problemy z dostawami prądu skutecznie uniemożliwiły mu dotychczasową pracę. Gdy zaś mimo tych przeszkód, przymuszony „wewnętrzną koniecznością” i wyposażony w kilka woskowych świec, zdecydował się zająrzeć do swego naukowego królestwa, nie mógł się tam dostać. Podróż tramwajem ze względu na piekielną ciasnotę wewnątrz odpadała, musiałyby więc pieszo przebyć po dwakroć dystans dziesięciu kilometrów, który dzielił jego dom od miejsca pracy. Badacz, osłabiony fizycznie i psychicznie, nie mógł sobie na to pozwolić.

Sytuacja stawała się nieznośna i Pawłow skierował do bolszewików list z prośbą o umożliwienie mu wyjazdu za granicę. Uzyskał odpowiedź, że jego los niebawem się poprawi, a w ślad za pismem popłynęły do naukowca paczki z prowiantem. Jako zwolennik zasady równoważących się bodźców pobudzania i hamowania wystosował do Lenina kolejny list, w którym odmawiał przyjęcia specjalnych racji żywnościowych. „Niedopuszczalne jest być w położeniu uprzywilejowanym

w porównaniu z naszymi najbliższymi towarzyszami” – uzasadniał. Radzieccy decydenci, dla których pierwszy rosyjski noblista był niezbędnym, jak – nie przymierzając – nowe wozy bojowe czy samoloty, postanowili o niego zawalczyć. W lutym 1921 roku do szerokiego grona piotrogrodzkich naukowców zaczęły trafiać „akademickie” dostawy żywnościowe. Dzięki temu setkom rodzin udało się przetrwać początek głodnych i chłodnych lat dwudziestych w Kraju Rad. Ostatecznie sam Iwan Pietrowicz nie opuścił ZSRR i powrócił niebawem do swoich prac. W mgnieniu oka władza zbudowała mu nowe laboratoria, które zapełniła setką pracowników. Przez kolejnych piętnaście lat Pawłow zarządzał swoim naukowym królestwem niczym biblijny patriarcha i uczynił z podległych mu instytucji niezależne wyspy na morzu bolszewickiej urawniłowki. Lenin i Stalin nie czuli się jednak przegrani, przeciwnie, mogli krytykom ZSRR rzucić w twarz: „To w naszym kraju, a nie na emigracji, żyje i tworzy *primum phisjologorum mundi*, największy fizjolog świata, Iwan Pietrowicz Pawłow” – i dalej robić swoje. A o to im przecież chodziło.

NOBLISTA DZIECKIEM PODSZYTY

Zanim Pawłow rozpoczął targi z czerwonymi włodarzami, musiały przeminąć ponad dwa pokolenia. Przez ten czas zdążył na trwałe wpisać się do historii rosyjskiej nauki, został członkiem Akademii Nauk, przyznano mu najwyższe carskie odznaczenia oraz otrzymał Nagrodę Nobla. Jego droga na szczyty nie była jednak prosta i łatwa i kto wie, jak by się to wszystko potoczyło, gdyby nie żelazna konsekwencja. „Niczego genialnego, co mi się przypisuje, we mnie nie ma” – zwykł mawiać i dodawał: „Po prostu nieustannie myślę o swoim przedmiocie, cały się na nim skupiam i dlatego otrzymuję pozytywne rezultaty”. Nietrudno zgadnąć, gdzie są korzenie tego ufego i absolutnego oddania...

Czteroletni Wania dziś chce być niewidzialny. Spogląda na matkę, która przy stole pod lampą przysiadła z włóczką; spogląda na ojca, który rozparł się w fotelu z książką w rękę; i dochodzi do wniosku, że rodzice go nie widzą. Warwara Iwanowna jest jakby nieobecna i wsłuchuje się tylko w głosy dochodzące z pokoju dziecinnego. Po każdym, nawet najdrobniejszym piśnięciu podrywa się i chce biec. „Siadaj, duszko” – mówi wówczas ojciec i kobieta opada na krzesło. „Matrona ma na nie oko, a ty odpoczywaj”. Słowa Pietra Dmitrijewicza najwyraźniej jej nie przekonują i jakby dla niepoznaki ponownie sięga po robótkę. Wystarczy jednak, że zza drzwi dobiegnie kolejne płaczliwe westchnienie, a już spadają oczka, przedza się płacze i Warwara Iwanowna gotowi się do skoku. Wówczas, jak w nakręcanej zabawce, którą stawia się na toaletce, ojciec powtarza swoje „Siadaj, duszko...” i kobieta po raz kolejny powściąga emocje.

W sąsiednim pokoju, ubrani w kaftaniki, koronki i robione na drutach buciki, leżą

braciszku Wani. Zapadają w krótki sen, a po chwili budzą się i z krzykiem wyciągają usteczka w stronę mlecznych piersi mamki. Chłopak wielokrotnie przyglądał się tym „obiadkom” i za każdym razem porównywał je ze scenkami z ogrodowej szopy, gdzie jesienią Żuczka urodziła rude szczenięta. Dziś usłyszał, jak stróż opowiada mamce, że kiedyś był taki mróz, iż ptaki zamarzały w locie i spadały na ziemię martwe i że tylko czekać, aż znów taki ziąb przyjdzie. Zląkł się i postanowił ukraść braciom wełniane koszulki, by przydziać w nie szczeniaki.

Wania miał wiele okazji, żeby wśliznąć się do pokoju dziecinnego, ale za każdym razem powstrzymywały go spojrzenia przodków uwiecznionych na rodzinnych portretach. Surowi, brodaci, odziani w czarne szaty popi oraz ich pogodne żony w koronkowych czepkach na głowach zdawali się mówić: „Wszystko wiemy i zaraz zdradzimy twe nieczne zamiary”. Pomędzy ich podobiznami wisiały okazałe inkrustowane metalem ikony przedstawiające prawosławnych świętych lub cudownej urody Matki Boskiej. W mieszkaniu znajdowało się też pełno półeczek z bibelotami i książkami. Oprawione w tłoczoną skórę księgi wydzielają specyficzny zapach i trudno było przejść obok, żeby nie zaciągnąć się ich wonią. Wania zapragnął nagle podbiec do jednego z regałów i powąchać starą Biblię, ale powstrzymała go myśl o czekającym zadaniu. Patrzy na ojca. Prawosławny ksiądz skrył w księdze głowę okoloną srebrną brodą i drzemie. Zerka na matkę. Druty miarowo stukają i przybywa włóczkowych szeregów. „Braciszku posnęli” – odgaduje Wania i zsuwa się z krzesła. Prześlizguje się przez stołowy i zagląda do dziecinnego. Mamka, zwiesiwszy głowę na nieosłonięte piersi, chrapie. Z kołysek dochodzą rytmiczne poświstywania. Chłopak przemaga wówczas strach i zagląda do szafy zwanej bieliźniarką. Wybiera z niej pięć koszulek, z którymi udaje się do sieni. Tam zakłada walonki matrony i wychodzi na podwórze. Od trzaskającego mrozu śnieg skrzy się niczym wygwieżdżone niebo. „Trzeba iść” – myśli Wania i rusza w kierunku szopy, żeby odziać szczeniaki...

Przyroda towarzyszyła młodemu Pawłowowi od najmłodszych lat, jednak nie zawsze wynikało to z pasji chłopca. Jego ojciec, przekonany, że praca z ziemią stanowi najlepszą formę edukacji męczyzny, nakazał synowi pomagać w przydomowym ogrodzie. Zajęcia te nie były uciążliwe, a ponadto Piotr Dmitrijewicz dbał o rozrywki syna i często po godzinach spędzonych na plewieniu grządek pomagał mu przygotowywać zielniki czy ganiać za motylami. Kolekcjonowanie kolorowych owadów stało się dla Pawłowa pasją na całe życie i było kanwą wielu późniejszych anegdot. W relacjach znajomych często przywoływano sytuacje, gdy Pawłow, będąc już uznanym badaczem i nobliwym starszym panem, potrafił na widok byle motylka znów przeobrazić się w chłopca i popędzić za fascynującym okazem w siną dal. Bodaj najbardziej znana historia związana z kolekcjonerską pasją naukowca wydarzyła się w 1928 roku, podczas jego

spotkania z Nikołajem Bucharinem. Był to okres, gdy Pawłow skonfliktował się z prezydium Akademii Nauk i długo opierał się przed przyjęciem wizyty przedstawiciela władzy. Nie mógł jednak odmawiać w nieskończoność i zgodził się na rozmowę z Bucharinem właśnie. Mimo to nie byłby sobą, gdyby nie dał odczuć jednemu z niegdysiejszych zauszników Lenina, że ten nie jest mile widziany w jego domu. Gość był człowiekiem doskonale wykształconym i liczył na to, że dzięki swej erudycji pozyska sympatię fizjologa. Rozpoczął więc rozmowę aluzją do antyku, by następnie skierować ją na tory współczesnej filozofii. Gospodarz zdawał się nie słuchać. „Punktem zwrotnym – zapisał później w dzienniku Bucharin (data: 26 października 1928 roku) – okazały się motyle”. Komunista, który w szkole wyuczył się ponad trzystu nazw motyli, podszedł do olbrzymiej szklanej gabloty, w której Pawłow trzymał skrzydlate zbiory, i bezbłędnie podał łacińską nazwę każdego owada. Nieoczekiwanie na twarzy naukowca pojawiły się oznaki zainteresowania i niebawem lody między mężczyznami zostały przełamane. Później spotykali się jeszcze wiele razy i deklarowali wzajemną życzliwość, a nawet przyjaźń. Pawłow ubolewał tylko nad stopniem zideologizowania Bucharina i w jednej z prywatnych rozmów dał wyraz swojej troski o przyjaciela: „Jego by kiedyś do nas do laboratorium, do klatki z psami, a już byśmy go nauczyli, jak rozróżniać rzeczywistość”.

Oprócz pracy z ziemią ojciec uczył synów czytać i pisać. Jako pop naukę tę prowadził, opierając się na Biblii i innych ważnych dla prawosławia księgach. Ze względu na to, że język rosyjski od czasów Piotra I i wprowadzonej przez niego grażdanki (czyli uproszczonego alfabetu) różnił się od zapisu liturgicznego, dzięki ojcowskiej edukacji chłopcy szybko nauczyli się pisać i czytać także według zasad cerkiewnosłowiańskich. W przypadku Wani rozbudzone umiejętności językowe szybko zaprocentowały i już w seminarium chłopak biegle opanował także łacinę i grekę.

Synowie batiuszki od małości nasiąkali również prawosławną tradycją i obcowali z uduchowioną liturgią. Po osiągnięciu odpowiedniego wieku byli zobowiązani pomagać ojcu podczas odprawiania mszy i uczestniczyć we wszystkich nabożeństwach. I choć Pawłow w dorosłym życiu odszedł od religii, to atmosfera prawosławnych świąt – Wielkanocy i Bożego Narodzenia – miała mu się na zawsze kojarzyć z czymś przyjemnym i cennym. Iosif Orbeli, orientalista, członek Akademii Nauk, a prywatnie również syn popa, w swoich wspomnieniach przywołuje następującą wypowiedź noblisty:

Ogromnie lubię msze wielkanocne. [...] Po pierwsze, cudowne śpiewy, po drugie – wspomnienie dzieciństwa. Wracam do tych chwil, kiedy w czwartek Wielkiego Tygodnia matka mnie i braci wysyłała do cerkwi, dawała ze sobą świeczkę i mówiła, że mamy ją podczas służby zapalić, a potem przynieść do domu. I oto wracamy, bojąc się, żeby świeca nie zgasła. I te wspomnienia zawsze mnie tak cieszą, że mimo wszystko, gdy zbliża się Boże Narodzenie albo Pascha, chadzam do cerkwi.

Zgodnie z wolą ojca Pawłow wstąpił do riaziańskiej podstawówki dla przyszłych seminarzystów i tym samym wszedł na ścieżkę prowadzącą go wprost za carskie wrota, które może przekroczyć tylko osoba ze święceniami kapłańskimi. Wania uczył się doskonale i zaczął dawać korepetycje. Po Riazaniu szybko rozeszła się wieść, że syn popa potrafi przemienić każdego krnąbrnego malca w pokornego i pojętnego ucznia. W mieście nie brakowało chętnych i do Pawłowa zgłosił się przewodniczący lokalnego ziemstwa (organu samorządowego powołanego przez cara) z prośbą, by ten dawał nauki także jego urwisom.

W 1864 roku piętnastoletni Iwan wstąpił do seminarium duchownego. Zmiana ta początkowo polegała tylko na przyodzianiu nowych szat, czyli czarnej sutanny, oraz wpisaniu do planu lekcji kilku przedmiotów z zakresu teologii. Nie wpłynęła jednak na światopogląd chłopaka i Iwan niezmiennie pilnie się uczył, po zajęciach dawał korepetycje lub pracował w ogrodzie, a czas wolny spędzał na uganianiu się po łąkach za motylami i żukami (po rosyjsku motyle to *baboczki* i sformułowanie to nabiera pewnej niezamierzonej dwuznaczności). Szybko jednak nadszedł czas buntu i młody Pawłow zaczął sięgać po książki, które nie były przeznaczone dla seminarzystów. Znalazły się wśród nich na przykład pozycje gloryfikujące scjentyzm, czyli przekonanie, że tylko nauka może opisać świat. W połowie XIX wieku od Madrytu po Moskwę pogląd ten rozpalał wyobraźnię radykalnie nastawionej młodzieży i student Pawłow nie pozostał nań obojętny. Z tekstów rosyjskich scjentyistów, nazywanych ludźmi lat sześćdziesiątych, najważniejsza i brzemienista w skutki okazała się książeczka *Odruchy mózgu* (z 1866 roku) rosyjskiego fizjologa Iwana Sieczenowa. Autor dowodzi w niej, że zarówno gęsia skórka, która pojawia się mimowolnie na ciele człowieka, jak i miłość czy przyjaźń są efektem tego samego procesu zachodzącego w mózgu. Z perspektywy fizjologicznej nie ma więc między nimi różnic jakościowych i charakteryzuje je tylko inna liczba bodźców. Tezę badacza większość wykształconych Rosjan przyjęła niczym herezję, ale scjentyści uznali koncepcję Sieczenowa za rewolucyjną i odkrywczą. Sam Pawłow, który pod wpływem przeczytanych wcześniej książek biologicznych wykształcił już w sobie poglądy na otaczające go środowisko, *Odruchy mózgu* przyjął z zachwytem. Przemyślenia po lekturze mogły doprowadzić go do następujących wniosków: jeśli tak zwane odruchy wyższe, takie jak chęć czynienia dobra, ale też wiara w Boga, są w gruncie rzeczy równoznaczne z odczuwaniem głodu bądź grymasem po wypiciu soku z cytryny, to jedyną nauką, która może wytłumaczyć istotę człowieka i jego psychiki, jest fizjologia. Ktoś inny mógłby na tym poprzestać, ale nie Pawłow, który kierowany zaszczerpioną mu w dzieciństwie konsekwencją, w 1870 roku porzucił seminarium. W wieku dwudziestu jeden lat opuścił rodzinny Riazan i wyjechał do Petersburga. Tam udał się na uniwersytet. Wówczas seminarzyści nie mogli zapisywać się na wszystkie kierunki i dostał się na prawo. Po siedemnastu dniach

z jurystycznego przeniósł swoje papiery na wydział matematyczno-fizyczny, gdzie wybrał specjalność: fizjologia zwierząt.

DWIE MIŁOŚCI

Serafina Karczewska, nazywana Sarą, pod datą 21 marca 1880 roku zapisała w pamiętniku „Dziś było święto! Wieczór literacki!”. Następnie słuchaczka kursów pedagogicznych odmalowała swój ubiór oraz zrelacjonowała zakłopotanie, którego doznała tuż po wejściu do salonu. W kolejnych zdaniach przechodzi do meritum i oto widzimy głównych aktorów wydarzenia:

Dostojewski, milcząc, przechadza się wzdłuż pokoju i popija mocną herbatę z cytryną, Turgieniew, otoczony atrakcyjnymi paniami, próbuje okazać spokój, ale żarty jakoś mu nie wychodzą. Mielnikow [Pawieł Iwanowicz Mielnikow, rosyjski pisarz – przyp. aut.] zakąsza, a Biczurina [Anna Aleksandrowna Biczurina, wówczas dwudziestosześcioletnia śpiewaczka operowa – przyp. aut.], przyciągnąwszy do siebie karafkę z koniakiem, wypija kieliszek za kieliszkiem.

Oczami Karczewskiej obserwujemy pojedynek literacki między wielkimi pisarzami. Pierwszy czyta Turgieniew. Zanim autor *Ojców i dzieci* zajmie przygotowane dla niego miejsce, widzimy, jak kroczy w kierunku sceny. Ma „piękną postać” i „grzywę siwych włosów nad wyrazistym, mądrym czołem”. Następnie rozpoczyna prezentację tekstu i „intonacją charakteryzuje każdego bohatera”, za co sala wynagradza go rześzystymi brawami. Po Turgieniewie na podium wsuwa się Dostojewski. Początkowo jawi się autorce pamiętnika jako „maleńki, blady, o schorowanej aparycji człowieczek”. Po chwili przeistacza się w „proroka, którego oczy rzucają błyskawice spalające ludzkie serca”. Po tym odczycie twórcy *Zbrodni i kary* goście salonu wiwatują. Jak relacjonuje Karczewska, ich emocje sięgają zenitu – „stukają, łamią krzesła i w szaleństwie wykrzykują «Dostojewski, Dostojewski!»”.

Sara Wasiljewna również dała się ponieść emocjom. Pamięta jedynie, że przy drzwiach podał jej palto, a następnie odprowadził do domu jeden z gości tego emocjonującego wieczoru. „Jestem Iwan Pietrowicz Pawłow” – przedstawił się ów dżentelmen na pożegnanie.

Trzydziestojednoletni Pawłow w dniu poznania przyszłej żony był już członkiem Towarzystwa Przyrodniczego przy petersburskiej akademii medycznej i pracował jako asystent w laboratorium fizjologicznym w klinice uznanego lekarza Siergieja Botkina. Miał też na koncie kilka naukowych sukcesów. Już podczas studiów skupił się na zgłębianiu pracy układu pokarmowego i rozpoczął badania na psach. Dostrzeżono jego zdolności i otrzymał pokaźne carskie stypendium 300 rubli na rok. W sytuacji, gdy rodzina potępiała go za porzucenie seminarium i z Riazania właściwie nie otrzymywał żadnego wsparcia finansowego, była to dla niego duża pomoc. Dwa lata przed zakończeniem studiów sprecyzował swoje zainteresowania

badawcze i zajął się trzustką. Praca dyplomowa poświęcona temu gruczołowi przyniosła mu złoty medal, czyli nagrodę dla najlepszego absolwenta.

Po studiach jego dzień pracy trwał nie mniej niż dziesięć godzin. W laboratorium fizjologicznym Botkina robił wszystko – przygotowywał za starszych kolegów eksperymenty, prowadził obserwacje i wciąż rozwijał własne studia nad fizjologią układu trawienia. Każdy zarobiony grosz przeznaczal zaś na psy. Stały się one głównym obiektem jego badań i potrzebował jak największej liczby czworonożnych pacjentów. W drugiej połowie XIX wieku zwierzęta, tak jak i dziś, były podporą medycyny eksperymentalnej. Jednak sposób przeprowadzania doświadczeń zdecydowanie różnił się od obecnego. Nie przywiązywano wówczas tyle wagi do kwestii znieczulenia i tylko w wyjątkowych przypadkach poddawano zwierzę rekonwalescencji. Po zabiegu, jeśli już przestało być potrzebne, najczęściej je usypiano. Pawłow, świadomy bólu, jaki zadaje psom, robił wszystko, żeby zmniejszyć jego skalę. W tym celu jako jeden z pierwszych naukowców na świecie rozpoczął stosowanie u czworonogów środków znieczulających i technik operacyjnych zgodnych ze standardami wykorzystywanymi w leczeniu ludzi. Ponadto przyjął zasadę, że każdemu psu należy się pooperacyjna opieka. Nie było to działanie powszechne i władze laboratorium nie zgodziły się na finansowanie fanaberii młodego naukowca, który z własnej kiesy musiał kupować środki umożliwiające zredukowanie cierpień zwierząt.

W 1877 roku Pawłow otrzymał stypendium i wyjechał za granicę. Ważnym przystankiem w jego naukowej podróży był Wrocław, zwany wówczas Breslau. Miasto – w XIX wieku należące do Cesarstwa Niemieckiego – było prężnym ośrodkiem akademickim. Młodego Rosjanina w stolicy Dolnego Śląska interesowały w szczególności prace fizjologa Rudolfa Heidenhaina. I przez dwa letnie miesiące Pawłow przemierzał klimatyczną uliczkę porośniętą morwami, aby na cały dzień zaszyć się w neogotyckim gmachu z czerwonej cegły, w którym urzędował profesor. Pod jego okiem Iwan Pietrowicz wydzielił w psim żołądku zamknięty woreczek, w którym mimo braku pokarmu wciąż były produkowane soki trawienne. Dzięki temu zyskał możliwość dokładnego zbadania tych substancji. Rosjanin w trakcie stypendium zawitał także do Lipska, gdzie odwiedził kolejnego sławnego fizjologa, Carla Ludwiga.

Uzbrojony w nowe pomysły i idee wrócił do Petersburga i rzucił się w wir pracy. Sądził, że nikt i nic nie zdoła oderwać go od nauki. Nieoczekiwanie sztuka ta udała się dwudziestodwuletniej czarnowłosej Sarze. A godziny spędzone podczas turnieju literackiego połączyły ich na całe życie. Zakochany Pawłow nie wstydził się swoich uczuć i słał do wybranki gorące i czułe listy. Dziewczyna szybko uległa jego urokowi i tak opisała go w pamiętniku:

Iwan Pietrowicz był słusznego wzrostu, dobrze zbudowany, zwinny, niezwykle silny, mówił z pasją, obrazowo i z żarem. Miał brązowe włosy, długą brązową brodę, rumiane policzki, jasne niebieskie oczy, czerwone wargi układające się w absolutnie dziecięcym uśmiechu i cudowne zęby.

Nie minął rok od zawarcia znajomości, a młodzi oznajmili rodzinom, że pragną się pobrać. Rodzina Karczewskiej nie widziała przeciwwskazań i przyjęła tę wiadomość z radością. Inaczej zareagował batuszka Piotr Dmitrijewicz. Z Riazania popłynął do Petersburga jasny przekaz: „Nie chcemy, żeby nasz syn wchodził w związek małżeński z Żydówką, ponadto już wybraliśmy dla niego odpowiednią partię, córkę bogatego urzędnika”. Pawłow po raz drugi sprzeciwił się ojcu i udał się do Rostowa nad Donem, rodzinnego miasta Sary Wasiljewny, gdzie narzeczeni za pieniądze otrzymane od Karczewskich zorganizowali wesele.

Po powrocie do Petersburga małżonkowie musieli zmierzyć się z rzeczywistością. Iwan Pietrowicz swoim zwyczajem wydawał prywatne pieniądze na utrzymanie psów i dla rodziny pozostawały grosze. Sytuacja stawała się coraz gorsza i na kilka miesięcy musieli się wyprowadzić z wynajmowanego mieszkania. Z pomocą przyszedł wówczas brat Pawłowa, Dmitrij, który użyczył im pokoju w swoim domu. Jako asystent znanego chemika Mendelejewa mógł liczyć na wygodne służbowe lokum. Pomocną dłoń próbowali także wyciągnąć do Pawłowa jego studenci. Urządzili zbiórkę i pod pozorem wynagrodzenia za dodatkowe zajęcia przekazali swojemu nauczycielowi sporą kwotę. Jeden z organizatorów akcji, Nikołaj Pawłowicz, późniejszy profesor medycyny i znany internista, wspomina z rozrzewnieniem, że badacz przyjął darowiznę i w całości przeznaczył ją na jedzenie dla psów.

Kłopoty, które dotyczyły małżonków w pierwszych latach ich związku, nie ograniczały się tylko do finansów. Ich najmłodszy syn Miron ciężko zachorował i w wieku kilku miesięcy zmarł. Sara i Iwan Pawłowowie mieli w sobie oparcie i potrafili uporać się z przeciwnościami losu. Po latach naukowiec tak pisał o tamtych czasach:

Szukałem w towarzyszcu życia tylko dobrego człowieka i znalazłem go w mojej żonie [...], cierpliwie wytrzymującej wszystkie niegodności naszego do profesorskiego życia [do otrzymania tytułu profesora akademii – przyp. aut.], zawsze ochraniającej moje naukowe aspiracje i będącej oddaną na całe życie naszej rodzinie, jak i ja – laboratorium.

Zły los szybko się odwrócił. Pawłow otrzymał wysoką nagrodę przyznaną przez Uniwersytet Warszawski i niebawem dokonał wielu przełomowych odkryć, za które miał na niego spaść deszcz odznaczeń, łącznie z tym najważniejszym w naukowym świecie – Nagrodą Nobla.

ZEPSUĆ, A POTEM NAPRAWIĆ...

Oprócz konsekwencji w działaniu Pawłow charakteryzował się naukowym sprytem, bez którego nie dokonałby swoich największych odkryć. Ponadto wielkim sprzymierzeńcem naukowca okazał się przypadek. Pod koniec lat osiemdziesiątych XIX wieku Iwan Pietrowicz był już szefem dwóch laboratoriów fizjologicznych, w których prowadził eksperymenty mające wyjaśnić funkcjonowanie układu trawiennego ssaków. W dziesiątkach klatek przypominających drewniane rusztowania okalające remontowany budynek stały unieruchomione psy. Do ich żołądków podczepiono tulejki, z których sączyły się soki trawienne. Otrzymaną w ten sposób substancję szczegółowo analizowano i badano, jak można stymulować jej produkcję. Z czasem pozyskiwany materiał znalazł i inne, bardziej pragmatyczne zastosowanie. Odkryto, że łagodzi ludzkie schorzenia żołądkowe, i niebawem w świat wysłano pierwsze fiołki z psim sokiem żołądkowym. Na przełomie wieków XIX i XX lek profesora Pawłowa cieszył się już wzięciem i można było go dostać właściwie w każdej aptece Petersburga. Popularność tego specyfiku systematycznie rosła, tak że w przededniu pierwszej wojny światowej produkowano niemal piętnaście tysięcy buteleczek rocznie.

Powiększająca się w związku z rozwojem fabryczki soku żołądkowego psiarnia wymagała nieustannej opieki, a także – jak w zoo – regularnych dostaw odpowiednich pokarmów (karmę różnicowano ze względu na prowadzone badania). Trudno więc się dziwić, że laboratorium Instytutu Medycyny Eksperymentalnej, składające się z trzech pomieszczeń – sali operacyjnej, pokoju badań i pokoju dla zwierząt – przestało spełniać wymagania naukowca. Nie mógł liczyć na finansowanie z macierzystego instytutu i na początku lat dziewięćdziesiątych XIX wieku zwrócił się do zamożnych sponsorów o pomoc. Wsparcie, które otrzymał, wciąż było niewystarczające. Nieoczekiwanie problemy Iwana Pietrowicza rozwiązał w 1892 roku sam Alfred Nobel, który przekazał pokaźną darowiznę na rzecz budowy psiego pawilonu. Niestety, już po dekadzie budynek znów okazał się za ciasny. Wówczas z pomocą przyszli rodzimi mecenas i Stowarzyszenie imienia Ledencowa wsparło budowę kolejnych obiektów. Jednym z nich była tak zwana wieża milczenia, czyli cylindryczna murowana konstrukcja, wyłożona dźwiękochłonnymi materiałami. Zastosowano w niej także rewolucyjne rozwiązania techniczne umożliwiające prowadzenie wymarzonych przez Pawłowa eksperymentów. Świeżo oddaną do użytku wieżę od razu zasiedlono i na jednym z pierwszych filmów dokumentujących działalność noblisty widać, jak do jej wnętrza są wprowadzane owczarki niemieckie – jej główni lokatorzy.

Sława Pawłowa zataczała coraz szersze kręgi. Badacz, znany nie tylko z psich eksperymentów, lecz także z walki z epidemią cholery, otrzymał stanowisko profesora na Wojskowej Akademii Medycznej w Petersburgu. Kolejne zaszczyty następowały jeden po drugim, a ich zwieńczeniem było przyznanie Iwanowi

Pietrowiczowi w 1904 roku Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny. W uzasadnieniu zapisano, że otrzymuje ją „na znak uznania jego prac z zakresu fizjologii układu trawiennego, dzięki którym istotnie została poszerzona wiedza z tego zakresu”. Pawłow udał się na ceremonię wręczenia nagrody do Sztokholmu i po przyjęciu medalu z rąk króla Szwecji Oskara II stwierdził w uroczystej mowie:

W istocie interesuje nas w życiu tylko jedno – nasza psychika. Wszystkie bogactwa ludzkości – sztuka, religia, literatura, filozofia i historia nauki – zjednoczyły się, żeby przelać światło w te ciemności. Jednakże w posiadaniu człowieka jest jeszcze jeden potężny rezerwuuar – przyrodznawstwo z jego ostrymi obiektywnymi metodami. Oto nauka.

Zawarte w sztokholmskim referacie odwołania do życia psychicznego istot żywych odzwierciedlały nowe tendencje w pracach Pawłowa, który już na początku XX wieku porzucił tematykę gastryczną i zajął się badaniem odruchów nerwowych. Inspiracją do tego była obserwacja poczyniona w psim pawilonie. Tu także dały o sobie znać wspomniane już spryt i szczęście naukowca. Pawłow uwielbiał asystować podczas karmienia psów i właśnie w czasie pory obiadowej dokonał przełomowego odkrycia. Zaobserwował wówczas, że zwierzęta reagują na dźwięki związane ze zbliżaniem się kucharza i zaczyna ciec im z pyska ślina. Badacz wiedział, że ssaki, oprócz naczelnych, nie potrafią przewidywać przyszłości ani myśleć abstrakcyjnie. Uznał zatem, że odruch, który jest za to odpowiedzialny, musi, po pierwsze, być „wyuczony”, bowiem psy, rodząc się, nie znają dźwięku wózka z obiadem, a po drugie – tymczasowy i nie może być dany raz na zawsze.

Nowe inspiracje zawładnęły Pawłowem całkowicie i z werwą rzucił się w wir pracy. Najpierw zaprojektował skomplikowaną aparaturę i dopilnował, żeby ją odpowiednio zainstalowano, później rozpoczął równolegle kilka eksperymentów poświęconych fizjologii bodźców nerwowych. Najbardziej znane z jego doświadczeń było zarazem najprostsze i polegało na zapalaniu światła przed porą karmienia. Doprowadziło to do tego, że na sam widok jarzącej się żarówki zwierzęta śliniły się, jakby ktoś położył przed nimi największy smakołyk. Współcześnie te obserwacje nie wydają się odkrywcze i pierwszy lepszy hodowca czworonogów potwierdzi istnienie takich reakcji u swoich pupili. Ale to Pawłow jako pierwszy wytłumaczył to zjawisko w sposób naukowy i tym samym zapoczątkował nową erę w psychologii i neurologii. Inne, bardziej zaawansowane eksperymenty dotyczyły swoistego programowania zwierząt. Badacz wybierał do nich najinteligentniejsze psy. Co ciekawe, miał w zwyczaju nazywać je już po wstępnych doświadczeniach, gdy wykazały się indywidualnymi cechami. Większość imion odnosiła się do cech charakteru, na przykład Spryciarz czy Głuptas, a najbystrzejszy i najodważniejszy pies otrzymał imię John, czyli Iwan. I właśnie ten ogoniasty mądrała wziął udział w eksperymencie polegającym niejako na „wszczepieniu” chorobliwego lęku przed głębiną, zwanego

batofobią. Późniejsze referaty poświęcone temu doświadczeniu Pawłow przedstawiał podczas licznych konferencji w kraju i za granicą. Dzięki temu John stał się sławny i do laboratorium przybywali badacze z całej Europy, żeby zobaczyć go na własne oczy.

POWTÓRNE NARODZINY

Na początku XX wieku Rosja znalazła się nad przepaścią. Kraj ponosił porażki w wojnie z Japonią, w efekcie czego nastąpił kryzys gospodarczy, a ceny żywności skoczyły o ponad 20 procent. Wszystko to spowodowało wybuchy niezadowolenia i masowe protesty, zwłaszcza w Petersburgu. Podczas jednego z nich naprzeciw demonstrantom wyszli żołnierze i doszło do masakry zwanej krwawą niedzielą. Pawłow uznał wówczas, że nie może biernie przyglądać się rozlewowi krwi, i wbrew zasadom, by wszystko robić jawnie, wstąpił do opozycyjnego stowarzyszenia profesorów. Minęło pół roku od politycznego akcesu Pawłowa i stolicą Rosji wstrząsnęły kolejne zamieszki zwane rewolucją 1905 roku. Car Mikołaj II poszedł na ustępstwa wobec demonstrantów i powołał Dumę, czyli rosyjski parlament, oraz ogłosił wybory. Iwan Pietrowicz, który od zawsze był rojalistą i zwolennikiem poglądów centroprawicowych, zamierzał kandydować z ramienia oktiabrystów, jednak carskie niezdecydowanie i na przemian: rychłe rozwiązywanie i powoływanie izby skutecznie zniechęciły go do zrealizowania tego pomysłu. Zbiegło się to z nadaniem mu w 1907 roku tytułu członka rzeczywistego Rosyjskiej Akademii Nauk. A to ostatecznie wybiło mu z głowy politykę i do rozpoczęcia pierwszej wojny światowej eksperymentator zamknął się w swojej naukowej wieży z kości słoniowej i niewiele miał już wspólnego z otaczającą go rzeczywistością. Mógł dzięki stosunkowo dużej niezależności finansowej szeroko planować badania oraz korzystać z wygod akademickiego życia. Wystarczało mu na utrzymanie dużego domu przy samej Newie, wspieranie dorosłych synów – Wsiewołoda, Wiktora i Władimira – zatrudnienie służących oraz opłacanie wakacji, które rokrocznie spędzał z rodziną w Finlandii. Tam podczas białych nocy urządzali przejażdżki rowerowe czy też spacerowały w towarzystwie kulturalnej elity Petersburga.

Pierwsze miesiące wielkiej wojny nie zapowiadały dużych zmian w życiu Pawłowa. Władze zmniejszyły mu subsydia, ogłosiły cięcia kadrowe i wprowadziły wojenną aprowizację, mimo to badacz wciąż prowadził eksperymenty. Z czasem jednak i do jego królestwa wdarła się atmosfera strachu. Większość mężczyzn pracujących w laboratorium dostała powołanie do wojska i w 1915 roku ruszyła na front. „Bilety” przysły także do domu nad Newą i dwaj synowie Pawłowa musieli dołączyć do grona carskich żołnierzy. Zbliżający się wówczas do siedemdziesiątki noblista deklarował, że gdyby nie wiek, poszedłby w ich ślady i także chwycił za

broń.

carskiej Rosji zagrażał nie tylko wróg zewnętrzny, lecz także tocząca ją wewnętrzna gangrena. Coraz częściej do stolicy docierały wieści o radykalizujących się nastrojach w armii i nagminnych dezercjach. Tylko nieco lepsza była sytuacja w Petersburgu i dzień w dzień przez miasto przechodziły pacyfistyczne demonstracje wspierające wzrastających w siłę bolszewików. Dwór zaś pogrążał się w marazmie i na zmianę przybierał twarz nawiedzonego Rasputina bądź wystraszonego cara. Zrozpaczony Pawłow mimo braku sympatii do Mikołaja II, zwanego przez niego „durakiem” i „degeneratem”, nie mógł oprzeć się myśli, że jego ukochana Rosja stoi u progu katastrofy. Przeświadczenie to było efektem zarówno fatalnych wieści docierających z frontu, jak i olbrzymiej niechęci, którą badacz darzył bolszewików. Spośród jego licznych wypowiedzi dotyczących rewolucjonistów najcenzuralniejsza miała formę porównania do świata muzyki. „Jeśli ja, tak jak tu stoję – powiadał – nigdy nie śpiewałem, nie byłem też uczony śpiewu, a wyobrazę sobie, że dysponuję przyjemnym głosem i zacznę nim raczyć gości, będzie to co najwyżej zabawne. Gdy jednak lud, spośród którego większość to bez mała niewolnicy, wyobrazi sobie, że jest wodzem innych nacji, grozi to utratą politycznej suwerenności”.

A mimo to owi „barbarzyńcy”, „mordercy” i „kanalie” zdołali w Rosji przejąć, a potem utrzymać władzę. Pierwsze miesiące ich rządów były dla Pawłowa ciężkie. Nadeszły hiobowe wieści od synów z frontu. Wsiewołod donosił w listach o „anarchistycznym huraganie” i przeszedł na stronę „białych”. Wiktor zaś, wysłany przez bolszewików w tajną misję, zaraził się tyfusem i niebawem zmarł. W Petersburgu działy się rzeczy nie mniej okrutne niż w okopach. Siedemdziesięcioletni uczony rozpaczał, gdy na zapleczu zamkniętych laboratoriów był zmuszony zasadzić kartofle, żeby nie paść ofiarą głodu. Ponadto kilkakrotnie rewidowano jego mieszkanie i skonfiskowano złoty noblowski medal oraz wszystkie carskie odznaczenia. Podobne szykany dotknęły też najbliższych sąsiadów badacza, leciwych akademików, i dwóch spośród nich zmarło z wygłodzenia i stresu.

Od 1918 roku Pawłow zaczął otrzymywać pisma od przyjaciół między innymi z Anglii czy USA, którzy oferowali pomoc w opuszczeniu Rosji. Co ciekawe, tuż po rewolucji sami bolszewicy, wówczas jeszcze nieświadomi jego znaczenia dla Kraju Rad, zaproponowali mu wyjazd. Naukowiec albo nie odpowiadał, albo odmawiał, pisząc, że jego obowiązkiem jest praca dla ojczyzny. Listy, zanim trafiły do adresatów, były wnikliwie czytane przez nowe władze. Kiedy więc w 1920 roku wystosował oficjalną prośbę o pozwolenie na opuszczenie kraju, Lenin uznał, że wiekowy naukowiec nie myśli o emigracji, ale zamierza wdać się z nim w targi. Zaproponował więc podwójną akademicką rację żywnościową. Pawłow ten dar, na owe czasy bezcenny, odrzucił. Zbiegło się to z oficjalnym listem skierowanym przez szwedzki Czerwony Krzyż do bolszewików, w którym proszono o wypuszczenie

Iwana Pawłowa w zamian za pomoc humanitarną. Propagandowa wartość badacza nieoczekiwanie wzrosła i komuniści zmodyfikowali swoją ofertę: dajemy nie jedną, ale dziesiątki paczek, budujemy instytut, jakiego świat nie widział, i na dokładkę drukujemy dzieła wszystkie Iwana Pietrowicza na biblijnej bibułce. Wówczas naukowiec zgodził się pozostać w kraju. Zadeklarował jednak, że nigdy nie zmieni zdania na temat państwa bolszewików i będzie je postrzegać jako pasożyta na ciele drogiej mu Rosji. Lenin oraz jego poplecznicy odcięli się od tych słów i między innymi ustami Bucharina i Trockiego poddali badacza krytyce. Ten zaś, mając w zwyczaju poświęcać wykład inauguracyjny „tematyce ogólnej” (na przykład twórczości Turgieniewa czy istocie wojen), w 1923 roku w Wojskowej Akademii Medycznej uraczył studentów opowieścią o błędach i wypaczeniach ZSRR. W owym czasie bezkarnie krytykować nową władzę mógł tylko on i może jeszcze kilka metres Lenina czy Trockiego. Niemniej spór między Pawłowem a komunistami od samego początku był teatralny, gdyż obie strony potrzebowały się wzajemnie. I w czasie gdy uczony pozwalał sobie na śmiałe wypowiedzi na temat komunistów, budowniczy wypraszali już prezydenta Akademii Nauk ZSRR z jego gabinetu i przesuwali jedną z ulic Piotrogradu. Akademik Pawłow zgłosił bowiem wprost do wierchuszki prośbę o zwiększenie przestrzeni dla jego piesków i czerwoni aparatczycy byli gotowi stanąć na głowie, żeby on, duma i chluba ZSRR, mógł kontynuować swoje badania.

OSTATNI GASI ŚWIATŁO

Ukochany w Chrystusie bracie mój i wielce szanowny kolego, Iwanie Pietrowiczu! – pisał do Pawłowa w 1925 roku tymczasowy mieszkaniec syberyjskiego Turchańska. – Wygnanym za Chrystusa na kraj świata [...] niemal całkowicie oderwany od świata, niedawno zasłyszał o Waszym uroczystym siedemdziesięciopięciolecu.

Następnie padały zapewnienia o głębokim szacunku do jubilata oraz gratulacje związane z jego dokonaniem naukowymi. List ten, z grona setek życzeń wysłanych do Pawłowa, wyróżniał się jednak groźnym miejscem nadania. Kolonia karna, z której został odprawiony, od dekad była okryta złą sławą i w gronie zesłańców, którzy tu przebywali jeszcze za caratu, znalazł się sam Józef Stalin. Za czasów ZSRR trafiła tam zaś między innymi córka Mariny Cwietajewej, Ariadna Efron. Oprócz tego kolonia charakteryzowała się dużą liczbą zesłańców księży i pod koniec listu nadawca szeroko informuje o swoich niegdysiejszych zawodowych rolach, kreśląc w podpisie „Pokorny Łukasz, biskup Taszkentu i Turkmenistanu (były profesor anatomii prawidłowej i chirurgii Walentin Feliksowicz Wojno-Jasieniecki)”.

Można by sądzić, że pop i medyk w jednym źle postąpił, wybierając Pawłowa na protektora. Noblista, choć wielokrotnie dawał wyraz przywiązania do tradycji Kościoła prawosławnego, był znany jako zagorzały ateista. W 1935 roku, czyli tuż

przed śmiercią, swoje poglądy na temat wiary wyraził bodaj najdobitniej, uznając religię za „naturalny i uzasadniony ludzki instynkt”. A mimo to list „pokornego Łukasza” trafił w odpowiednie ręce, gdyż Pawłow, mimo iż przeświadczony o tym, że Bóg nie istnieje, stawał w obronie prawa człowieka do wiary. Wielokrotnie toczył też boje z komunistami, którzy zamierzali wyburzać cerkwie, i apelował, żeby pozostawili je jako świadectwa rosyjskiej historii. Korzystał też z każdej okazji, żeby wstawić się za prawosławnymi i katolickimi duchownymi oraz rabinami i niebawem odpisał księdzu z Turchańska:

Wasza Wielbność i drogi towarzyszu! Głęboko wzruszony Waszym ciepłym pozdrowieniem, składam za nie podziękowania. [...] W tych ciężkich czasach [...] dla osób myślących zwyczajnie, po ludzku pozostaje jedno życiowe wsparcie – wypełniać według swoich sił przyjęte na siebie zobowiązania.

Kilka miesięcy po wysłaniu tego listu biskup Łukasz otrzymał zgodę na przesiedlenie do Krasnojarska. W dużym ośrodku miejskim mimo ciążącego na nim ograniczenia swobód obywatelskich mógł prowadzić praktykę lekarską i w efekcie zarobić na utrzymanie. I choć jeszcze dwukrotnie był zsyłany do kolonii karnych, długo w nich nie pozostał. Kontynuował przerwane prace naukowe i w 1944 roku otrzymał Nagrodę imienia Stalina za rozprawę zatytułowaną *Opóźnione resekcje zainfekowanych ran postrzałowych stawów*.

Pawłow nie ograniczał się tylko do duchownych i występował w obronie osób, które – podobnie jak i jego syn – opowiedziały się po stronie „białych”. Po śmierci Lenina nowy wódz ZSRR postanowił się ich pozbyć i pod hasłem „rozprawy z antysowieckim elementem” wysyłał każdego, kto służył u Kołczaka, Denikina czy Wrangla, na Sybir. Stalinowskie czystki nie ominęły laboratoriów noblisty. Tu jednak przebiegły zgoła inaczej niż w całym kraju. Przysyłani do psiego królestwa sowieccy czyściciele od progu byli wyrzucani przez krewkiego starca. W 1933 roku postanowiono więc wysłać do badacza wysoko postawionego i utytułowanego szefa akademickiej sekcji do walki z „antysowieckim elementem”. Profesor (jego nazwisko nie zachowało się w archiwach) oznajmił Pawłowowi, że w gronie jego pracowników są zdrajcy narodu. Noblista wykrzyknął wówczas „won swołocz” i zrzucił nieproszonego gościa ze schodów. Poturbowany aparatczyk od razu udał się na skargę do pierwszego sekretarza KC w Leningradzie, Siergieja Kirowa. Ten zaś, po wysłuchaniu żalów, odpowiedział: „Nie mogę wam w żaden sposób pomóc”.

Czas jubileuszów Pawłowa był jak czas igrzysk w antycznej Grecji – wojenki oraz przepychanki między noblistą a bolszewikami ustawały. W 1929 roku z okazji obchodów osiemdziesiątych urodzin naukowca kilkanaście kilometrów od Leningradu, w Kołtuszech, otwarto pierwsze na świecie miasteczko-instytut i jego szefem uczyniono wielkiego fizjologa. Badacz przeprowadził się tam z radością i pełen werwy zarządzał pracą licznych zespołów naukowych. Szybko do Kołtuszków

przylgnęło miano „stolicy odruchów warunkowych”, gdyż na szeroką skalę prowadzono tam doświadczenia nad reakcjami zwierząt na bodźce. To wówczas ludzie Pawłowa opracowali metody „programowania”, które po śmierci naukowca rozwijano w kierunku inżynierii społecznej i technik psychiatrycznych umożliwiających sterowanie jednostkami i zbiorowością. Same prace Pawłowa były w większości teoretyczne i akademik za cel niezmiennie stawiał sobie poznanie i zrozumienie zwierzęcej psychiki.

Innym wielkim przedsięwzięciem mającym służyć z jednej strony uhonorowaniu noblisty, a z drugiej – przedstawieniu ZSRR w pozytywnym świetle było zorganizowanie w Leningradzie, Moskwie i Kołuszach wielkiego XV Międzynarodowego Kongresu Fizjologów. Gwiazdą spotkania był nie kto inny, tylko Pawłow, i głosem wszystkich zebranych został uznany za najwybitniejszego fizjologa na świecie. Nie to jednak okazało się najważniejsze dla bolszewików. Podczas swojego referatu naukowiec po raz pierwszy w życiu pochwalił sowiecką władzę i przed tysiącami uznanych badaczy z całego świata rzekł:

Jestem dumny z tego, że decydenci mojej potężnej ojczyzny, walcząc o pokój, jako pierwsi rzucili hasło „Ani piędzi cudzej ziemi”.

Ten cytat ze Stalina („Ani piędzi cudzej ziemi nie chcemy, ale ani piędzi ziemi własnej nie oddamy”) przypominano potem w setkach publikacji poświęconych pierwszemu rosyjskiemu nobliście. Niestety, nie udało się zweryfikować, czemu badacz nawiązał właśnie do tej wypowiedzi Iosifa Wissarionowicza. Sześć miesięcy później – 27 lutego 1936 roku – zmarł. Jego śmierć zakończyła całą epokę w rozwoju nie tylko nauki, lecz także postrzegania świata. Po 1936 roku dotarło do zwykłych zjadaczy chleba, że człowiek, tak jak wszystkie zwierzęta, jest kłębkim elektryczności i można nim sterować. Symbolem tego przekonania jest do dziś pies śliniący się na widok zapalanej żarówki. Niestety, spuściznę badacza wykorzystali pseudonaukowcy – zarówno radzieccy, jak i amerykańscy – którzy zapragnęli znaleźć narzędzie umożliwiające sterowanie człowiekiem. Na szczęście układ nerwowy *homo sapiens* nie został jeszcze do końca opisany. Martwemu Iwanowi Pietrowiczowi można było włożyć do ust wszystko, czego się zapragnęło. Skończył się więc ten Pawłow, który walczył z bolszewikami i stanowczo, a nawet wulgarnie przeganiał aparatczyków z psiego królestwa. Pozostał zaś fantom, o którym Bucharin, mieniący się przyjacielem noblisty, powiedział: „Pawłow jest w całości nasz i nikomu go nie oddamy”.

WYBRANA LITERATURA

1. Asratian E.A., *Iwan Pietrowicz Pawłow: żyźń, twórczość, współczesne stosunki uczenia*, Moskwa 1981.

2. Bida O., *Iwan Pawłow: „Żena była preidana siemje, kak ja – laboratorii”*, „Gazieta Nowaja”, 2010, <http://novaya.com.ua/?/articles/2010/08/11/110932-13> [dostęp: 26.01.2016].
3. Boakes R., *From Darwin to behaviourism*, Cambridge 1984.
4. Moroziewa S., *Sobaki Pawłowa*, GEO, <http://www.geo.ru/node/41566> [dostęp: 26.01.2016].
5. Okuczerowa O., Szczerbak G., Nowlewa T., *50 geniew, kotoryje izmienili mir*, Charków 2009.
6. Iwan Pawłow [osoba fikcyjna, blog], <http://ivanpavlov2.blogspot.com> [dostęp: 26.01.2016].
7. Pietrowa M.K., *Iz wospominanij ob akademikie I.P. Pawłowie*, „Wiestnik Rossijskoj Akademii Nauk”, 1995, 65, 11, s. 1016–1023.
8. Skliarowa J.K., Żarow L.W., *Istorija medicyny. Uczebnoje posobie*, Rostów nad Donem 2015.
9. Todes D.P., *Pawłow i bolszewiki. Socjalnaja istorija otczestwiennoj nauki i techniki*, Moskwa 1998.
10. Todes D.P., *Pavlov’s Physiological Factory*, „Isis (The History of Science Society)” 1997, 88, 2, s. 205–246.

GWIAZDA SUBSTANCJI ŻYWEJ

KRÓLOWA JEST NAGA

Wydana w 1954 roku w Irkucku książeczka *O historycznie motywowanej ewolucyjnej drodze rozwoju komórki zwierzęcej w świetle nowej dialektyczno-materialistycznej teorii komórkowej* rozpoczyna się od słów biolożki Olgi Borisowny Lepieszynskiej. Następnie autor publikacji, Wasilew Gerasimowicz Szipacz, wprowadza czytelnika w arkana prezentowanego tematu. Dotychczasowej – jego zdaniem błędnej – teorii budowy komórek przeciwstawia radziecką „doktrynę Lepieszynskiej”. Zgodnie z nią każda istota rozwija się z „nieuformowanej materii żywej”. Na kolejnych stronach medyk prezentuje własne doświadczenia mające potwierdzić te rewelacje i opisuje, jak rozcinał psom i kotom jamy brzuszne, a następnie wkładał do środka rozwijające się nasiona zbóż. Zasztywniał potem czworonożnych pacjentów i pozostawiał na tydzień bądź miesiąc samym sobie. Gdy minął wyznaczony czas, otwierał ich trzewia i wyciągał to, w co przeistoczyły się roślinki. Pozyskany materiał zbadał pod mikroskopem i uznał, że komórki nasion zmieniły się w komórki zwierzęce i odwrotnie – na podstawie obserwacji pobranych wycinków przyjął, że w ssakach zagnieździły się elementy roślin. Konkluzje te wydały mu się zgodne z teorią mentorki i pracę uznał za zakończoną.

Dziś ulice Irkucka zdobią dwie tablice pamiątkowe poświęcone Szipaczowi. Trudno jednak podejrzewać, że wmurowano je, aby upamiętnić doświadczenia na zwierzętach, które przeprowadził. Ten lekarz, doceniany za pionierskie prace nad profilaktyką tarczycową, podobnie jak setki innych naukowców pod koniec lat czterdziestych XX wieku zanurzył się w oparach absurdu spowijających sowiecką naukę. Jednym z symboli owego zaczadzenia była właśnie Lepieszynska. Biolożka na jednej nucie wygłaszała teorie komórkowe i gromiła reakcyjne siły w cytologii, słuchacze zaś wiwatowali z zachwytu. Wystarczyło też, że tupnęła nogą, a uznani badacze widzieli w okularze mikroskopu, co tylko chciała.

Klakierzy Lepieszynskiej dzielili się na co najmniej cztery grupy. Pierwszą z nich stanowili akademicy, którzy tak jak Szipacz pozostawali wierni swojej mistrzyni niezależnie od naukowych przesłanek czy też fluktuacji politycznych. Głosili jej tezy zarówno w okresie prosperity, kiedy to sam Stalin raczył wesprzeć badaczkę, jak i kilka lat później, gdy doświadczyła zasłużonej krytyki i popadła w niesławę. W gronie tych popleczników znajdowali się także rewolucyjni towarzysze

„innovatorki radzieckiej nauki”. Pod koniec lat czterdziestych XX wieku byli oni już ludźmi wiekowymi i łączyły ich z osiemdziesięcioletnią Lepieszynską wspólne doświadczenia pokoleniowe. Wspólnie spiskowali przeciw caratowi, cela w celę odbywali odsiadki w kazamatach ochrony i razem byli zsyłani na Sybir. Surowo doświadczeni przez los przeżyli tylko dzięki wzajemnemu zaufaniu. W latach trzydziestych i czterdziestych pierwszych radzieckich rewolucjonistów znów poddano ciężkiej próbie i wielu z nich zginęło podczas stalinowskich czystek. Trudno im się więc dziwić, gdy niemal w atawistycznym odruchu wspierali ludzi z własnego grona. Świat nauki nie stanowił tu wyjątku i logika oraz empiryczne dowody ustępowały bolszewickiej wspólnotce. Towarzyszka Lepieszynska do końca swych dni mogła więc liczyć na towarzyszy cytologów i histopatologów.

Kolejną grupą wyznawców leciwej badaczki byli jej rodzina oraz najbliżsi współpracownicy. Olga Borisowna w laboratorium substancji żywej, które mieściło się w ekskluzywnej moskiewskiej kamienicy zwanej Domem na Nabiereżnej, zatrudniała między innymi córkę Olgę Pantelejmonową, zięcia Wołodę Kriukowa, a nawet nastoletnią wnuczkę Swietę. Wszyscy ci naukowcy z bożej łaski nie tylko mieszały w menzurkach, lecz także pojawiali się na konferencjach, gdzie referowali badania prowadzone przez szefową. Cała rodzina Lepieszynskich wystąpiła w 1950 roku na słynnym majowym posiedzeniu poświęconym problemom substancji żywej i rozwojowi komórek. Podczas tego sympozjum, zorganizowanego przez Akademię Nauk ZSRR, jako jeden z pierwszych głos zabrał również wieloletni pracownik Olgi Borisowny, niejaki Sorokin. Jakow Raport, radziecki biolog, historyk medycyny i stalinowski więzień, uważa, że laborant mógł wejść na mównicę i zwrócić się do setki prominentnych profesorów tylko dlatego, że był protegowanym Lepieszynskiej. „To był usystematyzowany bełkot – stwierdza kronikarz sowieckiej nauki – i po jednym, jedynym muśnięciu metodologicznej krytyki zostawał zeń tylko dym”. Nie lepiej prezentowały się referaty rodziny biolożki. Czołobitne, wiernopoddające nie miały w sobie za grosz wartości merytorycznej. Niemniej jednak, podobnie jak w przypadku tekstów bolszewickich towarzyszy, wybrzmiewały niezależnie od koniunktury na Lepieszynską.

W gronie apologetów Olgi Borisowny znaleźli się także najbardziej uznani spośród radzieckich biologów i medyków, tacy jak Grigorij Konstantowicz Chruszczow, Michaił Arkadiewicz Baron czy sam prezydent Akademii Nauk Medycznych ZSRR Nikołaj Nikołajewicz Aniczkow. Ci ludzie od początku do końca byli świadomi przekłamań i nadużyć, jakich dopuszczała się badaczka. Mimo to ryzykowali dobre imię i popierali jej kłamliwe teorie. Trudno przypuszczać, że robiąc to, liczyli na wymierne korzyści. Ich pozycja w radzieckim społeczeństwie była na tyle wysoka, że byle samochód czy awans nie mogły stanowić decydującego argumentu za wsparciem Lepieszynskiej. Raport w artykule *Krótki żywot substancji żywej* (1988) próbuje

wczuć się w sytuację tych naukowców:

Najprawdopodobniej działał tutaj efekt psychologiczny: nacisk z góry, na który byli wrażliwi [...]. Następnie sam Baron był srogo doświadczony przez Lepieszynską, której pracownik Sorokin oskarżył go o naukowy plagiat. Zarzut ten był podtrzymany przez Olę Borisownę ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Zatem szantaż oraz inne próby zastraszania były narzędziami, za pomocą których badaczka torowała drogę pseudonaukowym koncepcjom. A nieliczni, którzy ośmielili się pozostać przy swoim i odważnie głosić fikcję mitycznej substancji, trafiali na bruk lub lądowali w więzieniu. Warto jednak podkreślić, że w latach 1950–1952 nie znalazł się śmiałek, który otwarcie zarzuciłby Lepieszynskiej hochsztaplerkę. I jedynie jej mąż, stary bolszewik, niepochlebnie wyrażał się o dokonaniach żony. Jego wypowiedź przywołuje Raport.

Podczas podróży na daczę spotkałem w wagonie Lepieszynskich – relacjonuje – i Olga Borisowna przez całą drogę zamęczała mnie sprawozdaniami ze swoich dokonań. [...] Obojętnie przysłuchiwał się temu Pantalejmon Nikołajewicz [mąż biologa – przyp. aut.]. I nagle rzekł do mnie cichym i miękkim głosem: „Nie słuchajcie jej, ona w nauce niczego nie wymyśli i mówi straszne głupoty”.

LENIN I HOMARY W PUSZCIE

– Oljuszka! – nawołuje Jelizawieta Protopopowa. – Co ja się z tobą mam, skaranie boskie z tą dziewczyną! – biadoli i energicznym krokiem przechodzi z pokoju do pokoju. Schodzi na parter i wkracza do bawialni. Tam zagląda za duży piec, wykonany z rzeźbionych kafli. – No, tu jesteś! – wykrzykuje rozłoszczona i siłą wyciąga córkę z ukrycia.

– Burżuj, burżuj! – syczy na matkę siedemnastoletnia dziewczyna. Wygina chude, kościste ciało w paragraf i wyrywa się z uścisku rodzicielki.

„Była energiczną kobietą, charakteryzującą się rozmachem, ale z surową duszą – napisze po latach o swej matce Lepieszynska – i było w niej coś z Wassy Żelaznej z dramatu Maksyma Gorkiego”. Kto wie, czy w chwili, gdy będzie kreślić te słowa, nie przypomni się jej scena z bawialni rodzinnej rezydencji. Tymczasem jednak dziewczyna biegnie po schodach i w biegu rzuca ostre:

– Po moim trupie, nigdzie nie pojedę! – Następnie, niczym wystrzał, rozlega się huk drzwi od panińskiego pokoju.

Jelizawieta Protopopowa dysponuje niesamowitą siłą perswazji i następnego dnia udaje się jej przekonać córkę, żeby odwiedziła kopalnie należące do rodziny. Przyszła bolszewiczka nienawidzi siebie za to, że dała się przekabacić matce, i w myślach szykuje się do rozmów z górnikiem oraz ich rodzinami. Już ona pokaże tej ciemnościelce, jak należy traktować ludzi pracy. Postanawia, że zaproponuje im w imieniu matki wyższe wynagrodzenie i skróci dzień pracy co najmniej o godzinę. Na miejscu, zamiast przeprowadzać kontrolę ksiąg finansowych, nastoletnia Olga

zwołuje spotkanie z pracownikami. Wygłasza podczas niego hasła przeczytane w dziełach niemieckich socjalistów i na koniec okrasza je konkretnymi obietnicami. Każe sporządzić list, pod którym podpisuje się jako pełnomocniczka i przyszła spadkobierczyni Jelizawiey Fiedorownej, właścicielki kopalń, floty statków rzecznych oraz domów czynszowych.

Wieści z szachty (czyli po rosyjsku kopalni) docierają do matki jeszcze przed przybyciem córki.

– Odszczepieńcze, chcesz mnie zrujnować i ośmieszyć! – wykrzykuje Jelizawiea Protopopowa w kierunku karety podjeżdżającej do ganku, w której rozsiadła się zadowolona z siebie Olga.

Dziewczyna wyskakuje z powozu i z ustami pełnymi Marksistowskich frazesów rzuca się na rodzicielkę. Ta nie pozostaje jej dłużna i w gniewie przeklina:

– Precz z mego domu, wydziedziczam cię!

Rozstanie matki i córki okazało się ostateczne. Nastoletnia Olga do czasu zakończenia gimnazjum mieszkała u rodziny, a później bez grosza przy duszy wyjechała z Permu. „Minął czas, gdy chodziłam do domów ziemiańskich słuchać wykładów albo tańczyć i się weselić” – wyznała w autobiografii *Droga do rewolucji. Wspomnienia starej bolszewiczki*. Dotarła do Moskwy i tam rozpoczęła naukę w szkole medycznej dla felczerów. Pokój na stacji dzieliła z koleżanką Lidią Sabliną oraz jej bratem Wiktoorem. Młody mężczyzna podkochał się w Lepieszynskiej. Aby jej zaimponować, przedstawił dziewczynę kolegom z uczelni, którzy mieli rewolucyjne poglądy. Spotkanie wywarło na Oldze wielkie wrażenie i wraz z Lidią postanowiła organizować wieczory marksistowskie. „Po kolei czytaliśmy na głos polityczną, ekonomiczną i socjalistyczną literaturę i zgłębialiśmy *Kapitał* Marksa; nie było u nas żadnych przewodników” – tak opisuje te nielegalne nasiadówki.

Okres terminowania w kole młodych marksistów zaowocował znajomościami i kontaktami w świecie zrewoltowanej młodzieży i z czasem zaczęto zapraszać Olę Borisownę na zebrania, w których brali udział najznamienitsi konspiratorzy końca XIX wieku. W autobiografii badaczka ze szczególną czcią wspomina posiedzenie, podczas którego miał występować Piotr Struwe, mityczna postać w jej środowisku. „Torując sobie drogę na dachę znajdującą się w Lesnym (wówczas przedmieście Petersburga) – wspomina – myśleć nie mogłam, że usłyszę tam człowieka, który będzie miał w moim życiu tak wielkie znaczenie”. Na miejscu biolożka zastukała do drzwi jednego z domów i po wymianie haseł weszła do środka.

W jednym z pokoi na środku był stół zastawiony tanimi zakąskami, na którego skraju pobłyskiwał brzuchaty samowar. Stały też ciemne butelki z piwem. To była – według studentów – trupiarnia, czyli sposób na zamaskowanie prawdziwego celu spotkania. Najmniejszy alarm i wszyscy rzucali się tutaj na udawaną libację.

Struwe, przedstawiciel tak zwanych legalnych marksistów, mówił o potrzebie zmian, nie wykluczał jednak współpracy z kapitalistami. W jego mniemaniu ustrój panujący wówczas w Rosji był motorem rozwoju społecznego i nie należało się od niego całkowicie odżegnywać. „Panowie – wykrzyknął na zakończenie – obraz rozoranego narodu najlepiej pokazuje nam jego kulturową bezradność! Zatem uznajmy nasz brak kultury i chodźmy na naukę do kapitalizmu!”. Retoryczne zawołanie mogło być odczytane jako wezwanie do zakończenia części oficjalnej i zaproszenie do trupiarni, tym bardziej że zebrani zdawali się w zupełności popierać tezy prelegenta. „Nagle – relacjonuje Lepieszynska – ze zbitej grupy słuchaczy wystąpił młody człowiek średniego wzrostu, mocno zbudowany, z wysokim czołem, rudawymi włosami i spojrzawszy przenikliwie na Struwego, wszedł z nim w spór”. Owym gniewnym okazał się adwokat Władimir Iljicz Uljanow, znany później na całym świecie jako Lenin. Sprzeciwił się tezom poprzednika i zaproponował koncepcję całkowitego odcięcia się od dotychczasowego systemu ekonomicznego. Wzbudziło to z początku gwałtowny sprzeciw zebranych. „Co za zarozumiałość” i „Jak on śmie” – dało się słyszeć. Jednak „stopniowo zapadła cisza i wszyscy z uwagą słuchali” kontrargumentów Lenina. Ten zaś, przekonuje Lepieszynska, ostatnimi słowami zaadresowanymi do Struwego wzbudził aplauz młodzieży:

Jeśli wasza myśl dalej będzie szła w tym kierunku, to nie zdziwię się, gdy spotkamy się z panem po różnych stronach barykady.

Po spotkaniu na dacy (które odbyło się najprawdopodobniej w 1893 roku) biolożka jeszcze mocniej zacieśniła więzy łączące ją z radykalnymi marksistami i niebawem weszła do koła tak zwanych staryków. Do grona członków tej elitarniej grupy konspiratorów zaliczali się między innymi Stiepan Iwanowicz Radczenko, Anatolij Aleksandrowicz Waniew czy Nadieżda Konstantinowna Krupska. Jednym ze stałych współpracowników był także Pantalejmon Nikołajkewicz Lepieszynski, przyszły mąż Olgi Borisowny. Wszyscy ci ludzie, oprócz działalności propagandowej, polegającej na organizowaniu nielegalnych spotkań i drukowaniu „bibuły”, zajmowali się też walką z legalnymi marksistami i narodnikami, którzy tak jak i oni występowali w opozycji do caratu. Ferment wzbudzany przez środowiska rewolucyjne sprawił, że ochranie udało się wpaść na trop kontestatorów, więc ich nieformalny przywódca Lenin musiał w 1895 roku wyjechać do Szwajcarii, gdzie pozostał niemal rok. Po powrocie do kraju zatrzymano go i osadzono w więzieniu, a następnie na przełomie lat 1896 i 1897 zesłano na Syberię.

Zimą 1896 roku wpadli najbliżsi towarzysze Olgi Borisowny i za knucie przeciwko caratowi zostali skazani na zesłanie. Wśród nich był Pantalejmon Nikołajewicz, od niedawna życiowy partner Lepieszynskiej. Późniejsza odkrywczyni substancji żywej postanowiła więc, wzorem wielu rewolucjonistek, udać się za ukochanym na Syberię.

Ruszyła w głąb Rosji i w Krasnojarsku, będącym ważnym etapem podróży skazańców, spotkała Lenina. Władimir Iljicz również jechał na miejsce odbycia kary i czekał tu na statek, którym miał popłynąć w górę Jeniseju do Szuszenskoje. Jak się okazało, ta miejscowość znajdowała się w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów od osady Kuraginskoje, do której podążała Lepieszynska. Para rewolucjonistów postanowiła więc dalej podróżować wspólnie (nie wszyscy osadzeni jechali na Sybir pod eskortą i niektórzy, tak jak Lenin, mieli tylko obowiązek meldowania się na poszczególnych etapach). Dni, które wtedy spędzili w syberyjskiej metropolii, Olga Borisowna wspominała z rozrzewaniem. „W stosunku do mnie, wówczas przy nadziei – zapisała w autobiografii – Lenin okazał się troskliwym i empatycznym towarzyszem”. W jej książce przypomina on świętego ze średniowiecznych hagiografii. „Iljicz zapytał mnie – relacjonuje – co bym zjadła?”. Autorka *Drogi do rewolucji* w imieniu swoim i nienarodzonego dziecka zażyczyła sobie homarów.

Byłam pewna, że nie pomyśli, że moje słowa mogą być na poważnie – kokietuje czytelnika. – I nawet nie zdążyłam dodać, że to żart, kiedy on schwycił kaszkiet i szybko wyszedł na ulicę. Patrzą, raz-dwa wraca, a pod pachą ma homary w puszcze.

Na parowiec wsiedli w czerwcu 1897 roku. Pierwsze dwa dni minęły zgodnie z planem i przepłynęli ponad trzysta kilometrów wielkiego Jeniseju. Przez ten czas Lenin czytał, a Lepieszynska rozkoszowała się urokami przyrody. Na trzeci dzień trafili na mielizny i prędkość statku drastycznie spadła. Z kilometra na kilometr sytuacja stawała się coraz gorsza. Panował skwar, poziom wody się obniżył i poruszanie się po tej syberyjskiej rzece było znacznie utrudnione. Ponadto na parowcu zaczęło brakować jedzenia. Wówczas Lenin zarządził postój i udał się do najbliższej wioski.

Minęło trochę czasu – pisze Lepieszynska – i z pokładu widzimy, jak idzie ku nam cała procesja. Na przedzie Władimir Iljicz, a za nim chłopci: ktoś niesie kosz jajek, ktoś worek chleba, kto inny wiadro mleka.

Pasażerowie rzucili się na brzeg i w mig wykupili przyniesione produkty. „Niebezpieczeństwo »śmierci głodowej« minęło – konstatuje Olga Borisowna – i wszyscy na wyścigi dziękowali Leninowi”.

CI WSPANIALI BOLSZEWICY

Pierwszych bolszewików cechowały sentymentalizm i naiwność. Mimo że do 1917 roku przeszli już więzienia, okrutne przesłuchania i spędzili po kilka lat na Syberii, nie mieli jeszcze krwi na rękach i mogli bez przeszkód snuć plany o lepszym świecie. Ponadto głosili walkę z kapitalistycznym zwierzem, sami będąc jak pasożyt na jego ciele. W Moskwie, Petersburgu czy Kijowie organizowali spotkania

z robotnikami i wiecując, upajali się swą mocą. Żyli zazwyczaj skromnie, a nawet biednie, ale nie znali śmiertelnego głodu, który dopiero pod koniec drugiej dekady XX wieku zawitał do Kraju Rad. Poza tym byli młodzi, a przy tym postępowi i wraz ze starymi bogami odrzucili przesady związane z paternalistyczną rodziną. Na zesłaniu, gdzie mogli żyć swobodniej niż w rosyjskich miastach, organizowali komuny, w których zawieszali prawo posiadania – wspólne były ubrania, jedzenie, a także dzieci i partnerzy. Dlatego też trudno się dziwić, że po latach okres ten jawił się im niczym raj utracony.

W Kuraginskoje Lepieszynska opiekowała się mężem i prowadziła punkt medyczny, w którym przyjmowała zarówno zesłańców, jak i miejscowych. Ponadto wspierała prace towarzyszy. Było to możliwe dzięki znikomej kontroli, jakiej poddano zesłańców. Mieszkali oni w wynajętych chłopskich chatach i byli zobowiązani do meldowania się co jakiś czas u policjanta. Ich codzienność nie różniła się jednak od życia autochtonów i dlatego mogli kontynuować działalność rewolucyjną. Na jednym ze spotkań podjęli decyzję o wstąpieniu w szeregi Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji. Lepieszynska, opisując to wydarzenie, zanotowała: „Dla każdego [...] był to jeden z najważniejszych dni w jego życiu”. Oddalenie nie przeszkadzało nawet w polemice z innymi rewolucjonistami i w sierpniu 1898 roku osadzeni w minusińskim rejonie [okręg administracyjny, w którym znajdowały się miejscowości Kuraginskoje i Szuszenskoje – przyp. aut.] podpisali przygotowany przez Lenina tak zwany list siedemnastu, będący ważnym dokumentem w historii rosyjskich socjaldemokratów.

Według Lepieszynskiej Władimir Iljicz był również motorem życia ich małej społeczności. W rozdziale autobiografii zatytułowanym *Codziennosc minusińskiego zesłania* stwierdza:

Kiedy wspominam tamte odległe lata, czasy zsyłki, i pytam się o główne centrum, wokół którego wirowały nasze myśli i inspiracje, to odpowiedź zawsze jest jedna – Lenin.

Wódz rewolucji organizował wspólne polowania (znamienne, że więźniowie mieli broń) oraz nakłaniał towarzyszy do uprawiania sportu. Preferował zarówno dyscypliny statyczne, takie jak szachy, w których ponoć nie miał sobie równych, jak i dynamiczne. Przestrzenią do ich uprawiania najczęściej była rzeka. Latem, gdy temperatury sięgały czterdziestu stopni, adwokat Uljanow pływał w potężnym Jeniseju, a zimą, gdy spadały do minus czterdziestu pięciu, ścigał się z towarzyszami na łyżwach. Ten rodzaj zimowej aktywności był w carskiej Rosji charakterystyczny dla zamożnych elit i Olga Borisowna od dziecka uprawiała się w poruszaniu na lodowej tafli. Najszybsza wśród zgromadzonych konkurowała tylko z Leninem.

Nasze łyżwy ze świstem tną zamrożoną gładź – wspomina w *Drodze do rewolucji* – i ze wszystkich sił staram się nie pozostać w tyle tej rozgorzałej konkurencji, jednak naprężając swą wolę ku zwycięstwu,

wszystkich już przegonił Iljicz i śmiejąc się, odjeżdża daleko do przodu. Nie dogonisz!

Rok 1900 przyniósł zmiany: 29 stycznia zesłańcy stali się wolnymi ludźmi i mogli wracać do domu. Miesiąc przed tą datą Lenin przekazał Lepieszynskiej list z poleceniami:

Zrobić dobrze okryty zimowy wózek [oddzielne sanki – przyp. aut.] i futrzany worek dla dziecka. Oprócz tego na całą wyjeżdżającą brać przygotować tysiące dwa zamrożonych pielmieni.

Futrzany kombinezonik stał się jednak przekleństwem i córka biolożki, kilkumiesięczna Olga Pantelejmonowna, już pierwszego dnia podróży przegrzała się i dostała ostrego zapalenia płuc. Okazało się także, że przygotowane pierogi zostały w Kuraginskoje. „Jaka bieda – rozżalił się Lenin i zawyrokował – wyjedziecie później, nic złego się nie stanie”. Sam zaś, pozostawiwszy rodzinę działaczy w stolicy minusińskiego rejonu, ruszył do Petersburga.

Pobyty w marnym hotelu w oczekiwaniu na poprawę stanu zdrowia dziecka musiał być ciężkim doświadczeniem dla osamotnionych Lepieszynskich. Niemniej po kilkunastu dniach znów mogli ruszyć w drogę. Dojechali do Omska, gdzie udali się do doktora Frołowa, który na polecenie Lenina pomógł kobiecie znaleźć pracę w miejskim szpitalu. W maju dotarł do nich list od Iljicza, który nakazywał im udać się do Pskowa i przygotować punkt dystrybucji nielegalnego czasopisma „Iskra”. Podróż nie odbyła się bez kłopotów i dopiero latem dotarli do miejsca przeznaczenia.

Czas spędzony na pracy przy „Iskrze” był ważnym doświadczeniem i Olga Borisowna poświęciła mu wiele miejsca w autobiografii. Na kartach książki odsłoniła między innymi arkana redakcji i wymieniła jej mecenasów. Jednym z nich był Maksym Gorki, który na czasopismo przeznaczył pięć tysięcy rubli (za tę kwotę można było wówczas kupić na przykład sto krów, pięć ton sera bądź trzydzieści markowych fortepianów). Zdradziła także sekrety prywatnej korespondencji. Listy z zagranicy były zaszyfrowane i do ich odczytania stosowano fragment wiersza poety Siemiona Jakowlewicza Nadsona:

Przyjacielu mój, bracie mój, zmęczony, cierpiący bracie,
Kim byś nie był, nie trać ducha,
Nuże kłamstwo i zło niech królują
Nad zroszoną łzami ziemią.

[Autorski przekład filologiczny]

Wykorzystywano najprawdopodobniej technikę łączoną, czyli liczbowe odpowiedniki dla poszczególnych liter, a uzyskane cyfry odnoszono do liryku będącego kluczem ukrytego znaczenia. „Podaj mi czwartą, ósmą, dwunastą i szesnastą literę z listu” – mogła prosić swego pomocnika Lepieszynska. Wówczas zaufana osoba z otwierającego epistołę zdania „Burę i łajanie mej lubej ślę za jej

harce...” dyktowała „ę”, „j”, „e” oraz „l”. „Teraz sprawdź kolejność tych liter w alfabecie” nakazywała Olga Borisowna. „8, 13, 7 i 15” – dukał pomocnik, a następnie wskazywał w poemacie Nadsona znaki według tej kolejności, pamiętając jednak, żeby każdą literę brać z nowego wersu. I po chwili miał już przed sobą tajny przekaz, który brzmiał: „i na m”. Zatem cały nakład „Iskry” – dopowiadała Lepieszynska – Lenin nakazuje skierować do Moskwy.

Każdy numer „bibuły” był na wagę złota i przypadki jej konfiskaty odbierano jako wielką stratę. Do jednego z takich niepowodzeń mogło dojść około 1903 roku, kiedy to do Pskowa dotarła wieść, że neseser z podwójnym dnem wypakowanym gazetami został porzucony w przechowalni bagażu w Wyborgu. Olga Borisowna postanowiła odzyskać tę cenną przesyłkę. Przekroczyła więc granicę dzielącą Rosję i zależną od Romanowów Finlandię i dotarła do miasta ulokowanego na Przesmyku Karelskim. Tam, na podstawie kwitu, który otrzymała pocztą, odebrała bagaż. Okazało się jednak, że kobieta kurier zabrała ubrania, którymi była wypakowana jego „oficjalna” przestrzeń. Powrót z pustą torbą, która mimo to ciążyłaby i tym samym zdradzała swą sekretną zawartość, byłby samobójstwem. Lepieszynska nie miała ze sobą wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić nową odzież. Rozmyślając nad sposobem wyjścia z tej sytuacji, szła akurat centralną ulicą miasta:

Nagle wzrok mój padł na szyld „Piekarnia” i zatrzymałam się – wspomina. – Postanowiłam kupić pełną torbę wyborskich precli. [...] Teraz torba była pełna, mimo to waga wciąż nie odpowiadała zawartości.

Olę Borisownę stać było jeszcze na dużą porcelanową lalkę. I tak zaopatrzona – w lokalne *spécialité* oraz zabawkę – wsiadła do pociągu do Petersburga. Na granicy otworzyła neseser i zaproponowała celnikowi precelka. Służbista ujęty tą uprzejmością przejrzał tylko zawartość torby i nie unosząc jej, uznał za sprawdzoną. I tak oto do carskiej Rosji wjechał przyciśnięty lalką i zwałami wyborskich wypieków kolejny numer „Iskry”.

PIES NA JAJOGŁOWYCH

W autobiografii Lepieszynska zdawkowo opisuje wydarzenia z początku stulecia. Wiadomo jednak, że w październiku 1903 roku podczas zjazdu rosyjskich socjaldemokratów w Londynie Lenin porzucił redakcję „Iskry” i zrezygnował z prac w prezydium partii. Żał mu było jednak stanowisk w komisjach prezydialnych partii i zaangażował się w budowę lewego skrzydła ugrupowania, zwanego bolszewickim. W opozycji do nich powstała frakcja mienszewicka, którą powołał Georgij Walentynowicz Plechanow, odwieczny adwersarz Włodzimierza Iljicza. Wódz rewolucji, aby odróżnić się od oponenta podpisującego się Wołgin, przyjął pseudonim Lenin i dzięki geograficznym odniesieniom – rzeka Lena płynie odwrotnie do Wołgi

– jeszcze dobitniej zaakcentował istniejące między nimi różnice.

Niepokoje i zamieszki w carskiej Rosji, zwieńczone rewolucją 1905 roku, sprawiły, że jesienią zarówno Lenin, jak i Lepieszynscy zjechali do Petersburga. Car poszedł jednak na ustępstwa i dotychczasowa Rosja przetrwała. Mimo to do końca 1907 roku Lenin namawiał bolszewików do aktów terrorystycznych. Amerykańska historyk Anna Geifman przywołuje tajny dokument, w którym Włodzimierz Iljicz nakazywał tworzenie „oddziałów rewolucyjnej armii [...], zaczynając od dwóch, trzech ludzi, którzy mają zbroić się w co mogą: strzelby, rewolwery, bomby, noże, kastety, pałki, szmaty z naftą do podpaleń”. Miał to być dopiero początek czerwonego terroru.

W 1906 roku na polecenie Lenina Pantalejmon Nikołajewicz udał się do Jekaterynosławia [od 1926 roku Dniepropietrowsk – przyp. aut.], a później Petersburga. Olga Borisowna wyjechała zaś do Orszy, gdzie przez cztery lata budowała siatkę konspiracyjną i prowadziła punkt medyczno-akuszerski. Po 1910 roku przeniosła się do Moskwy i podjęła studia medyczne, które ukończyła w 1915. Jedna z wersji głosi, że przyznano jej złoty medal dla najlepszego absolwenta. Władimir Jakowlewicz Aleksandrow, radziecki cytolog i historyk medycyny, w książce *Trudne lata sowieckiej biologii. Notatki uczestnika* ironizuje i stwierdza, że „jej późniejsze dokonania słabo są powiązane z tym faktem”. Niemniej tuż po obronie Olga Borisowna otrzymała stanowisko asystenta na uniwersytecie. Ze względu na działalność rewolucyjną szybko została z niego zdjęta i wyjechała na Krym, gdzie pracowała jako lekarz. Po rewolucji październikowej zintensyfikowała działalność społeczną i założyła przytułek dla bezprizornych, czyli dzieci ulicy. Zjawisko bezdomności wśród najmłodszych dwukrotnie wstrząsnęło Krajem Rad – po raz pierwszy po 1917 roku, gdy wielu dorosłych zginęło w wojnie domowej, oraz tuż po wojnie ojczyźnianej, podczas której życie straciło 20 milionów obywateli ZSRR. Lepieszynska wykazała się wielkim zaangażowaniem w czasie pierwszej fali bezprizornych i – niezależnie od późniejszych wyczynów w świecie nauki – praca z dziećmi jest niewątpliwie świetlistą kartą w jej biografii.

W 1919 roku, czyli u progu swego pięćdziesięciolecia, Olga Borisowna rozpoczęła wykłady na uniwersytecie w Taszkencie. Uznaje się to za jej oficjalny akces do świata radzieckiej nauki. Od tego momentu całym sercem zaangażowała się w prace badawcze. Po roku spędzonym w stolicy Uzbekistanu przeniosła się do Moskwy, gdzie otrzymała stanowisko asystenta na wydziale biologicznym uniwersytetu. W 1925 roku po raz pierwszy wystąpiła przed naukowym audytorium i podczas Drugiego Ogólnozwiązkowego Spotkania Zoologów, Anatomów i Cytologów wygłosiła referat *Rozwój kości z dialektycznego punktu widzenia*. Prezentację przyjęto krytycznie. Prelegentka zdawała się czerpać z doświadczeń nabytych podczas kolportażu „Iskry” i przemyślała do nauki pojęcia rodem z marksistowskich wieców. Jednak nie „dialektyka” w badaniach układu kostnego wywołała największy sprzeciw

słuchaczy, tylko niezwykle niska jakość materiałów poglądowych, które zaprezentowała. Szacowni profesorowie widzieli w niej dziwaka, który na plecach prominentnych towarzyszy na chwilę dostał się do świata nauki. Kolejną naukową odsłoną Lepieszynskiej była jej publikacja *Wojujący witalizm*. Już sam tytuł wskazuje na treści, które promowała autorka. Słowo „wojujący” ma się nijak do ogólnie przyjętej metodologii nauk biomedycznych i wprost odnosi się do walki klas. Ponadto w tej broszurce, będącej polemiką z książką Aleksandra Gawriłowicza Gurwicza *Wykłady z cytologii ogólnej*, zarysował się właściwy dla Lepieszynskiej schemat działania – znaleźć wysoko postawioną ofiarę, rozgromić ją i na jej plecach wspiąć się wyżej.

Śmierć Lenina (w 1924 roku) i przetasowania w partii sprawiły, że na jakiś czas Lepieszynska straciła poparcie wierchuszki i zajęła się rozbudową laboratorium. W Biologicznym Instytucie imienia Timiriaziewa prowadziła badania w dwóch kierunkach – zgłębiała tak zwaną substancję żywą i badała znaczenie krwinek czerwonych w procesie starzenia się organizmów. Inspiracją pierwszego tematu stały się obserwacje żółtka kurzego pod mikroskopem. Oldze Borisownie wydało się, że na pewnym etapie rozwoju substancja ta jest zbudowana z bezkształtnej masy. Na tej podstawie wysnuła wniosek, że może istnieć mityczna materia, z której tworzą się struktury komórkowe. Taka konstatacja, poczyniona w jednostce, której patronował odkrywca funkcji chlorofilu, była bluźnierstwem. Lepieszynska brnęła jednak dalej i znalazła godnego przeciwnika. Był nim działający w XIX wieku autorytet naukowy, Niemiec Rudolf Virchow. Urodzony w Świdwinie badacz na podstawie wieloletnich obserwacji ukuł tezę *omnis cellula e cellula* (każda komórka z komórki), zgodnie z którą rozwój najmniejszej jednostki organizmów żywych następuje poprzez podział. Stwierdzenie to nie mieściło się w głowie bolszewiczki Olgi Borisowny. Zgodnie z jej światopoglądem ukształtowanym przez Marksa i Engelsa rozwój ma charakter dialektyczny, czyli jedna rzecz przechodzi w drugą. Biolożka postanowiła więc wyszukać jak najwięcej faktów potwierdzających koncepcję, według której komórka powstaje z substancji niemającej struktury celularnej, czyli pozbawionej jądra czy błony komórkowej (nie znano wówczas rozróżnienia na komórki bezjądrowe). Spektrum przygotowanych dowodów mogło świadczyć o kulinarnym guście ich odkrywczyni, oprócz kurzego żółtka zaliczał się bowiem do nich także kawior. Ikra siewrugi, czyli komórka jajowa jesirotrowatych, miała – zdaniem Lepieszynskiej – nie posiadać struktury komórkowej. Niestety, także i w tym przypadku Lepieszynska wydała osąd na podstawie niepełnego oglądu. Wykonała dwadzieścia preparatów z jednego ziarenka kawioru, każdy z nich obejrzała pod dużym powiększeniem i nie znalazła śladów jądra. Uznała więc, że oto w okularze mikroskopu objawiała się jej substancja żywa, z której dopiero powstaną komórki. Na szczęście znaleźli się tacy, którzy nie dość, że nie zawierzyli badaczce, to jeszcze mieli odwagę zweryfikować jej

doświadczenia. Zrobili więc (między innymi doktor Fadijewa) z jednego jajeczka siewrugi nie dwadzieścia, ale dwieście preparatów (bo na tyle dało się pociąć ziarenko kawioru) i każdy z nich przejrano pod mikroskopem. Z dwóch setek płytek dwie zawierały obraz jądra komórkowego.

Zapewne te i inne świadectwa docierały do Olgi Borisowny, ona jednak przez ponad dekadę – wzorem swego przyjaciela Lenina, który dwanaście lat szykował rewolucję – sposobila się do ostatecznej rozgrywki. Pod koniec drugiej wojny światowej pozyskała ważnego poplecznika – jeszcze większego niż ona mitomana naukowego, Trofima Denisowicza Łysenkę, i na początku 1946 roku była gotowa siać czerwony terror wśród virchowiańców, czyli badaczy kwestionujących substancję żywą. Nic by się jednak nie stało, gdyby nie Stalin, który właśnie szukał sposobu na ugruntowanie swojej władzy. Łysenko szepnął mu słówko o Lepieszynskiej i Krwawy Gruzin wiedział już, kim poszczuć jajogłowych.

KORONACJA OLGII B.

„Dziedziczone cechy nie są transferowane w chromosomach”, przekonuje Lepieszynska w książce *Tworzenie się komórek z substancji żywej oraz rola substancji żywej w organizmie*. Jej zdaniem „przekazywanie właściwości organizmu ma bardziej złożony charakter i zależy od fizyko-chemicznej i biologicznej struktury wszystkich komórek jako całości oraz od środowiska i warunków socjalnych”. Konstatacja ta była całkowicie sprzeczna ze stanem ówczesnej wiedzy i recenzent z Akademii Nauk, który otrzymał manuskrypt zawierający takie stwierdzenia, sprzeciwił się jego publikacji. Biolożka, przeczuwając kłopoty, napisała do Stalina list, w którym prosiła o możliwość zadedykowania mu swego dzieła. Wódz za pośrednictwem Wiaczesława Michajłowicza Mołotowa nie przyjął tego zaszczytu. Najprawdopodobniej tuż po tej odmowie Lepieszynska skierowała do towarzysza Koby kolejne pismo, w którym nie wspominała już o książce.

Drogi Iosifie Wissarionowiczu – familiarnie rozpoczęła litanie żalów – w ciągu wielu lat starałam się własnymi siłami pokonać przeszkody, które stawiali przede mną nie tylko reakcyjniści reprezentujący idealistyczne czy mechanistyczne pozycje w nauce, lecz także towarzysze idący u nich na pasku.

Następnie powołała się na wspieranego przez Stalina Łysenkę, który miał bardzo dobre mniemanie o jej pracach. Nawet wódz wielkiego ZSRR nie mógł dwa razy z rzędu odtrącać starego oddanego komunisty, nie posławszy go wcześniej do piachu, i Iosif Wissarionowicz – chcąc nie chcąc – zainteresował się sprawą Lepieszynskiej. Dowiedziawszy się, że druk jej książki wstrzymano, interweniował i w 1945 roku ukazała się bełkotliwa publikacja głosząca prymat substancji żywej. Autorka, dla której nauka była kolejną z wojennych aren, postanowiła iść za ciosem i sprawiła, że

książkę zgłoszono do kapituły Stalinowskiej Nagrody. Radzieccy biolodzy i historycy medycyny Jelena Borisowna Muzyrkowa i Abba Jewsiejewicz Gajsinowicz poświadczają, że Lepieszynska była święcie przekonana, iż otrzyma tę premię, i nawet kupiła liczne frykasy na przyjęcie, które planowała wydać z tej okazji. Niestety, nie było jej dane zjeść kilograma czarnego kawioru, który nabyła, Stalin nie wytypował jej bowiem do wyróżnienia.

Porażki wpisywały się w biografie Lepieszynskiej i kobieta kolejny raz zamknęła się w swym laboratorium w oczekiwaniu na bardziej sprzyjające okoliczności. Te miały nadejść niebawem, gdyż na horyzoncie majaczyły już zmiany mające wstrząsnąć radziecką nauką. Zanim jednak odbyła się złowieszcza konferencja Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych imienia Lenina (rosyjski akronim WASChNiL), stanowiąca zapalnik tych procesów, ukazało się kilka artykułów krytykujących substancję żywą. Bodaj najsurowszym, a zarazem mającym największą rangę ze względu na naukową pozycję autorów, był tak zwany list trzynastu biologów. Podpisali się pod nim leningradzcy naukowcy, w których gronie znaleźli się światowej sławy cytolog, tacy jak Dmitrij Nikołajewicz Nasonow, Władimir Jakowlewicz Chłopin oraz cytowany już Władimir Jakowlewicz Aleksandrow. Badacze ci stanowczo sprzeciwili się propagowaniu poglądów Lepieszynskiej, które ich zdaniem cofały radziecką naukę o ponad sto lat. Krytyka bez wątpienia trafiła do adresatki. Starowinka знаła jednak plany Łysenki oraz samego Stalina co do radzieckich biologów i sporządzała już listę virchowianców, którzy mieli się przed nią ukorzyć.

W lipcu 1948 roku w czasopiśmie „Medyczny Robotnik” ukazał się odważny tekst trzynastu biologów, a miesiąc później odbyła się sesja WASChNiL-u. Jej główny inicjator, Trofim Łysenko, wysyłał na mównicę oddanych mu badaczy niczym wynajętych aktorów i ci wygłaszali tezy o możliwościach przemiany jednej rośliny w drugą oraz jak jeden mąż kończyli wystąpienia oddaniem czci Stalinowi. Referował także główny reżyser widowiska i kwestionował zasadę dziedziczenia w naukach biologicznych. Gdy wybrzmiały komiczne i absurdalne tezy, stało się jasne, jaki był prawdziwy cel tej sesji – wytyczyć linię podziału między lojalnymi a niewygodnymi, następnie wykluczonych zmusić do publicznej krytyki, a niepokornych usunąć. I tak oto zegar dziejów wybił godzinę Lepieszynskiej. Biolożka swe panowanie rozpoczęła od zorganizowania w dniach 22–24 maja 1950 roku posiedzenia poświęconego substancji żywej. Podczas imprezy wybrzmiały referaty gloryfikujące Olgę Borisownę, a następnie wymieniono badaczy sprzeciwiających się jej koncepcji. Po zakończeniu posiedzenia rozpoczęło się polowanie na czarownice. Na pierwszy ogień poszli sygnatariusze listu trzynastu biologów. Najbardziej wpływowego i utytułowanego spośród nich, Nasonowa, poddano różnym szykanom. Jakow Raport przywołuje zdarzenie, którego był naocznym świadkiem. „Ten arystokrata nauki –

wspomina – siedział w hallu akademii za stolikiem, na którym stał telefon [...] i czytając powieść, od czasu do czasu dzwonił do CK partii”. Za każdym razem zgłaszał się urzędnik i informował Nasonowa, że towarzysz Jurij Andriejewicz Żdanow, kierownik departamentu nauki, a prywatnie zięć Stalina, nie może podejść i prosi o telefon ponownie za kwadrans. Nigdy wcześniej Nasonowi nie zdarzyło się, żeby musiał usiąść na widoku i wydzwaniać do jakiegoś urzędnika. Tego typu wypadki budowały atmosferę strachu i wielu osobom puszczały nerwy. Jeden z krytyków Lepieszynskiej postanowił wyznać swe winy i prosić badaczkę o przebaczenie. Raport tak opisuje to zajście:

Profesor K. [historyk medycyny nie podaje pełnego nazwiska – przyp. aut.] wszedł do gabinetu, kilka chwil postać przy drzwiach, a następnie rzucił się jej na szyję. Olga Borisowna z nieukrywaną przyjemnością przyjęła jego objęcia i po krótkiej rozmowie pozwoliła odejść z ewangelicznym pożegnaniem „Idź i nie grzesz więcej”.

Lepieszynska dozowała swe reprimendy. Za błahymi z pozoru karami następowały poważniejsze. Naukowcom, którzy wciąż nie zgadzali się z jej odkryciami, zmniejszono finansowanie, a później zamknięto prowadzone przez nich jednostki i tak oto, wbrew oficjalnej tezie, że w ZSRR nie ma bezrobocia, oponenti Olgi Borisowny wylądowali na bruku. Represje dotknęły także samego Raporta, który mienił się bliskim znajomym Lepieszynskiej. Znamienne, że kobieta nie reagowała na jego ironiczne zaczepki. „Olgo Borisowno – zwrócił się kiedyś do biologki – jesteście teraz najlepszą partią w Moskwie. Wychodźcie za mnie za mąż, a dzieci będziemy robić z substancji żywej”. I dopiero otwarta krytyka sprawiła, że Raporta pozbawiono stanowisk naukowych i administracyjnych. Niebawem też trafił do więzienia jako jeden z głównych podejrzanych w tak zwanej sprawie lekarzy. Czy przysłużyła się do tego odkrywczyni żywej materii – trudno ocenić.

KĄPIELE W SODZIE

Lepieszynska twierdziła, że za granicą doceniają ją bardziej niż w ZSRR, i powołała się na uznanego amerykańskiego zoologa Charlesa Manninga Childa, który miał nazwać jej prace rewolucyjnymi. W rzeczywistości badacz ustosunkował się do idei Olgi Borisowny następująco: „Pani rezultaty są na tyle rewolucyjne w świecie istniejących koncepcji, że obawiam się, iż biolodzy ich nie przyjmą”. Pochwały płynęły za to z bratnich narodów, także z Polski. „Kurier Koszaliński” 27 października 1950 roku odnotował: „Lepieszynska interesuje się wszystkim, także sportem. Wielką sensacją Moskwy w swoim czasie był jej udział w zawodach pływackich, z których wyszła zwycięsko”. „Dziennik Łódzki” (20 września 1950 roku) w tekście *Pozakomórkowe formy życia* zestawiał zaś Virchowiańskie „dogmatyczne twierdzenia, które na dłuższy okres zahamowały zbadanie szeregu

ważnych wydarzeń” z „otwierającymi nowe perspektywy” dokonaniaми Olgi Borisowny. W kraju nad Wisłą znaleźli się również krytycy mitycznej materii. Jednym z nich był fizyk i współpracownik Alberta Einsteina, Leopold Infeld. Badacz w 1950 roku wrócił z USA do Warszawy. Tu usłyszał od przewodniczącego Polskiej Akademii Nauk, biologa Jana Dembowskiego, że krajowa nauka ma podążać śladami Łysenki i Lepieszynskiej. Ripostował wówczas, że posiadamy własnych luminarzy, takich jak Maria Skłodowska-Curie czy Marian Smoluchowski, i ich, a nie pseudouczonych, należy stawiać za wzór.

Zarzewia buntu szybko jednak tłumiono i kto wie, czego jeszcze dokonałaby Lepieszynska, gdyby nie śmierć Stalina. Po 5 marca 1953 roku radzieckim badaczom spadły klapki z oczu i do kolejnej sesji o żywej materii wdarło się świeże powietrze. Na sali konferencyjnej wśród wyznawców Olgi Borisowny nagle znaleźli się też naukowcy, którzy z zimną krwią wypunktowywali jej metodologiczne i warsztatowe błędy. Samooczyszczenie środowiska następowało stopniowo i katalizatorem tego procesu było zaplanowane na kwiecień 1954 roku posiedzenie leningradzkich histologów i embriologów. Podczas tego spotkania nie tylko podważano zasadność koncepcji substancji żywej, lecz także wykpiwano badaczy, którzy wsparli Lepieszynską. Wykrzykiwano do Piotra Wasilewicza Makarowa, twórcy podręcznika uwzględniającego koncepcje Olgi Borisowny, „Gdzie wsadzić waszą książkę?!”. Po spotkaniu autor publikacji podszedł do wypuszczonego z więzienia Jakowa Raporta i wyznał: „Oj, przelepieczyłem w swojej książce, przelepieczyłem”.

Olga Borisowna w wieku osiemdziesięciu czterech lat nie załamała się pod ciężarem druzgocącej krytyki i ukuła nową teorię. Na łamach czasopism naukowych „Leninowski Wodnik” (periodyk poświęcony leczniczym właściwościom wód) i „Kliniczna Medycyna” przekonywały, że węglan sodu stanowi antidotum na starzenie się czerwonych krwinek. Nie wahała się pójść krok dalej i objawiła, że zwykła kuchenna soda wsypana do kąpeli jest panaceum na starość. Zabrakło Stalina, protektora Lepieszynskiej, i świat nauki jeszcze w 1954 roku rozprawił się z jej kolejną kłamliwą koncepcją. Niestety, ziarno zostało zasiane i twierdzenie, że kąpiel w wannie z kilogramem węglanu sodu leczy, przeżyło swoją zmarłą w 1963 roku autorkę i nawet dziś można się z nim spotkać.

WYBRANA LITERATURA

1. Aleksandrow W.J., *Trudnyje gody sowieckoj biologii: zapiski sowriemiennikow*, Moskwa 1993.
2. Czudinow W.A., *Socialnaja storona otliczija uczonego ot lżeuczonego*, „Modern Research of Social Problems” 2015, 47, 3, s. 273–293.
3. Gajsinowicz A.E., Muzurkowa J.B., *Uczenije O.B. Lepieszynskiej o „żywym wieszczestwie”*, <http://www.ihst.ru/projects/sohist/books/os/71-90.htm> [dostęp: 26.01.2016].
4. Gratzner W.B., *The undergrowth of science: delusion, self-deception and human frailty*, Oxford 2000.
5. Lepieszynska O.B., *Moj puć w rewolucju. Wspominanija staroj bolszewiczki*, Perm 1963.

6. Lepieszynska O.B., *Starość i borba z nieju*, „Nauka i Żyzń”, 1951, 7, s. 11–17.
7. Raport J., *Na rubieżu dwuch epoch. Dieło wraczej 1953 g.*, „Zamietki Jewriejskoj Istorii”, <http://berkovich-zametki.com/2005/Starina/Nomer8/Rapoport1.htm> [dostęp: 26.01.2016].
8. Raport J., *Niedołgaja żyzn „żywowowieszczestwa”* [w:] *Sowriemienneje mysli ili proroki w swoim otczestwie*, Lenigrad 1989, s. 129–145.
9. Żynkin L.N., Michajłowicz W.P., „*Nowaja kletocznaja tieorija*” i jej fakticzeskoje obosnowanije, „Uspiechy Sowriemiennoj Biollogii”, 1955, 39, 2, s. 228–244.

GWIAZDA BRATERSKA

DZIEWIĘĆ BLIZN NA SERCU

Siergiej Iwanowicz Wawiłow od najmłodszych lat sprawiał wrażenie, jakby nigdy i nigdzie się nie śpieszył. Z czasem przybywało mu obowiązków, u progu szóstej dekady niczym Atlas dźwigał już na barkach odpowiedzialność za dużą część radzieckiej nauki, mimo to wydawało się, że ma mnóstwo czasu wolnego. W opozycji do tej właściwości stały jego legendarna wręcz punktualność i umiejętność planowania. Dzięki nim w grafiku udawało mu się zmieścić zarówno spotkania z partyjną wierchuszką, zarządzanie dwoma instytutami badawczymi oraz potężną Akademią Nauk, która zatrudniała kilkadziesiąt tysięcy pracowników w całym ZSRR, jak i własne eksperymenty. I każdego dnia mierzył się z tymi wyzwaniami z właściwą sobie lekkością.

Nie inaczej było też 24 stycznia 1951 roku, kiedy to punkt dziewiąta Wawiłow zasiadł w fotelu dyrektora moskiewskiego Instytutu Fizyki imienia Lebidiewa. Do załatwienia miał wiele spraw. Trwały właśnie przenosiny do nowego budynku i techniczni z najdrobniejszymi rzeczami od razu biegli do Siergieja Iwanowicza. Ten zaś bez śladu zniecierpliwienia udzielał odpowiedzi na wszystkie pytania. Ponadto zgodnie z wieloletnim zwyczajem codziennie spotykał się z pracownikami naukowymi. Na początku lat pięćdziesiątych w instytucie prowadzono pionierskie w skali całego świata badania, a rozmowy z personelem przeradzały się w swoiste biesiady rozentuzjasmowanych odkrywców. Oprócz dyrektora królowali na nich późniejsi nobliści Pawieł Czerenkow, Igor Tamm, Ilja Frank oraz Andriej Sacharow. „Na początku – pisał Tamm we wspomnieniach – wydało mi się dziwne, dlaczego tak wybitni naukowcy swój drogocenny czas marnują na rozmowy, podczas których rozsądzają, co udało się wykonać lub zaobserwować koledze”. Szybko docenił jednak wartość inicjowanych przez Siergieja Iwanowicza spotkań. „Wówczas pojawiały się nowe idee, które dopiero po latach były rozwijane w publikacjach” – wyznał.

Po dwunastej Wawiłow opuścił instytut i wszedł do służbowego samochodu. Szofer wiózł go wąskimi uliczkami starej Moskwy, by niebawem skrócić w szeroki Leninskij prospekt. Auto pomknęło obok oddawanej właśnie do użytku siedziby Instytutu Fizyki i wkrótce wjechało przez dużą kutą bramę w alejkę otoczoną szpalerami ośnieżonych drzew. Na jej końcu białął Pałac Aleksandryjski, w którym w latach 1935–1991 znajdowała się siedziba radzieckiej Akademii Nauk. Siergiej Iwanowicz

wysiadł na podjeździe, minął na schodach dwa olbrzymie kamienne psy – ich dumne i obojętne spojrzenia pamiętał każdy, kto choć raz tu gościł – i udał się ku drzwiom wejściowym. Przywitany przez portiera i obsługę budynku ruszył do swojego gabinetu. Dokładnie o trzynastej sekretarka oznajmiła zgromadzonym w poczekalni, że „towarzysz prezydent przyjmuje” i Wawilow jak co dzień do późnego wieczora spotykał się z petentami. Był to czas Stalinowskiego terroru i wielu z nich przybyło w nadziei na odegnanie gromadzących się nad nimi czarnych chmur. Inni – przeciwnie, aż przebierali nogami, żeby donieść na kolegów, w ich mniemaniu niewystarczająco wychwalających wodza ZSRR i jego popleczników. Wśród oczekujących zdarzali się też tacy, którzy przyszli prosić o wstawiennictwo za swoimi bliskimi, pełniącymi niegdyś ważne funkcje w radzieckiej nauce, a dziś osadzonymi w więzieniach bądź zesłanymi do łagrów. Wawilow miał bolesną świadomość tego, że nie zdoła wpłynąć na decyzję Krwawego Gruzina, i zamiast dawać złudną nadzieję, od razu sięgał do szuflady. Miał tam rozłożoną w kopertach swoją prezydencką pensję; z dobrotliwym uśmiechem wciskał nieszczęśnikom pieniądze.

O dziewiątej wieczorem, gdy poczekalnię opuścił ostatni z petentów, Siergiej Iwanowicz pożegnał się z sekretarką i na odchodne rzucił „Jutro, jak zawsze, będę o trzynastej”. W drodze do domu dopadły go duszności i ostry ból w okolicy łopatki. Już na miejscu starał się ukryć niedyspozycję przed żoną, Olgą Michajłowną. Zaszył się więc w fotelu i nastawił głośno radio. Następnie położył się do łóżka. Ból w klatce piersiowej był jednak zbyt dotkliwy i męczyzna nie mógł zasnąć. Wówczas żona wezwała lekarzy. Na pomoc prezydentowi Akademii Nauk ruszyło trzech kremlofskich profesorów medycyny, Władimir Winogradow, Miron Wowski i Piotr Jegorow. Po drodze zabłądzili i do mieszkania Wawilowów dotarli dopiero po północy. Na miejscu podali choremu niezbędne leki, mimo to jego stan się nie poprawił. Sam Siergiej Iwanowicz, przeczuwając nadchodzący koniec, poprosił do siebie żonę. Kobieta schowała się w drugim pokoju i zapłakana oświadczyła, że nie zamierza podejść. Podejrzewała bowiem, że ukochany pragnie się z nią pożegnać, a nie chciała nawet dopuścić myśli, że jego czas się już wypełnił. Na nic się jednak zdały zaklinania rzeczywistości. Niebawem Wawilow stracił przytomność, a o godzinie czwartej czterdzieści pięć zmarł. Jego ciało zabrano do szpitala, gdzie wykonano sekcję. Lekarz, który wyjął serce akademika, odkrył na nim dziewięć blizn – świeżych po nocnej zapaści i starsze, świadczące o ośmiu zawałach przebytych w przeszłości.

KORYFEUSZ NAUKI

Słynny radziecki projektant statków i matematyk, Aleksiej Nikołajewicz Kryłow, w latach trzydziestych XX wieku celnie skwitował talenty administracyjne

Wawilowa. „To niesamowity człowiek – rzekł o nim – gdy organizował instytut, nie bał się zaprosić fizyków silniejszych od siebie”. Ta konstatacja doskonale oddaje także późniejsze działania Siergieja Iwanowicza. Stawiał na najzdolniejszych i dzięki temu podległe mu jednostki zachowały w okresie Stalinowskich czystek badawcze *status quo* wobec prosperity z początków lat trzydziestych. Skalę dokonań Wawilowa widać tym wyraźniej, gdy zestawia się aktywność kierowanej przez niego Akademii Nauk z „postępami” czołowych radzieckich uczelni. Po drugiej wojnie światowej uniwersytety w Moskwie czy Leningradzie trzeszczały w szwach pod naporem rozpychających się pseudonaukowców. Zawodowi klakierzy byli gotowi wygłaszać najbardziej absurdalne teorie, byleby tylko doczekać się pochwał ze strony Kremla. Zwłaszcza zaś takie dyscypliny, jak biologia czy nauki o języku, stały się poletkami uprawianymi przez uczelnianych oszołomów. Stalinizacja Akademii Nauk postępowała znacznie wolniej i w murach jej instytutów wciąż prowadzono ważne i przełomowe badania. Wiele z nich inicjował sam Wawilow. To między innymi dzięki niemu w ZSRR rozpoczęto obserwacje stratosfery oraz zintensyfikowano doświadczenia z zakresu fizyki kwantowej. Najlepszym przykładem talentów administracyjnych Siergieja Iwanowicza były jednak sukcesy kierowanego przez niego Instytutu Fizyki imienia Lebediewa. To tu dokonywano odkryć na miarę Nobla. Jeszcze przed drugą wojną światową doktorant Paweł Czerenkow zaobserwował nietypowe błękitne promieniowanie, ale nie umiał go zidentyfikować i po radę zwrócił się do szefa. Ten, będąc specjalistą z zakresu luminescencji, orzekł, że zjawisko to nie zostało dotąd opisane. Następnie zmotywował młodego badacza do dalszej pracy i niebawem cały świat dowiedział się o istnieniu tak zwanego zjawiska Czerenkowa; *notabene* współcześni rosyjscy naukowcy określają je mianem zjawiska Czerenkowa–Wawilowa i tym samym pragną zwrócić uwagę na rolę drugiego badacza w pracach nad analizowaniem tego fenomenu. Tuż przed wybuchem wojny kolejni pracownicy instytutu, Tamm i Frank, wyjaśnili, skąd bierze się niedawno zaobserwowane promieniowanie, i w 1958 roku przyznano im – oraz Czerenkowi – Nagrodę Nobla z fizyki. Uhonorowani naukowcy podczas sztokholmskiej uroczystości zgodnie potwierdzili, że wówczas nieżyjący już od siedmiu lat Siergiej Iwanowicz nie mniej niż oni zasłużył na nagrodę. Unikalna atmosfera zagwarantowana przez Wawilowa sprawiła, że niebawem w murach tej kuźni talentów dokonano następnych przełomowych odkryć i dziś w jej głównym hallu w otoczeniu fikusów i dracen wiszą portrety aż siedmiu laureatów Nagrody Nobla. Są to trzej kolejni wychowankowie Wawilowa – Nikołaj Basow, Aleksandr Prochorow i Witalij Ginzburg – oraz laureat Pokojowej Nagrody Nobla – Andriej Sacharow, który również był podwładnym Siergieja Iwanowicza.

W radzieckiej Akademii Nauk nie wszystko toczyło się po myśli Wawilowa i podczas jego prezydentury dziedzina wiedzy związana z rolnictwem w całości stała

się strefą wpływów Trofima Łysenki. Utrata kontroli nad agronomią była dla Siergieja Iwanowicza szczególnie bolesna. Niemniej nie miał on w zwyczaju rozpamiętywać porażek i skupił się na wspieraniu kolejnych zagrożonych dyscyplin. Prawdziwe bitwy rozegrały się o biologię i fizykę. Po jednej stronie stali naukowcy z Wawilowem na czele, po drugiej – kremłowscy spadochroniarze, pochlebcy i zwyczajne naukowe miernoty, które na czyichś plecach chciały dochrapać się stanowisk i tytułów. W przypadku biologii stalinowskim badaczom przewodziła siedemdziesięcioletnia „odkrywczyni” nieistniejącej materii pierwszej Olga Borisowna Lepieszynska. Wbrew metryce potrafiła walczyć jak młodzian i przyczyniła się do uwięzienia, a nawet śmierci wielu znanych naukowców, którzy nie chcieli przyjąć jej pseudoteorii. W latach pięćdziesiątych o losie radzieckiej biologii przesądziły jednak czynniki wyższe. Po odejściu Wawilowa osiemdziesięcioletnia Lepieszynska odtrąbiła sukces, bowiem w 1951 roku nie było już nikogo, kto wprost mógłby się jej przeciwstawić. Na szczęście królowanie tej gwiazdy substancji żywej nie trwało długo i w 1953 roku, tuż po śmierci Stalina, lawina krytyki strąciła ją w naukowy niebyt. Batalia o fizykę, którą od połowy lat trzydziestych toczył Wawilow, miała nieco inny przebieg. W tym wypadku oprócz Siergieja Iwanowicza i jego stronników oraz pseudonaukowców, którzy chcieli uczynić z tej gałęzi wiedzy kolejne poletko dla marksistowskiej dialektyki, na horyzoncie zarysowała się trzecia siła. Tworzyli ją ludzie powiązani z sowieckimi decydentami. Ci zaś, pragmatyczni do szpiku kości, w obliczu groźby utraty władzy sięgali po sprawdzone burżuazyjne metody. I tak jak w pierwszych latach swoich rządów reaktywowali pod nazwą NEP[1] kapitalizm, tak podczas drugiej wojny światowej, aby zmotywować Rosjan do walki, wpisali na sztandary piętnowane dotychczas hasła narodowe. Równolegle, w przypadku strategicznych dyscyplin, a taką była fizyka, postawili na nieskrępowane badania i zwielokrotnili środki na naukę. Stalinowi i jego ludziom zależało bowiem na konkretnych efektach – nowych bombach, silnikach rakietowych czy też urządzeniach radiolokacyjnych – wiedzieli jednak, że bez wsparcia teoretyków fizycy eksperymentatorzy wiele nie zdołają. I nieoczekiwanie Wawilow jako szef Instytutu Lebediewa dostał zielone światło i mógł przyjąć do pracy ludzi, których dotychczas sekowano z powodu poglądów politycznych bądź „złego urodzenia”.

Gdy już było wiadomo, że Hitler przegrał wojnę, Stalin mógł głęboko odetchnąć. Ów powiew dla wielu miał grobową woń i taki też stał się dla Siergieja Wawilowa. Niemniej fizyk nie rozprawiał o kamieniu ciężącym mu na sercu i podjął się pracy na rzecz radzieckiej nauki. Oprócz toczenia batalii o konkretne dyscypliny pojawiał się na forum publicznym i wygłaszał pochwały zwycięskiego wodza oraz swojego zażartego wroga, Łysenki. „Jako prezydent Akademii – pisze Sacharow we *Wspomnieniach* – musiał często występować z oficjalnymi przemowami. W jednej

z nich nazwał Stalina »koryfeuszem nauki« i ten epitet stał się niemal częścią oficjalnej tytulatury (najwyraźniej przypadł wodzowi do gustu)”. Sprawozdanie noblisty odzwierciedla ówczesną konwencję, zgodnie z którą w ZSRR nie tylko wielkie kongresy naukowe, lecz także spotkania mleczarzy czy amatorów modelarstwa rozpoczynały się od wiernopoddańczych deklaracji adresowanych do Iosifa Wissarionowicza. Nic więc dziwnego, że i Siergiej Iwanowicz, piastujący w latach 1945–1951 jedno z ważniejszych stanowisk w ZSRR, wygłaszał peany na cześć Stalina. Historia przytoczonego sformułowania była jednak inna, niż sądzi Sacharow. Jako pierwszy despotycznego Gruzina koryfeuszem nauki nazwał Aleksandr Siergiejewicz Szczerbakow, radziecki pisarz i działacz polityczny, który w publikacji *WKP(b) – niedostępna twierdza* użył między innymi tego wyrażenia. Rzeczywiście Wawiłow powtarzał je później wielokrotnie i sam dorzucił kilka autorskich określeń. Od najmłodszych lat wrażliwy na walor literacki ojczystego języka ukuł takie frazy, jak „naukowy geniusz Stalina” oraz „nauka Stalinowskiej epoki”.

Ostatnia faza stalinizmu charakteryzowała się bodaj największym rozdźwiękiem między informacjami wyrażanymi wprost a tymi przekazywanymi za pomocą aluzji i niedomówień. Rzecz jasna, nadawcą treści alegorycznych był Stalin, pozostali w mniejszym lub większym stopniu zajmowali się zgadywaniem, co wódz miał na myśli. W przypadku Wawiłowa – zgodnie z oficjalną wersją – jego nominacja na prezydenta Akademii była podyktowana dobrem sowieckiej nauki. I na tym polu jego dokonania są bezapelacyjne. Uznany brytyjski fizyk i historyk nauki John Desmond Bernal stwierdził w artykule opublikowanym w „Nature”, że „obok Łomonosowa, także Wawiłowa będą uznawać za jednego z wielkich organizatorów radzieckiej nauki”. Wiele jednak wskazywało na to, że Siergiej Iwanowicz był dla Stalina tylko jedną z figur na szachownicy. Gra zaś toczyła się o sowiecką bombę atomową i w latach czterdziestych Wawiłow wielokrotnie odbywał spotkania z generalissimusem w tej właśnie sprawie. „Za każdym razem, gdy wzywają mnie na Kreml – miał wyznać Frankowi – nie wiem, czy wrócę stamtąd do domu, czy odwożą mnie na Łubiankę”. Niemniej musiały też istnieć inne powody, dla których władca ZSRR powołał go na tak eksponowane stanowisko. Jakże? Bez wątplenia chodziło o brata naukowca – Nikołaja.

TWOJĄ ŻONĘ I SYNA...

Dwudziestego szóstego stycznia 1943 roku w saratowskim więzieniu z głodu i wycieńczenia zmarł jeden z największych naukowców i wizjonerów XX wieku Nikołaj Iwanowicz Wawiłow. Jego zwłoki były tak lekkie, że sprzątaczką mogła zanieść je w worku na cmentarz. Tam zostały wrzucone do wykopanego wcześniej

dołu i zasypane. Mogiłę otoczono drutem kolczastym.

Zanim jednak do tego doszło, mężczyzna był przetrzymywany w moskiewskich Butyrkach, gdzie w ciągu jedenastu miesięcy przeszedł ponad czterysta przesłuchań trwających łącznie tysiąc siedemset godzin. Zmuszano go, by potwierdził, że jest przywódcą „szpiegowskiej organizacji Ludowa Partia Pracy i począwszy od 1926 roku prowadził niezwykle szkodliwe działania związane z uprawami bawełny na nowych obszarach Związku Radzieckiego”. Oskarżony nie przyznawał się i słał Stalinowi oraz Berii listy, w których wyliczał swoje imponujące dokonania, zapewniając przy tym o niewinności. Pisma na nic się zdały i Wawiłowa poddawano kolejnym przesłuchaniom. Wciąż zaprzeczał, jakoby miał zdradzić ojczyznę, więc oprawcy – jak głosi jedna z wersji – sięgnęli po sprawdzone metody. Położyli przed nim spreparowany list, w którym potwierdzał zarzucane mu zbrodnie. Oznajmili, że jeśli go nie podpisze, zgwałcą jego żonę i syna. W archiwach NKWD zachował się protokół z przyznania się do winy, zatem Wawiłow musiał asygnować podsunęty mu dokument. Na podstawie uzyskanych zeznań oraz świadectwa agronomów, którzy podczas przesłuchań wyznali, że razem z nim działali przeciw ZSRR, 9 lipca 1941 roku Wojenne Kolegium Naczelnego Sądu ZSRR skazało niegdysiejszego dyrektora Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych imienia Lenina, prezydenta Wszechzwiązkowego Towarzystwa Geograficznego, dyrektora Wszechzwiązkowego Instytutu Upraw Roślinnych, szefa Instytutu Genetyki Akademii Nauk ZSRR oraz członka tuzina elitarnych międzynarodowych stowarzyszeń naukowych Nikołaja Iwanowicza Wawiłowa na karę śmierci przez rozstrzelanie.

Na początku lata 1941 roku w życie wszystkich mieszkańców ZSRR wdarła się wojna. Więźniowie skazani na karę śmierci przyjęli konflikt niemiecko-radziecki jak wygraną na loterii, gdyż liczyli na to, że zamiast przed lufy plutonu egzekucyjnego trafią na pierwszą linię frontu. Nadzieje te podzielali także najbliżsi biologa – żona i brat – i z jeszcze większą determinacją słał pisma do władz z prośbą o jego ułaskawienie. Wszystkie pozostały bez odpowiedzi. Dziś można je zobaczyć w rosyjskich archiwach. Na każdym widnieje skreślona czerwonym tuszem „Odmowa”. Jednak fizyk Siergiej Iwanowicz nie dawał za wygraną i umówił się na spotkanie z samym Ławrientijem Pawłowiczem Berią. Ten poświęcił bratu osadzonego dosłownie chwilę. „Jest winny – miał powiedzieć – ale nie zostanie rozstrzelany, tyle mogę zrobić”. Najprawdopodobniej sługus Stalina wiedział już, że kara śmierci zostanie zamieniona na 20 lat łagru, i mógł sobie pozwolić na taką fałszywą wielkoduszność. Niemniej jednak rewelacje Berii były dla Jeleny Iwanowny i Siergieja Iwanowicza pierwszą pozytywną wiadomością od czasu zatrzymania Nikołaja Iwanowicza. Poprzednie informacje dotyczyły tylko jego aresztowania, osadzenia w jednym z moskiewskich więzień i zasądzenia kary śmierci.

Na temat przebiegu śledztwa w sprawie Wawiłowa znane są tylko nieliczne

świadczenia. Można tylko podejrzewać, że scenariusz przesłuchań wyglądał podobnie jak w przypadku innych skazańców. Co ciekawe, wśród wielu relacji osadzonych w Butyrkach znalazły się wspomnienia autora donosów na Wawiłowa, profesora Grigorija Nikołajewicza Szłykowa. W paszkwilach adresowanych do Stalina, za podszeptem Łysenki, obwinił on Nikołaja Iwanowicza o świadome niszczenie upraw i działalność szpiegowską. Już za kratami zajął się nim jeden z najsławniejszych radzieckich katów, pułkownik Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR, Lew Aronowicz Szwarzman (na marginesie kilkakrotnie przesłuchiwał też Wawiłowa, choć całą sprawę prowadził Aleksander Grigoriewicz Chwat). Oskarżony o przestępstwa gospodarcze Szłykow był gotów podpisać każdy papier, który mu przedłożono. Mimo to Szwarzman niezmiennie się nad nim pastwił. Donosiciel nie wytrzymał presji i postanowił się powiesić. Śledczy zdążył odciąć go ze sznura i nagiego wrzucił do lochu. Po latach Arkadij Josifowicz Waksberg, rosyjski pisarz i historyk, w liście do syna Nikołaja Wawiłowa, Jurija, tak opisał katorgę Szłykowa:

Całe doby przy minusowej temperaturze profesor skakał w miejscu, żeby nie zamarznąć, i czytał wyryte na ścianach przez jego poprzedników hasła „Niech żyje ojczyzna partia” i „Chwała wielkiemu Stalinowi”.

Po zakończeniu śledztwa i zasądzeniu kary śmierci Wawiłowa przeniesiono do wieloosobowej celi, gdzie przebywali tacy jak on – skazańcy. W ich gronie znalazł się także Polak, porucznik Antoni Józef Zielicki, znajomy malarza i pisarza Józefa Czapskiego. Mężczyźni szybko się zaprzyjaźnili i spędzali godziny na rozmowach. Nasz rodak miał dużo więcej szczęścia niż biolog i na mocy układu Sikorski–Majski opuścił moskiewskie kazamaty i wstąpił do Armii Andersa. Tam zaś opowiedział o więziennych przeżyciach Czapskiemu, który włączył je do książki *Na nieludzkiej ziemi* i tak opisał sylwetkę Wawiłowa:

[...] objeżdżył cały świat, z wyjątkiem Australii. W całej Rosji, od kręgu polarnego do granic Chin, miał setki pól doświadczalnych, 2000 asystentów pracowało pod jego kierownictwem. [...] został skazany z powodu donosu innego uczonego i jego zastępcy, Łysenki, który mu zarzucił, że broni nauki „burżuazyjno-klerykałnej”.

Jesienią 1941 roku trwała ewakuacja Moskwy i żona Wawiłowa, która przybyła do stolicy ratować męża, musiała szukać schronienia. Wraz z czternastoletnim synem Jurijem udała się więc do Saratowa, gdzie znalazła kąt u rodziny. Mimo to nie przestała słać listów z prośbą o łaskę oraz paczek do Butyrek w nadziei, że zostaną przekazane jej mężowi. Przesyłki nie mogły dotrzeć do adresata, większość moskiewskich więźniów, w tym także Nikołaj Wawiłow, przewieziono bowiem do Saratowa. Jelena Iwanowna – niczego nieświadoma – przez ponad rok codziennie przechodziła obok murów miejskiego więzienia, za którymi znajdował się jej ukochany. Nie wiadomo też, czy poinformowano Nikołaja Iwanowicza, że jest przetrzymywany w mieście, w którym znajdują się jego najbliżsi. Na pewno wciąż

walczył o ułaskawienie i z celi wysyłał list za listem. W jednym z nich, adresowanym do Berii, pisał:

Mam pięćdziesiąt cztery lata i dysponuję dużym doświadczeniem i wiedzą, w szczególności z zakresu hodowli roślin, mówię swobodnie najważniejszymi europejskimi językami i byłbym szczęśliwy, gdybym mógł oddać te umiejętności mojej ojczyźnie, umrzeć podczas użytecznej pracy dla mojego kraju. Będąc fizycznie i moralnie wystarczająco silny, byłbym szczęśliwy, gdybym mógł być w tych trudnych czasach wykorzystany do obrony kraju według moich specjalności, to jest hodowli roślin i zwiększenia produkcji roślinności konsumpcyjnej i technicznej, o czym już pisałem Wam z Butyrskiego więzienia.

W saratowskim więzieniu ze słynnym biologiem kontaktowali się enkawudziści i pytali o rady dotyczące hodowli roślin. Każde z takich spotkań dawało mu nadzieję, że jeszcze kiedyś wyjdzie na wolność. Niebawem przyszła też decyzja o zamianie kary śmierci na dwadzieścia lat łagrów. Niestety, stan zdrowia Nikołaja Iwanowicza się pogarszał i mężczyzna trafił do więziennego szpitala. Tam spotkała go dziewiętnastoletnia Irina Kazimierowna Jankowska, żona Walerija Jurewicza Jankowskiego, wnuka polskiego geografii i zesłańca na Syberię, Michała Jankowskiego (jego imieniem nazwano półwysep w obwodzie magadańskim). Dziewczyna, którą skazano na pięć lat łagru za czytanie *Powrotu do ojczyzny* Jesienina, tak zapamiętała Wawiłowa:

Zimą 1942 roku, będąc w trzecim skrzydle saratowskiego więzienia dla politycznie podejrzanych, zachorowałam. Z cel zaczęto wyprowadzać chorych, żeby odesłać ich do więziennego szpitala, i w oczekiwaniu na czarnego kruka [ros. *czornyj woronok* – potocznie karetka więzienna – przyp. aut.] wszystkich postawili twarzą do ściany. Płakałam, bo czułam się chora i wystraszona. Po prawej stronie stał starszy, bardzo chudy człowiek w długim czarnym palcie. Rozmowy były surowo zakazane, ale on zwrócił się do mnie i rzekł: „Nie płacz, jesteś jeszcze młodziutka i dużego wyroku nie dostaniesz. Proszę, zapamiętaj mnie. Jestem akademik Wawiłow”.

NIE BĘDZIE GŁODU NA ŚWIECIE

Nikołaj Wawiłow tuż przed aresztowaniem udał się na polskie Kresy południowe, ziemie będące wówczas pod okupacją bolszewicką, zwane Ukrainą Zachodnią, i prowadził tam rekonesans pod kątem założenia nowych upraw. W trakcie tej podróży odwiedził między innymi gospodarstwo doświadczalne niejakiego Sienkiewicza. Prowadzone tam eksperymenty genetyczne zrobiły na nim duże wrażenie. Następnie zawitał do Lwowa, gdzie zapoznał się z atlasami profesora Eugeniusza Romera. O swoich refleksjach opowiedział w więzieniu znajomemu Czapskiemu. Wyznał, że „zna atlasy o szerszym zakresie, ale nie spotkał lepszego jako układ graficzny, jako ścisłość i jasność podania”. Nasz rodak zapamiętał też jego dużą wiedzę na temat polskiej agronomii i głęboki szacunek do polskich naukowców.

Wizyta na Kresach miała być jedną z setek delegacji i choć już od dawna zbierały się nad Wawiłowem czarne chmury, nie sądził, że może zostać aresztowany. Jeszcze

2 sierpnia 1940 roku, czyli cztery dni przed zatrzymaniem, napisał list do Aleksandra, nastoletniego syna z pierwszego małżeństwa:

Drogi chłopcze! Jadę na Bukowinę, a później do Czerniowców, a stamtąd w Karpaty. Miejsca piękne. Przejechałem już całe Podole, lwowską i tarnopolską obłast' [radziecka jednostka administracyjna, odpowiednik polskiego województwa – przyp. aut.]. Będę w podróży jeszcze dwa i pół tygodnia. Kłopoty z transportem. Ale jak na razie jakoś sobie radzę. Mam nadzieję uchwycić filozofię Karpat. Pozdrów wszystkich! Twój ojciec.

A plany miał wielkie – pragnął uchronić świat od głodu. Marzenie to zakiełkowało w głowie naukowca jeszcze przed pierwszą wojną światową, gdy w Piotrogradzie rozpoczął badania w Oddziale Botaniki Stosowanej. W niespokojnych czasach konfliktu zbrojnego zajął się immunologią roślin i opublikował odkrywczą teorię par genów odpowiedzialnych za odporność flory. Owa naukowa zielona rewolucja zbiegła się z przewrotem bolszewickim. Nowi władarze Rosji wyrócili na nice cały dotychczasowy porządek, w efekcie czego nad Krajem Rad zawisła groźba głodu. Aby ratować przemysł, na kilka lat odstąpiono od gospodarki sterowanej centralnie i powrócono do zasad wolnorynkowych. W przypadku rolnictwa sytuacja była bardziej skomplikowana, większość gospodarstw została bowiem scalona w kolchozy bądź – w przypadku plantacji przedwojennych obszarników – w sowchozy, które miały stanowić jedną z wizytówek nowego państwa. Widmo śmierci głodowej sprawiło, że na jakiś czas przywrócono prywatną własność wśród chłopów (po kilku latach takich niezależnych włościan nazywano już kułakami i zsyłano na Syberię), nie zamierzano jednak rezygnować z państwowych gospodarstw. I to właśnie w kolchozach i sowchozach zaczęto wdrażać nowoczesne metody hodowli roślin. Efekty były marne i państwo bolszewików – zamiast stać się symbolem sukcesu – niezmiennie nie mogło wyżywić swoich obywateli. Na początku lat dwudziestych w wielu regionach Kraju Rad wybuchały epidemie głodu, spośród których najdotkliwsza paradoksalnie nawiedziła żyzne rejony Wołgi. Traf chciał, że do Saratowa, miasta położonego nad brzegami tej rzeki, przeniósł się Wawiłow i tu podjął pracę na wydziale nauk rolniczych lokalnego uniwersytetu. Pełen zapału zorganizował sieć specjalistycznych gospodarstw, gdzie sprawdzał skuteczność swych teorii. Okazało się, że zarządzane przez niego poletka przynoszą plony, o jakich próżno śnili sowieccy reformatorzy rolnictwa. Decydenci postanowili więc skorzystać z doświadczeń Wawiłowa i w 1921 roku trzydziestopięcioletniego badacza mianowali kierownikiem ponad stu pięćdziesięciu eksperymentalnych gospodarstw rolnych na terenie całego ZSRR. Ponadto, doceniawszy jego sukcesy, zgodzili się na rzecz bez precedensu – międzykontynentalną podróż służbową. Biolog w liście wysłanym z Moskwy 26 czerwca 1921 roku do swojej drugiej żony, Jeleny Iwanowny, tak relacjonował emocje związane ze zbliżającym się wyjazdem:

Gdybym wiedział, że tyle różnych kłopotów będzie kosztować mnie ta Ameryka, może bym się powstrzymał od tego przedsięwzięcia. Od rana do wieczora chodzę i piszę podania i dalej w rejs po całej Moskwie. Potrzebne są zgody wszystkich biur: Czeka[2], spraw zagranicznych, Narkomzema, Rabkrina, Wniesztorga, Sownarkoma etc. [od końca: Rada Komisarzy Ludowych, Ludowy Komisariat Handlu Zagranicznego, Inspekcja Robotniczo-Chłopska, Ludowy Komisariat Wyżywienia – przyp. aut.].

W liście do ukochanej relacjonuje także wieści, które dotarły do niego z Saratowa, gdzie wraz z epidemią głodu pojawiły się cholera i dżuma. Opisuje, jak ich wspólni uniwersyteccy znajomi opuszczają stanowiska i w popłochu uciekają do Moskwy lub Piotrogradu. Następnie kończy w tak charakterystycznym dla siebie optymistycznym tonie:

Spróbujemy zbudować życie na nowo. Wierzę, że możemy. Tylko mnie się trzymaj. Pozdrawiaj wszystkich, którzy są zniechęceni!

Jeszcze większe przeszkody czekały Wawiłowa za granicą. Był to czas, gdy cały świat z przerażeniem śledził bolszewickie przemiany i każdego obywatela sowieckiego państwa postrzegano na Zachodzie jako szpiega. W związku z tym ekipę radzieckich naukowców w krajach tranzytowych poddawano niezliczonym kontrolom i biolog spóźnił się na konferencję, na którą wybierał się do Południowej Dakoty. Niemniej podróż za ocean okazała się prawdziwym odkryciem Ameryki. Wawiłow spotkał się z dziesiątkami naukowców Nowego Świata, odwiedził liczne gospodarstwa doświadczalne, wiele dni spędził w bibliotekach. Założył także w Nowym Jorku filię Oddziału Botaniki Stosowanej. W drodze powrotnej zwiedził najważniejsze akademickie ośrodki Europy Zachodniej, gdzie spotkał się z uznanymi badaczami i wygłaszał odczyty.

Nikołaj Iwanowicz po powrocie do kraju od razu wprowadził w swoich gospodarstwach zaobserwowane na Zachodzie rozwiązania i znów plony wzrosły. Ta umiejętność przekucia teorii w praktykę była dla ówczesnych władz ZSRR wystarczającą rekomendacją i biolog jako jeden z kilku radzieckich naukowców dostał wsparcie, które umożliwiło mu realizację marzeń. Kolejne cztery lata spędził więc w nieustannych podróżach między Leningradem, Moskwą, Saratowem a centralną i wschodnią Azją. Wizyty w Afganistanie okazały się jednymi z najważniejszych w tej marszrucie. Tam właśnie Wawiłow ulokował „ojczyznę zboża”. Dowiódł bowiem, że w kotlinach na wschodzie kraju, w rejonie Dżalalabadu, rośnie najwięcej gatunków pszenicy. Między innymi na podstawie tych odkryć wysunął koncepcję istnienia geograficznych centrów pochodzenia upraw. Teoria ta przyniosła mu nie tylko najważniejszą w Kraju Rad Nagrodę imienia Lenina, lecz także międzynarodowy prestiż i sławę innowatora w agronomii.

Jeśli istnieją ojczyzny roślin – dedukował Wawiłow – to stamtąd właśnie należy pozyskiwać nasiona, aby już u siebie zakładać plantacje najwartościowsze

genetycznie. Ponadto warto naśladować sposoby upraw w owych centrach, gdyż miejscowi rolnicy przez tysiąclecia dążyli do stworzenia optymalnych rozwiązań. Agronom wysunął też trzeci, nie mniej ważny wniosek. Każda roślina w swojej ojczyźnie charakteryzuje się określonymi preferencjami rozwoju, do których należą lokalne cechy gleb oraz walory klimatu. Dlaczego więc nie sadzić poszczególnych gatunków tam, gdzie jest im najlepiej? – drążył. Podczas swoich podróży Nikołaj Iwanowicz przekonał się, że w bardzo nieoczekiwanych miejscach globu można natrafić na zbliżone warunki agrarne. Tą koncepcją podzielił się w więzieniu z polskim towarzyszem, a Czapski tak ją przedstawił:

Skonstatował [Nikołaj Wawiłow – przyp. aut.] w Boliwii, że kartofle, które tam rosną dziko na płaskowzgórzach 4000 metrów nad poziomem morza, dochodzą do kilograma wagi. Potem stwierdził, że klimat na tych podzwrotnikowych górach jest podobny do klimatu w Leningradzie latem, z tą różnicą, że dnie są równe nocom. Profesor założył pod Leningradem szereg pól doświadczalnych, na których krzaki kartofli osłaniał przed światłem białych nocy, do szóstej z rana. Zaręczał mi, że tym prostym sposobem osiągnął powiększenie wielkości i wagi kartofli.

Wawiłow aż do dnia aresztowania zakładał kolejne plantacje, na których eksperymentował nie tylko z roślinami spożywczymi, lecz także technicznymi. Dzięki niemu w latach trzydziestych zaczęto produkować w ZSRR między innymi kauczuk i chininę. Podbudowany sukcesami pokusił się o czyn niemający w historii ludzkości precedensu. Postanowił stworzyć żywy bank wszystkich roślin uprawianych na świecie. Ideą takiej kolekcji miało być zachowanie wzorcowych, najcenniejszych genetycznie nasion oraz w razie wyginięcia danej uprawy możliwość jej odtworzenia. Ważną inspiracją do powstania tego naturalnego skarbcza był również wielki głód na Ukrainie. Jak wynika z archiwaliów, Wawiłow był bezradny wobec tego ludobójstwa i marzył o stworzeniu narzędzia umożliwiającego walkę z klęskami nieurodzaju. W tym celu z każdej wyprawy, a odbył ich równo sto dziesięć, wysyłał do Leningradu skrzynie pełne nasion wraz ze szczegółowymi opisami, jak należy hodować te rośliny. Następnie we Wszechzwiązkowym Instytucie Upraw Roślinnych w Leningradzie część materiału archiwizowano, a część wysadzano, żeby kolekcja nieustannie się odradzała. Do dnia aresztowania Nikołaja Wawiłowa w banku nasion zgromadzono ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy różnych gatunków. Wiele z nich było już w owym czasie jedynymi istniejącymi na świecie wzorcami dla danej uprawy. Rok 1940 zapoczątkował dramatyczny okres w historii tej kolekcji. W sierpniu zatrzymano jej twórcę, a po kolejnych trzynastu miesiącach, 8 września 1941 roku, rozpoczęła się niemiecka blokada Leningradu. Wówczas pracownicy tej roślinnej arki Noego, aby chronić zbiory, zamieszkali w instytucie. W czasie gdy racje żywnościowe sięgały 125 gramów chleba na mieszkańca, pilnowali nasion, z których dałoby się przygotować tony pieczywa, i do końca oblężenia zachowali kolekcję niemal nietkniętą. Dziś wielu naukowców uważa, że zbiór Wawiłowa jest

najcenniejszym dobrem będącym w posiadaniu Federacji Rosyjskiej.

BRACIA LWIE SERCE

Stalin w 1945 roku zwrócił się do Berii, aby ten przygotował listę potencjalnych kandydatów na stanowisko prezydenta Akademii Nauk ZSRR. Ławrientij Pawłowicz rozpiisał dwadzieścia dwa nazwiska w trzech kolumnach: „członkowie WKP(B), bliżej do nas, możliwi do przyjęcia”. Nazwisko bezpartyjnego fizyka Wawiłowa znalazło się w trzeciej grupie. Generalissimus zdawał sobie sprawę, że Siergiej Iwanowicz nie tylko nie przynależy do partii, lecz także jest bratem wroga narodu, a mimo to wskazał na niego. Zbliżały się czasy konfrontacji z USA i nauka miała się stać jednym z ważniejszych pól rywalizacji. Siergiej Wawiłow był bezsprzecznie jednym z najlepszych organizatorów życia naukowego spośród sowieckich akademików i sam mógł się poszczycić dokonaniem badawczymi na skalę światową. Nie bez znaczenia był też czynnik psychologiczny: Stalin był znany z upokarzania i dzielenia ludzi. Musiało mu sprawiać przyjemność, kiedy patrzył, jak jednym z najbliższych współpracowników prezydenta Akademii miał być teraz Łysenko. Pewności brakowało, ale podejrzewano, że to on przyczynił się do śmierci genialnego Nikołaja Wawiłowa. Andriej Sacharow we *Wspomnieniach* napisał to, co wielu myślało w głębi duszy:

[Siergiej Wawiłow – przyp. aut.] regularnie – co najmniej raz w tygodniu – spotykał się z T.D. Łysenką, członkiem prezydium AN, który był jednym z głównych winowajców tragedii jego brata. Trudno jest mi sobie wyobrazić, jak to się odbywało.

Fizyk po przyjęciu nominacji poczuł moc, którą dawało nowe stanowisko, i zwrócił się do swojego zastępcy, by ten napisał do bratanka i bratowej, którzy wciąż mieszkali w Saratowie. Depesza brzmiała następująco:

Współpracownik Akademii Nauk ZSRR J.N. Wawiłow [Jurij Nikołajewicz – nastoletni syn biologa – przyp. aut.] powinien udać się do miejsca pracy w Leningradzie razem z matką J.I. Barulinoj. Podpisano: wiceprezydent Akademii Nauk ZSRR generał pułkownik L.A. Orbeli.

Nic jednak nie mogło przywrócić życia twórcy roślinnej arki Noego. Siergiej Wawiłow postanowił więc zapewnić byt jego rodzinie. Zadbał nawet o to, żeby w ich nowym leningradzkim mieszkaniu (na marginesie – znajdującym się w budynku, w którym mieszkał niegdyś Iwan Pawłow) znalazły się meble i książki Nikołaja Iwanowicza. Następnie zdobył się na odwagę i w 1949 roku jako prezydent Akademii wystosował odręcznie pismo do Stalina z prośbą o rehabilitację brata. Na końcu dopisał: „Jeśli mój brat N.I. Wawiłow nie będzie rehabilitowany, ja nie będę mógł być prezydentem AN ZSRR”.

Czy list dotarł do adresata, trudno stwierdzić. Brak na nim jakichkolwiek śladów

lektury Iosifa Wissarionowicza. Na rogu widnieje jedynie skreślone ręką Berii „Odmowa”. Wiadomo, że Siergiej Wawilow nie powracał już do tego tematu i aż do śmierci pozostał prezydentem Akademii Nauk ZSRR. Po jego nagłym zgonie Stalin rządził jeszcze dwa lata. Podczas bezkrólewia trwały srogie walki o schedę po radzieckim tyranie. Ich ofiarami stali się nie tylko „ukryty agent imperializmu” Beria czy jego podnózek, Lew Szwarcman, lecz także trzech moskiewscy lekarze, którzy nocą przybyli spóźnieni do konającego Siergieja Wawilowa. Wojenki o władzę zakończyły się zwycięstwem Nikity Siergiejewicza Chruszczowa, który wpuścił nieco świeżego powietrza w zatęchłe akta KGB (spadkobierczyni NKWD). Ruszyły procesy o rehabilitację ofiar stalinowskich czystek. Jednym z pierwszych było postępowanie dotyczące Nikołaja Siergiejewicza Wawilowa. Prowadzący sprawę prokurator zwrócił się wówczas do Łysenki z prośbą o wyjaśnienie faktów związanych z donosami na biologa. Ten wyłgał się od stawiennictwa w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej immunitetem i odpisał, że różnił się z Wawilowem jedynie na polu nauki, nie ma zaś nic wspólnego z jego uwięzieniem. Mimo absencji bodaj najważniejszego inicjatora kaźni rehabilitacja sławnego biologa stała się faktem w 1955 roku. Niestety, nie od razu odkłamano historię Nikołaja Wawilowa. Świadectw powolnego docierania do prawdy jest wiele. Do dziś stoją w Saratowie dwa pomniki biologa: jeden postawiony już w czasach Federacji Rosyjskiej przy placu Kirowa, drugi – wzniesiony jeszcze w 1970 roku i umieszczony na cmentarzu. W latach siedemdziesiątych wciąż istniał zapis na Wawilowa i inicjatorzy upamiętnienia naukowca nie uzyskali zgody na ulokowanie monumentu w centrum miasta. Niemniej obecnie, gdy opadły już emocje i można wprost pisać o braciach Wawilow, pojawiają się publikacje, a nawet filmy i seriale, w których obaj są przedstawiani jako osoby pełne emocji, kochające, rodzinne, ale niepozbawione wad. A dzięki opublikowanym wspomnieniom ich bliskich możemy nieraz zajrzeć, tak jak w przypadku *Jasnego dzieciństwa* autorstwa Jeleny Fiedorowny Lichonos (córci współpracownicy Nikołaja Wawilowa), do gabinetu jednego z braci:

W okamgnieniu trzeba było znaleźć się obok Jeleny Iwanowny i przyjąć wyczekującą pozę. Ona uważnie na mnie spoglądała i przytakując, zgadzała się: „Idź do gabinetu, tylko niczego nie ruszaj i nałóż czapkę!”. Wcisnąwszy czapkę na głowę, przekraczałam próg gabinetu i wdychałam wyziębiony zapach, zamykałam oczy i czułam ledwie wychwytywaną woń suchych kartek i nieznaney mi starodawności. Wyobrażałam sobie, że stoję na samym skraju olbrzymiego placu, który muszę przejść i niczego nie dotknąć. Później zachwyciałam się krzesłem Nikołaja Iwanowicza z głowami lwów, zaglądałam do regałów z książkami, mapami, eksponatami przywiezionymi z różnych krajów. Pewnego razu w gabinecie zastał mnie Nikołaj Iwanowicz, wesoło przywitał i zaczął opowiadać. Zawsze przysłuchiwałam się, jak on mówi. To był niezwykle głośny, idący z głębi i miękki, i wyrazisty zarazem. To był głos silnego człowieka, przenikniętego radością życia.

Ciekawie o Siergieju Iwanowiczu wypowiedział się kiedyś Piotr Leonidowicz Kapica. Radziecki noblista początkowo drwił z eksperymentów Wawilowa i otwarcie

krytykował go na zebraniach organizowanych przez decydentów. Po wojnie karty się odwróciły i dumny badacz niskich temperatur popadł w niełaskę władz. Skonfliktował się z twórcą radzieckiej bomby atomowej Kurczatowem, nie pojawił się na siedemdziesięcioleciu Stalina i został zwolniony z pracy. Groziły mu represje i więzienie. Pierwszą osobą, która go wówczas odwiedziła, był nie kto inny, tylko Siergiej Wawilow. Następnie z własnych funduszy wyposażył nobliście laboratorium, żeby ten mógł kontynuować badania poza instytutem. Na pytanie, dlaczego pomaga wrogowi, odpowiedział: „Proszę traktować to jako zemstę inteligentnego człowieka”. Wiele lat po śmierci Wawilowa Kapica publicznie wyznał: „Siergiej Iwanowicz oddał całe swoje życie naszemu krajowi i nauce”.

WYBRANA LITERATURA

1. Bołotowski B.M., Wawilow J.N., Kirkin A.N., *Siergiej Iwanowicz Wawilow: wzgląd z poroga XXI wieku na jowo czelowieczeskije kaczestwa i naucznuju diejatielnost'*, *Uspiechy Fizycznych Nauk*, 1998, 5 (168), s. 551–570.
2. Czapski J., *Na nieludzkiej ziemi*, Kraków 2001.
3. Keler W., *Siergiej Wawilow*, Moskwa 1975.
4. Mikulinski S.R., *Nikołaj Iwanowicz Wawilow: Oczerki, wospominanija, materiały*, Moskwa 1987.
5. Róziewicz J., *Uczeni radzieccy członkami Polskiej Akademii Umiejętności*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki,” 1972, 4 (17), s. 719–742.
6. Szandurenko G.W., *Nikołaj Iwanowicz Wawilow*, *Biologija*, 200, 3, <http://bio.1september.ru/article.php?ID=200000306> [dostęp 30.05.2016].
7. Szufdy J., *Aleksander Jabłoński i bracia Wawilow w 80. rocznicę powstania diagramu Jabłońskiego, 70. rocznicę śmierci Nikołaja Iwanowicza Wawilowa i 62. rocznicę śmierci Siergieja Iwanowicza Wawilowa*, „Nauka”, 2012, 4, s. 101–135.
8. Wawilow J.N., *W dołgom poiskie. Kniga o bratijach Nikołaje i Siergieje Wawilowych*, Moskwa 2008.

GWIAZDA FRUWAJĄCA

GNIOTSIA NIE ŁAMIOTSIA

Toporna, jakby masywniejsza, niż powinna być, brzydka, w odstręczających kolorach. Bez znaczenia – pociąg to czy czajnik – radziecka technika była jakby pozbawiona okresu fabrycznej nowości. Od zarania coś się tam łuszczyło, coś skrzypiało, jakaś część nie pasowała do drugiej. A wszystko unurzane w niebieskawym towocie i owinięte brązowym papierem ochronnym, który od smarowidła robił się przezroczysty. Urządzenia czasem się psuły i sowiecki inżynier – zamiast działać – siadał i się gapił. Dopiero po chwili podchodził z młotkiem, mruczał pod nosem „gniotsia nie łamiotsia” (ros. gnie się, ale nie łamie) i obuchem walił w płataninę kółek, kabli i blaszek. O dziwo, najczęściej pomagało i unieruchomiony gazik czy też rower znów nadawały się do użytku.

W rzeczywistości radzieccy konstruktorzy oraz ich urządzenia *Sdielane w SSSR* (*Made in USSR*) nie byli aż tak schematyczni, niemniej jak w każdym stereotypie, także i tu tkwiło ziarno prawdy. Tym bardziej, że ikona nauk technicznych, Andriej Nikołajewicz Tupolew, w dużej mierze przyczynił się do powstania tych klisz. Ten inicjator całych gałęzi przemysłu i najbardziej znany w ZSRR twórca samolotów zwykł siadać na krzeselku i godzinami wpatrywać się w dziób zaprojektowanej przez siebie maszyny. Następnie obchodził ją, rozstawiał siedzisko pod ogonem, by ponownie oddać się zadumie. Bywało, że znajdował usterkę, której nie dało się wykryć w tunelu aerodynamicznym bądź za pomocą skomplikowanej aparatury diagnostycznej.

U progu kariery Tupolew zajmował się też projektowaniem szybkich łodzi patrolowych i motorowych sani. Jeden z jego statków przekazano żołnierzom marynarki stacjonującej w Sewastopolu. Został zwodowany i okazało się, że ów morski ścigacz, zamiast gnać po falach z niespotykaną jak na tamte czasy prędkością trzydziestu dwóch węzłów, rozpędza się do niespełna dwudziestu. Wezwano więc Andrieja Nikołajewicza, by wyjaśnił, dlaczego jego dzieło nie osiąga zadeklarowanych parametrów. Trzydziestopięcioletni inżynier pojawił się w czarnomorskim kurorcie i rozpoczął oględziny. Zażyczył sobie pełną dokumentację łodzi i po otrzymaniu teczek ważących kilkadziesiąt kilogramów oddał się lekturze. Następnie polecił marynarzom, żeby wyciągnęli statek do suchego doku. Wówczas wziął klucze i młot. Własnoręcznie odkręcił gwinty mocujące śruby i ciężkim

metalowym klepakiem obstukał łopaty, w efekcie czego zmienił ich kąt ustawienia. Po tej operacji statek ponownie zwodowano, a ten osiągnął prędkość nawet wyższą, niż określono w specyfikacji. Konstruktor zatarł ręce, zapewne uraczył lokalnych techników dosadnym epitetem, od których nigdy nie stronił, i wrócił do stolicy.

W Tupolewie skupiły się także inne cechy tak charakterystyczne dla radzieckiego przemysłu. Bodaj najważniejszą była absolutna koncentracja na celu – stworzeniu samolotu. Za każdym razem szukał jednak indywidualnej drogi do jego zrealizowania. Jeśli trzeba było skopiować rozwiązania stosowane przez Amerykanów czy Niemców, nie wahał się ani chwili. Gdy uznał zaś, że dla dobra projektu należy od podstaw opracować rodzimą konstrukcję, na całe lata z inżyniera przeistaczał się w naukowca i prowadził badania z zakresu aerodynamiki bądź wytrzymałości materiałów. Umiał też ryzykować i zazwyczaj miał fart. Już na początku kariery, gdy większość budowała jeszcze z drewna, postawił na metal. Okazało się to strzałem w dziesiątkę. Kolejne konstrukcje na przemian czyniły go nowatorem bądź naśladowcą. Do końca pozostał też rubasznym, niekiedy prostolinijnym lub – tak jak w przypadku wydarzenia z łodzią – wręcz komiksowo przerysowanym sowieckim inżynierem.

RUSKI IKAR

W dossier, które powstało w 1920 roku na potrzeby Moskiewskiego Instytutu Lotniczego, Andriej Tupolew napisał:

Urodziłem się we wsi Pustomazowo, niegdysiejsza gubernia twerska, korsuński ujezd [gubernia odpowiada województwu, ujezd – powiatowi – przyp. aut.]. Podstawowe wykształcenie otrzymałem w domu, następnie w 1908 roku skończyłem Twerskie Gimnazjum Klasyczne i wstąpiłem na Wydział Mechaniczny Wyższej Moskiewskiej Technicznej Uczelni [obecnie: Moskiewski Państwowy Uniwersytet Techniczny im. N.E. Baumana – przyp. red.].

Relacja nie zawiera informacji związanych z rodziną. Konstruktor, lakoniczny we wszelkich ankietach i kwestionariuszach osobowych, w prywatnych rozmowach ciepło wypowiadał się o dzieciństwie spędzonym na wsi. Wychowywał się razem z dwoma braćmi i czterema siostrami. Od najmłodszych lat pomagał też w gospodarstwie. Jego rodzice nie należeli jednak do zwykłych włościan. Nikołaj Iwanowicz – głowa rodziny Tupolewów – był niespokojną duszą. Wywodził się z kozackiej arystokracji i jego przodkowie brali udział w zjazdach atamanów. Sam zapragnął innego życia i zdał w Petersburgu na studia prawnicze. Nie dane mu było jednak ich ukończyć i za udział w nielegalnych spotkaniach wydalono go z uczelni. Następnie został zmuszony do opuszczenia stolicy i z wilczym biletem zakazującym osiedlania się w dużych miastach Rosji przybył do twerskiej guberni. Tam poznał Annę Wasiljewnę Lisicynę, córkę pomocnika prawosławnego księdza. Dziewczyna

skończyła Maryjne Gimnazjum Żeńskie, władała językami niemieckim i francuskim, grała na fortepianie i znała się na sztuce. Młodzi pobrali się i założyli rodzinę. Anna Wasiljewna prowadziła dom, a Nikołaj Iwanowicz, skończywszy eksternistycznie studia, podjął pracę jako wiejski notariusz. Zawód ten nie przynosił kokosów, był stresujący i cała rodzina niebawem postanowiła zmienić swoje życie. Ojciec Tupolewa porzucił dotychczasowe zajęcie i wraz z najbliższymi przeniósł się do wsi Pustomazowo. Tam nabył skrawek ziemi i został rolnikiem. I już w nowym domu przyszły konstruktor samolotów, Andriej Nikołajewicz, spędził dzieciństwo. Chłopak od małości przejawiał wyjątkowe zdolności manualne, a jeszcze przed pójściem do gimnazjum sam projektował i wykonywał proste meble. Rozwój jego talentów wspierali rodzice. Szkoła przeciwnie, niemal podcięła skrzydła nastoletniemu wynalazcy. Świetny z matematyki, fizyki i chemii, obrywał od nauczycieli za niechlujny charakter pisma i niewłaściwe zachowanie. Niebawem jednak los Tupolewa miał się odmienić. Tuż po zakończeniu egzaminów udał się do Moskwy, żeby odwiedzić dwie uczelnie techniczne, do których złożył dokumenty. Okazało się, że został przyjęty do obu. Wówczas, najprawdopodobniej kierując się ślepym trafem, wybrał Wyższą Moskiewską Techniczną Uczelnię.

Początkowo Tupolewowi trudno było się rozeznać, jaka dyscyplina jest mu pisana. „Wyjątkowego zainteresowania do statków podniebnych wówczas nie miałem” – napisał we wspomnieniach. Momentem zwrotnym okazała się wizyta na wystawie zorganizowanej przez członków studenckiego koła konstruktorów pojazdów latających. Podopieczni profesora Nikołaja Jegorowicza Żukowskiego transportowali właśnie skonstruowany przez siebie szybowiec. Tupolew postanowił im pomóc. I to wówczas zdecydował się zostać budowniczym samolotów. Po latach żartobliwie mawiał, że przeciągnięcie maszyny zbudowanej przez żaków było jego pierwszą pracą z zakresu awiacji. Decyzję o wyborze specjalizacji wzmocniła jeszcze rozmowa z samym Żukowskim. Ten twórca aerodynamiki i hydrodynamiki opowiedział chłopakowi o swoich planach związanych z rozwojem statków podniebnych. Otwartość i brak protekcyjnego podejścia do młodego człowieka ostatecznie przekonały Andrieja Nikołajewicza do tej dziedziny.

W 1909 roku samoloty zawładnęły wyobraźnią nie tylko Tupolewa. Pionierski przelot nad kanałem La Manche uświadomił ludziom, że oto powstały mechanizmy, które niebawem odmienią świat. Pod koniec pierwszej dekady XX wieku każdy chciał je oglądać i w Moskwie nie było tygodnia bez pokazów lotniczych. Gromadziły one tysiące osób wpatrujących się z podziwem w pilotów i ich cudowne maszyny. Nigdy przedtem ani nigdy później sny o bujaniu w przestworzach nie były tak pociągające jak wówczas; minęło niespełna pięć lat i maszyny latające straciły swój czarodziejski nimb, a stały się częścią śmiertelnej techniki wojskowej. Jednak zanim tak się stało, samoloty przez chwilę były ucieleśnieniem marzeń mitycznego Ikara

o beztróskim lataniu. Tupolew zapragnął tego doświadczyć i pod okiem Żukowskiego wykonał swój pierwszy projekt. Był to na pół szybowiec, na pół latawiec. Debiutant podpiął się pod żebrowaną machinę pasami, dzięki czemu mógł balansować ciałem raz w jedną, raz w drugą stronę, a pojazdem dało się sterować. Przekaznikiem napędu był zaś długi sznurek, który schwycili jego silni koledzy. Rozpędzili się wzdłuż przepływającej nieopodal rzeczki Jauzy i rozciągnęli mechanizm. Podskakując i co chwila opadając, Tupolew przeleciał kilkadziesiąt metrów i nagle na dobre oderwał się od ziemi. Na niewyraźnym zdjęciu widać czarny wygięty kształt podczepiony pod ażurową rurę. Następnie pilot skierował się nad rzekę i wylądował po jej drugiej stronie. Szybowanie nad płycizną, nazywaną przez moskwiczów Krowim Brodem, było dla Tupolewa tym samym, co dla Louisa Blériota pokonanie kanału La Manche. Andriej Nikołajewicz wielokrotnie wracał do tych wydarzeń z 1909 roku i po pół wieku dumnie stwierdził:

Ten lot potwierdził nasze wyliczenia. Prawda, tylko w pewnym stopniu, gdyż szybowiec połamał się podczas lądowania, ale pilot, jak widać, pozostał żywy.

Zdarzenia znad Jauzy dały początek całej serii prac z zakresu awiacji, których podjął się młody projektant. Skonstruował między innymi kopię samolotu Blériota – maszyna mogła przelecieć co najmniej kilka kilometrów – oraz przyjął od Żukowskiego niezwykle ambitne i nowatorskie zadanie. Profesor miał powiedzieć: „Tupolew, wiecie co, tunel trzeba budować. Nie weźmiecie się za to?”. Jak stwierdza współczesny historyk Siergiej Witalewicz Istomin, konstruktor „po raz pierwszy dostał poważne inżynierskie zadanie i usłyszał słowo »trzeba«, które miało mu towarzyszyć przez całe życie”. Budowa tunelu aerodynamicznego, w którym można badać właściwości nośne elementów samolotów, okazała się prawdziwym wyzwaniem, z którego Andriej Nikołajewicz wyszedł zwycięsko. Przy moskiewskiej uczelni powstał wówczas załączek pierwszego w Rosji (i jednego z nielicznych na świecie) laboratorium lotniczego.

Kariere konstruktorską studenta Tupolewa przerwała polityka. Biografowie mają podzielone zdania na temat jego stosunku do nadciągających zmian. Jedni twierdzą, że wyczekiwał rewolucji, inni zaś uważają, że był wobec niej obojętny. Faktem jest, że zgodził się udostępnić buntownikom adres swojego moskiewskiego lokum, by ci ślali nań wywrotowe pisma. Carskie służby szybko wpadły na trop konspiratorów i niebawem trafiły do człowieka będącego ich skrzynką kontaktową. Nie pomogły tłumaczenia Żukowskiego i innych profesorów, którzy wstawili się za Tupolewem, student trafił do więzienia. Po krótkiej odsiadce wręczono mu wilczy bilet zakazujący przebywania w Moskwie i Petersburgu przez najbliższy rok. Andriej Nikołajewicz wrócił więc do rodzinnego Pustomazowa. Trudno mu było wytrzymać bez samolotów i mimo zakazu po kilku miesiącach zdecydował się odwiedzić Żukowskiego i jego

laboratorium. Decyzja ta okazała się fatalna w skutkach i Tupolewa ponownie zatrzymała ochrana. W efekcie przedłużono mu zakaz wjazdu do Moskwy i poddano kurateli policyjnej. Był to czas, gdy zmarł jego ojciec i wraz z braćmi musiał utrzymywać sporą rodzinę. Oprócz prac w polu zajmował się działalnością racjonalizatorską, ale tu nie wszystko szło po jego myśli. Tama, którą zbudował na pobliskiej rzeczce Łuźmience, okazała się aż nazbyt skuteczna. Spiętrzona woda zalała pobliskie pola, chłopci nie mieli gdzie wypasać bydła i trzeba było tę nieudaną konstrukcję zburzyć.

W 1914 roku minęła nałożona na Tupolewa kara i chłopak powrócił na studia. Od razu rzucił się w wir pracy i przez kolejne lata zgłębiał tajniki budowy hydroplanów. Wybór tego rodzaju samolotu jako obiektu badawczego świadczył o praktycznym zmyśle Tupolewa. Planując swe maszyny, brał zawsze pod uwagę właściwości kraju, w którym powstawały. Rosja, uboga w infrastrukturę lotniczą, mogła poszczycić się naturalnymi pasami lotniczymi, czyli wielkimi rzekami, jeziorami i akwenami morskimi. Tam samoloty mogły lądować bez przeszkód. Równoległe do zajęć w laboratorium awiacyjnym rozpoczął starania o licencję pilota – uczestnictwo w podniebnych bitwach było wówczas jego wielkim marzeniem. Niestety, jako osoba karana nie uzyskał pozwolenia i rad nierad w całości oddał się konstruowaniu samolotów.

W 1918 roku Tupolew zakończył studia i obronił pracę dyplomową zatytułowaną *Projektowanie hydroplanów na podstawie doświadczeń w hydrotunelach*. Od tego momentu rozpoczęła się jego wielka kariera inżynierska. Żukowski zaproponował radzie naukowej uczelni swojego wychowanka na stanowisko asystenta. Podówczas nie zdawało się egzaminów i o przyjęciu kandydata profesorowie decydowali podczas tajnego głosowania. Jego wynik okazał się korzystny dla Andrieja Nikołajewicza i młody konstruktor został pracownikiem naukowym. W tym czasie trwały także rozmowy z nowymi gospodarzami Rosji. Bolszewicy marzyli o jak najszybszym pokonaniu przeciwników i potrzebowali broni. Żukowski postanowił to wykorzystać i wraz z Tupolewem opracował projekt stworzenia Państwowego Instytutu Lotniczego, w którym miały powstawać zarówno samoloty bojowe, jak i na potrzeby awiacji pasażerskiej. Dokumenty wysłał do samego Lenina. Wódz rewolucji zaprosił ich na Kreml i tam przez urzędników powiadomił o wydaniu zgody na powołanie jednostki lotniczej. W ten sposób narodził się Centralny Aerohydrodynamiczny Instytut, zwany od jego rosyjskiego akronimu CAGI. Szczęśliwi pomysłodawcy uznali, że ich sukces jest wart uczczenia i zaszli do pierwszej z brzegu restauracji. Był to przełom listopada i grudnia 1918 roku, w Moskwie brakowało wszystkiego, zaczynał się głód i nawet w lokalu półki świeciły pustkami. Żukowski i Tupolew nie poddawali się i szukali dalej. W końcu znaleźli knajpkę, w której jedynym dostępnym napojem była maślanka. I to nią wzniesli toast za powodzenie CAGI.

SKRZYDLATE DZIECI

Rosja bolszewików marzyła i nie dojadła, ludzie ginęli w bratobójczych walkach, ale pieniędzy na fabryki broni nie brakowało. Jeśli zaś nie dało się czegoś wyprodukować w kraju, władze rozprzedawali narodowe dobra i kupowali to z zagranicy. Znamienne, że umieli przy tym patrzeć perspektywicznie. Nie tylko inwestowali w doraźne rozwiązania, lecz także sięgali w przyszłość. Czym innym niż swoistą długoterminową lokatą było bowiem wsparcie instytutu lotniczego, mogącego wyprodukować pierwsze prototypy samolotów dopiero za dwa, trzy lata. Tupolew nie roztrząsał jednak tych spraw. Nie miał natury polityka, nie zwykł doszukiwać się drugiego dna. Dostał to, o czym marzył – pracowników, niezłe wyposażoną przestrzeń do badań i prac konstruktorskich, a w biurku gwarancję wieloletniego finansowania – i zabrał się do pracy. Za zgodą profesora Żukowskiego postanowił zmierzyć się z nieznanym dotąd w kraju wyzwaniem i wzorem niemieckiego Junkersa budować nie z drewna, ale z metalu. Jego konkurenci pukali się w głowy, twierdząc, że w ZSRR jest wystarczająco dużo drzew, żeby zrobić z nich milion samolotów. On jednak uznał ten argument za absurdalny. Przyszłość jest w maszynach metalowych – zawyrokował. Ponadto wyliczył, że najlepsze wyniki nośne mają samoloty jednopłatowe, i skupił się na konstruowaniu powietrznych statków ze skrzydłami ułożonymi „parterowo”. Mimo tych nowinek nie można Tupolewa nazwać ryzykantem. Przeciwnie, zanim przygotował pierwszy statek powietrzny, zaprojektował sanie napędzane śmigłem, do których budowy wykorzystał blachy, nowe rodzaje silników oraz sprawdzał różne nity i formy łączenia. Następnie zlecił testowanie śnieżnego pojazdu na Syberii, gdyż właśnie tam technika szybciej korodowała i dzięki temu można było lepiej wykryć błędy konstrukcyjne. W tym czasie w Kraju Rad nie potrafiono odpowiednio przygotowywać glinu, z którego odlewano ten stop, więc konstruktor zwrócił się do władz z prośbą o zakup licencji od Junkersa. W trakcie negocjacji gruchnęła wiadomość, że w kombinacie metalurgicznym w niewielkim Kołuczynie (130 km od Moskwy) opracowano własną technologię produkowania falistych blach aluminiowych. Przedstawiciele niemieckiej firmy nie uwierzyli w ten zbieg okoliczności i skierowali sprawę do sądu w Hadze. Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości nie doszukał się jednak znamion przestępstwa gospodarczego i protest firmy z Dessau uznał za bezzasadny.

Pasmo sukcesów przerwała 17 marca 1921 roku śmierć Żukowskiego. Odejście tego naukowca było olbrzymią stratą dla Tupolewa. Wspierał on młodego inżyniera ogromną wiedzą i z czasem stał się dla niego drugim ojcem. Teraz Andriej Nikołajewicz musiał sam rozwiązywać wszystkie problemy związane z budową samolotów oraz zmagać się z wieloma przeciwnościami administracyjnymi. Mimo to nie poddał się i z jeszcze większą determinacją zaangażował w prace konstruktorskie.

Dzięki lekcji, którą otrzymał od Junkersa, starał się jak najwięcej podpatrzeć na Zachodzie, a następnie wybrane rozwiązania wdrażać w rodzimych zakładach. Ponadto – co było wówczas nowością – postawił na makiety oraz prototypy i z wielką ostrożnością rekomendował swoje modele do seryjnej produkcji. Wydzielił też w CAGI departament zajmujący się przekuwaniem wyników badań na konkretne rozwiązania. Po tej restrukturyzacji w połowie lat dwudziestych nad brzegami pamiętnej dla Tupolewa Jauzy powstał duży i nowoczesny kompleks badawczo-produkcyjny. Zatrudniał on kilkaset osób oraz współpracował z wieloma radzieckimi zakładami. Rozbudowana sieć powiązań z fabrykami z całego kraju sprawiła, że instytut miał duży wpływ na rozwój całych gałęzi sowieckiego przemysłu ciężkiego.

Samoloty, które niebawem zaczęły opuszczać CAGI, nazywano ANT od pierwszych liter imienia, otczestwa (imienia po ojcu) i nazwiska głównego architekta, Andrieja Nikołajewicza Tupolewa. Do każdego akronimu dodawano kolejną liczbę porządkową i pierwsze skrzydlate dziecko konstruktora ochrzczono ANT-1. Był to niewielki samolot sportowy, wykonany z metalu i drewna. Wzniósł się w powietrze jesienią 1923 roku z placu przy ulicy Krasnokazarmiennej i wylądował na podmoskiewskim lotnisku. Znamcy opukali go i obejrzeni z każdej strony (jego powierzchnia nośna liczyła 10 m², *notabene* ostatnia z konstrukcji Tupolewa – Tu-144 – miała już 500 m²) i niezwykle wysoko ocenili awiacyjne walory. Kolejne samoloty, wśród których były między innymi ANT-2 i ANT-3, nie zawojowały jednak rynku lotniczego. Sukces przyniosła dopiero pierwsza na świecie w całości metalowa maszyna – ANT-4, zwana także TB-1 (od rosyjskich słów „ciężki bombowiec”). Tupolew wyposażył ją w cztery mocne silniki i dzięki temu samolot mógł przenosić ciężkie pociski oraz inne ładunki, uznawane wówczas za „nielotnicze”, takie jak mały czołg. Następca pierwszego bombowca Tupolewa – TB-3 – był jeszcze potężniejszy i wielu historyków militariów dostrzega w nim bezpośredniego protoplastę amerykańskich latających superfortec. Wynika z tego, że nie tylko radzieccy konstruktorzy wykradali zachodnie technologie. Również alianci posiłkowali się wywiadem przemysłowym.

Włodarze Kraju Rad dostrzegli talent Andrieja Nikołajewicza i wielokrotnie wysyłali go w podróże zagraniczne. Budowniczy odwiedził wówczas najważniejsze biura konstruktorskie Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych. Co ciekawe, Tupolew nie przepadał za wyjazdami i źle się czuł na obczyźnie. Nie znał też języków obcych i za każdym razem zabierał ze sobą małżonkę, Julię Nikołajewnę, która biegle mówiła po francusku, niemiecku i angielsku i nie tylko służyła mu wsparciem, lecz także pełniła funkcję tłumacza. Niebawem jednak zaczęły gromadzić się nad twórcą samolotów typu ANT burzowe chmury. Na początku lat trzydziestych dokonano odgórnego przekształcenia olbrzymiego CAGI i na jego czele postawiono głównego konkurenta Andrieja Nikołajewicza – Siergieja Władimirowicza Iljuszyna. Ojciec

samolotów Ił był bardziej zachowawczy niż Tupolew, nie odżegnywał się od wykorzystywania drewna, stawiał na rozwiązania już sprawdzone oraz – co mogło najbardziej drażnić autora ANT – był doświadczonym pilotem. Na szczęście dla porywczego i łatwo wpadającego w gniew Tupolewa kolejna reorganizacja znów przywróciła go na fotel szefa CAGI.

PODNIEBNY TITANIC

Niezależnie od fluktuacji politycznych wielkie, muskularne maszyny Andrieja Nikołajewicza zawsze budziły silne emocje. Do tych uczuć postanowili się odwołać radzieccy agitatorzy i z okazji zbliżającej się czterdziestej rocznicy pracy twórczej Maksyma Gorkiego zlecono Tupolewowi wyprodukowanie samolotu, który nosiłby imię sławnego pisarza. Oczekiwano, że konstruktor zaprojektuje największy, najsilniejszy i najbardziej efektowny podniebny statek świata. Miał być wykorzystywany do działań propagandowych, a swymi rozmiarami i możliwościami technicznymi zaświadczać o potędze kraju, w którym powstał. Zadanie to okazało się skomplikowane z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, w roku 1932 fala głodu w Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej sięgnęła apogeum i przez następnych kilkanaście miesięcy Hołodomor zebrał czteromilionowe śmiertelne żniwo. „Jak budować samolotowego giganta, gdy kilkaset kilometrów na zachód od Moskwy ludzie umierają z głodu” – zastanawiał się Tupolew. Tuż za względami etycznymi kroczyły materialne. Zgodnie z aktualną wykładnią ZSRR nie miał pieniędzy na zakup żywności, a co dopiero na sfinansowanie tak kosztownego przedsięwzięcia politycznego. Problem ten rozwiązano niezwykle sprytnie – Michaił Jefimowicz Kolcow, radziecki pisarz i oficjalny pomysłodawca budowy samolotu, zaproponował narodową zbiórkę na ten cel. Przygotowano materiały promocyjne, wydrukowano cegiełki, rozpisano loterię z nagrodami i już w 1933 roku komitet budowy statku powietrznego „Maksym Gorki” dysponował sześcioma milionami rubli. Kwota ta w zupełności wystarczyła na zrealizowanie projektu. Po drugie, istniał problem natury technicznej. W latach trzydziestych konstruktorzy zbliżyli się do granic możliwości, jakie dają motory tłokowe, i jedynie na deskach kreślarskich mogli rozdymać powierzchnie samolotów. W rzeczywistości trudno było znaleźć silniki, które uniosłyby czterdziesto- czy pięćdziesięcotonowe skrzydlate monstra.

Tupolew, otrzymawszy gwarancję stałego finansowania, zabrał się do pracy. Na skrzydłach prototypu, których rozpiętość wynosiła ponad sześćdziesiąt metrów, zamontował sześć olbrzymich motorów zaopatrzonych w drewniane śmigła o średnicy czterech metrów. Podejrzał jednak, że ich moc będzie zbyt mała, i na kadłubie długim na ponad trzydzieści metrów osadził dwa kolejne. Tym sposobem uzyskał olbrzymią nośność, dzięki której „Maksym Gorki” pobił międzynarodowe

rekordy tonażu ładowności. Zanim jednak dokonano pierwszego oblotu, wprowadzono do samolotu mnóstwo nowinek technologicznych, od siłowników hydraulicznych począwszy, na autopilocie i możliwości tankowania w powietrzu skończywszy. Następnie maszynę wyposażono odpowiednio do roli, którą jej przypisano. Oprócz luksusowych salonów dla pasażerów, z nietypowymi kwadratowymi oknami, we wnętrzu znajdowały się: kino z ekranem o powierzchni 24 m², minidrukarnia produkująca dwanaście tysięcy ulotek w ciągu godziny, potężny system megafonów, zwany głosem z nieba, oraz instalacja składająca się z kolorowych reflektorów, dzięki którym „Maksym Gorki” mógł wyświetlać na chmurach hasła rewolucyjne lub sowieckie emblematy. I taki oto jedyny w świecie samolot gigant, tuba rewolucji, uniósł się po raz pierwszy w powietrze 17 czerwca 1934 roku i przez pół godziny krążył nad Moskwą. W gazetach pisano o zaćmieniu słońca, jakie wywołała maszyna. Po dwóch dniach stalowy kolos pojawił się podczas niezwyklej parady zorganizowanej na cześć marynarzy uratowanych z parowca SS „Czeluskin” rozbitego nieopodal Cieśniny Beringa. Ramię w ramię z ludźmi morza kroczyli piloci, którzy na samolocie ANT-4 zdołali dziewięć razy z rzędu wylądować na krze i raz za razem ewakuować załogę rozbitego statku. Dzieła Tupolewa – największy samolot świata i towarzyszące mu maszyny, za pomocą których przeprowadzono akcję ratunkową – dostojnie przelatujące nad rozentuzjasmowaną stolicą Kraju Rad, dopełniały majestatu tego wydarzenia. Wówczas, pod koniec czerwca 1934 roku, ZSRR święcił jeden z większych propagandowych tryumfów i nikt nie pamiętał o umierających z głodu mieszkańcach Ukraińskiej SRR.

Skrzydlaty „Maksym Gorki” przez kolejny rok pełnił agitacyjną misję i co rusz pojawiał się nad kolejnymi miastami. Wiosną 1935 roku unowocześniono go i ruszył w kolejne *tournée*. Piętnastego maja na jego pokładzie znalazł się francuski pisarz Antoine de Saint-Exupéry. Autor *Małego księcia* był zawodowym pilotem i umiał docenić kunszt Tupolewa. Napisał także bardzo przychylny tekst poświęcony życiu sowieckiej stolicy i zamieścił go w poczytnej gazecie „Paris-Soir”. Trzy dni później chluba radzieckiej awiacji z ponad trzydziestoma osobami na pokładzie wyruszyła w swój ostatni lot. Towarzyszyły jej trzy niewielkie myśliwce, które wykonywały powietrzne ewolucje. Pilot jednego z nich, niezwykle doświadczony Nikołaj Błagin, rozpoczął beczkę przez skrzydło lecącego pośrodku giganta. Manewr się nie powiódł i maszyna runęła na „Maksyma Gorkiego”. Uderzenie było potężne, mały samolot od razu się rozpadł, ale olbrzym wytrzymał i pilot nawet zdołałby go posadzić, gdyby nie urwany ogon myśliwca. Fragment konstrukcji wbił się w tylną część ANT-20 „Maksym Gorki” i samolot runął na ulicę Moskwy. Śmierć ponieśli wszyscy jego pasażerowie, pilot myśliwca oraz siedmiu mieszkańców stolicy.

Epilog chluby sowieckiej awiacji był groteskowy. Władze urządziły oficjalny pogrzeb ofiar. Nawet Błagin spoczął na Cmentarzu Nowodziewiczym, na którym nie

chowało się zdrajców narodu. Niemniej to zmarłego pilota obwiniono o wywołanie tragedii i dowodzono, że samowolnie wykonał niebezpieczny manewr. Nikt zaś nie śmiał łączyć obecności operatora filmowego w drugim myśliwcu z tym, że Stalin kilka dni wcześniej zachwyił się francuską kroniką, dokumentującą akrobatyczne sztuczki samolotu. Po przeprowadzeniu obrządków funeralnych ogłoszono kolejną narodową zbiórkę. Jej celem było wybudowanie nie jednego, ale szesnastu ANT-20. Pierwszy miał się nazywać „Władimir Lenin”, drugi „Józef Stalin”, a trzeci ponownie „Maksym Gorki”. Następne imiona nie były już tak pewne. Na horyzoncie majaczyła wielka czystka i coraz trudniej było o nieskalanego komunistę. Kwesta na samoloty giganty trwała w najlepsze, gdy wybuchł skandal. W wychodzącym w Paryżu tygodniku „Miecz”, wydawanym przez rosyjskich „białych” przy znaczącym wsparciu polskiego wychodźstwa, ukazał się rzekomy pożegnalny list Błagina. Ten doświadczony pilot, który swą karierę lotniczą zaczynał jeszcze przed rewolucją, miał ponoć skreślić następujące słowa:

Bracia i siostry! Jutro poprowadzę swą skrzydlatą maszynę i staranuję samolot, który nosi imię łotra. [...] Tak oto zabiję dziesiątki komunistów próżniaków. A jak umrę, wiecznie pamiętajcie o mścicielu Nikołaju Błaginie, zmarłym za rosyjski naród! Moskwa 17 maja 1935 roku.

Jesienią 1935 roku w kasie narodowej kwesty było już sześćdziesiąt osiem milionów rubli i nie zważając na szereg niedomówień i niejasności związanych z katastrofą skrzydlatego „Maksyma Gorkiego”, Stalin rozkazał Tupolewowi kontynuować prace nad nowymi gigantami. Andriej Nikołajewicz zmniejszył liczbę silników do sześciu i wykonał prototyp pierwszego z planowanych szesnastu samolotów. Zbliżała się jednak epoka militaryzacji ZSRR, środki przerzucono na produkcję nowego bombowca TB-7 i liczbę maszyn propagandowych zmniejszono do pięciu. W związku z problemami natury polityczno-kryminalnej Tupolewa odsunięto od zadania, a prace... zakończono. Dlatego też w powietrze uniósł się tylko jeden następca „Maksyma Gorkiego”. O imieniu „Władimir Lenin” dawno zapomniano i samolot ochrzczono PC-124. Kursował jako pasażerski liniowiec na trasie Moskwa–Donieck–Mineralne Wody. Odbył kilkadziesiąt lotów i przewiózł niespełna dwa i pół tysiąca osób. Wraz z atakiem Niemiec na ZSRR przesunięto go na wschód kraju i tam latał między Taszkentem i Kujbyszewem, wożąc ludzi, kozy i kurczęta. Nuda obszarów leżących głęboko za linią frontu zdawała się pozbawiać pilotów resztek rozumu. Dwunastego grudnia 1942 roku Stiepan Gawjaz przekazał stery bliźniaka „Maksyma Gorkiego” jednemu z pasażerów i udał się w niewiadomym celu w głąb kabiny pasażerskiej. Drugi pilot również gdzieś się ulotnił i świeżo namaszczony na kapitana statku podróżny roztrzaskał maszynę o ziemię. Katastrofa, jak każda, która dotyczyła ANT-ów, była dla Tupolewa trudnym doświadczeniem. Konstruktor, będąc człowiekiem czynu, nie rozpaczał jednak i podjął się prac nad nowymi, jeszcze

bezpieczniejszymi technologiami.

SZARASZKA

Maksym Gorki na wieść o katastrofie swojego skrzydlatego imiennika popadł w depresję.

Grzybieję – pisał do sowieckiego propagandzisty, Aleksandra Siergiejewicza Szczerbakowa. – Serce pracuje leniwie i kapryśnie [...]. Radości pobudzają mnie do łez, a cierpienie przeżywam w milczeniu. A ta absurdalna katastrofa aeroplanu „Gorki” sprawiła, że wyłem jak wilk. Niedobrze...

Kilka miesięcy później pisarz zmarł. Los Tupolewa, choć nie aż tak dramatyczny, również był nie do pozazdroszczenia. Zanim jednak główny radziecki konstruktor samolotów popadł w tarapaty, w feralnym 1935 roku współuczestniczył w biciu rekordu. Przekazał jednemu z bardziej utytułowanych radzieckich lotników, Polakowi z pochodzenia, Zygmuntowi Lewoniewskiemu, prototyp samolotu ANT-25, na którym ten zamierzał przelecieć bez lądowania trasę Moskwa–biegun północny–San Francisco. Piękna maszyna, o niezwykle długich i smukłych skrzydłach została wypruta ze zbędnego balastu i 8 sierpnia 1935 roku uniosła Lewoniewskiego, drugiego pilota, Gieorgija Filipowicza Bajdukowa, oraz nawigatora, Wiktora Iwanowicza Lewczenkę. Po dwóch tysiącach kilometrów lotnicy odkryli wyciek oleju z silnika i musieli zawrócić. Według jednej z wersji tuż po wylądowaniu pierwszy pilot spotkał się ze Stalinem i przekonywał go, że Tupolew celowo uszkodził motor. Na nic się zdały dokonania bodaj najślawniejszego sowieckiego lotnika, Walerego Pawłowicza Czkałowa, który niebawem na tej samej maszynie doleciał do Ameryki Północnej. Wódz ZSRR coraz bardziej nieufnie spoglądał na konstruktora. Po Moskwie chodziły też słuchy, że przed lotem Czkałowa Andriej Nikołajewicz poupychał w kadłubie plany ANT-25 i zamierzał w Stanach Zjednoczonych sprzedać je niemieckiemu Messerschmittowi. Komplet dokumentacji ważył ponad pół tony i samolot z takim ciężarem nie przeleciałby nad biegunem. Nie bez kozery przed każdym rekordowym lotem wyjmowano z niego nawet spadochrony. Niemniej jednak decyzja w sprawie Tupolewa już zapadła. Wieczorem 21 października 1937 roku do jego służbowego gabinetu wkroczyli enkawudziści, pod ramię wywiedli go do czarnej „emki” i zawieźli na Łubiankę. Po kilkugodzinnym przesłuchaniu konstruktor trafił do butyrskiego więzienia i został wtrącony do celi 58, gdzie zamiast przewidzianych czterech osadzonych znajdowało się czterdziestu. Numer lochu odpowiadał artykułowi 58. *Kodeksu karnego Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej*, z którego oskarżono Tupolewa o działalność wywrotową i szpiegowską. Tuż po zatrzymaniu konstruktora NKWD zjawiło się też w jego domu i aresztowało panią Tupolew. Julia Nikołajewna opuściła mieszkanie, tak jak stała, w domowym

stroju i bamboszach, a wróciła do niego dopiero po dwóch latach. Za drzwiami zostali siedemnastoletnia córka Julia i dwunastoletni syn Aleksiej.

Sprawa Tupolewa była złożona. Pod koniec lat trzydziestych już same zagraniczne wojaże wystarczyły, żeby skazać go na kilkanaście lat łagrów. Nie ulega wątpliwości, że istniały też zeznania obciążające konstruktora. Oprócz Lewoniewskiego znalazły się osoby, które z „dobrej woli” bądź podczas przesłuchań obciążyły Andrieja Nikołajewicza przewinami wyssanymi z palca. Z drugiej strony Tupolew był potrzebny Stalinowi bardziej niż setka pisarzy i wyższych działaczy partyjnych razem wziętych i wódz ZSRR od samego początku nakazał włączyć go do grupy więźniów wybrańców. Zaświadczył to radziecki dysydent i literat Iosif Jefimowicz Aleszkowski:

Na przykład podczas szmonu, przed zajrzeniem w tyłek zeka [szmon – z jidisz „osiem”, godzina, kiedy w radzieckich więzieniach dokonywano przeszukań, zek – z ros. *zaklucionnyj*, czyli więzień – przyp. aut.], służba była zobowiązana powiedzieć: „Wybaczenie, obywatelu czy obywatelko taka a taka”. Zasady tej, niestety, przestrzegano niezwykle rzadko. Jak dotąd [lata trzydzieste i czterdzieste XX wieku – przyp. aut.] zwracano się w ten sposób jedynie do Tupolewa, Karolewa i szefa planowania Woźniesińskiego.

Na razie jednak specjalne traktowanie skończyło się na okrągłych zdaniach i nieco mniej brutalnych przesłuchaniach. Po zakończeniu śledztwa uznano Andrieja Nikołajewicza za winnego zdrady ojczyzny i skazano na piętnaście lat łagru. Nie wysłano go jednak do Workuty czy Norylska, ale zatrzymano w Moskwie. Władze już wiedziały, że bez jego pomocy produkcja nowych samolotów drastycznie spadła. Aby temu przeciwdziałać, Stalin sięgnął po sprawdzone rozwiązania i za więziennymi murami kazał zbudować naukowo-badawczy instytut, zwany pieszczotliwie *szaraszka*[3]. Tupolewa uczynił jego szefem i nakazał mu dobrać sobie pracowników. Pod koniec lat trzydziestych XX wieku najlepsi radzieccy konstruktorzy znajdowali się albo w moskiewskich aresztach, albo w gułagach. Konstruktor sporządził więc listę szczęśliwców, na której znalazł się między innymi wynalazca Lew Termen, i w ekspresowym tempie z całego ZSRR zaczęli przybywać wychudzeni i wymęczeni inżynierowie. Zebrawszy ekipę, której nie powstydzilyby się najlepsze biura konstruktorskie Niemiec czy USA, rozpoczął prace. Ludzie ściągnięci do więziennego instytutu o numerze CKB-29 mieli zdecydowanie lepsze warunki niż zwykli osadzeni. Oprócz większych racji żywnościowych mieszkali w kilkuosobowych celach oraz – co było szczególnie ważne dla Tupolewa – mogli korespondować z rodziną, do chwili powołania *szaraszki* konstruktor nie wiedział bowiem, co dzieje się z jego żoną i dziećmi.

Jesienią 1938 roku grupa projektantów została przeniesiona z butyrskiego więzienia do specjalnie w tym celu przygotowanego bolszewskiego ośrodka penitencjarnego i tam rozpoczęła prace nad bombowcem pikującym ANT-58. Do dyspozycji miała niezgorszy sprzęt oraz gotowych do pomocy więziennych

strażników. Zza krat nie dało się wszystkiego załatwić i niebawem pojawiło się kilka problemów, z którymi Tupolew musiał się uporać. Po pierwsze, niezbędna okazała się wizyta w zakładach metalowych, żeby ocenić dostępny surowiec. Po drugie, trzeba było wykonać makietę i ludzie Andrieja Nikołajewicza zbudowali naturalnej wielkości drewniany samolot. Piloci pobliskiej jednostki wojskowej – przekonani, że oto na ziemi leży rozbita maszyna – zaalarmowali przełożonych. Długie godziny trwało przekonywanie ich, że to model wykonany przez inżynierów z *szaraszki*. Po trzecie, więźniowie nie mieli prawa podpisywać się nazwiskami pod rysunkami i Tupolew nie mógł przyjąć ich prac. Nadano więc każdemu z pracowników CKB-29 numer. Andriej Nikołajewicz otrzymał 011, a wszyscy pozostali kombinacje trzech cyfr, których suma dawała jedenaście. Inżynierowie otrzymali gumowe stemple z przyporządkowanymi im numerami i sygnowali nimi swoje prace.

Ostatecznie nadszedł dzień próby – na podmoskiewskim lotnisku stanęły obok siebie dwa samoloty. Tupolewski ANT-58, zwany później Tu-2, oraz bombowiec skonstruowany przez Iljuszyna. To, czyja maszyna jest lepsza, miał rozstrzygnąć sam Stalin. Zanim jednak doszło do konfrontacji, przyprowadzony pod eskortą i postawiony ramię w ramię z twórcą samolotów Il Andriej Nikołajewicz nie wytrzymał i wybuchł. Obecność konkurenta, który cieszył się pełnią swobód, działała na niego jak płachta na byka. Wykrzyknął: „Drewniane gówno!”. Wówczas podszedł do niego Stalin i spytał: „A dlaczego gówno?”. Konstruktor opanował nerwy i wyłożył, dlaczego bombowce powinny być wyłącznie z metalu. Po tej dość niecodziennej pogawędce obie maszyny wzbiły się w powietrze. Samolot Tupolewa okazał się konstrukcją niedoścignioną.

BRZYDKIE SAMOLOTY NIE LATAJĄ

Wojna niemiecko-radziecka rozpoczęła się 22 czerwca 1941 roku. Po dwóch tygodniach Kolegium Naczelnego Sądu ZSRR ułaskawiło Tupolewa i jego inżynierów. Mężczyźni nie wrócili jednak do domów. Całą niegdysiejszą *szaraszkę* CKB-29 przeniesiono do Omska. Tam, pod dachem rzecznej stoczni remontowej, udoskonalali Tu-2, uczyniwszy z niego jeden z lepszych bombowców drugiej wojny światowej (podczas wojny zaczęto przemianowywać samoloty ANT na Tu). Kolejnym zadaniem ekipy Andrieja Nikołajewicza było skopiowanie słynnego amerykańskiego Boeinga B-17. Samolot ten, zwany potocznie latającą fortecą, wykorzystywano do nalotów dywanowych nad Europą i Japonią. Na początku 1944 roku cztery amerykańskie maszyny zostały ostrzelane nad Cesarstwem Nipponu i musiały lądować na terytorium ZSRR. Stalin nie przepuścił tej okazji i nakazał wywieźć je w głąb kraju. Jedna z nich trafiła do Moskwy, gdzie ponownie przeniesiono biuro konstrukcyjne Tupolewa, dwie do stołecznego instytutu

lotniczego, a jedna pozostała w hangarach jako wzór. Generalissimus zwołał wybitnych konstruktorów i nakazał im podrobić latające fortece. Andriej Nikołajewicz zapewnił, że w ciągu półtora roku stworzy dużo lepszy samolot. Wówczas Iosif Wissarionowicz zapowiedział, że jeśli odkryje w maszynie wykonanej przez ludzi Tupolewa choć jedną różnicę w stosunku do oryginału, konstruktor zgnije w łagrze.

Prace nad radzieckim analogiem B-17 trwały ponad dwa lata i przyczyniły się nie tylko do stworzenia Tu-4, lecz także do modernizacji całego radzieckiego lotnictwa. Równolegle z kopiowaniem bombowca ekipa Tupolewa przygotowała wersję pasażerską samolotu, która dała początek powojennym sowieckim liniowcom. Pod koniec lat czterdziestych prace nad samolotami cywilnymi wstrzymano. Wyścig zbrojeń nabrał tempa i władze ZSRR zamówiły u inżyniera samolot zdolny przenieść przez ocean głowice nuklearne. Sześćdziesięcioletni konstruktor wykorzystał silniki turboodrzutowe, czyli łączące napęd śmigłowy z turbiną gazową, i stworzył jedno z dzieł swego życia – Tu-95. Maszyna stała się symbolem zimnej wojny i do dziś jej srebrne cielsko przywołuje na myśl czasy, gdy mocarstwa zwały się w nuklearnym klinczu.

Lata pięćdziesiąte były szczególnie twórcze dla Tupolewa. Powstały wówczas takie samoloty pasażerskie, jak popularny odrzutowiec Tu-104 oraz niezwykle turboodrzutowiec Tu-114. Maszyna ta ze względu na zastosowanie podwójnych śmigieł długich na cztery metry miała wysokie walory nośne i osiągała prędkości okołodźwiękowe. Nowy władca ZSRR Nikita Siergiejewicz Chruszczow postanowił więc wykorzystać ją do celów propagandowych i na jej pokładzie udał się do Stanów Zjednoczonych. Ze względu na liczebność i rangę delegacji – do Ameryki wraz z pierwszym sekretarzem wybierali się najważniejsi urzędnicy kraju – przedsięwzięto wszelkie środki bezpieczeństwa. Przygotowania rozpoczęto długo przed wylotem i na podmoskiewskiej dacy Nikity Siergiejewicza, tuż przy basenie, skonstruowano model Tu-114. Wypuszczono z niego awaryjną zjeżdżalnię wprost do wody i nakazano przyszłym pasażerom przeciwzyć ewakuację. Przedstawiciele radzieckiego establishmentu – ubrani wizytowo – truchtem wbiegli do makiety, zajęli swoje miejsca, na sygnał założyli kamizelki ratunkowe i zerwali się z foteli. Następnie gęsiego wskakiwali na pochylnię i ześlizgiwali się do basenu, który udawał ocean. Później cali mokrzy wędrowali do przebieralni, gdzie na drzwiach do licznych kabin były poprzybijane tabliczki z ich imionami. Tylko Chruszczow i jego żona oraz Tupolew byli zwolnieni z tych ćwiczeń. Niemniej sama podróż nie obyła się bez zabawnej niespodzianki. Piętnastego września Tu-114 z VIP-ami na pokładzie dotknął amerykańskiej ziemi i zatrzymał się przed trybuną honorową. Okazało się jednak, że ze względu na olbrzymie śmigła jest tak wysoki, iż Amerykanie nie mają schodów, które sięgałyby drzwi wejściowych. Podstawiono więc zwyczajną drabinę

i po jej szczebelkach dostojni goście schodzili na płytę lotniska.

W 1962 roku po długiej chorobie zmarła żona Tupolewa Julia Nikołajewna. Jej odejście było dla tego silnego, pełnego energii człowieka niepowetowaną stratą, z której nie otrząsnął się do końca życia. Zabrakło osoby, która nie tylko prowadziła ich wspólny dom, służyła za tłumacza, lecz także wspierała mądrą radą. Świadkowie potwierdzają też, że wielokrotnie wypowiadała się w kwestii urody maszyn stworzonych przez męża. Zagadnienie to, zdawać by się mogło drugorzędne dla inżyniera, zawsze frapowało Andrieja Nikołajewicza. Zwykł mawiać: „brzydkie samoloty nie latają”. I być może wierny tej maksymie rozpoczął w 1963 roku prace nad swoim ostatnim dziełem – ponaddzwiękowym samolotem odrzutowym Tu-144. Maszyna o skrzydłach w kształcie delty oraz dziobie opuszczanym przy starcie i lądowaniu uniosła się w powietrze w sylwestra 1968 roku, dwa miesiąca wcześniej niż jej europejski konkurent Concorde. Minęły cztery lata i ponaddzwiękowy linowiec tragicznie wpisał się do historii światowej awiacji. Trzeciego czerwca 1973 roku podczas pokazów lotniczych Paris Air Show z niejasnych przyczyn długi na siedemdziesiąt metrów i szeroki na trzydzieści Tu-144 runął na ziemię. Ta tragedia bez wątpienia złamałaby serce Tupolewowi. Konstruktor, który całe życie słał pieniądze ofiarom katastrof samolotów typu ANT i Tu, nie przeżyłby śmierci swojego ostatniego skrzydlatego dziecka. Los oszczędził mu jednak tych cierpień. Andriej Nikołajewicz zmarł 23 grudnia 1972 roku, pozostawiwszy po sobie jedno z największych biur konstruktorskich na świecie. Do dziś jego nazwisko jest symbolem radzieckiego lotnictwa.

WYBRANA LITERATURA

1. *Andriej Tupolew* [film dokumentalny], reż. A. Graczew, GTPK „Kultura”, <https://www.youtube.com/watch?v=wx0a7wAGGFY> [dostęp: 30.05.2016].
2. Czeremuchin A.G., *Dalsze, wysze, bystrieje*, Moskwa 2011.
3. Duffy P., Kandałow A.I., *A.N. Tupolew – czelowiek i jego samoloty*, Moskwa 1999.
4. *Gienii i złodiei. Andriej Tupolew* [film dokumentalny], reż. A. Iskin, TRK Ciwilizacija 2003, <https://www.youtube.com/watch?v=iQDIwBCzwFY> [dostęp: 30.05.2016].
5. Gorodkow N., *ANT-25, Samolot iz legendy*, „Modelist-Konstruktor”, 1978, 8, http://hobbyport.ru/avia/ant_25.htm [dostęp: 30.05.2016].
6. „Nowosti CAGI”, 2015, 2 (109).
7. *Samyje znamenityje izobrieteli Rossiji*, red. S.W. Istomin, Moskwa 2002.
8. Sukke M.B., *Niezwiestnyj Tupolew*, Moskwa 2006.
9. *Wydejuszczijisia awiokonstryktory. Film 5. Andriej Tupolew* [film dokumentalny], reż. A. Tierjoszkin, Kryła Rassiji, 2012, <https://www.youtube.com/watch?v=MXOyftW-Q0A> [dostęp: 30.05.2016].

GWIAZDA KARNAWAŁU

DWÓCH MECENASÓW

Po dojściu do władzy bolszewicy pozamykali cerkwie, księży wysyłali na Syberię oraz piętnowali każdy przejaw religijności. I właśnie w chwili, gdy wielowiekowe rosyjskie cesarstwo legło w gruzach, a ster rządów przejęli zadeklarowani ateści, w Piotrogradzie powstało elitarne koło zwane Zmartwychwstaniem. Jego członkowie, do których zaliczali się wybitni naukowcy i artyści, dbali o konspirację. Ich tajne spotkania rozpoczynały się od modlitwy. Następnie rozszadzano aktualne zagadnienia, takie jak stosunek rewolucji do władzy, religii czy społeczeństwa. Dyskutowano także nad nowinkami i rozważano psychoanalizę Zygmunta Freuda. Zawsze jednak centrum tych refleksji stanowiła wiara w istotę wyższą.

Około 1927 roku działalnością Zmartwychwstania zainteresowały się sowieckie służby do walki ze szpiegostwem i w 1928 roku zaczęły się aresztowania. Członkowie koła jeden po drugim trafiali za kraty i łącznie zatrzymano około siedemdziesięciu osób. Wśród nich znajdował się trzydziestotrzyletni filozof i teoretyk kultury Michaił Michajłowicz Bachtin. Po kilku miesiącach rozpoczął się proces. Prasa informowała o rozbiciu szajki przekazującej tajne informacje na Zachód. Na pierwszych stronach gazet co rusz pojawiały się imiona domniemanych zbrodniarzy wraz z zasądzonymi wyrokami. Aleksander Aleksandrowicz Meyer, filozof i religioznawca, założyciel koła – kara śmierci (zamieniona na dziesięć lat łagrów). Jelikonida Aleksandrowna Zykowa, mniszka – dziesięć lat gułagu (ostatecznie rozstrzelana). Pawieł Fomicz Smotricki, artysta, działacz religijny – dziesięć lat łagru. Doskonale zapowiadającego się naukowca Michaiła Bachtina również skazano na dziesięć lat Sołowek. Dla człowieka, który tak jak on cierpiał na zapalenie kości, był to wyrok śmierci. Niebawem jednak stała się rzecz niespotykana. Ktoś wsparł prośbę Bachtina o łaskę i władze zamieniły mu wyrok na pięć lat zsyłki do kazachskiego Kustanaju. To miasto – oddalone o trzy tysiące kilometrów na południowy wschód od Leningradu – było pustynią kulturalną i naukową, ale w porównaniu z Wyspami Sołowieckimi mogło uchodzić za raj na ziemi. Latem dojrzewały tam arbuzy, miejscowi na targu handlowali serem i baraniną, działała też znana w całym ZSRR fabryka piwa, można więc było kupić butelkę złotego napoju i wypić ją w cieniu drzewa.

Czterdzieści lat później Bachtin przebywał w Sarańsku, stolicy Mordwińskiej

Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Żył mu się tam niezgorzej. Miejscowość cieszyła się autonomią, miała własne władze i co najważniejsze – uniwersytet, na którym Michaił Michajłowicz znalazł zatrudnienie. Nikomu najwyraźniej nie przeszkadzało, że w swoim dossier miał odsiadkę za „zdradę państwa” i najprawdopodobniej nie ukończył nigdy gimnazjum. Filozof piastował tam nawet stanowisko kierownika katedry literatury rosyjskiej i powszechnej. W spokoju dożył emerytury i wraz z żoną zamieszkał w domu starców. Niestety, niezmiennie nękały go problemy zdrowotne i wymagał specjalistycznej opieki. Wówczas ponownie ktoś zatroszczył się o jego los. Bachtin, nie będąc ani członkiem Akademii Nauk, ani członkiem partii, wraz z małżonką wyjechał na leczenie do Moskwy. Nie trafił jednak do jednego ze stołecznych szpitali czy nawet do kliniki uniwersyteckiej. Został przyjęty do ośrodka, w którym bodaj nigdy wcześniej nie powstała noga filozofa czy teoretyka literatury – szpitala kremłowskiego. W owym czasie tylko dwóch, trzech ludzi w całym ZSRR mogło zapewnić niegdysiejszemu wrogowi państwa taką opiekę. Jednym z nich był bezsprzecznie szef KGB, Jurij Władimirowicz Andropow.

AUTOBIOGRAFIA

„Na niebie mojego Betleem / nie paliły się żadne znaki” – pisał Władimir Majakowski. Możliwe, że do podobnych wniosków doszedł Michaił Bachtin i na firmamencie swej biografii postanowił własnoręcznie pozaświecać gwiazdy przewodniczki, zaś wydarzenia, które z jakichś przyczyn były mu niewygodne – wygasic. Jego ingerencję widać już na samym początku życiorysu. Większość biografów podaje, że urodził się 17 listopada 1895 roku. Skądinąd wiadomo, że przyszły odkrywca literackiej polifonii zgodnie z kalendarzem juliańskim przyszedł na świat 5 listopada. Jednak na przełomie stycznia i lutego 1918 roku Rada Komisarzy Ludowych zreformowała ówczesną rachubę czasu i pierwszy dzień lutego stał się nagle czternastym. Przejście z kalendarza juliańskiego na gregoriański nie odbyło się automatycznie. Osobom, które urodziły się już w XX wieku, doliczono do daty urodzin dwanaście dni, zaś tym, które przyszły na świat w dziewiętnastym stuleciu, dodano trzynaście. Zgodnie z tą notacją Michaił Michajłowicz powinien mieć zapisane w metryce osiemnasty, a nie siedemnasty listopada. Kolejna nieścisłość dotyczy pochodzenia jego rodziców. Sam deklarował, że mają arystokratyczne korzenie. Wielokrotnie zaświadczało to swoim autorytetem biografowie Bachtina, powołując się przy tym na rozmowę z rzeźbiarzem, którą przeprowadził z filozofem archiwista i teoretyk literatury Wiktor Dmitrijewicz Duwakin. Podczas niej Bachtin wyznał, że pochodzi „z rodziny szlacheckiej i bardzo starej, według dokumentacji z XIV wieku”. Analiza źródeł wskazuje coś zgoła innego. W Orle, gdzie przyszedł na świat, dokumenty zgromadzone przez prawosławnych księży zostały po rewolucji

przeniesione do miejskiego archiwum. Tam około roku 1980, czyli już po śmierci myśliciela (zmarł w 1975 roku), odkryto zapiski dotyczące jego rodziców. Wynika z nich, że zarówno ojciec, jak i matka wywodzili się z mieszczaństwa. Kolejne niedopowiedzenia i zagadki sypią się jak z rękawa. W wywiadzie udzielonym Duwakinowi Michaił Michajłowicz stwierdził, że miał brata oraz „trzy, a właściwie cztery siostry”. Tą pominiętą dziewczynką okazuje się przyrodnia siostra literaturoznawcy, Nina Siergiejewna Barszczewska.

W 1905 roku rodzina Bachtinów przeniosła się do Wilna, gdzie przyszedł filozof wstąpił do gimnazjum. Pierwszą klasę ukończył po dwóch latach i w 1907 roku zaczął uczęszczać do drugiej, którą zaliczył w 1909. Następnie zdał do trzeciej klasy i dopiero w 1911 roku mógł przejść do następnej. Niemniej jednak wileński okres wydaje się najmniej zagadkowy w biografii przyszłego reformatora teorii literatury. I fakt, że przez sześć lat udało mu się przejść zaledwie przez trzy klasy, nie świadczy o jego intelektualnych dysfunkcjach. Młody Bachtin najprawdopodobniej już wówczas borykał się z zapaleniem kości i edukację przerywały okresy wzmożonej aktywności choroby. O jego zdolnościach mogą świadczyć list pochwalny oraz „nagroda drugiego stopnia” za sukcesy w szkole, które wręczono mu już w Odessie, gdzie w 1912 roku przeprowadzili się jego rodzice. W tej czarnomorskiej perle rozpoczął się jeden z bardziej tajemniczych etapów jego życia. Zamiast iść do piątej klasy gimnazjum (w owym czasie carskie szkoły średnie miały osiem klas), rozpoczął studia na Wydziale Historyczno-Filologicznym Uniwersytetu Odeskiego, zwanym wówczas akademią noworosyjską. Zarówno w wileńskim, jak i odesskim gimnazjum nie odnaleziono dokumentów potwierdzających ukończenie przez niego kolejnych klas. Próżno też szukać Bachtinowskiego świadectwa dojrzałości, a bez tego certyfikatu droga na uczelnię była zamknięta. Ostatecznie można by przypuszczać, że Michaił Michajłowicz skończył szkołę średnią eksternistycznie, jednak także w tym przypadku daremnie szukać jakichkolwiek archiwaliów wspierających tę hipotezę. A nieścisłości tylko się piętrzą. Nie wiadomo, kiedy rozpoczął studia – w 1913 czy 1914 roku? Sam Bachtin za każdym razem podawał inną datę. Niestety, nie zachowały się żadne dokumenty potwierdzające jego słowa. Biografowie postanowili więc skrupulatnie przejrzeć listę wszystkich żaków uczęszczających na zajęcia w Akademii – wykaz uwzględnił tylko brata Bachtina, Nikołaja.

Michaił Michajłowicz wielokrotnie wspominał rok 1916, kiedy opuścił Odessę i zamieszkał w Piotrogradzie, gdzie miał kontynuować edukację. Filozof zapewniał, że zakończył ją w 1918 roku, ale i tu nie ma dowodów potwierdzających te konstatacje. Nikt nie widział również jego dyplomu akademickiego. Wszystko wskazywałoby więc na to, że cierpiący na dolegliwe bóle młodzienc zmyślił swoją przygodę ze studiami uniwersyteckimi. Tej wykładni przeczą jednak liczne wypowiedzi zarejestrowane na taśmie magnetofonowej przez Duwakina. Bachtin

przywodzi różne anegdoty z życia akademickiego, które potwierdzają inni studenci uczęszczający do odesskiej i pietrogradzkiej uczelni. Wśród kadry profesorskiej w owym czasie było wielu Polaków, między innymi takie sławy naszej filologii, jak Tadeusz Zieliński czy Stefan Srebrny, oraz filozof i prawnik Leon Petrażycki. Rysowane przez Michaiła Michajłowicza portrety pedagogów doskonale odpowiadają rzeczywistym pierwowzorom.

JĘZYKI BOLSZEWIKÓW

W 1917 roku Lenin i jego towarzysze powołali Radę Komisarzy Ludowych (czyli Tymczasowy Rząd Rosji), zwaną Sownarkomem, i wchodzący w jej skład urzędnicy zaczęli wdrażać swoje pomysły, najczęściej z opłakanym skutkiem. Centralnie sterowana gospodarka doprowadziła młode państwo na skraj katastrofy i już po trzech latach bolszewicy powrócili do elementów kapitalizmu, zwanego NEP-em. Równie spektakularną klęskę poniosły koncepcje społeczne. Stojąca na czele Żenodziełu, czyli ministerstwa kobiet, Aleksandra Kołłataj postanowiła uczynić z Kraju Rad ojczyznę wolnej miłości. Jednak w połowie lat dwudziestych Władimir Iljicz ogłosił ostateczne zwycięstwo rewolucji. Śmiałe przemiany kulturowe stały się co najmniej *passé* i w ZSRR zagościł czerwony purytanizm. Niemniej jednak nie wszystkie nowatorskie koncepcje spaliły na panewce. Jedną z idei z powodzeniem rozwijanych przez dziesięciolecia okazała się socjalizacja narodów. Czerpała ona z ówczesnych prac socjologicznych i językoznawczych i miała na celu stworzenie wspólnoty ludzi zamieszkujących Kraj Rad. Bolszewiccy naukowcy doszli do wniosku, że elementem spajającym dziesiątki nacji będzie nowa komunistyczna kultura. Narzędziem rozpowszechniania jej treści miały się stać środki masowego przekazu – prasa, radio, książka i plakat oraz coraz popularniejsze kino. Problem polegał na tym, że nie wszystkie podbite narody znały rosyjski. Ponadto niektóre nacje nie miały własnego pisma i tym samym – swojej literatury. Ta zaś, zdaniem komunistów, była niezbędnym warunkiem powstania inteligencji. Bez niej nie można było rządzić pozostałą, mniej wykształconą ludnością. W przypadku Ukraińców sprawa była prosta – przedstawiciele tego narodu w większości mówili po rosyjsku, mieli też własną literaturę i elity intelektualne. Należało więc za pośrednictwem środków masowego przekazu wsączać w ich umysły komunistyczne treści. Zupełnie inaczej było z Mordwinami. Narody te, zamieszkujące okolice Wołgi i mające swoją stolicę w Sarańsku, wytworzyły języki (blisko spokrewnione z fińskim), zwane między innymi erzja i moksza, nie miały jednak własnego pisma; nieco podobna sytuacja była u Tatarów, którzy utrwalali na papierze jedynie zagadnienia handlowe. Tak więc w przypadku mieszkańców centralnego i południowego dorzecza Wołgi należało szybko stworzyć narodową literaturę. Bolszewicy postanowili rozwiązać ten problem

następująco: wyszukano miejscowych, którzy przejawiali talenty literackie, i zlecono im pisanie książek. Następnie radzieccy tłumacze przełożyli te na ogół słabej jakości teksty na rosyjski. Zezwolono im wnieść podczas prac translatorskich tyle poprawek, ile uznają za słuszne. Kolejni wybitni tłumacze otrzymane manuskrypty przełożyli ponownie na języki mieszkańców Nadwołża. I tak oto w latach dwudziestych rodziła się literatura wielu narodów ZSRR. Na tym jednak nie koniec. Im głębiej na wschód, tym więcej mnożyło się problemów. Dla rdzennych mieszkańców Syberii radzieccy językoznawcy opracowali od podstaw całe abecadło i gramatykę. W ten sposób powstało na przykład pismo języka czukockiego, które oparto na alfabecie łacińskim (dziś używa go około pięciu tysięcy Czukczów), oraz stworzono cyrylicą zapis eweńskiego (posługuje się nim do 20 tysięcy Ewenów). Nowe władze były niezwykle pragmatyczne i uznały, że niektóre języki można rozwijać tylko w ramach określonych dyscyplin. Zgodnie z tą konstatacją tadżycki bądź kazachski musiały posiadać odpowiednie słownictwo z zakresu zoologii, gdyż pasterskie społeczności w środkowej Azji potrzebowały weterynarzy. Inaczej było w przypadku fizyki czy matematyki. Młodzi ludzie, którzy wykazywali zdolności w tych dyscyplinach, szybko wyjeżdżali z Duszambe czy Akmolińska i prędzej czy później trafiali do Moskwy bądź Leningradu. W związku z tym nie tworzone w językach środkowoazjatyckich specjalistycznego słownictwa z zakresu nauk ścisłych.

Czy Michaił Bachtin brał udział w tych pracach, trudno stwierdzić. Nigdy wprost nie odniósł się do socjalizacji narodów, mimo to wiele faktów z jego biografii zdaje się wskazywać, że mógł mieć z tym coś wspólnego. Zanim jednak rozpoczął współpracę z teoretykami literatury i językoznawcami, doświadczył głodu. Nie miał fachu w ręku, nie mógł z dnia na dzień przedzierać się w stolarza czy rzeźnika i musiał opuścić Piotrogród. W 1918 roku przeniósł się do znajdującego się dziś nieopodal granicy z Białorusią Newła i otrzymał posadę nauczyciela w szkole zawodowej. W tym prowincjonalnym mieście znalazło się kilku innych uciekinierów z dużych centrów akademickich Rosji i zawiązało się koło intelektualistów, którego nieformalnym przewodniczącym został właśnie Michaił Michajłowicz. „Do aresztowania – stwierdza autor książki *Wołoszynow, Bachtin i lingwistyka* Władimir Ałpatow – atmosferę życia filozofa kształtowały wielogodzinne spotkania w wąskim gronie bliskich osób, osnute papierosowym dymem i poświęcone światowym zagadnieniom”. Grupę ludzi, którzy gromadzili się wokół myśliciela, zaczęto zaś określać mianem kręgu Bachtina.

W 1920 roku Michaił Michajłowicz przeniósł się do Witebska i podjął pracę w „zawodowej szkole muzycznej”, gdzie prowadził zajęcia z estetyki i filozofii muzyki. W nowym miejscu żyło mu się dużo łatwiej niż w ogarniętym rewolucyjną pożogą Piotrogradzie. I co najważniejsze – nie panował tam głód. Ponadto gród był przesiąknięty religijnością i władze bolszewickie nie miały w nim aż tak wielkich

wpływów jak w małym i bardziej jednorodnym Newlu. W Witebsku od czasów Jagiellonów katolicy koegzystowali z prawosławnymi. Ramię w ramię z chrześcijanami żyli też przedstawiciele diaspory żydowskiej. Atmosfera tolerancji i względnego dostatku sprawiała, że miasto stało się schronieniem dla wielu rosyjskich naukowców i artystów. Oprócz Bachtina przybyli tu teatrolog i językoznawca Paweł Nikołajewicz Miedwiediew czy muzykolog i przyjaciel Szostakowicza, Iwan Iwanowicz Sollertinskij. Zawitali także filharmonicy z wygłodzonego Piotrogradu oraz malarze z Markiem Chagalem i Kazimierzem Malewiczem na czele. Intelktualna elita spotykała się w kawiarniach i swoim zwyczajem rozprawiała o aktualnych wydarzeniach politycznych i kulturalnych. Michaił Michajłowicz szybko stał się czołową postacią tego kręgu. Inicjował spotkania i wygłaszał prelekcje. Na jeden z takich wykładów przyszła gimnazjalistka Rachela Mojsiejewna Mirkina. Sposób, w jaki filozof mówił o książkach, rozbudził w niej pasję do literatury i wraz z koleżankami chadzała na wszystkie odczyty. Zachowało się zdjęcie z takiego wieczoru. Dwudziestosiemioletni Bachtin, ubrany w garnitur, z gładko zaczesanymi do tyłu włosami i przystrzyżoną brodą, siedzi w otoczeniu jedenastu młodych kobiet. Każda z dam niezwykle poważnie spogląda w oko obiektywu. W gronie wielbicielek znalazła się również przyszła żona myśliciela, Jelena Aleksandrowna Okołowicz.

W 1924 roku Michaił Michajłowicz opuścił Witebsk i na zaproszenie przyjaciela powrócił do Leningradu (26 stycznia 1924 roku Piotrogród przemianowano na cześć wodza rewolucji). Tam kontynuował prace nad książką poświęconą twórczości Fiodora Dostojewskiego oraz swoim zwyczajem co tydzień prowadził otwarte wykłady poświęcone teorii kultury. Podczas jednego z wystąpień odnalazła go wielbicielka z Witebska, Rachela Mojsiejewna. Od tej pory dziewczyna regularnie spisywała referaty swojego mistrza, notując przy okazji liczne fakty związane z jego życiorysem. Jej zapiski okazały się nieocenione dla biografów, tym bardziej że filozof zdawał się nie przywiązywać znaczenia do autorstwa swoich publikacji. W niektórych przypadkach ta maniera mogła być działaniem celowym. Obecnie uważa się, że książka *Marksizm i freudyzm* – wydana w 1927 roku i zaliczona do dorobku lingwisty Walentina Nikołajewicza Wołoszynowa – została napisana przez Bachtina. Argumenty potwierdzające tę tezę pojawiły się na początku lat siedemdziesiątych. Wówczas modne były naukowe pielgrzymki do sędziwego Michaiła Michajłowicza, który dożywał swoich dni w blasku przynależnej mu sławy. Jednym z takich pątników był radziecki teoretyk literatury Siergiej Georgijewicz Boczarow. Badacz zaproszony do gabinetu filozofa zatrzymał się przed biblioteczką i wyciągnął z niej rzekome dzieło Wołoszynowa. Dostrzegła to żona myśliciela i zwróciła się do męża: „Pamiętasz, Miszeńka, jak dyktowałeś ją Walentinowi Nikołajewiczowi na dacy w Finlandii?”. Wśród historyków są tacy, którzy idą dalej i twierdzą, że Wołoszynow

to tylko pseudonim zdolnego badacza. Dowodzą też, że proceder cedowania autorstwa na innych był właściwy dla sowieckich językoznawców i tłumaczy, którzy „przemysłowo” pisali literatury narodowe. Analogiczne wnioski wysnuwają specjaliści co do publikacji *Metody formalnej w literaturoznawstwie*. Do lat osiemdziesiątych uważano, że jej autorem jest Miedwiediew. Dziś dominuje przekonanie, że także tę książkę napisał Bachtin. Co ciekawe, to oficjalny autor tej publikacji ściągnął filozofa z Witebska do Leningradu. Ponadto był zatrudniony w Instytucie Języków Zachodu i Wschodu, gdzie prowadzono nowatorskie badania lingwistyczne. Konceptcje te wykorzystywano zaś podczas socjalizacji.

W Leningradzie Bachtin nie mógł żyć bez spotkań, wieczornych dysput i grona wielbiących go słuchaczy, o których nigdy nie musiał zabiegać. Był erudytą i nowatorskie poglądy umiał zilustrować błyskotliwymi przykładami. Ponadto nie stronił od krytycznych opinii na temat bolszewików. W połowie lat dwudziestych, czyli w przededniu komunistycznego zamordyzmu, wielu narzekało na nowe władze, ale tylko nieliczni, tak jak Michaił Michajłowicz, wyrażali to wprost. Ze względu na odwagę głoszenia własnych sądów myśliciel szybko stał się obiektem zainteresowania czerwonych aparatczyków. Uwagę służb wzbudziły także dwa fakty z jego prywatnego życia. Po pierwsze, brat Bachtina, Nikołaj Michajłowicz, podczas rewolucji opowiedział się po stronie „białych” i walczył u generała Wrangla, a po zwycięstwie „czerwonych” wyemigrował do Francji. Po drugie, badacz otwarcie deklarował wiarę w Boga, co dla komunistów było jednoznaczne ze wspieraniem obalonego systemu.

Michaił Michajłowicz zdawał się jednak nie dbać o swoje bezpieczeństwo i rozpoczął współpracę z kolejnymi kołami filozoficzno-religijnymi. Oprócz Zmartwychwstania, nazywanego również Niedzielą (te wyrazy w języku rosyjskim różni jedna litera: zmartwychwstanie – *воскресение*; niedziela – *воскресенье*), udzielał się w podziemnej organizacji Chelfernak (akronim rosyjskiej nazwy Artystyczna Filozoficzno-Religijno-Literacka Akademia), przemianowanej później na Bractwo Serafima Sarowskiego. Patron tego świeckiego zakonu był jednym z tak zwanych starców, których kościół prawosławny do dziś uznaje za świętych. Bractwo rychło dostało się na listę podejrzanych organizacji i czerwoni śledczy, którzy prowadzili już sprawę Zmartwychwstania, postanowili za jednym zamachem rozprawić się także z miłośnikami świętego z Sarowa. W skierowanym przeciw nim akcie oskarżenia, oprócz groteskowego obwiniania o działalność antypaństwową, znalazły się następujące zarzuty:

W 1927 roku D.S. Lichaczew [historyk literatury i kulturoznawca – przyp. aut.], P. Moszkow [wykładowca akademicki, były oficer – przyp. aut.] i jeszcze kilku członków Bractwa Serafima Sarowskiego stworzyli koło nazwane Kosmiczną Akademią Nauk (KAN). Lichaczew ostatecznie przekonywał, że działalność KAN była wyłącznie żartobliwa. Jednakże jak wskazuje się w akcie oskarżenia, KAN zajmowała się między

innymi zagadnieniami politycznymi. Moszkow w wykładzie o dominacji Żydów w Rosji zrównywał władze rad z władzą kahału [gmina żydowska – przyp. aut.] i przekonywał, że współczesne sowiety [rady – przyp. aut.] nie są rosyjskie, lecz żydowskie, a rewolucja jest próbą dowiedzenia przez Żydów, jak wielkie mają znaczenie w Europie.

Czy pod koniec lat dwudziestych XX wieku Bachtin podzielał poglądy towarzyszy z bractwa, nie wiadomo. Myśliciel, który do końca swoich dni nosił przy sobie wizerunek Serafima z Sarowa, rzadko poruszał tak zwaną kwestię żydowską. Dopiero w latach sześćdziesiątych, i to pośrednio, odniósł się do tego zagadnienia. Stało się to podczas rozmowy z Wadimem Walerianowiczem Kożynowem. Radziecki krytyk literacki spytał Bachtina, dlaczego rekomenduje lekturę dzieł pisarza i filozofa Wasilija Rozanowa, który wielokrotnie dał się poznać jako zapalczywy antysemita. Wówczas Michaił Michajłowicz odpowiedział:

Cóż zrobić, ale tak właśnie myśleli i pisali właściwie wszyscy wielcy pisarze i myśliciele Rosji, począwszy od Puszkina, Lermontowa, Gogoła czy Kirjewa, Aksakowa i innych.

CZAS KARNAWAŁU

W grudniu 1928 roku Bachtina zatrzymano w sprawie Zmartwychwstania i osadzono w areszcie. W zamknięciu dało o sobie znać dręczące go zapalenie kości. Ból był trudny do zniesienia, filozof nie mógł chodzić, a kontakt z nim stał się wyraźnie utrudniony. W tej sytuacji władze postanowiły zamienić mu kazamaty na areszt domowy. Pod kluczem Michaił Michajłowicz przebywał następne pół roku i 22 lipca dotarł do niego druzgocący wyrok – dziesięć lat obozu karnego na Wyspach Sołowieckich. Przy jego stanie zdrowia już miesiąc pobytu w takim miejscu groził śmiercią. Bliscy filozofa poruszyli niebo i ziemię, żeby złagodzić orzeczenie sądu. Trudno jednak było coś wskórać. Bachtina, podobnie jak pozostałych skazanych, okrzyknięto wrogiem narodu. A dla takich pasożytów młoda władza przewidywała najcięższe gułagi. Mimo to żona myśliciela nie dawała za wygraną i słała do sowieckich decydentów pismo za pismem. Jej desperackie działania zbiegły się z publikacją książki Bachtina *Problemy poetyki Dostojewskiego*. Nie było wątpliwości, że oto ukazało się dzieło wybitne. „W pierwszej części – Michaił Michajłowicz zwyczajem naukowców pisze o sobie w liczbie mnogiej – podajemy ogólną charakterystykę nowego gatunku powieści, który stworzył Dostojewski. W drugiej zaś szczegółowo rozpatrujemy naszą tezę na podstawie analiz słowa i jego artystyczno-społecznych funkcji [...]”. Zamieszczone w książce przemyślenia wywarły wielkie wrażenie na ówczesnych intelektualistach i wpływowi pisarze – Maksym Gorki i Aleksiej Tołstoj – oraz ludowy komisarz oświaty Anatolij Łunaczarski wystosowali petycje o łaskę dla Bachtina. Równolegle ukazały się w prasie artykuły gloryfikujące jego koncepcje. Wyjątkowo rzadko zdarza się –

pisano o autorze *Problemów poetyki Dostojewskiego* – że ktoś, tak jak on, dokonuje odkrycia nowego gatunku literackiego. Stalin, który uważał się za wielkiego znawcę i miłośnika książek (jedną z jego ulubionych powieści był *Faraon* Bolesława Prusa), liczył się z opinią Łunaczarskiego. Jak głosi plotka, życzliwa Bachtinowi recenzja autorstwa tego krytyka („Nowyj Mir”, 1929, nr 10) sprawiła, że Krwawy Gruzin osobiście interweniował w sprawie filozofa i nieoczekiwanie członek Zmartwychwstania i sympatyk Bractwa Serafima Sarowskiego otrzymał list z sądu. Znajdowała się w nim odpowiedź na jego prośbę o zmniejszenie wyroku – zamiast dekady na nieludzkiej ziemi miał spędzić pięć lat w kazachskim Kustanaju.

Miejsce, do którego trafił, od wielu lat stanowiło ważny etap transportu skazańców z południowych rejonów imperium. Wspomina o tym między innymi Aleksandr Sołżenicyn w *Archipelagu Gułag*, przywołując scenę przewożenia więźniów z Czeczenii. Bachtin nie podzielił jednak losu tych nieszczęśników. Kustanaj okazał się dla niego niezwykle łaskawy i nie musiał tam pracować fizycznie. Został zatrudniony jako buchalter i przez kolejnych pięć lat wiódł spokojny żywot naukowca. Aktywność zawodowa nie absorbowowała go zbyt, dlatego po godzinach zasiadał za biurkiem i otoczony książkami pisał swoje bodaj największe dzieło – analizę twórczości François Rabelais’go. Dowodził w nim, że jednym z kluczowych czynników sprzyjających rozwojowi powieści tego renesansowego literata jest karnawał. Zjawisko to pojmował szerzej niż tylko jako okres zabaw i balów trwający od Święta Trzech Króli do Wielkiego Postu. Dla myśliciela był to czas zawieszania powszechnie obowiązujących zasad prawnych czy moralnych, kiedy to błazen staje się królem, a dama – chłopką. To pomieszanie z poplątaniem sprawiło, że słowa młodzieńca w stroju Arlekina mogły być równie dobrze wypowiedzią mieszczanina i wielkiego pana. I tak oto odarte z powagi, zamaskowane zdanie według myśliciela ożywało. Narodziny słowa były zaś nie tylko wyznacznikiem wielkiej literatury, lecz także cechą wolnych i nieskrępowanych kultur. Kontynuatorzy filozofii Michaiła Michajłowicza odczytali tę konstatację jako wyraz sprzeciwu wobec skostniałej dyktatury. Niemniej sam teoretyk literatury nie posunął się w interpretacjach tak daleko i poprzestał na analizie światów renesansowej Europy.

Długie wakacje twórcze Michaiła Bachtina zbliżały się ku końcowi. Czy jednak radzieckie władze, ogarnięte manią inżynierii społecznej, mogły na tyle lat zapomnieć o genialnym humaniście? Sam filozof nie wspomina, żeby ktoś z centrali miał się z nim kontaktować. Pozostałe nieliczne relacje dotyczące jego pobytu w Kustanaju są autorstwa kolegów z pracy. Dominują tu świadectwa podkreślające koleżeństwo i wielką erudycję Michaiła Michajłowicza. Biografowie nie znaleźli w nich jednak odpowiedzi na pytanie, czy myśliciel zaangażował się w prace nad socjalizacją kazachskiej ludności.

W 1936 roku minął okres zesłania i Bachtinowie na zaproszenie przyjaciela

z czasów leningradzkich, Gieorgija Pietrowa, przybyli do Sarańska. Tam dzięki protekcji znajomego, który pełnił funkcję dziekana Wydziału Historyczno-Filologicznego na Mordwińskim Państwowym Uniwersytecie Pedagogicznym, Bachtin objął stanowisko nauczyciela akademickiego. Zaczynała się wówczas wielka czystka i wiatr stalinowskich zmian wdarł się także do sarańskiej uczelni. Zmiotł ze stanowiska Pietrowa i filozof stracił protektora. Bezbronny, mógł tylko obserwować, jak wokół niego zaciska się pętla. Na początku 1937 roku rada uczelni zaleciła zwolnienie Bachtina ze stanowiska akademickiego. Argumentowano to jego „kontrewolucyjną przeszłością” (na marginesie: nikomu nie przeszkadzało, że nie miał dyplomu ukończenia studiów). Wówczas Michaił Michajłowicz napisał podanie do następcy Pietrowa, profesora Antonowa, z prośbą o rozwiązanie z nim umowy o pracę, co umotywował nawrotem choroby. Przełożony nie odniósł się do listu i 5 czerwca 1937 roku wydał zarządzenie, w którym zwolnił filozofa za „promowanie burżuazyjnego obiektywizmu podczas wykładów z literatury powszechnej”. Taka etykieta najczęściej była uwerturą do dalszych represji. Linia życia myśliciela wiodła jednak w poprzek losów zwykłych śmiertelników. Tuż po ukazaniu się zarządzenia Antonow otrzymał pismo z NKWD, w którym zalecano mu wstrzymanie się z wydalaniem Bachtina. Służby najprawdopodobniej zamierzały sprokurować dużą sprawę, której osiłą mógł stać się niepokorny humanista. Nieoczekiwanie dziekan nie posłuchał życzliwej rady enkawudzistów i rozstał się ze swoim pracownikiem. Nie dość tego, dopilnował, aby ten niezwłocznie opuścił Sarańsk. Za ten czyn został zwolniony z funkcji szefa wydziału. Wiadomo też, że równoległe do tych wydarzeń trzech profesorów mordwińskiej uczelni i twórców łaćńskiego alfabetu w języku erzja – Sumajew, Abuzow i Rjabow – otrzymało nagany za „odchylenia prawicowo-nacjonalistyczne” i trafiło za kraty.

Bachtinowie, opuściwszy Sarańsk, udali się do Kimr oddalonych o sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Moskwy, gdzie filozof bez trudu znalazł pracę nauczyciela języka niemieckiego w gimnazjum. Ze względu na dręczące go zapalenie kości nie mógł jednak sprostać obowiązkom zawodowym. Problemy zdrowotne pociągnęły za sobą dalsze kłopoty. Małżonkowie nie mieli pieniędzy i po raz wtóry zaczęli głodować. Ich sąsiadka, Zoja Nikołajewna Baburina, wspomina, że „Michaił Michajłowicz jeszcze jakoś się trzymał, ale na Lenę [Jelenę, żonę filozofa – przyp. aut.] żal było patrzeć, twarz, ręce, nogi – wszystko było opuchnięte od głodu”. Gdyby nie pomoc ludzi mieszkających w pobliżu – zaświadcza Baburina – groziłaby im śmierć. Sytuacja wymagała radykalnych rozwiązań, tym bardziej że choroba Bachtina zaczęła zagrażać jego życiu. Miejscowy lekarz, o którym w wywiadzie udzielonym Duwakinowi filozof wypowiedział się niezwykle przyjaźnie, zdecydował o amputacji nogi. Po ucięciu kończyny rekonwalescencja postępowała szybko i Michaił Michajłowicz wrócił do pracy. Lekcje w szkole przynosiły mu dochód nieco

wyższy niż ówczesna średnia płaca. Jak wynika z ocalałych dokumentów księgowych, otrzymywał 400 rubli. W 1940 roku w ZSRR kilogram żytniego chleba kosztował około jednego rubla, a porcja wołowiny o takiej samej wadze była warta nie mniej niż dwanaście rubli. Zabezpieczywszy byt sobie i swojej małżonce, Bachtin z zapalem zabrał się do pracy naukowej. W Kimrach kontynuował pisanie książki o Rabelais'm i przygotowywał hasła do powstającej radzieckiej encyklopedii literatury (między innymi o satyrze).

Pobyt w Kimrach również obfituje w tak charakterystyczne dla biografii myśliciela tajemnice i białe plamy. W tekstach autobiograficznych Bachtin wielokrotnie podkreślał, że jesienią 1941 roku zrezygnował z pracy w ilińskiej szkole i przeszedł do Szkoły nr 39 przy jarosławskiej linii kolejowej. Jak wynika z akt zgromadzonych w miejskim archiwum, zwolniono go z pracy. Czym motywowano tę decyzję – nie sposób ustalić. Rozpoczęła się wojna między ZSRR a nazistowskimi Niemcami i można podejrzewać, że dyrektor gimnazjum nieprzychylnym okiem patrzył na „kontrrewolucyjną przeszłość” swojego pracownika. Ponadto na fali nienawiści do agresora atakowano wszystko, co miało jakikolwiek związek z hitlerowcami. W sytuacji, gdy dochodziło do linczów Niemców nadwołżańskich zamieszkującymi Rosję od wieków, można sobie wyobrazić także akty niechęci wobec Rosjan nauczających języka najeźdźcy. Wiadomo również, że Bachtin w czasie swojego pobytu w Kimrach dwukrotnie jeździł do Moskwy. Według oficjalnej wersji celem tych podróży były prace w stołecznych bibliotekach.

Jesienią 1941 roku niemieckie bombowce urządziły rajd za linię frontu i w centrum Kimr zrzuciły siedem bomb. Nie istniało jednak zagrożenie ciągłymi nalotami, więc w tym trzydziestotysięcznym mieście ulokowano kilka ewakuowanych z Moskwy zakładów, a w szkole, z której uprzednio zwolniono Bachtina, powołano punkt werbunkowy dla okolicznej ludności. Bezpośrednie zagrożenie dało o sobie znać w sylwestra 1941 roku. Wówczas nadleciały faszystowskie samoloty i zrzuciły jedenaście bomb, zwanych przez miejscowych „gościńcem od Hitlera”. Te incydenty nie przeszkodziły Michaiłowi Michajłowiczowi w kontynuowaniu prac naukowych. W 1942 roku zakończył pierwszą wersję książki o karnawalizacji i pisał artykuły do czasopism filozoficznych. Działania te wymagały studiowania literatury i dzięki pomocy znajomych mimo trwającej wojny nieustannie docierały do niego nowe książki.

Na początku 1944 roku, gdy nie było już wątpliwości, że szala zwycięstwa w wojnie między dwoma totalitaryzmami przechyliła się na stronę ZSRR, Bachtin rozpoczął sondowanie, czy mógłby przenieść się do Moskwy. W tym celu wysłał pracę o Rabelais'm do oceny Wyższej Komisji Atestacyjnej, która w Kraju Rad przyznawała stopnie naukowe. Pierwsze recenzje nie były optymistyczne, ale nieoczekiwanie przed naukowcem otworzyła się możliwość ponownego wyjazdu do

Sarańska. Tym razem miał objąć posadę szefa katedry literatury powszechnej. Nie zastanawiał się długo i wraz z żoną ruszył do stolicy Mordwińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Przed podróżą poprosił uczniów o pomoc w pakowaniu. Jedną z gimnazjalistek, Gala Morozowa, wyznała później biografowi myśliciela:

Zapamiętałam zakopcony sufit pokoju (sam pokój był wielki) i książki. Same książki. Zauważyłam, że domowych przedmiotów niemal nie było. Chyba tylko skrzynia. I wszędzie te książki, książki, książki.

OSTATNI ZE SREBRNYCH

W 1946 roku w moskiewskim Instytucie Literatury Powszechnej imienia Gorkiego grono uczonych głów pochyliło się nad rozprawą na stopień kandydata nauk Michaiła Michajłowicza Bachtina pod tytułem *François Rabelais w historii realizmu*. Zamiast zachwytów nad geniuszem autora dało się słyszeć pochrząkiwania wyrażające zakłopotanie. Co świątlejsi członkowie komisji mieli świadomość, że leżąca przed nimi praca przerasta wszystkie dysertacje, które kiedykolwiek oceniali. Recenzenci, profesorowie Smirnow i Nusinow, dali temu wyraz w następującej konstatacji:

Niezręcznie rzecz jasna za taką pracę przyznawać stopień kandydata. Dysertacja oczywiście zasługuje na doktora nauk filologicznych [w radzieckiej nomenklaturze kandydat nauk odpowiadał polskiemu doktorowi, a doktor nauk – doktorowi habilitowanemu – przyp. aut.].

Zanotowano to w protokole i przystąpiono do kolokwium. Wówczas z frontalnym atakiem na pracę i samego Bachtina, który przysiadł w rogu sali, wystąpili uznani filolodzy i członkowie korespondencji Akademii Nauk, profesorowie Piksanow, Brodski i Kirpotin. Krytykowali głównie brak odniesień do marksizmu. Wszyscy trzej oznajmili też, że pracy w całości nie przeczytali. Po tej deklaracji Kirpotin wystąpił z odczytem, w którym zawarł następujące tezy:

W dysertacji nie znajduję głównych założeń politycznych w literaturoznawstwie. Mówią nam, że praca powstała do 1940 roku. Do tego czasu w naszym radzieckim literaturoznawstwie istniały już prace Czernyszewskiego, Bielinskiego, Dobrolubowa, Lenina i Stalina. Ponadto uważam, że badania mają charakter uproszczony. W tej pracy całkowicie wykastrowane jest podejście klasowe do opisywanego materiału i wydarzenia są jedynie gołymi formułami, w które autor wpisuje swoje widzimisię.

Prelegenta poniosły emocje i dodał od siebie:

Za co takie dytyramby i pochwały pod adresem dysertacji? Uważam, że praca jest błędna i nie ma w niej tego, co trzeba.

Spór między naukowcami trwał siedem godzin i w jego trakcie padło wiele emocjonalnych słów. Na koniec oddano głos samemu autorowi. Bachtin swoją przemowę rozpoczął od ustosunkowania się do epitetu wypowiedzianego przez członka komisji, profesora Dżywielegowa:

Aleksiej Karpowicz nazwał mnie obsesyjnym. I ja się z tym zgadzam. Jestem obsesyjnym nowatorem. Możliwe, że małego kalibru i skromnym, ale jednak obsesyjnym nowatorem. A obsesyjnych nowatorów bardzo rzadko się rozumie i nie mniej rzadko spotykają się oni z prawdziwą racjonalną krytyką. W większości przypadków odgradzacie się od nich obojętnością.

Po tej wypowiedzi komisja poprosiła, by Michaił Michajłowicz zgodnie ze zwyczajem wyszedł z sali, i poddała pod głosowanie przyznanie mu stopnia kandydata nauk. Wynik był pozytywny i do Sarańska filozof wrócił jako badacz pełną gębą. Niemniej jednak jego historia z nomenklaturą naukową miała się dopiero rozpocząć. Niebawem w prasie branżowej pojawiły się artykuły kwestionujące zasadność przyznania mu stopnia naukowego. W ZSRR zdanie nobliwego krytyka literackiego mogło nie tylko złamać czyjąś karierę, lecz także sprawić, że nieszczęśnik trafiłby do więzienia; siła literatury w Kraju Rad była isticie diaboliczna. Zażarta krytyka dokonań Bachtina spotkała się z odzewem ze strony jego przyjaciół i do 1952 roku trwały prasowe przepychanki między zwolennikami i przeciwnikami Michaiła Michajłowicza. W efekcie tego zamieszania w 1952 roku kolejny raz powołano komisję do oceny dysertacji i dopiero to ciało ostatecznie zatwierdziło nadany Bachtinowi stopień.

Próbie wejścia do głównego nurtu radzieckiej nauki Bachtin przypłacił zszarganymi nerwami i kolejnymi nawrotami dręczącej go choroby. W zamian prócz najniższego stopnia naukowego nie otrzymał nic. Zrezygnował więc z oficjalnej działalności i porzekał na nielicznych wykładach akademickich. Powrócił też do zwyczajów z młodości. W kłębach papierosowego dymu, otoczony stertami książek i w towarzystwie drzemającego na biurku kota oddawał się lekturze. W połowie lat pięćdziesiątych przeszedł na emeryturę i wraz z żoną zamieszkał w domu starców. Z perspektywy Bachtina nie była to jednak zmiana na gorsze. Miał zapewniony byt, mógł spokojnie pracować, a wieczorami zwykł wygłaszać prelekcje dla pensjonariuszy. Wykładów nikt nie cenzurował i filozof śmiało rozwijał meandry swoich koncepcji.

Wycofanie się Bachtina na margines radzieckiego świata nauki sprzyjało budowaniu jego legendy. W czasach poststalinowskich ścierały się różne racje i już za Chruszczowa nieśmiało dochodziły do głosu koncepcje podkreślające znaczenie tradycji w myśleniu o państwie. Coraz śmieiej przypominano sobie o szlacheckich korzeniach bądź deklarowano wiarę w Boga. A symbolem nowego myślenia stał się właśnie Bachtin. Pod koniec lat pięćdziesiątych wybuchła swego rodzaju moda na Michaiła Michajłowicza. Do domu starców pod Sarańskiem zaczęli przybywać humaniści i naukowcy, którzy mieli dość dominacji komunistycznej wizji świata. Jeden z pierwszych odkrywców Bachtina, teoretyk literatury i krytyk literacki Władimir Nikołajewicz Turbin, wizyty u mistrza nazwał swoistą „emigracją od marksizmu”.

Sława dosięgła filozofa w ostatniej dekadzie życia. Na początku lat sześćdziesiątych czterech prominentnych badaczy literatury, Wadim Kożynow, Siergiej Boczarow, Gieorgij Gaczew i Władimir Turbin, wysłało do Bachtina list, w którym dziękowało za jego wkład w rozwój międzynarodowej humanistyki. Deklaracje te zbiegły się z kolejnym pogorszeniem zdrowia myśliciela. Wówczas dwie młode kobiety, Irina Andropow i Jelena Jermiłowa, dokonały cudu i losy państwa Bachtinów odmieniły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pierwsza z prominentnych dam pracowała w „Młodej Gwardii”. Członkowie redakcji tego czasopisma byli pod wielkim wpływem myśliciela z Sarańska i namówili koleżankę, by wstawiła się za nim u swojego ojca, Jurija Andropowa, który pełnił funkcję szefa KGB. Kochający rodzic sprawił, że Michaił Michajłowicz wraz z małżonką został niezwłocznie przeniesiony z domu starców wprost do kremłowskiego szpitala. Pobyt w najlepszej lecznicy w kraju przyczynił się do szybkiej rekonwalescencji pacjentów. Następnie skasowano ciężący na myślicielu zakaz osiedlania się w stolicy i przyznano mu „mieszkanko”, które okazało się luksusowym dwupokojowym apartamentem w domu stowarzyszeń twórczych. Druga z pań, Jelena Jermiłowa, żona sygnatariusza listu pochwalnego, Kożinowa, była córką niezwykle wpływowego krytyka literackiego, Władimira Władimirowicza Jermiłowa. Namówiła więc swojego ojca, aby wsparł publikację dzieł Bachtina. Ten zrobił nawet więcej, niż oczekiwała, i sprawił, że teksty Bachtina ukazały się także na Zachodzie. Ich druk we Francji zapoczątkował istną bachtinomanie – zwłaszcza środowiska związane z paryską Sorboną zaczytywały się w dziełach radzieckiego myśliciela.

Przez kolejne lata znaczenie spuścizny Bachtina wciąż rosło i niebawem okrzyknięto go genialnym myślicielem, który przerzucił most między współczesnością a tak zwanym srebrnym wiekiem. Ten okres przypadł na przełom dziewiętnastego i dwudziestego stulecia i był bodaj najgenialniejszą epoką w historii Rosji. Działali wówczas literaci Achmatowa i Błok, malarze Chagall i Kandinsky, muzycy Strawiński i Rachmaninow oraz filozofowie Bierdiajew czy Szestow. Michaiła Michajłowicza zwykło się uważać za ich spadkobiercę. Jako ostatni ze srebrnych intelektualistów miał swoje tajemnice, które do dziś czynią go postacią niejednoznaczną i dają podstawy przypuszczać, że nie wszystkie dokonania genialnego humanisty zostały w pełni odkryte.

WYBRANA LITERATURA

1. Ałpatow W., *Wołoszyn, Bachtin i lingwistyka*, Moskwa 2005.
2. Bachtin M.M., *Problemy twórczestwa Dostojewskiego*, Lenigrad 1929.
3. Emerson K., *Ob odnoj postsowieckoj żurnalnoj polemikie*, „Woprosy Litieratury” 2005, 4, <http://magazines.russ.ru/voplit/2005/4/eme1.html> [dostęp: 31.05.2016].
4. Jestifiejewa W.B., *Wospominanija o Bachtinie (pierwoje diesiatiletije w Saranskie), k 100-letiju so dnia*

- rozdzielenija M.M. Bachtina, „Dialog. Karnawał. Chropoton”, 2000, 1, <http://nevmenandr.net/dkx/?y=2000&n=1&abs=ESTIFEEV> [dostęp: 31.05.2016].
5. Klimowa S.M., *Poslednij intielektuał sieniebrannogo wieka*, „Wiestnik Rossijskoj Akademii Nauk”, 2015, 85, 10, s. 940–945.
 6. Korkunow W., „Dacznyje kanikuły” Michaiła Bachtina, „Zarubiežnyje Zapiski”, 2013, 22, <http://magazines.russ.ru/zz/2013/22/9k.html> [dostęp: 31.05.2016].
 7. Korowaszko A.W., *Michaił Bachtin w romanie Konstantina Waginowa „Kozlinaja pieśń”*, „Russkaja Litieratura i Folklor. Litieraturowiedienije”, 2003, 1, s. 29–34.
 8. Mirkina R.M., *Bachtin, kakim ja jego znała*, „Dialog. Karnawał. Chropoton”, 1993, 1/2, s. 93.
 9. Pankowa N.A. (red.), *Iz pieriepiski M.M. Bachtina s W.N. Turbinym (1962–1966)*, „Znamija”, 2005, 7, <http://magazines.russ.ru/znamia/2005/7/ba13.html> [dostęp: 31.05.2016].
 10. Tamarczenko N., *Poetika Bachtina i sowriemiennaja recepcija jego tworiczestwa*, „Woprosy Litieratury”, 2011, 1, [dostęp: 31.05.2016].
 11. Wołkow A.A., *Bachtin kak priedczeta postmodernizma* [zapis wykładu], Suć Wriemieni, 2015, <https://www.youtube.com/watch?v=gMTjxFJ4kis> [dostęp: 31.05.2016].

GWIAZDA MAGICZNEJ STRUNY

WYNALAZEK ZE SNÓW

Wszyscy wiedzieli, że ostatni wychodzi młody Termen. Zaczęły się piotrogrodzkie białe noce i mężczyzna właściwie nie opuszczał instytutu. Po piątej rano gonili go do domu sprzątaczkę. Lew Siergiejewicz zapewniał, że idzie prosto do łóżka i nie pojawi się w pracy przez kilka dni. Dwie przecznice dalej kładł się na kamiennym nabrzeżu lub w jednym z koszów plażowych nad Newą i od razu zasypiał. Po kilkogodzinnej drzemce chyłkiem wracał do laboratorium i znów kreślił na zielonej tablicy elektryczne schematy lub budował skomplikowane ciągi kondensatorów. Żył myślą stworzenia czegoś bez precedensu i nawet nie wiedział, jak mógłby to nazwać. Zgodnie z jego zamysłem urządzeniem tym można by opleść dookoła ukochany kraj. Wystarczy, że wróg zbliży się na określoną odległość, a system go zlokalizuje i powiadomi czerwonoarmistów... Tu zamyślał się, jeszcze kilka miesięcy temu, na początku mroźnego i głodnego 1920 roku, siedział bowiem w areszcie. Śledczy próbowali wymusić na nim przyznanie się do szpiegostwa na rzecz carskich generałów. Na nic się zdały jego zapewnienia, że całym sercem wspiera bolszewików i uważa rewolucję za konieczność dziejową. Na nic relacje z obrony radiostacji w Dietskom Siele. „To ja, Lew Termen, wysadziłem w powietrze maszt, żeby nie wpadł w ręce »białych«!” – wykrzykiwał do pozbawionych emocji funkcjonariuszy. Czuł, że nie ma to dla nich żadnego znaczenia i po prostu im się nie spodobał. Jego burżuazyjne pochodzenie, obycie w świecie czy rozległe wykształcenie kłuły ich w oczy. Obawiał się, że przyjdzie mu, przeżywszy zaledwie dwadzieścia pięć lat, zegnać się ze światem. I wówczas w celi pojawił się jego akademicki nauczyciel, profesor Abram Joffe. Rozwścieczony darł się na żołdaków i miotał pod ich adresem najgorsze przekleństwa. Następnie spojrzał na swego ucznia i pewnie oznajmił: „Szykujcie się, Lwie Siergiejewiczu, nie zostaniecie w tym straszliwym miejscu ani godziny dłużej”. Podeszedł kilka kroków ku aresztantowi i rzekł już swym zwyczajnym, matowym głosem: „Ale będziecie musieli to odpracować w służbie ojczyźnie”. Następnie obrócił się na pięcie i wyszedł. Za drzwiami urządził dziką awanturę naczelnikowi. Między wulgaryzmami dało się słyszeć: „chluba Kraju Rad...”, „nadzieja bolszewików...”, a w końcu – „kulka w łeb takim durniom jak wy”.

Jakiś głos wyrwał Termena z otchłani wspomnień. Ni to kobięcy jęk, ni zwierzęce

wycie. Niewyspany i rozkojarzony Lew Siergiejewicz włożył dłoń w pole magnetyczne między okładkami kondensatora i stworzony przez niego prototyp czujnika alarmowego wydał niesamowity dźwięk. Delikatnie cofnął rękę i głos zmienił się o ton. „Blin” przeklął i się zamyślił. Dla każdego innego badacza byłby to tylko artefakt, czyli niezamierzony szum urządzeń technicznych, ale Termen – jako wykształcony muzyk – dostrzegł w nim coś więcej. Zaintrygowany spróbował samymi ruchami dłoni odegrać gamę. Kondensator okazał się posłusznym instrumentem, wówczas wykonał krótki utwór Glucka. Wyszło niemal idealnie. Z tą tylko różnicą, że zamiast pianina w laboratorium rozbrzmiewały teraz ni to gwizdy maszyny parowej, ni to świsty piły, a momentami dało się słyszeć skrzypce i śpiew operowy.

– Papasza, Papasza! – Termen wybiegł z krzykiem na korytarz. – Wynałazłem coś!

Joffe, którego pracownicy zwali pieszczotliwie „Ojczulkiem”, czyli po rosyjsku właśnie „Papaszą”, wyjrzał z gabinetu.

– Abramie Fiedorowiczu – wysapał młody badacz – chyba stworzyłem nowy instrument.

Prezentacja grającego kondensatora nie na wszystkich zrobiła wrażenie. Koledzy Lwa Siergiejewicza żartowali, że młodzian „gra na woltometrze”, i tylko Joffe umiał należycie ocenić pracę podwładnego. Nakazał mu kontynuować badania nad systemem alarmowym opartym na „czujnych” polach magnetycznych i równolegle szykować się do prezentacji elektrycznego instrumentu.

Termen zabrał się do udoskonalania grającego narzędzia, tak aby mogło przypominać przedmiot codziennego użytku. Kondensatory schował w zgrabnym drewnianym pudełku, dodał pulpit na nuty, a z obudowy wyprowadził antenkę. Przyniesienie w jej stronę ręki powodowało zmianę wysokości dźwięku – teraz swoją barwą przypominał wibrujący ludzki głos. Konstruktor dopracował także zakres pracy i uzyskał cztery oktawy (później rozbudował instrument i otrzymał osiem, czyli więcej niż ma fortepian). Z boku wyprowadził zaś metalowy drut w kształcie wysmukłego „U”. Zbliżanie do niego dłoni powodowało wzmocnienie dźwięku, oddalanie – jego ściszenie. I tak oto powstał eterofon, czyli pierwszy na świecie elektroniczny instrument muzyczny.

Nie tylko Joffe dostrzegł talent Termena i w marcu 1922 roku młody wynalazca otrzymał liścik następującej treści: „Władimir Iljicz chciałby Was posłuchać. Przyjeżdżajcie, proszę, niezwłocznie z aparaturą. Radzę zademonstrować również system alarmowy”. Zaproszenie od wodza rewolucji należało odczytać jako rozkaz i Lew Siergiejewicz wraz z pomocnikiem już następnego dnia przybył do Moskwy. Wczesnym rankiem został wpuszczony na Kreml i rozpoczął przygotowania do prezentacji. „Sygnalizację – wyznał po latach – przymocowałem do dużej wazy z kwiatkiem. Podchodzisz do wazy na pół metra – rozlega się głośny dzwonek”.

Następnie obok fortepianu ustawił eterofon i czekał na Lenina. Ten w towarzystwie dziesięciu urzędników pojawił się około godziny ósmej i od razu zwrócił się do gościa z Piotrogradu: „No, pokazujcie wasze rzeczy!”. Termen włączył elektryczny alarm i poprosił, aby ktoś z zebranych podszedł do wazy. Gdy ochotnik zbliżył się do naczynia, ostro zabrzączał dzwonek. Wówczas jeden z obecnych wykrzyknął, że „wszystko jest całkowicie niewłaściwie!”. Nałożył grubą czapkę, futro oraz rękawiczki i powoli, na paluszkach zaczął podkładać się do sensora. „Okazało się jednak – wspominał Termen – że dźwięk ponownie zabrzmiał i wszyscy znów bili brawo”. Po sygnalizacji nadeszła kolej na eterofon. Po krótkiej prezentacji Lenin zażyczył sobie samodzielnie przetestować urządzenie. Kontakt z najdziwniejszym instrumentem, na jakim kiedykolwiek grał, podsunął Władimirowi Iljiczowi genialny pomysł. „Komunizm – jak sam zwykł mawiać – to władza radziecka plus elektryfikacja całego kraju”. Tworzenie rad można było wyegzekwować siłą, trudniejsze okazało się skłonienie wszystkich mieszkańców ZSRR do zaakceptowania przymusowej industrializacji. Każdy argument, który czyniłby ją bardziej ludzką i tym samym mniej techniczną, był więc na wagę złota. Lenin postanowił zatem posłużyć się Termenem i jego instrumentem do promowania idei elektryfikacji i tak oto rozpoczęła się największa rozrywkowo-edukacyjna trasa koncertowa w historii ZSRR.

AMERICAN DREAM

Lew Siergiejewicz, posłuszny zaleceniom wodza rewolucji, na długie miesiące pozostawił piękną żonę Jekaterinę i z darmowym biletem na pociągi w ZSRR ruszył w *tournée*. Odbył ponad sto pięćdziesiąt koncertów we wszystkich większych miastach kraju, podczas których grał na termenwoksie (tak prasa ochrzciła eterofon), a później prowadził wykłady popularyzatorskie o elektryczności. Sukces był bezdyskusyjny. Instrument wydawał przejmujące, śpiewne dźwięki, a ponadto umożliwiał odtworzenie najpopularniejszych utworów muzycznych. Co najważniejsze jednak – grało się na nim za pomocą ruchów rąk, bez dotykania jakiegokolwiek części urządzenia. Przywodziło to na myśl dyrygowanie orkiestrą bądź seans magii, kiedy to czarodziej robi swoje hokus-pokus.

Po powrocie do Piotrogradu Termen ponownie przedzierzgnął się w naukowca. Tu spotkało go niepowodzenie. Dowiedział się, że jego system alarmowy wykorzystano tylko na Kremlu i ze względów ekonomicznych nie zostanie użyty do strzeżenia rubieży Kraju Rad. Uzbrojony człowiek, przemierzający granice tego największego państwa na świecie, niezmiennie był i jest rozwiązaniem najtańszym. Mimo to Lew Siergiejewicz podjął się kolejnego zadania i w ramach pracy dyplomowej (wciąż nie miał świadectwa ukończenia studiów) opracował narzędzie do przekazywania

obrazów. Stworzony przez niego model telewizji był jednym z pierwszych na świecie i zawierał kilka rozwiązań, które czyniły go unikatowym. Po pierwsze, umożliwiał przekazywanie obrazu w czasie rzeczywistym w dzień i bez doświetlenia rejestrowanego przedmiotu, po drugie, dzięki technologii wirujących luster i rzutnika można było wysłać przechwycony wizerunek na duży ekran. W nielicznych systemach telewizyjnych, które powstały w latach dwudziestych, najczęściej stosowano monitorki wielkości paczki papierosów, o rozdzielczości 64 komórek selenowych (dziś powiedzielibyśmy – pikseli). Na tym polu rozwiązanie wychowanka Joffego nie miało sobie równych.

W czerwcu 1927 roku radzieccy wojskowi zaprosili Termena do Moskwy i nakazali mu zaprezentować wynalazek. Naukowiec zainstalował rejestrator u wrót Kremla, a w odległym o kilometr Ministerstwie Obrony ustawił ekran. Przed odbiornikiem zasiedli gładkolicy Michaił Tuchaczewski oraz dwaj wåsacze Klimient Woroszyłow i Siemion Budionny. Lew Siergiejewicz włączył zasilanie i oczom zgromadzonych ukazała się brama moskiewskiego pałacu. Jak głosi legenda, w oku kamery pojawiła się niebawem postać, która wywołała niezwykle poruszenie wśród widzów. „Z zachwytem, ale i przerażeniem – stwierdza Jurij Rewicz, autor opracowania poświęconego Termenowi – obserwowali Stalina idącego przez kremłowski dziedziniec. Można było nawet rozróżnić wąsy i fajkę”. Niestety, także i tym razem dzieła naukowca nie wprowadzono do seryjnej produkcji. Objęto je klauzulą „ściśle tajne” i słuch o nim zaginął. Plotka głosi, że generałowie obawiali się, iż Stalin zechce użyć telewizji do inwigilacji partyjnych oponentów.

Nieoczekiwanie przed Lwem Siergiejewiczem pojawiły się nowe perspektywy. Niedoceniony jako innowator został zaproszony do grona sowieckich artystów reprezentujących Kraj Rad na festiwalach i wystawach organizowanych w Europie Zachodniej. Decydenci mieli nadzieję, że uda mu się wypromować przyjazne i nowoczesne oblicze ZSRR i tym samym skłonić burżujów do współpracy z bolszewikami. Termen jak mało kto sprawdził się w roli ambasadora swojej ojczyzny. Pierwszy z koncertów – berliński – stał się wielkim sukcesem i stanowił zapowiedź spektakularnego *tournée* po Starym Kontynencie. Kolejne miasta – Hamburg, Paryż i Londyn – jeszcze entuzjastyczniej witały Rosjanina. Nagłówki francuskich i angielskich gazet krzyczały: „Prawdziwa rewolucja w muzyce!”, „Sowiecki geniusz!”, „Cudo przyrody!”. Jeszcze nigdy w historii znamienitej paryskiej Opéry Garnier nie zdarzyło się, że główną scenę przekazano na cały tydzień wykonawcy nieznanemu szerszej publiczności. Ale już premierowy występ zagadkowego Rosjanina utwierdził impresariów w słuszności tej decyzji i sprzedawano bilety nawet na miejsca stojące w łozach.

Gdy Termen podbijał Europę, „Papasza” Joffe negocjował w Stanach Zjednoczonych zakup nowych technologii dla instytutu. Podczas licznych spotkań

zachwalał także swojego pracownika i opowiadał o jego instrumencie muzycznym oraz systemach alarmowym i telewizyjnym. Zaintrygowani Amerykanie postanowili zaprosić Lwa Siergiejewicza. Ludowy komisarz oświaty Anatolij Wasiljewicz Łunaczarski odwołał więc Termena do Moskwy i zalecił mu wyjazd do Ameryki. Następnie z Lwem Siergiejewiczem przeprowadził rozmowę ktoś z Razwiedupra (czyli wywiadu zagranicznego) i przekazał tajne zalecenia. Nie udało się jednak ustalić, czego dotyczyły. Przygotowany przez dwóch komisarzy Termen wraz z żoną w grudniu 1927 roku wsiadł na pokład radzieckiego liniowca Majestatyczny i ruszył na podbój Nowego Kontynentu. W podróży towarzyszyli mu amerykańscy dziennikarze, którzy zapragnęli jako pierwsi wysłuchać termenwoks. Po koncercie odegranym na środku Atlantyku zachwyтом nie było końca i tylko słynny węgierski skrzypek József Szigeti, który również płynął na statku, boczył się, że Rosjanin odebrał mu wielbicieli.

W styczniu 1928 roku Termen rozpoczął cykl koncertów w USA. Początkowo wystąpienia cieszyły się niezwykłą popularnością, ale amerykańska publiczność okazała się bardziej krytyczna niż europejska. Termenwoks należy do grupy najtrudniejszych instrumentów. Nie ma klawiszy, pedałów i nie da się na nim grać na pamięć. Ponadto muzyk od stóp do głów jest niejako złączony z narzędziem. Dźwięk wywołuje nie tylko ruch ręki, lecz także nabranie powietrza czy ruch głową. Gdy minęło więc pierwsze zauroczenie, zaczęto zarzucać Rosjaninowi techniczne niedostatki i wytykano fałszywe nuty. Muzyk – świadomy swych ograniczeń – rozpoczął poszukiwania zdolniejszego od siebie artysty, który mógłby go zastąpić podczas występów. Czas wolny od koncertów poświęcił na robienie interesów. Amerykańskim firmom za sto tysięcy dolarów odsprzedał prawa do produkcji termenwoks. Zaprojektował systemy alarmowe dla najsłynniejszego więzienia świata Alcatraz i zakładu karnego o zaostrowym rygorze Sing Sing. Jego urządzenia telewizyjne zastosowano także w skarbcu narodowym Ameryki, znajdującym się w Fort Knox. Według jednych to dzięki rządowym kontraktom Termen niezwykle się wzbogacił i w efekcie został zaliczony do grona najbogatszych ludzi świata oraz wstąpił do USA Millionaire's Club. Według innych olbrzymie pieniądze, którymi obracał, pochodziły w dużej mierze ze środków radzieckiego wywiadu.

Fortuna, talent i nietuzinkowa osobowość Termena sprawiły, że Rosjanin przeistoczył się w amerykańskiego celebrytę i nawiązał znajomości z możliwymi ówczesnego świata, takimi jak John D. Rockefeller, Henry Ford czy przyszły prezydent USA Dwight Eisenhower. Z wieloma z nich utrzymywał relacje przyjacielskie i w jego sześciopiętrowym domu, który wynajmował na Manhattanie, bywali Charlie Chaplin i Albert Einstein. W trakcie pobytu w Ameryce Lwu Siergiejewiczowi przydarzyło się także kilka *love affairs*. Rosjanin był niezwykle wrażliwy na urodę kobiet, ale z żelazną determinacją starał się dochowować

wierności żonie. Mimo to los sprawiał, że u jego boku co rusz pojawiała się nowa miłość. Okres bujnych romansów rozpoczął się pół roku po przybyciu do Stanów. Wówczas żona Jekaterina oznajmiła, że się zakochała, i poprosiła męża o rozwód. Termen wahał się, ale do podjęcia ostatecznej decyzji przymusiły go służby wywiadowcze. Kochanek Jekateriny był działaczem faszystowskiej organizacji i panowie w szarych kapeluszach (radzieccy szpiedzy przywdziewali jednakowe stroje) zażądali podpisania papierów rozwodowych. Rozstanie przysporzyło Rosjaninowi niemało cierpień. Swym zwyczajem zaszył się w wielkim nowojorskim domu i oddał konstruowaniu nowych wynalazków. Odosobnienie nie trwało długo, gdyż niebawem poznał osiemnastoletnią Polkę żydowskiego pochodzenia, Klarę Reisenberg [Litwini przypisują artystce narodowość litewską – przyp. red.]. We wczesnym dzieciństwie okrzyknięto ją geniuszem skrzypiec, jednak z przetrenowania bądź niedożywienia zachorowała i straciła siłę w lewej ręce. Dla instrumentu Paganiniego była zatem stracona. Zrozpaczona postanowiła opuścić ojczyznę i udała się do Ameryki. Tam poznała Lwa Siergiejewicza, który przekonał ją do powrotu na scenę. Termenwoks – argumentował – jest idealny dla kogoś takiego jak Klara. Wymaga słuchu absolutnego i wyczucia muzyki, a przy tym gra się na nim bez użycia siły, jedynie muskając powietrze. Dziewczyna zgodziła się spróbować i efekt okazał się oszałamiający. Pierwszy występ rzucił na kolana sale koncertowe Nowego Jorku i para zaplanowała wielką trasę koncertową. Podczas niej nawiązała się intymna relacja między nauczycielem a uczennicą. Termen zaangażował się w związek z Polką i obdarzał ją nietuzinkowymi prezentami. Jednym z nich był tort, który śpiewał, świecił i sam zapalał świece. Konstruktor był gotów także wstąpić w związek małżeński, ale panna Klara oświadczyła zakochanemu mężczyźnie, że odchodzi z impresario Robertem Rockmorem.

POŻEGNANIE Z WUJKIEM SAMEM...

W podrzędym barze gdzieś na obrzeżach Nowego Jorku od lat co tydzień spotykali się trzej mężczyźni. Pierwszy z nich, elegancki czterdziestolatek, zawsze przychodził sam. Siadał za stolikiem w najciemniejszym kącie, nic nie zamawiał i czekał. Po kwadransie do lokalu wkraczało dwóch identycznie ubranych typków o bliżej niezidentyfikowanej urodzie. Ich twarze zasłaniały szare kapelusze, a przed spojrzeniami chroniły postawione na sztorc kołnierze płaszczy. Szli wprost do gościa w garniturze i siadali przy jego stoliku. Zamawiali whisky, nalewali pełną szklankę i bez słowa podsuwali towarzyszowi bursztynowy trunek. Ten wypijał go duszkiem. Wówczas ponownie napełniali musztardówkę i mężczyzna, nie mrugnawszy okiem, po raz wtóry wlewał w siebie palący płyn. Później wszyscy trzej pochyłali się nad stołem i szeptali coś w niezrozumiałym dla barmana języku. Po pół godzinie

spotkanie się kończyło. Najpierw wychodzili kapelusznicy, a później chwiejnym krokiem lokal opuszczał dystyngowany pan. Szedł za róg, gdzie czekała na niego limuzyna. Szofer w liberii otwierał drzwiczki, mężczyzna gramolił się na tylne siedzenie i auto z piskiem odjeżdżało w stronę Manhattanu. Dopiero wtedy obsługa knajpki zbliżała się do opuszczonego stolika. W pustej szklance za każdym razem znajdowali banknot. Bywało, że przez cały tydzień właściciel nie miał takiego utargu, ile wynosił ten napiwek. Była to cena za dyskrecję.

Tymczasem w luksusowym samochodzie pędzącym w kierunku Wielkiego Jabłka Termen powoli wracał do siebie. Spotkania z radzieckimi tajnymi agentami były odrażające, a ich metody działania – Lew Siergiejewicz w myślach szukał właściwego słowa – przypominały gwałt. Napadają na informatora, zamiast pozwolić mu po prostu mówić, pastwią się nad nim, ciągną za każde słowo niczym na przesłuchaniu, a później jak gdyby nigdy nic odchodzą. I tak co tydzień, przez dziesięć lat. I te techniki operacyjne rodem ze średniowiecza. „Żeby nic nie ukryć, trzeba za każdym razem wypić przy nich dwie szklanki wódki. A mnie się zupełnie nie chce pić!” – pieklił się wynalazca termenwoks i przypomniał sobie, jak przed laty, tuż po przyjeździe do Ameryki, szukał sposobu, dzięki któremu mógłby zachować kontrolę nad sobą. „I znalazłem! Jeśli się zjadło przykładowo dwieście gramów masła, to później spirytus tak nie działał. I teraz, kiedy muszę się z nimi spotkać, rano jem pół kilograma masła. Na początku było trudno przełknąć – Lew Siergiejewicz uśmiechnął się pod wąsem – ale jakoś przywykłem”.

Termen miał w kraju Wuja Sama szerokie znajomości zarówno wśród bogaczy, jak i polityków czy też słynnych inżynierów, dlatego – jak zapisał w autobiografii – „otrzymywał немало zleceń od wywiadu”. Do działalności szpiegowskiej przygotował się z właściwą sobie starannością i najpierw opracował teoretyczne założenia. „Żeby wywiedzieć się czegoś nowego, tajnego – zwierzył się po latach – trzeba było zaoferować coś nowego i własnego, kiedy pokazujesz komuś swój wynalazek, łatwiej jest potem się dowiedzieć, nad czym ten ktoś pracuje”. W praktyce sprawdzało się to niezgorzej i „na przykład był samolot numer taki to a taki, powiedzieli mi [panowie w kapeluszach – przyp. aut.], że trzeba dowiedzieć się, jaka jest średnica jego tłumika”. Wówczas Lew Siergiejewicz udawał się do konstruktora tej maszyny pod pozorem rozwikłania własnego problemu technicznego. Opowiadał o rytmikonie, nad którym wówczas pracował, i przy okazji, niejako z grzeczności, zadawał pytania, dzięki którym po chwili dysponował wiedzą na temat układu wydechowego samolotu.

Kryzys wywołany niepowodzeniami miłosnymi minął i w połowie lat trzydziestych XX wieku Termen znów wrócił do życia. Pełen sił witalnych skonstruował kolejny instrument muzyczny, który nazwał terpsistonem (od muzyki tańca, Terpsychory). Zasada działania tego urządzenia była podobna do eterofonu, ale grało się na nim

zupełnie inaczej. Urządzenie składało się z kondensatorów, wzmacniaczy oraz... parkietu do tańca. Zazwyczaj płąsa się do muzyki. W przypadku terpsistonu było odwrotnie i to ruchy artystów sprawiały, że instrument wydawał dźwięki. Lew Siergiejewicz z zapalem przystąpił do testowania nowego wynalazku. W tym celu zatrudnił słynny zespół czarnoskórych tancerzy i wraz z nimi podjął się opracowania *show*. Niestety, gra na instrumencie okazała się zbyt trudna. Jeśli eterofon wymagał ponadprzeciętnych zdolności od artysty, to w muzykującym parkiecie poprzeczka została zawieszona o niebo wyżej. Niepowodzenie nie zasmuciło jednak wynalazcy, gdyż dzięki próbom poznał miłość swego życia, mahoniową piękność, tancerkę Lavinie Williams. Ameryka lat trzydziestych nie była tolerancyjnym krajem i nawet w metropoliach takich jak Nowy Jork związek z czarnoskórą osobą stygmatyzował. Lew Siergiejewicz, ślepy na zachodzące wokół niego zmiany, poprosił ukochaną o rękę. Dziewczyna zgodziła się i w 1938 roku jako żona obywatela radzieckiego otrzymała paszport z wpisanym doń nazwiskiem Lavinia Williamowa Termen. Wtedy ostatecznie zamknęły się przed nowożeńcami salony Ameryki. Rosjanin jako ideowy marksista, zapewne gwizdałby na te konwenanse, gdyby nie to, że stracił większość kontaktów i nie mógł już dostarczać informacji sowieckiemu wywiadowi. Jego dni w Stanach Zjednoczonych były policzone.

Choć sam Lew Siergiejewicz nigdy tej wersji nie potwierdził, to najprawdopodobniej 15 września 1938 roku do wynajmowanego przez niego domu zastukało dwóch kapeluszników. „Musimy porozmawiać” – powiedzieli tonem nieznoszącym sprzeciwu i zaprosili Termena do samochodu. Auto, zamiast kierować się ku radzieckiej placówce dyplomatycznej, pomknęło w stronę nabrzeży przy rzece Hudson. W jednym z doków cumował masowiec „Stary Bolszewik”. „Wracasz do kraju” – mieli powiedzieć agenci i siłą wprowadzili naukowca na statek. Tam zaciągnęli go do kabiny kapitana, otworzyli sekretne drzwiczki i wrzucili nieszczęśnika do pomieszczenia, w którym znajdowała się tylko jedna koja. „A Lavinia, moja żona, pozwólcie jej jechać ze mną!” – krzyczał Rosjanin. Sowieccy szpiedzy mieli gdzieś jego sercowe rozterki.

ZŁOTOUSTY ŻUCZEK

Niegdysiejszy milioner, gwiazda Carnegie Hall i mąż egzotycznej piękności, Lew Termen, zszedł w leningradzkim porcie ze statku i nieniekójony przez nikogo wsiadł do tramwaju numer dziewięć. Dojechał do pętli przy Instytucie Fizyczno-Technicznym i zajrzał do byłego przełożonego, Joffego.

– Abramie Fiodorowiczu – rzekł – nie mogłem tam być dłużej, musiałem do was wrócić.

– Dobrze – odpowiedział „Papasza” – ale najpierw załatwcie sprawy paszportowe.

I po chwili dodał emocjonalnie: – Wróciliście „stamtąd”. Chwała Bogu!

Nie ma pewności, jak potoczyły się dalsze losy Lwa Siergiejewicza. Jedna z wersji głosi, że próbował odzyskać dawne mieszkanie, ale jego rodzice już nie żyli i lokal został rozparcelowany. Wówczas podjął zaległe wynagrodzenia patentowe i wynajął pokój w hotelu. Uporał się ze wszystkimi formalnościami i wrócił do instytutu, gdzie szef powierzył mu pracę nad siecią łączności rządowej, czyli tak zwaną telefonią wysokiej częstotliwości. Zgodnie z drugą wersją wynalazca eterofonu nie mógł uzyskać dokumentów, nie miał gdzie mieszkać i przez całą zimę błąkał się po Leningradzie. Trwała wielka czystka i niegdysiejsi znajomi traktowali przybysza z Ameryki jak zadżumionego. Gościny mieli mu użyczać jedynie Joffe i ktoś z rodziny, ale chodzą słuchy, że kilka tygodni mieszkał też niczym bezdomny na strychu kamienicy. Oba ujęcia łączą się na początku marca 1939 roku na leningradzkim dworcu kolejowym, gdzie Termen kupił bilet na nocny pociąg do stolicy. Po dotarciu do Moskwy udał się do wojskowych, którzy kiedyś w towarzystwie Lenina oklaskiwali jego wynalazki. Spośród nich przyjął go tylko Woroszyłow. Dygnitarz ofuknął gościa i zapewnił, że nie ma co liczyć na sprowadzenie do ZSRR ukochanej żony.

Lew Siergiejewicz przez kolejne dni próbował wykorzystać wszystkie znajomości, jakie miał przed laty na Kremlu. Zamierzał bowiem poruszyć niebo i ziemię, żeby znów być razem z Lavinia. Niestety, los zgotował mu okrutną niespodziankę. Dziesiątego marca ze stołecznego hotelu zabrało go NKWD. W butyrymskim więzieniu dowiedział się, że ciąży na nim zarzut uczestnictwa w zмовie przeciw Siergiejowi Mironowowi Kirowowi. Miał zza oceanu dowodzić grupą spiskowców, co w efekcie doprowadziło do skrytobójczego morderstwa decydenta. Termen po sadystycznych przesłuchaniach przyznał się do absurdalnych zarzutów i zgodnie z 58. paragrafem *Kodeksu karnego* został skazany za działalność wywrotową i szpiegowską na osiem lat ciężkich robót.

Zesłanie do obwodu magadańskiego otworzyło nowy etap w życiu czterdziestotrzyletniego Lwa Siergiejewicza. Naukowiec trafił do brygady „ugałowników”, czyli więźniów kryminalnych. Wśród nich czuł się swobodniej niż w gronie politycznych i mimo katorżniczej pracy nie zatracił właściwych mu zdolności do innowacji. Wraz z towarzyszącymi niedoli siedem dni w tygodniu drogą biegnącą przez tajgę wiózł taczki do kamieniołomu oddalonego o dziesięć kilometrów. Tam do skrzyni ładowano sto kilogramów żwiru i każdy z osadzonych pchał ciężar z powrotem. Byle ześlizgnięcie z drożyny groziło rozstrzelaniem. Termena raziły absurdy wykonywanej pracy i szybko wpadł na pomysł, jak można ją usprawnić. Uzyskał pozwolenie od nadzorca i na całej długości ścieżki ułożył drewnianą szynę, a koła taczek zaopatrzył w specjalne stabilizatory. Po wprowadzeniu tych prostych rozwiązań członkowie jego brygady mogli przewieźć

sześć razy więcej żwiru, niż zakładały łagrowe normy. Rekordzistom przyznano w nagrodę dodatkowe racje żywnościowe. Niedożywienie było główną przyczyną zgonów na Kołymie i grupa więźniów posiadająca jedzenie szybko zdominowała pozostałych skazańców. Sam Termen uzyskał zaś mir u najsroźszych bandytów i stał się kimś w rodzaju łagrowego króla.

Nagrodzili go także więzienni przełożeni – uwolniono go od pracy fizycznej i nakazano mu zorganizowanie orkiestry. Ku jego zdziwieniu zadanie to okazało się niezwykle proste, w okolicznych łagrach przebywało bowiem kilkudziesięciu leningradzkich i moskiewskich filharmoników. I tak przez następne tygodnie zespół pierwszorzędnych artystów zagrzewał kołymskich więźniów *Bolorem Ravela*.

W grudniu 1939 roku rozpoczęła się „szaraskowa” odyseja Termena. Wówczas do kołymskiego obozu przyjechał wysokiej rangi enkawudzista i poprosił o wydanie wynalazcy eterofonu. Następnie zabrał go do Moskwy i tam zaprowadził do budynku przy ulicy Radio 24, gdzie znajdował się nietypowy zakład karny, nazwany oficjalnie Konstruktorskim Biurem nr 29 bądź nieformalnie tupolewską *szaraską*. W gronie przebywających tam więźniów znaleźli się najwybitniejsi radzieccy inżynierowie, łącznie z twórcą samolotów Tu. Od tej pory Termen nie słyszał już okrzyków: „Siadać! Ręce za głowę! Krok w prawo albo w lewo będzie próbą ucieczki. Strzelam bez ostrzeżenia!”. Teraz strażnicy przerywali pracę osadzonych sformułowaniem: „Proszę, przechodzimy do jadalni”. Po półgodzinnej przerwie obiadowej, podczas której serwowano potrawy barowe składające się z dwóch dań i kompotu, osadzeni wracali do codziennych zajęć i pod komendą akademika Tupolewa zajmowali się budową nowych samolotów oraz ich oprzyrządowania. Termenowi zlecono stworzenie systemu odpalającego bombę tuż nad ziemią. Skorzystał z rozwiązań zastosowanych niegdyś w systemie alarmowym i wprawił w obudowę śmiertelnościanego ładunku kondensatory reagujące na zbliżający się obiekt. W odległości dwóch metrów od ziemi urządzenie tworzyło impuls elektryczny i ładunek eksplodował, czyniąc zdecydowanie większe zniszczenia niż klasyczna bomba. Następnie zajął się projektowaniem bezzałogowego pojazdu latającego i po miesiącach wytężonej pracy stworzył prototyp tak popularnych obecnie dronów.

Wybuch wojny niemiecko-radzieckiej zdecydowanie pogorszył warunki bytowe osadzonych w konstruktorskich biurach NKWD. Zmniejszono im przydziały jedzenia, a dzień pracy wydłużono do dwunastu godzin. Wojska III Rzeszy zbliżały się do Moskwy i specjalistów ewakuowano daleko poza linię frontu. Zmiany dotyczyły także tupolewskiej *szaraski*, którą przeniesiono do Omska. Nad Irtyszem wszyscy więźniowie, z wyjątkiem Lwa Siergiejewicza, kontynuowali dotychczasowe prace. Termenowi z polecenia samego Stalina powierzono zadanie specjalne. Wódz ZSRR, o ironio, nie potraktował poważnie zeznań wymuszonych w więziennych kazamatkach i rozkazał opracowanie systemu podsłuchowego. Podczas prac nad tym projektem

dobiegający pięćdziesiątki wynalazca wzniósł się na wyżyny swojego talentu i stworzył rozwiązanie, które – jak zapewniają byli agenci – jest stosowane do dziś. Zanim jednak powstał genialny w swej prostocie żuczek (w języku polskim podsłuchy nazywa się pluskwami), należało stworzyć jego prototyp. W 1943 roku delegacja, na której czele stał Beria, przybyła do Biura Konstruktorskiego nr 29 i obejrzała dzieło Termena. „Rokuje” – uznali decydenci i rozpoczęto wielki projekt o kryptonimie „Spowiedź”. W jego ramach przygotowano z dwudziestu najcenniejszych gatunków drewna artystyczną wersję herbu Stanów Zjednoczonych. Dzieło otrzymało pseudonim „Złotousty”. Następnie do gry wkroczyli radzieccy agenci i szczegółowo zaplanowali, jak wręczyć je Amerykanom. Postanowiono dokonać tego na początku 1945 roku podczas konferencji jałtańskiej. W tym celu zaaranżowano powojenne otwarcie słynnego obozu pionierskiego Artek i na uroczystość, która odbyła się 9 lutego, zaproszono Churchilla i Roosevelta. Przywódcy alianckich krajów odmówili i w zastępstwie wysłali ambasadorów. Anglik, Archibald John Kerr, wręczył dyrektorowi Arteku czek na pięć tysięcy funtów, Amerykanin, William Averell Harriman, postanowił przebić kolegę i sprezentował dziesięć tysięcy dolarów i nowiutkie namioty. Wówczas radzieccy pionierzy odśpiewali wzruszające pieśni i odwdzięczyli się darczyńcom podarkami. Reprezentant Stanów Zjednoczonych dostał „Złotoustego”. Zaskoczony i zauroczony zarazem z rozbijającą szczerością zapytał: „Gdzie mógłbym powiesić to чудо?”. Wtedy sowiecki dyplomata i tłumacz Walentin Biereżkow szepnął mu na ucho: „Powieście w swoim gabinecie, Anglicy umrą z zazdrości”.

Po konferencji Harriman przekazał mający metr średnicy herb do analizy. Orła prześwietlono wzdłuż i w szerz i zawyrokowano, że nie zawiera żadnej elektroniki ani elementów zasilających. Jest w nim tylko okrągły drucik, ale przebiega w miejscu spojenia drewnianych płyt i na pewno nie może być wykorzystany do podsłuchiwania. Zadowolony ambasador zawiesił podarunek w moskiewskiej placówce i od tego momentu, przez kolejnych siedem lat, dzień w dzień, czerwoni decydenci wsłuchiwali się w rozmowy prowadzone przez dyplomatów. Niebawem ambasadorzy zorientowali się, że ich konwersacje wypływają na zewnątrz, i zlecieli specjalistom przeszukanie moskiewskiej placówki. Nic jednak nie odkryto. W 1952 roku zwerbowany przez CIA pracownik radzieckiego wywiadu wojskowego GRU zdradził, że źródłem przecieków jest herb. Bez skrupułów rozbito cenny podarek i wyjęto z niego małe cylindere z membraną. Żuczka przesłano do centrali w USA, gdzie naukowcy z CIA głowili się, w jaki sposób coś takiego mogło służyć jako nadajnik. I dopiero po czasie ustalono, że z przeciwległego budynku na orła było kierowane promieniowanie elektromagnetyczne o częstotliwości 800 Hz. Wzbudzało ono ukrytą w „Złotoustym” membranę, która pod wpływem prowadzonych rozmów odbijała zniekształcone promieniowanie. Wysłane przez nią

fale oczyszczano z szumów i w głośniku ustawionym na biurku Stalina rozbrzmiewały rozmowy amerykańskich dyplomatów.

ELEKTRYFIKACJA MUZYKI

Po opracowaniu zuczka Termen przygotował udoskonalony system podsłuchowy i ochrzcił go imieniem zimnego, porywistego syberyjskiego wiatru – Buran. Jego elementami uczynił generator promieniowania i szybę okienną, która posłużyła za membranę. Za ten wynalazek więzień *szaraszki* Lew Siergiejewicz otrzymał Nagrodę imienia Stalina. Na liście laureatów przy jego nazwisku widniała ponoć cyferka dwa. Do tej pory nie zdarzyło się bowiem, żeby jakikolwiek więzień został tak wyróżniony. Osoba przygotowująca wykaz zakwalifikowała go więc do drugiej kategorii. Jak twierdzi wychowanek Joffego, noblista Lew Landau, Stalin własnoręcznie przepisał Termena do pierwszej. Twórca Buranu nie mógł jednak przeczytać o sobie w gazecie czy usłyszeć w radiu. Jako więzień nie otrzymał też stu tysięcy rubli, które przyznawano razem z orderem. Zamiast tego przydzielono mu dwupiętrowe mieszkanie w budynkach rządowych. Klucze do wyposażonego w antyki lokum otrzymał dopiero w dniu wyjścia na wolność.

Dwudziestego siódmego czerwca 1947 roku wynalazca po raz pierwszy od dekady mógł rozsiąść się wygodnie w fotelu we własnym mieszkaniu. Nie odczuwał jednak radości, przeciwnie, opanował go przejmujący smutek. Stracił nadzieję, że kiedykolwiek spotka się z ukochaną, i jedynym sensem jego życia stała się praca. Rozejrzał się po luksusowym apartamencie i zatęsknił za pracownią. Ostania, którą zajmował, znajdowała się w *szaraszce*. Ta nieoczekiwana nostalgia sprawiła, że postanowił udać się do Ministerstwa Bezpieczeństwa i tam zadeklarował, że zrzeka się wszelkich profitów płynących z nagrody i prosi tylko o możliwość powrotu do więziennego biura konstruktorskiego. Decydenci zgodzili się i Lew Siergiejewicz, mimo że był wolnym człowiekiem, żył i pracował jak osadzony. Dobrał sobie pracowników oraz personel techniczny i realizował sekretne działania dla służb wywiadowczych. Próbował także kontaktować się z wierchuszką i gdy po raz ostatni usłyszał, że nie ma możliwości sprowadzenia Lavinii, poprosił o rękę dziewczynę, która prowadziła jego sekretariat. Dwudziestosześcioletnia Maria Fiodorowna Guszczina przyjęła oświadczenia i niebawem na świat przyszły bliźniaczki, Jelena i Natalia. Wówczas Lew Siergiejewicz wystarał się o dwupokojowe mieszkanie i osiadł w nim z rodziną.

Przez kolejną dekadę aktywnie pracował dla służby bezpieczeństwa i wywiadu, jednak wraz z nastaniem Chruszczowa w jego życiu zawodowym zaczęły się zmiany. Jak sam wyznał, w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych XX wieku kazano mu przygotowywać urządzenia służące do wykrywania pozaziemskich pojazdów. Nie

przyjął tego polecenia i przeszedł na emeryturę. Według innej wersji nie radził już sobie z nowymi technologiami i zamiast stosować układy scalone, wciąż używał wielkich kondensatorów, a nawet lamp tranzystorowych. Miał się też wdawać w konflikty z młodszymi pracownikami i ostatecznie rzucił pracę dla służb. Niestety, wszystkie jego patenty były tajne i nie mógł liczyć na honoraria związane z wynalazkami, a z samej emerytury nie dało się utrzymać żony i dwojga dzieci. Musiał więc szukać pracy i w 1964 roku otrzymał etat w laboratorium akustycznym moskiewskiego konserwatorium. Tam wrócił do projektów muzycznych z czasów pobytu w USA i zapewne mógłby realizować je aż do śmierci, gdyby nie pewne wydarzenie. Do Moskwy przyjechała jego była uczennica i kochanka Klara wraz z mężem, Robertem Rockmorem. Kobieta, ciesząca się sławą pierwszej termenwoksistki świata, była pewna, że Lew Siergiejewicz od dawna nie żyje. Nie tylko ona tak sądziła. Przekonanie to podzielali też wszyscy jego amerykańscy przyjaciele i w wielu publikacjach encyklopedycznych, które ukazały się na Zachodzie, przy nazwisku wynalazcy podawano – co prawda z gwiazdką świadcząca o niezwyfikowaniu – datę śmierci: 1938 rok. Podczas wizyty w stolicy ZSRR *madame* Rockmore spytała znajomego muzyka, czy wie, gdzie spoczywa wielki Termen. Zaskoczony rozmówca odpowiedział, że nie dalej niż tydzień temu jadł z nim obiad. Kobieta od razu odszukała swojego mistrza i cały dzień spędziła z nim i jego córkami na muzykowaniu.

Spotkanie z Klarą Rockmore rozpoczęło kolejny etap w życiu Lwa Siergiejewicza. Dzięki niej wynalazca eterofonu nieoczekiwanie zmartwychwstał dla grona swych międzynarodowych znajomych. Jego nazwisko coraz częściej pojawiało się także na ustach miłośników awangardowej muzyki. Działalnością Rosjanina zainteresowali się między innymi Robert Moog, twórca współczesnego syntezatora, oraz przedstawiciele firmy Yamaha. A wiosną 1967 roku odwiedził go główny krytyk muzyczny „New York Timesa”, Harold Schonberg, który napisał obszerny tekst poświęcony Rosjaninowi. Medialna wrzawa przyniosła także negatywne konsekwencje. W 1968 roku do moskiewskiego konserwatorium przybyło kilkudziesięciu zagranicznych dziennikarzy zainteresowanych rozmową z prekursorem muzyki elektronicznej. Władze uczelni, niezadowolone ze wzrastającego rozgłosu wokół swojego pracownika, ostatecznie wysłały go na emeryturę, a jego instrumenty – dosłownie! – wyrzuciły na bruk. Ponadto dzięki odnowionym znajomościom Lew Siergiejewicz, przez tyle lat szukający kontaktu z żoną Lavinia, poznał okrutną prawdę. Jego mahoniowa miłość, podobnie jak on, żyła w związku małżeńskim i miała dzieci.

Pod koniec lat sześćdziesiątych w wieku siedemdziesięciu lat Lew Termen stanął przed dylematem – wycofać się z nauki, porzucić muzykę czy też żyć w zgodzie ze swoją naturą i dalej projektować. Decyzja nie była prosta, do pracy potrzebował

bowiem laboratorium, oprzyrządowania i dostępu do nowych technologii. Wyrzucony z konserwatorium i odcięty od rządowych pracowni postanowił poszukać miejsca na uniwersytecie. Między innym dzięki protekcji i kuzyna, znanego antropologa i profesora akademickiego Michaiła Fiodorowicza Niestrucha, dostał posadę technika. Stanowisko nie odpowiadało jego kompetencjom i wiedzy, ale dzięki niemu znów uzyskał dostęp do pracowni i mógł oddać się pracom konstruktorskim. Powstały wówczas liczne odmiany termenwoksów oraz instrumentów, które przygotowywał na zamówienie radzieckich miłośników muzyki elektronicznej.

NEMRET

Termen czytane od tyłu brzmi nemret i oznacza po rosyjsku „nie umiera”. Lew Siergiejewicz często przywoływał tę ciekawostkę, gdy dowodził, że przedłużenie ludzkiego życia jest możliwe. Po raz pierwszy dał wyraz temu przeświadczeniu jeszcze w latach dwudziestych. „Dwie godziny, które miałem szczęście spędzić przy Władimirze Iljiczu – zwykły mawiać – ukazały mi jego wielki urok, ciepło, życzliwość”. Odejście wodza rewolucji było dla niego wielkim wstrząsem i tuż po zgonie opracował plan jego wskrzeszenia. W tej koncepcji więcej było niewiadomych niż pewników. Naukowiec nie miał jednak wątpliwości, że lada dzień nauka rozwikła tajemnicę śmierci, i apelował, żeby ciało Lenina pochować w wiecznej zmarzlinie, gdzie nie uległoby rozkładowi. Kolejne prace dotyczące unieśmiertelnienia komórek ludzkich Termen prowadził niejako na marginesie badań nad promieniowaniem elektromagnetycznym. Założył, że emisja fal może zatrzymać śmierć tkanek. Jego znajomi zaświadcniają, że eksperymentował na sobie. Po przekroczeniu dziewiątej dekady życia uznał, że opracował słuszną teorię, i wówczas postanowił spełnić obietnicę, którą złożył jeszcze w 1922 roku. Udał się do komitetu partyjnego przy uniwersytecie i wyznał: „Chcę wstąpić do partii. Obiecałem to Leninowi”. Komunistyczny aparatczyk sądził, że starzec z niego kpi i wysłał wiekowego aspiranta na pięcioletnie zajęcia na Uniwersytecie Marksizmu-Leninizmu. Termen przyjął tę radę za dobrą monetę i pod koniec życia ukończył partyjne studia. W wieku dziewięćdziesięciu czterech lat, już po upadku ZSRR, przybył ponownie. „Przyjmujcie” – zażądał od urzędnika i 22 kwietnia 1991 roku otrzymał czerwoną legitymację. I gdy wszyscy w czambuł potępiali miniony ustrój, on do długiej listy zadań, które przyszło mu wykonać w życiu, dodał jeszcze rolę dumnego członka partii.

WYBRANA LITERATURA

1. Drejden S., *Lenin znakomitsia z tiermenwoksom*, „Muzykalnaja Żyzń”, 1987, 7.
2. Galijew B.M., *Legendarnyj Termen*, [w:] *Riepriessirowannaja nauka*, Leningrad 1991, s. 327–334.

3. Galijew B.M., *Sowietskij Faust (Lew Termen – pionier elektronnoego iskusstwa)*, Kazań 2010.
4. Ginzburg W., Pulwier W., *Tielewidiennije. Pieriedacza dwiżuszczichsia izobraženij po sposobu L.S. Termena*, „Radiolubitel”, 1926, 1, s. 13–16.
5. Glinsky A., *Theremin: ether music and espionage (music in American Life)*, Urbana 2000.
6. Holmes T., *Electronic and experimental music: technology, music and culture*, Nowy Jork 2012.
7. Kokin L., *Juność akademikow*, Moskwa 1981.
8. Kowaliowa S., *Nie bolje i nie mienije. Żyźń Lwa Termena*, „Russkaja Myśl”, 1998, 42–48.
9. Machun S., *Doktor Faust XX wieku. Lew Termen, opierediwszyj wriemja – „nie bolje i nie mienije”*, „Zierkało Niedieli”, 2004, 46, 13–19.
10. Razin P., *Wiernietsia li tiermenwoks?*, „Sowietskaja Kultura”, 10 marca 1983.
11. Rewicz J., *Ja obieszczal Leninu...*, „Znanije-Siła”, 2003, 8, 102–107.
12. Rochlin A., *Czetyortyj wariant*, „Radio”, 1984, 2.
13. Schonberg H.C., *Music: Leon Theremin; inventor of instrument bearing his name is interviewed in the Soviet Union*, „The New York Times”, 26 kwietnia 1967, s. 40.
14. Smirnow A., *Sound in Z. Experiments in sound and electronic music in early 20th century Russia*, Kolonia 2013.
15. Teodorczik K.F., *Dalnowidiejnije*, „Uspiechy Fiziczeskich Nauk”, 1928, 1, s. 98–104.
16. Termen L.S., *Roždżienije, dietstwo i junosć „tiermenwoksa”*, „Radiotechnika”, 1972, 27 (9), s. 109–111.
17. Termen L.S., *Podrobnaja biografija Lwa Siergiejewicza Termena*, „Liciej”, <http://fizfaq1502.narod.ru/articles/termen.htm> [dostęp: 1.02.2016].

GWIAZDA BOSONOGA

TEORETYK BURAKA

Doktor Frankenstein sowieckiego rolnictwa, średniowieczny teoretyk buraka, Bosonogi Profesor, który w wieku trzynastu lat poznał alfabet, narodowy akademik z chłopskiej chaty, amant szalejący za praktykantkami, miczuryński agronom, który sprzedał swoich nauczycieli, bezlitosny kosiarz, wycinający sierpem i młotem najlepsze pędy radzieckiej nauki... – wygłasza lektor, a w tle migają czarno-białe zdjęcia i urywki ze starych kronik filmowych, na których pojawia się ciemnowłosa, kościsty mężczyzna o przerażających oczach. Raz widać go na tle pól, innym razem – szklarni, a w końcu – jak przemawia do szacownego gremium. Nagle wszystko się zmienia. Jest rok 2015, studio telewizyjne. Redaktor Paweł Władimirowicz Sanajew zaprasza Rosjan zgromadzonych przed odbiornikami do obejrzenia kolejnego odcinka *Życia niezwykłych ludzi*, którego bohaterem będzie Trofim Denisowicz Łysenko.

– Kim tak naprawdę był ten Bosonogi Profesor? – zwraca się prowadzący do dwóch mężczyzn siedzących w studiu.

– Wykształcony człowiek, ukończył dwuklasówkę, potem cztery klasy w połtawskim rejonie, następnie... – Niegdysiejszy uczeń Łysenki, agronom i profesor biologii, Piotr Fiodorowicz Kononkow, wylicza szkoły, w których pobierał nauki jego mistrz. – Żaden nieuk. – I dodaje z przekonaniem: – Człowiek oddany nauce!

– A co do donosów – włącza się pisarz i historyk, Rudolf Konstantinowicz Bałandin – o ile wiem, to nieprawda. Ale Trofim Denisowicz faktycznie był fanatykiem pracy i napisał kilka artykułów krytykujących badaczy, którzy jego zdaniem błędzili. Na początku ganił zagranicznych, a później naszych. Nie znaczy to jednak, że „kosił”. To dwie różne sprawy – kończy i przeczesuje dodającą mu dostojeństwa siwą brodę.

Sanajew informuje telewidzów, że oprócz rozmów z gośćmi będzie się też łączyć z historykami z całego świata. Pierwszym z nich jest Loren Graham, ekspert od radzieckiej nauki. Z Amerykaninem nawiązano kontakt telefoniczny i oto słyhać już jego głos. W rolę tłumacza wcielił się prowadzący. Pragnie wiedzieć, jak rozmówca ocenia prace Łysenki.

– Jeśli pytamy, czy Łysenko dokonał czegoś w nauce – na ekranie pojawia się zdjęcie osiemdziesięciodwuletniego naukowca o rumianych policzkach

i przenikliwym spojrzeniu – to odpowiedź będzie negatywna. Miał niezwykle prymitywne metody. Poza tym bardzo zaszkodził genetyce i naukom rolniczym w ZSRR.

Przebywający w studiu biolog i pisarz spoglądają na siebie znacząco i gdy wybrzmiewa ostatnie słowo naukowca zza oceanu, Kononkow burczy: „*Kliewieta*, wszystko to *kliewieta* [oszczerstwo – przyp. aut.]”, a Bałandin replikuje obszernie:

– Takie mówienie to efekt antyrosyjskiej narracji trwającej od ponad dwudziestu lat – stwierdza i swoim zwyczajem kontruje: – Trofim Denisowicz nie był postacią jednoznaczną, ale nie można go nazwać, tak jak ten Amerykanin, prymitywistą. – Unosi oprawioną w szare płótno książkę. – Tu jest jego artykuł o genach – macha publikacją – a zarzuca się mu, że je odrzucał.

Prowadzący sili się na obiektywizm i czas chwały Bosonogiego Profesora porównuje z epoką Breżniewowską, gdy biolog popadł w niełaskę. „Nie było dnia, żeby nie wieszano na nim psów. Skąd więc się to wzięło, że za Stalina bohater, a później wróg narodu?” – dopytuje gości. Kononkow, skory do lapidarnych i rubasznych odpowiedzi, tym razem wdaje się w historiozofię. Uważa, że przyczyną tego zjawiska jest pochodzenie radzieckich biologów. Poprzednicy Łysenki wywodzili się z burżuazji i czerpali wzorce z Zachodu. Ich symbolem były mikroskop i biały kitel. „A tak nie da się uprawiać roli – zapewnia. – Żeby czegoś dokonać w naukach rolniczych, trzeba unurzać się w błocie albo godzinami przesiadywać w stajniach i oborach...”. Te słowa są na tyle sugestywne, że trudno nie wyobrazić sobie mówcy w walonkach i waciaku.

– Pietrze Fiodorowiczu – upomina go Sanajew – mamy niewiele czasu, zmierzajcie do meritum.

– Tak, tak... – jąka się profesor, gubiąc wątek – szkoła Trofima Łysenki przyczyniła się do zielonej rewolucji w pszenicy. Na Ukrainie z kwintala mieliśmy przed jego pracami...

– Te wyliczenia są ważne – niecierpliwi się prowadzący – ale jesteśmy na żywo i musimy dać szansę gościom spoza studia.

Tu z pomocą biologowi przychodzi pisarz. Uważa, że chłopskie pochodzenie agronoma stało się stymulatorem jego kariery i na długie lata uczyniło zeń Bosonogiego Profesora. To określenie nie jest wcale obraźliwe, przekonuje. Jako człowiek z ludu mógł uczynić więcej dla rodzimego rolnictwa niż burżuj. Bałandin uważa również, że ocena postępowania bohatera programu wymyka się wartościowaniu. „Okres jego aktywności przypada na czasy – dla podkreślenia efektu modeluje głos – heroiczne i wydarzeń z tamtej epoki nie można postrzegać w kategorii dobrych lub złych”. I przerzuca most między latami pięćdziesiątymi a współczesnością. „W dzisiejszej Rosji jest wielu uczonych, z których nie ma żadnego pożytku – konstatuje. – A w czasach sowieckich nasza nauka była jedną

z pierwszych, jeśli nie pierwszą na świecie. Stalin zaś – nieoczekiwanie dodaje – nie miał akademickich dyplomów, ale był człowiekiem bardzo wykształconym”.

– Połączmy się z profesorem genetyki, Ilją Zacharowem-Giezechusem – ucina Sanajew i tylko Kononkow na dźwięk nazwiska mruczy: „Znamy, znamy...”.

– Łysenko to był paranoik – stwierdza rozmówca – głęboko przekonany o swoich racjach. Świetnie umiał przekonywać.

– A jak oceniacie jego dokonania naukowe? – drąży gospodarz programu.

– Dorobek naukowy bardzo słaby, brak systematycznego wykształcenia – wypowiada się z namysłem Zacharow-Giezechus – a wyobrażenia o sobie wielkie. Byłem świadkiem, jak powiedział: „Ani w przeszłości, ani teraz nie ma nikogo, kto by się tak orientował w biologii jak ja”.

„Było zupełnie odwrotnie” – przekonuje emocjonalnie Kononkow. Wspiera go drugi z gości i zapewnia, że Łysenko to niezwykły człowiek, który pozostawił po sobie realny i cenny dorobek. „Stworzył wiele gatunków pszenicy, które przewyższały odpornością i wydajnością odmiany na Zachodzie” – wymienia jego uczeń. „Uratował miliony ludzi od głodu w czasie wielkiej wojny ojczyźnianej” – dodaje pisarz. Obaj odrzucają też wizję Łysenki jako kata radzieckiej biologii. Tu jednak nie ma między nimi pełnej zgodności. Uczeń kontrowersyjnego agronoma dumnie wypina pierś, na której błyszczy order, i z niezachwianą pewnością oświadcza, że Trofim Denisowicz nie miał żadnego udziału w kaźni genialnego uczonego Nikołaja Wawilowa. Bałandin oznajmia zaś, że winą Łysenki było niewstawienie się za naukowcem skazanym na śmierć. Od razu dodaje, że wiedza to przestrzeń wolnych duchów, a lata, w których przyszło żyć Bosonogiemu Profesorowi, nie sprzyjały nieskrępowanej refleksji, i zgodni jak nigdy, Sanajew, Kononkow i Bałandin, kiwają głowami ze zrozumieniem. Łysenko był wybitną osobowością – zdają się stwierdzać – i czas najwyższy, żeby po dekadach krytyki dostrzec w nim nie tylko teoretyka buraka czy bezlitosnego kosiarza sowieckiej nauki, lecz także znakomitego badacza, fenomenalnego działacza i wielkiego człowieka.

NAUKOWIEC

Na początku lat pięćdziesiątych XX wieku Wydział Biologiczny Akademii Nauk ZSRR pod przewodnictwem Olgi Lepieszynskiej zorganizował konferencję poświęconą tak zwanej substancji żywej. Z wykładem dotyczącym tej koncepcji, będącej powodem do wstydu dla dziesiątków radzieckich naukowców, wystąpił między innymi akademik Trofim Łysenko. W stenogramie z jego referatu zachował się taki oto passus:

Michajłowa [współpracownica agronoma – przyp. aut.] wzięła główkę kapusty i pięć lat ją męczyła – zimą w cieple, latem w polu, nie dawała jej się jarowizować [rozwijać w niskich temperaturach – przyp. aut.], nie

dawała kwitnąć, jednym słowem – jak to się u nas mówi – rozhuśtała całkowicie dziedziczenie. Następnie potraktowała chłodem. I kiedy ta zakwitła i dała nasiona, ona je pozbiierała, rozsądę wysiała i otrzymała niemal wszystkie formy, które mamy wśród kapustowatych, a więc głowiastą kapustę, kalafiora, brukselkę i rzepe.

Ta od początku do końca zmyślona konstatacja dużo mówi o samym prelegencie. Łysenko jako jeden z najbardziej wpływowych ludzi epoki stalinizmu od dawna przestał być badaczem i mimo że piastował najwyższe stanowiska w radzieckiej agronomii i biologii, nie miał już nic wspólnego z samą nauką. Przyczyną takiego stanu rzeczy bynajmniej nie były jego „odkrycia”. Bosonogi Profesor wygłaszał tezy bardziej kontrowersyjne niż ta zapisana podczas konferencji o substancji żywej. Już w latach trzydziestych publicznie oznajmił, że pszenica zmienia się w żyto, a to z kolei może stać się jęczmieniem. W następnej dekadzie oznajmił zaś, że kukułki nie podkładają jajek innym ptakom, a po prostu co jakiś czas piegżom i pliszkom rodzą się kukułczątka. To, co sprawiło, że Łysenko przestał być prawdziwym naukowcem, wiązało się z odrzuceniem przez niego podstawowych zasad prowadzenia badań. Każdy eksperyment należy zaplanować, jego wyniki opisać zgodnie z procedurą (najczęściej opartą na wyliczeniach statystycznych), a następnie wszystko wielokrotnie powtarzać. I dopiero po uzyskaniu za entym razem takiego samego efektu można mówić o odkryciu. Teoretyk buraka na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych raz na zawsze zerwał ze stosowaniem takich praktyk i od tej pory stał się niezwykle wpływowym czerwonym aparatczykiem.

Łysenko swoją krótką przygodę z prawdziwą nauką rozpoczął w 1916 roku, gdy jako osiemnastolatek złożył dokumenty do Szkoły Rolniczej i Sadowniczej w Humaniu. Oblał tak zwane prawo boże, czyli jeden z podstawowych przedmiotów nauczanych w carskich szkołach, i musiał wrócić do rodzinnej wsi Karliwka. Nie w smak było mu jednak proste chłopskie życie. Od najmłodszych lat miał wysokie poczucie własnej wartości i po roku postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia. Wraz z nadejściem bolszewików w szkolnictwie zniesiono elementy teologii, więc tym razem bez przeszkód zdał egzaminy i został przyjęty w poczet uczniów szkoły w Humaniu. Sława tej uczelni, ulokowanej w prowincjonalnym mieście, wykraczała poza rejon i obejmowała imperium Romanowów, sięgając także ważnych centrów akademickich Europy Zachodniej. Pracowali tam bowiem najwybitniejsi rosyjscy agronomowie, Wasilij Wasilewicz Paszkiewicz i Piotr Genrichowicz Szitt. Oprócz walorów naukowych placówka mogła imponować swoim zapleczem lokalowym. Zlokalizowano ją w kompleksie pałacowym należącym niegdyś do magnata Szczęsnego Potockiego. Na jej terenie znajdował się także słynny park Zofiówka, który zyskał miano jednego z siedmiu cudów Ukrainy.

Okres rewolucji i wojny domowej nie sprzyjał systematycznej nauce i Łysenko mimo kontaktu ze świetnymi badaczami nie przyswoił dużej części wiedzy. Braki

dotyczyły nie tylko przedmiotów ścisłych, lecz także samych podstaw edukacji. Kto wie, czy żegnając w 1920 roku Humań, umiał odczytać wywieszony na kopule cerkwi ukraiński napis: *Haj żywe wielika nieporuszna jednist' partii i narodu* (Niech żyje wielka i niezniszczalna jedność partii i narodu). Miał jednak szczęście i jego ambicje trafiły na podatny grunt. Rozpoczął się wówczas wielki bolszewicki eksperyment społeczny, w którego ramach czerwoni komisarze zamierzali przemodelować demograficzny układ państwa. Walerij Nikołajewicz Sojfer, autor książki *Władza i nauka*, tak podsumowuje ten okres w życiu Łysenki:

Znalazł swoją drogę. System wynoszenia do rangi specjalistów ludzi od pług i maszyny, „dzieci kucharek” (słowa W.I. Lenina), „przodowników pracy, inicjatorów zawodowego rozwoju” (słowa J.W. Stalina) otworzył przed nim drogę na szczyty.

Młody adept szkoły rolniczej wykazał chłopskie pochodzenie i szybko trafił na szkolenia do Kijowa. Po kilku miesiącach spędzonych w obwodowym mieście (wówczas stolicą republiki ukraińskiej był Charków) został wysłany do stacji badawczej w Białej Cerkwi. Tam ponownie zetknął się z wybitnymi radzieckimi biologami i agronomami, którzy na zlecenie Sachartriestu (zrzeszenia wytwórców cukru) prowadzili badania nad zwiększeniem wydajności plantacji buraka cukrowego. Łysence powierzono jednak prace z innym warzywem – cebulą. Jego obowiązki polegały na wytypowaniu najlepszych egzemplarzy do dalszej hodowli. Zadanie nie było zbyt ambitne i Trofim Denisowicz, który pragnął stworzyć nowy gatunek pomidora, z selekcjonera przeistoczył się w wynalazcę. Na tym polu nie odniósł żadnych sukcesów i został włączony do zespołu pracującego nad burakiem. Jednocześnie zaocznie podjął studia w Kijowie i w trakcie edukacji akademickiej opublikował dwie pierwsze prace. Te króciutkie artykuły bez zaplecza metodycznego, pozbawione stanu badań (czyli wymaganych elementów wchodzących w skład takiego tekstu) świadczą o aspiracjach naukowych młodego agronoma. Dzięki nim Łysenko uzyskał także drugi w swoim życiu tytuł i mógł nazywać siebie nie tylko selekcjonerem cebuli, lecz także teoretykiem buraka. Niebawem przybyła mu trzecia godność i od 1925 roku we wszelkich ankietach wpisywał już „wykształcenie wyższe”.

Pobyty w Białej Cerkwi nie był dla Łysenki szczególnie pomyślny. Jego wszystkie prace z zakresu agronomii zakończyły się niepowodzeniem, a naukowa zła passa miała towarzyszyć mu już do końca krótkiej kariery badacza. Bosonogi Profesor swoje porażki odczuwał szczególnie boleśnie. Całym sercem angażował się w projekty i od wczesnego ranka do późnego wieczoru obserwował, pielęgnował, przycinał i szczepił pomidory, a później buraki. Korzystał też z wiedzy i doświadczenia znamienitych kolegów, a mimo to nic mu się nie udawało. Kłopoty zawodowe na krótko osłodziły relacje z koleżanką ze stacji badawczej. Szybko

rozkwitająca miłość została jednak brutalnie stłamszona. Wybranka Trofima Denisowicza nie była wolną kobietą, a romans dwojga młodych agronomów odkrył jej męż. Wybuchł skandal i Łysenko postanowił wyplątać się z niefortunnego związku.

Badacz w pohańbieniu, niczym literacki bohater, porzucił ojczystą Ukrainę i wyjechał do azerskiej Gandzy, gdzie trafił do stacji leningradzkiego Instytutu Botaniki Stosowanej. Jednostka ta została powołana przez wybitnego agronoma i genetyka Nikołaja Wawiłowa i dysponowała jak na ówczesne warunki bardzo nowoczesnym wyposażeniem, a co najważniejsze – wybitną kadrą naukową, w której gronie znaleźli się między innymi profesorowie Kuleszow i Kostina oraz spec od metod badawczych, matematyk Dierewicki (włączenie umysłu ścisłego do zespołu biologów i agronomów było w tamtych czasach czymś niezwykle rzadkim). Paradoksalnie więc na dzikich i odludnych stepach Azerbejdżanu Łysenko odnalazł ośrodek naukowy, który poziomem przewyższał większość placówek w Kraju Rad i nie ustępował stacjom badawczym z Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych.

W Gandzy powierzono mu bardzo ważne, ale stosunkowo proste zadanie. Miał prowadzić eksperymenty z roślinami bobowatymi i sprawdzić, czy wysiane jesienią groch, lucerna albo seradela wejdą wczesną wiosną. Klimat był sprzyjający, średnia temperatura stycznia wynosi tam około dwóch stopni Celsjusza; zakładano więc, że uda się uzyskać plony już w marcu. Zaspokoiliłyby one chroniczne niedobory paszy, na które cierpiały na przednówku azerskie stada, oraz stanowiły podstawę tak zwanego zielonego nawozu. Wawiłow, znany z czerpania inspiracji z innych kręgów kulturowych, zasugerował, żeby w ubogiej republice wzorem starożytnych Indii wzbogacać gleby poprzez zaorywanie wcześniej zasadzonych roślin. Gdyby udało się choć częściowo zrealizować założone cele – kalkulowali kierownicy stacji – to rolnictwo tej południowej krainy ZSRR weszłoby na wyższy poziom rozwoju.

Bosonogi Profesor wspierany przez grono pomocników wydzielił eksperymentalne poletki i jesienią 1925 roku zasiał na nich groch. Zima była łagodna, więc na przełomie lutego i marca 1926 roku otrzymał plony. Zamiast szykować się do kolejnych cykli eksperymentu, odtrąbił sukces i zajął się badaniami nad pszenicą, poświęcając bobowatym coraz mniej uwagi. Uznał bowiem, że jest u progu przełomowego odkrycia naukowego, dzięki któremu wybawi kraj od głodu. Jego *idée fixe* polegała na przechowywaniu nasion ozimej pszenicy w niskiej temperaturze (od zera do pięciu stopni Celsjusza), a następnie wysiewaniu ich wiosną. Tego typu praktyki miały skutkować zwiększeniem zbiorów i skróceniem okresu rozwoju zbóż. Sama koncepcja poddawania roślin wpływowi niskich temperatur nie była nowa i jeszcze w XIX wieku francuscy naukowcy pisali o hartowaniu nasion, w ZSRR zaś tym zagadnieniem zajmował się uzdolniony biolog i botanik Gawrił Siemionowicz Zajcew. Innowacyjność agronoma z Gandzy polegała w głównej mierze na

uproszczeniu istniejących perspektyw oraz nadaniu metodzie nazwy „jarowizacja”. Ambitny Łysenko na tym nie poprzestał. Przyjął, że warunkiem rozwoju każdej rośliny jest dostarczenie jej ściśle określonej dawki energii, i postanowił wyliczyć tę wartość dla każdej fazy wzrostu zboża. W tym celu wysadził poddane jarowizacji nasiona pszenicy i obserwował, kiedy wzejdą, listki przemienią się w źdźbła, zawiążą w kłos i tak dalej. Liczył przy tym dni słoneczne i deszczowe, a dane wpisywał do tabeli. Do analizy cyferek zaprosił matematyka Dierewickiego. Sam przygotował zaś część poświęconą hipotezie, wyłożył metodę, przywołał prace kilku innych badaczy, między innymi Zajcewa, i tak oto powstał obszerny artykuł *Wpływ czynników termicznych na czas rozwoju roślin*. Loren Graham w książce *Nauka, filozofia i nauki behawioralne w Związku Radzieckim* zauważa, że „Łysenko przedstawił [w swoim artykule – przyp. aut.] wzór, który umożliwia określenie liczby dni niezbędnych do wstępnego opracowania nasion”, czyli jarowizacji. W kolejnych zdaniach amerykański historyk nauki konstatuje doniosłość tego faktu i stwierdza, że radziecki agronom nigdy więcej nie wykorzystał już żadnych, nawet najprostszych matematycznych wyliczeń oraz zarzucił próby naukowego dowodzenia. I tak oto ukazanie się w 1928 roku *Wpływu czynników termicznych...* zamyka krótką przygodę Łysenki z nauką. Od tej pory jego tekstom bliżej będzie do materiałów publicystycznych czy fikcji literackiej niż do prac rzetelnego badacza.

DZIAŁACZ

Niektórzy demaskatorzy spiskowej teorii dziejów czy też poszukiwacze ciemnych mocy w historii ludzkości oskarżają Trofima Denisowicza o konszachty z diabłem. Takie przekonanie wyraża między innymi Anton Iwanowicz Pierwuszyn, autor książki *Okultystyczne wojny NKWD i SS*, który w rozdziale *Alchemik Trofim Łysenko* wskazuje na niewyjaśnione śmierci w otoczeniu agronoma oraz przyrównuje jego prace nad przemianami jednych gatunków w drugie do praktyk średniowiecznych magów. Zawodowi historycy stronią od takich interpretacji, podkreślając przy tym niezwykle wymiar pewnego spotkania, które odbyło się na początku 1927 roku w Gandzy. Wówczas do azerskiej stacji badawczej w poszukiwaniu tematu do artykułu przybył Wit Fiedorowicz, słynny radziecki publicysta oraz gumowe ucho władzy. Praca tego dziennikarza była szczególnie istotna dla partyjnej wierchuszki. Stalin zaplanował już przymusową kolektywizację wsi i przed podjęciem decyzji o wysłaniu Armii Czerwonej przeciw kułakom zamierzał rozpętać kampanię deprecjonującą właścicieli dużych i średnich gospodarstw rolnych. Część propagandową powierzył zaś najbardziej zaufanym gryzpiórkom, do których zaliczał się właśnie Fiedorowicz. Trudno się więc dziwić, że ten prominentny i zmotywowany politycznie redaktor nie interesował się dokonaniem nobliwej profesorskiej kadry.

Do swojego reportażu poszukiwał kogoś, w kim skupiłyby się cechy promowane przez bolszewików, a mianowicie byłby człowiekiem z ludu, ale dążył do zdobywania wiedzy, bez carskiej przeszłości, ale gotów służyć władzy. Spotkanie z Łysenką potraktował więc jak zrządzenie losu. Przez dwa dni chodził krok w krok za agronomek i wypytywał o jego pracę, pomysły na życie i wizję gospodarki rolnej ZSRR. Następnie opuścił Azerbejdżan i przez kilka miesięcy życie Trofima Denisowicza toczyło się zwyczajnym rytmem. Aż do 7 sierpnia, kiedy to w wychodzącej w milionowych nakładach gazecie „Prawda” na piątej stronie ukazał się świetnie napisany tekst *Pola zimą*. Od tego momentu – stwierdza Sojfer – życie teoretyka buraka uległo radykalnej zmianie, a „wszystkie jego późniejsze działania zostały opatrzone pieczęcią pośpiechu, diabelskiego blasku i haniebnej lekkomyślności”.

Fiedorowicz opisał w artykule niezwykle uczonego profesora, który zajmował się wyrafinowanymi, ale mało przydatnymi zagadnieniami. Tej sylwetce przeciwstawił poznanego w azerskiej stacji Trofima Denisowicza. „Uniwersytetów nie kończył, u muszek włochatych nówek nie badał, ale patrzył w istotę rzeczy” – scharakteryzował młodego agronoma i z niewiadomych powodów określił go mianem Bosonogiego Profesora. Następnie na przemian prezentował jego pomysły oraz wrzucał kilka zdań przybliżających sylwetkę. I tak po akapicie poświęconym wyliczaniu niezbędnych dawek energii dla każdej z roślin niezwykle barwnie, choć nie do końca wiernie, opisał powierzchowność Łysenki:

Jeśli sądzić o człowieku na pierwszy rzut oka, to od tego Łysenki pozostaje wrażenie bólu zębów – daj Boże jemu zdrowie, wygląda na słabowitego. W słowach skąpy, oblicze ma nijakie. I jedynie zapada w pamięć jego ponure spojrzenie, którym omiata ziemię, jakby chciał kogoś *ukokać* [ukatrupić – przyp. aut].

Tuż po publikacji artykułu Łysenkę zawezwali lokalni aparatczyycy. Można podejrzewać, że udał się tam z duszą na ramieniu. Po pierwsze, ten chłopski syn zawsze czuł lęk przed władzą – jakkolwiek. Po drugie, tekst opublikowany w najważniejszej radzieckiej gazecie nie był jednoznaczny. Wyeksponowano tam przecież także braki w jego edukacji. Nieoczekiwanie jednak ze strony czerwonych zarządców republiki azerskiej młodego agronoma spotkały same pochwały i na odchodne otrzymał obietnicę wszelkiego wsparcia w pracach naukowych. Podobnie zareagowali jego przełożeni ze stacji badawczej. Nie musi już kontynuować prac z bobowatymi – zapewnili – i może realizować indywidualny projekt. Wówczas Łysenko poczuł się profesorem pełną gębą. Będąc zaś człowiekiem sprytnym i nierzadko przenikliwym, docenił przydomek, jakim dziennikarz opatrzył ten tytuł. Uznał zatem, że jako „bosonogi” naukowiec zajdzie dalej niż kojarzący się z carską przeszłością obuty w lakierki burżuazyjny badacz.

Szybko ukazał się pierwszy i ostatni w jego karierze tekst naukowy. Zajcew, który

był jednym z kilku autorów przywołanych w tej publikacji, ciężko zachorował i zmarł. Od tej pory nazwisko tego uznanego radzieckiego naukowca nigdy więcej nie pojawiło się w pseudonaukowych pracach Łysenki. Nie dość tego, Bosonogi Profesor rozpoczął badania nad bawełną, które przedtem z powodzeniem prowadził jego nieżyjący kolega.

Sukces gonił sukces i latem 1928 roku, po krótkim *tournée* z prezentacjami po prowincjonalnych uczelniach, Łysenkę zaproszono na wielki i prestiżowy kongres selekcjonerów i genetyków w Leningradzie. W wykładzie przygotowanym wraz z Dierewickim oznajmił, że dzięki jarowizacji istnieje możliwość trzykrotnego zwiększenia plonów pszenicy ozimej. Jako dowód tego niewiarygodnego progresu przedstawił wyniki eksperymentu, który jakoby przeprowadził w gospodarstwie swojego ojca. Nieoczekiwanie dla prelegenta referat przeszedł bez echa. Zgromadzeni na sali badacze od dawna wiedzieli, że istnieje możliwość potraktowania ziarna chłodem, a ponadto nie wierzyli, że taki zbiór można potroić. Zamiast oponować, woleli jednak milczeć. Trwało już rozkułaczanie i do świadomych mieszkańców ZSRR dochodziły głosy potwierdzające okrucieństwo, jakiego wobec chłopów dopuszczali się żołnierze i partyjni aktywiści. Nie trzeba było też być wizjonerem, żeby przewidzieć nadchodzący głód, którego ofiarą miało paść w najbliższych latach co najmniej sześć milionów ludzi. Każdy głos, który podważałby sukces w rolnictwie, mógłby zatem zostać odczytany jako sprzeciw wobec oficjalnej polityki partii.

Dziennikarze kierujący się tymi samymi przesłankami co naukowcy uznali, że nagłośnienie dokonań Bosonogiego Profesora przysporzy im chwały w oczach partyjnych decydentów, i tuż po leningradzkim kongresie zaczęły pojawiać się artykuły opisujące sukcesy jarowizacji. Teksty zamieszczane w najważniejszych gazetach zawierały mnóstwo sprzeczności i nieścisłości. Dwudziestego pierwszego lipca 1929 roku w „Prawdzie” ukazał się artykuł Władimira Grigorjewa, w którym informowano, że wybitny młody naukowiec Łysenko w azerskiej stacji badawczej przygotował dwa worki jarowizowanych nasion ozimej pszenicy i „pod jary [to jest wiosenny – przyp. aut.] wysiew wysłał je do sprawdzenia w całkowicie innych warunkach wegetacji 3000 km na północ [faktycznie około 1700 km – przyp. aut.], do swego ojca, rolnika-przodownika-średniaka [to znaczy posiadającego średniej wielkości gospodarstwo, niepodlegające rozkułaczeniu – przyp. aut.]”. Następnie autor informuje, że ojciec agronoma, Denis Nikanorowicz, nazwany w artykule Didem Trachimem, początkowo został wyśmiany przez sąsiadów, a później, gdy plon z eksperymentalnej pszenicy trzykrotnie przewyższył ich zbiory – okrzyknięty cudotwórcą. Dwa i pół miesiąca od ukazania się noty Grigorjewa w tej samej gazecie pojawił się tekst nie byle kogo, bo narkomziema republiki ukraińskiej (czyli ministra rolnictwa) Aleksandra Szlichtera, w którym autor informował, że Trofim Denisowicz w drodze na leningradzki kongres wstąpił do Karliwki i opowiedział rodzicielowi

o swoich badaniach nad pszenicą. „Ojciec postanowił sprawdzić odkrycia syna w praktyce i zaryzykował posianie ozimych nasion wiosną” – relacjonuje minister. Podobnie jak w sprawozdaniu poprzednika, także tu autor podaje, że okoliczni gospodarze wyśmiali seniora i stwierdzili, że *starij zdurniw* [ukr. stary zwariował – przyp. aut.], by niebawem uznać wyższość nauki. Plon, który uzyskał Denis Nikanorowicz, okazał się bowiem dwa i pół razy wyższy niż u sąsiadów. Wówczas dumny rolnik udał się do siedziby ministra republiki ukraińskiej do Charkowa i tam zaprezentował kłosa nabrzmiałe od ziarna.

Sojfer zastanawia się, dlaczego wykształcony i doświadczony bolszewik, jakim był Szlichter, napisał ten z gruntu nieprawdziwy artykuł. Namaszczony jeszcze przez Lenina urzędnik nie mógł przecież uwierzyć w rewelacje Łysenki, zapewnia we *Władzy i nauce*. Kłamstwa służyły propagandzie, ale minister rolnictwa nie musiał ich poświadczać własnym nazwiskiem. Od tego miał rzeszę dziennikarzy. Skąd więc jego podpis pod artykułem? Zdaniem historyka urzędnicy byli świadomi nadchodzącej tragedii i możliwe, że próbowali między innymi za pomocą publikacji prasowych niejako antycypować krytyczne oceny przyszłych pokoleń. Całkiem prawdopodobne też, że Szlichter popadł, podobnie jak wielu sowieckich aparatczyków, w stan przypominający schizofrenię i szczerze pragnął, żeby rewelacje agronoma okazały się prawdą. Rzeczywistość była jednak dużo okrutniejsza, niż się to wydawało ówczesnym decydom. Niebawem miała się zacząć jedna z większych eksterminacji ludności cywilnej w XX wieku. Jej nadejścia spodziewali się tylko nieliczni ze Stalinem na czele oraz doświadczeni chłopci, tacy jak ojciec Łysenki. Obecnie uważa się, że Did Trachim nie zamierzał wcale eksperymentować z cennym ziarnem. Najprawdopodobniej ukrył dwa worki ozimej pszenicy przed konfiskatą, te zamokły i żeby całkowicie się nie zmarnowały, wysadził je wiosną.

Przez kolejne lata pozycja Łysenki systematycznie się wzmacniała. Piął się po szczeblach kariery i uzyskał tytuł członka Akademii Nauk Ukraińskiej Republiki Radzieckiej oraz został przyjęty w poczet Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych imienia Lenina. Wszystkiego tego dokonał bez żadnych egzaminów, bez publikacji badawczych. Za to aktywnie udzielał się na łamach gazet i to zapewne dzięki niemu pseudonaukowa dyskusja przeniosła się z sal akademickich do codziennej prasy. Jego pozycja wciąż była jednak zbyt słaba, żeby mógł się pokusić o strącenie największego wroga, genialnego agronoma i genetyka Wawiłowa. Do czasu. W lutym 1935 roku Łysenko brał udział w II Zjeździe Kołchoźników Przodowników. Podczas jego wykładu poświęconego „szkodnikom i kułakom w nauce” oraz „klasowej walce na froncie jarowizacji” wstał Stalin i wykrzyknął: „Brawo, towarzyszu Łysenko, brawo!”. Krwawy Gruzin doczekał do końca referatu i wyszedł tuż przed wystąpieniem Wawiłowa. Trofim Denisowicz, będąc już doświadczonym działaczem, właściwie odczytał przesłanie wodza. Od tej pory

rozpoczął się kolejny etap w jego życiu. Nie wahał się już i wypowiedział otwartą wojnę genetykom, a później tak zwanym mendelistom-morganistom, cytologom, histologom, mikrobiologom czy też embriologom. Sam nie pisał donosów. Do końca życia był półanalfabeta, więc tworzenie oficjalnych listów zlecał podwładnym. Mimo to zachowały się ślady jego zbrodniczej działalności. Na jednym z pism przesądzających o losie Wawiłowa widnieje napisane ręką Trofima Denisowicza: „Popieram”. Podobne adnotacje można odnaleźć i na innych donosach. Szacuje się, że teoretyk buraka w latach 1935–1955, czyli okresie, gdy dysponował największą władzą, przyczynił się do zwolnienia z pracy tysięcy badaczy, setki naukowców trafiły do więzień czy na Sybir, a ponad pięćdziesięciu profesorów straciło życie. W gronie ofiar znalazł się także polski naukowiec, chemik i pionier biochemii Jakub Parnas. Uczony przez całą drugą wojnę światową przebywał w ZSRR i pozostał tam także – głównie z powodów zdrowotnych – po jej zakończeniu. W Moskwie cieszył się dużym autorytetem, został przyjęty do grona akademików i otrzymał Nagrodę imienia Stalina pierwszego stopnia. Nieoczekiwanie jednak popadł w niełaskę. Podczas posiedzenia prezydium Akademii Nauk ZSRR emocjonalnie zareagował na wystąpienie Łysenki poświęcone dziedziczeniu i gdy Bosonogi Profesor zapewniał, że geny nie istnieją, Polak miał wykrzyknąć: *Kakoj durak. Gieny suszcziestwujut* (Jaki głupiec. Geny istnieją). Dwudziestego dziewiątego stycznia 1949 roku, czyli dzień po wymianie zdań z Łysenką, Parnas został aresztowany i wkrótce zmarł w areszcie.

CZŁOWIEK

Dzień w dzień tuż przed osiemną prezydent Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych imienia Lenina odprawiał asystentki, wstawał z fotela, który niegdyś zajmował jego wielki poprzednik Wawiłow, narzucał na grzbiet znoszony płaszcz i opuszczał gabinet. Wsiadał do limuzyny i jechał do stołówki dla prominentnych urzędników partyjnych, która znajdowała się przy ulicy Granowskiego. Tam pałaszował wszystko, co podsunęto mu pod nos. Im jedzenie było prostsze, bardziej chłopskie, tym smakowitsze. Lubił zwłaszcza rodzimą kuchnię ukraińską i dał temu wyraz jeszcze przed laty, podczas rozmowy z Witem Fiedorowiczem. Wówczas, spacerując po gandżyjskich polach, wyznał dziennikarzowi, że jego ulubioną potrawą są mamine pielmieni. Od tego czasu zwyczaje kulinarne Łysenki się nie zmieniły i chętniej sięgał po słoninę niż de volaille’a. Nie przepadał również za wyrafinowanymi strojami i choć stać go było na modę rodem z Paryża, „nosił się jak asceta”. Autor tego porównania, Walerij Sojfer, ze szczególną uwagą przyjrzał się obuwia agronoma. „Nie irytowało go [...] – stwierdza historyk – że miesiącami wiąże te same podniszczone sznurówki, w wielu miejscach przerwane i złączone na węzełek”.

W czasie, gdy Trofim Denisowicz zjadał obiadokolację, szofer kupował mu dwie butelki piwa. Nie zdarzyło się jednak, żeby Bosonogi Profesor zażyczył sobie innych trunków. Jak poświadczają jego znajomi, stronił od wódki i od święta raczył się wytrawnym winem. Kupował je zawsze sam i wypijał w domowym zaciszu. Istnieje też relacja zgoła przeciwna, zgodnie z którą Trofim Denisowicz miał w zwyczaju co miesiąc spotykać się z przyjacielem, wybitnym językoznawcą i członkiem korespondentem Akademii Nauk, upijać się z nim do nieprzytomności i od najgorszych „rugać sowiecką władzę”. Sojfer przywołuje to świadectwo jako prawdopodobne, ale nie podejmuje się podania ani nazwiska kompana od kieliszka, ani źródła, z którego zasłyszał te rewelacje.

Około siódmej biolog z wypełnioną po brzegi menażką wsiadał do limuzyny i kazał wieźć się do domu. W mieszkaniu przekazywał naczynie żonie i kładł się spać; dzięki aprowizacji z rządowej stołówki małżonka nie musiała już nic przygotowywać (zresztą nie była skora do jakichkolwiek obowiązków domowych). Agronom budził się po godzinie i wzorem wyeliminowanego przez siebie Wawiłowa rozpoczynał kolejne zajęcia. Zacharow-Giezechus w tym naśladowaniu zwyczajów wielkich uczonych dostrzegał przejaw szaleństwa. „Łysenko nie był świadomym falsyfikatorem – stwierdza genetyk i historyk nauki. – Należał do grona paranoików, którzy ślepo wierzą w swe idee [...], a takie osobowości nierzadko posiadają umiejętność wpływania na środowisko”.

Po dwudziestej pierwszej Trofim Denisowicz – zgodnie z wieczorno-nocnym rytuałem – zaczynał wydzwaniać do podwładnych. Najczęściej kontaktował się z podległym mu lizusem, akademikiem Isaakiem Izraelewiczem Prezentem, i do drugiej, trzeciej w nocy omawiali „naukowe sprawy”. Możliwe, że podczas jednej z takich debat narodziła się idea zgładzenia Wawiłowa. W Państwowym Archiwum Federacji Rosyjskiej znajduje się notatka adresowana do Berii i Mołotowa, która – zdaniem wielu historyków – stała się bezpośrednią inspiracją do zatrzymania genialnego naukowca. Rozpoczynają ją zdania:

Chór kapitalistycznych kundli od genetyki w ostatnim czasie zasilili nasi rodzimi morganiści. Wawiłow w szeregu publicznych wystąpień objawił, że on i jego ludzie „sploną na stosie”, tak jakby w naszej ojczyźnie miały odrodzić się czasy Galileusza.

Pod dokumentem widnieje podpis Prezenta, a na odwrocie sygnatura czołowego agronoma Kraju Rad.

Bywały jednak dni, gdy Łysenko nie miał do kogo zadzwonić. Wówczas, osamotniony, bez wianuszka klakierów, popadał w stany depresyjne. W takich momentach mogła dochodzić do głosu jego prawdziwa chłopska natura i kto wie, czy choć oficjalnie był ateistą, nie zwracał się myślami w stronę jedynej transcendencji, którą znał – Boga. Najprawdopodobniej nie miał w domu ikon. W tamtych czasach

były one źle widziane. Plotka jednak głosi, że posiadał pokaźną kolekcję krzyżyków na szyję i za ich pomocą odprawiał swe modły.

Dzięki wsparciu domowników chwile słabości szybko mijały i Trofim Denisowicz znów nabierał pewności siebie. Zdarzało się także, że wpływ rodziny bywał bardziej absorbujący, niżby tego oczekiwał. Łysenkę regularnie odwiedzał szwagier z ukraińskiej Karliwki, który do stolicy przyjeżdżał na „spekulacje”. Między mężczyznami dochodziło wówczas do karczemnych awantur. Trofim Denisowicz wytykał mężowi siostry, że ten postępuje niegodziwie wobec sowieckiego państwa i zajmuje się zakazanym handlem. Krajan zapewne odgryzał się Łysence i bywało, że sprzeczki trwały do białego rana. Nigdy jednak agronomowi nie przyszło do głowy wydać przedsiębiorczego członka rodziny. Jeszcze bardziej specyficzne relacje łączyły Bosonogiego Profesora z ojcem. Po przeprowadzce do Moskwy zabrał starca do siebie, ale Did Trachim nie potrafił żyć bez ziemi. Wówczas syn wysłał rodzica do pobliskiej stacji badawczej, gdzie ten otrzymał posadę brygadzysty w gospodarstwie rolnym. „Karmię cię, daję na ubranie i odzież. Nie biedujesz” – oznajmił i zdecydował, że Denis Nikanorowicz za swą pracę nie będzie otrzymywać wynagrodzenia. Ojciec przyjął to ze zrozumieniem i przez cały pobyt w podmoskiewskim gospodarstwie ani razu nie żalił się na swój los. Przeciwnie, jak zaświadcniają współpracownicy Łysenki, zawsze był rad z odwiedzin syna i jego współpracowników i zgodnie ze swym zwyczajem witał gości „szmatem”, czyli grubym plastrem słoniny, oraz szklanką wódki. Nieprzyjęcie takiego gościa było wielką obrazą dla starca.

Surowe, ale pełne swoistej rodzinnej wyrozumiałości relacje łączyły również Łysenkę z najbliższymi współpracownikami. Agronom, będąc człowiekiem absolutnie niezainteresowanym gromadzeniem majątku, okazał się wrażliwy na problemy finansowe swych podopiecznych. Sojfer zauważył, że umiał w sposób „prosty i bez żadnej pozy” wręczyć potrzebującemu pieniądze, w momencie gdy ten ich najbardziej potrzebował. Gest Trofima Denisowicza znali też różnej maści naciągacze i między innymi jego zastępca, dyrektor administracyjny Odeskiego Instytutu Badawczego, niejaki Rodionow, za otrzymane od pryncypała wsparcie wniósł okazałą nadmorską daczę. Łysence zdarzało się także dopraszać o łaskę dla najbliższych pracowników. Do bodaj najbardziej znanej interwencji doszło w Odessie (Łysenko pracował tam w latach 1929–1935). Dotyczyła ona redaktora czasopisma „Jarowizacja” Fiodora Iwanowicza Fiłatowa, który trafił do aresztu tuż po zawieszeniu nad biurkiem portretu Siergieja Jesienina. Za wyeksponowanie podobizny poety w miejscu, w którym miały się znaleźć oblicza ojców rewolucji, groziło co najmniej kilka lat łagru. Bosonogi Profesor, dowiedziawszy się o zatrzymaniu redaktora, od razu udał się do aresztu i jeszcze tego samego dnia załatwił jego uwolnienie.

Teoretyk buraka przez dekady rządów w radzieckiej nauce stworzył wokół siebie oddaną mikrospołeczność. Przypominała ona osadę opartą na hierarchicznych zasadach, w której niepodzielnie władał on, ojciec i pan, pseudonaukowiec Trofim Denisowicz Łysenko. I niczym sołtys nie tylko wydawał polecenia, lecz także poczuwał się do ochrony i wspierania podległych mu pracowników. Zasada ta nie dotyczyła ludzi spoza grupy. Dla setek badaczy, którzy mieli to nieszczęście, że stanęli na jego drodze, nie było żadnej litości. Tuż po aresztowaniu genetyka i pioniera radzieckiej agrochemii Antona Kuźmicza Zaporozca w marcu 1941 roku pojawiła się u Łysenki żona uczonego, znana rzeźbiarka Olga Władimirowna Kwinichidze-Zaporozec. Prosiła, żeby wstawił się za jej ukochanym, którego za bandytyzm (cokolwiek by to miało znaczyć) skazano na pięć lat łagru. Rozmówca wysłuchał jej, ani razu nie przerywając. Kobieta wzięła to za dobrą monetę, wsiadła za nim do samochodu i przez całą drogę błagała o łaskę. Gdy auto się zatrzymało, wszechmogący Trofim Denisowicz bez słowa wysiadł i ze złością trzasnął drzwiami. Po trzech miesiącach Zaporozcowi karę łagru zamieniono na wyrok śmierci przez rozstrzelanie, który wykonano 9 lipca 1941 roku.

WYBRANA LITERATURA

1. Fiedorowicz W., *Polja zimoj*, „Prawda”, 7 sierpnia 1927, s. 5.
2. Graham L.G., *Science, Philosophy and Human Behavior in the Soviet Union*, Nowy Jork 1989.
3. Grigorjew W., *Oktrytije agronoma Łysenko. Metod Łysenko budiet na praktiki primienien w sowchozach i kolchozach Ukrainy*, „Prawda”, 21 lipca 1929, s. 4.
4. Leonow W., *Dołgoje proszczanije z Łysenkowszczinoj*, <http://www.biometrica.tomsk.ru/lis/index.htm> [dostęp: 19.01.2016].
5. Pierwuszyn A., *Okultnyje wojny NKWD i SS*, Moskwa 2004.
6. Sojfer W.N., *Właść i nauka: istoria razgroma genetiki w SSSR*, Moskwa 1993.
7. Szlichtera A., *O posiewie ozimych kultur wiesnoj (oktrytije agronoma Łysenko)*, „Prawda”, 8 października 1929, s. 3.
8. Zacharow-Giezechus I.A., *Iz istorii gienetiki. Łysenkowszczina: 1948–1964*, Institut obszczej gienetiki im. N.I. Wawiłowa, http://bio.1september.ru/view_article.php?ID=200402003 [dostęp: 19.01.2016].

GWIAZDA TRUCIZNY

DIABEŁ W PRZEBRANIU

W pokoju pielęgniarek rozlega się dzwonek.

– To znowu on? – zrzędzi pod nosem stara zakonnica. – Jego eminencja ciągle chce, żeby go drapać. Rozumiem, że jest zagipsowany, wszystko go swędzi, ale, na Boga, ile można?!

– Zostańcie, ja pójdę – mówi nowa. Do szpitala przyjęto ją kilka dni temu. Nie jest zakonnica – w przeciwieństwie do pozostałych sióstr. Wygląda też inaczej. Ma urodę typowej ruskiej damy. Wysoka, szczupła, długi blond warkocz. Wszyscy lekarze się za nią oglądają. Modest Iwanowicz próbował już szczęścia, ale odprawiła go z kwitkiem. I jak ofuknęła! Ludzie gadają, że to nieślubna córka ordynatora albo może nawet jego kochanka. Kto to wie.

– Niech siostra Pelagia odpocznie – rzuca pielęgniarka i znika w mroku korytarza.

Biskup Teodor Romża, grekokatolicki duchowny, cudem uszedł z życiem z tragicznego wypadku. Dwudziestego siódmego października 1947 roku jeszcze przed zmierzchem wracał furmanką do Użhorodu z ważnej rozmowy z ojcem Jurijem Paćkunem z Czopa. Księża dyskutowali o sposobach nawiązania kontaktów z Watykanem przerwanych podczas wojny. W drodze powrotnej w furmankę, którą jechał biskup, wpadła rozpędzona ciężarówka. Samochód stratował konie, w które zaprzężono wóz, natomiast sam Romża porażony siłą uderzenia wyleciał z kozła i wpadł do rowu przyprószonego śniegiem. Tam dopadli go dwaj mężczyźni z feralnego pojazdu. Jeden zaczął okładać duchownego kolbą od sztucera, drugi kopał go w brzuch. Na szczęście w porę nadbiegli okoliczni chłopcy i napastnicy uciekli, nie dokończywszy dzieła.

Romża ocknął się w szpitalu. Żył! Udało mu się kolejny raz wyjść cało z nie lada opresji. Mimo ważnej funkcji, którą pełnił w Kościele grekokatolickim, tak jak jego dziadowie i ojciec, zachował cechy człowieka z ludu. Grubokościsty, żywotny, silny jak niedźwiedź i obdarzony gęstwiną włosów na głowie i brodzie powoli wylizywał się z ran. „Nie tak łatwo będzie bolszewikom się mnie pozbyć” – uśmiechał się do swych myśli. Bo że na jego życie czatowali lokalni partyjni watażkowie, nie miał wątpliwości.

W szpitalu poskładano biskupowi połamane rękę i bark i pod dobrą opieką siostrzyczek szybko dochodził do zdrowia. Piątego dnia od wypadku próbował nawet

wstać, ale lekarz srogo go zbeształ i nakazał leżeć. Wówczas oddał się rozmyśleniom i snuł plany aliansów z komunistami z centrali oraz powziął decyzję o równoległych potajemnych negocjacjach z papieżem. „Kiedy wstawi się za naszymi ludźmi Pius XII, a pierwszy sekretarz KC Ukrainy Chruszczow też nie będzie przeganiać, to nie tak łatwo nas ruszą” – kombinował, choć mylił się co do kijowskiego aparaczyka; Nikita Siergiejewicz dobrze wiedział, co niebawem się wydarzy. I przy takich rozważaniach dopadła Romzę kolejna fala „swędziawek”.

– Siostrzyczko, dzwonię i dzwonię! – zawołał na widok nadchodzącej postaci w białym kitlu. – Podrapcie mnie pod opatrunkiem, strasznie męczy mnie ten gips.

Kobieta zatrzymała się przy wezglowiu łóżka, tak żeby pacjent nie mógł dostrzec jej twarzy:

– Musiało was bardzo boleć, prawda? – spytała.

Romzę przeszedł dreszcz. Słowa te, wypowiedziane bez ukraińskiego akcentu, w czystym języku rosyjskim, zabrzmiały raczej jak groźba niż pocieszenie.

– A teraz – wyciągnęła ku biskupowi rękę ze strzykawką – a teraz witaminy na wzmocnienie. – I szybkim ruchem wbiła igłę w bok księdza.

PTICZKI

Doktor nauk medycznych Josef Mengele w 1943 roku przybył do Auschwitz i tam rozpoczął swe nieludzkie eksperymenty. Wyszukiwał bliźnięta i jednemu z nich wszczepiał bakterie tyfusu, a drugie, niezainfekowane, traktował jak niezbędną w doświadczeniu próbę. Anioł Śmierci, bo taki przydomek zyskał, uczestniczył również w selekcji więźniów – trzcinką wskazywał tych, którzy jako niezdolni do pracy szli do komór gazowych. Nieliczni, przeżywszy spotkanie z Mengelem, potwierdzają, że nie nazywał ich inaczej niż ładunkiem lub obiektami.

Ponad dekadę wcześniej na drugim końcu świata, nieopodal mandżurskiego Harbinu Japończycy zbudowali Jednostkę 731. Oficjalnie miała zajmować się uzdatnianiem wody, w rzeczywistości jednak, podobnie jak w laboratorium Josefa Mengele, prowadzono tam haniebne eksperymenty na ludziach. Japońscy lekarze swym ofiarom, wśród których byli nie tylko Chińczycy, lecz także Rosjanie, a niekiedy również mieszkańcy Europy Zachodniej czy Stanów Zjednoczonych, wszczepiali wąglika, podawali cyjanek lub bez znieczulenia wycinali narządy. Testowali także skuteczność broni masowego rażenia i do celi, w której znajdowali się nieszczęśnicy, wrzucali granty. Następnie z aptekarską dokładnością mierzyli skalę powstałych ran. Nasuwa się pytanie, czy mieli później wyrzuty sumienia. Po latach w wywiadzie udzielonym dziennikarzowi „New York Timesa” japoński lekarz i oficer Toshimi Mizobuchi, który prowadził pseudomedyczne eksperymenty w Jednostce 731, wyznał, że wszystkie ofiary były dla niego *maruta* (czyli kłodami

drewna). I gdy zaskoczony dziennikarz nie do końca zrozumiał znaczenie przywołanego porównania, oprawca skwapliwie wyjaśnił:

Kłody nie zaliczały się do ludzi. To byli zdrajcy albo konspiratorzy. Byli martwi za życia, zatem wówczas umierali drugi raz [podczas eksperymentów – przyp. aut.]. A my po prostu wykonywaliśmy wyrok śmierci.

Trudno porównywać okrucieństwa, których dopuszczali się pseudonaukowcy z całego świata, jednak w cynizmie nikt chyba nie prześcignął bolszewików. W Kraju Rad już kilka lat po rewolucji październikowej, która w teorii miała wyzwolić ciemiężony lud pracujący, powołano specjalne kacety o zaostrzonym reżimie. Niegdysiejsze carskie łagry przy obozie założonym w 1923 roku na Wyspach Sołowieckich były niczym zielona szkoła. Ludzi traktowano tam jak użyteczne przedmioty. Wałam Tichonowicz Szalamow, więzień i autor *Opowiadań kołymskich*, cytuje oficjalną korespondencję między naczelnikami obozów. „Przywieź 200 drzew”, brzmiał jeden z telegramów. Informację tę należało odczytać jako prośbę o oddelegowanie dwóch setek osadzonych. Porównanie ludzi do roślin nie było jednak metaforą. Tundra, gdzie lokowano łagry, obfituje w mchy, porosty i borówki, ale przez dziesiątki kilometrów nie zobaczy się ani jednego drzewa. Problem braku drewnianych okrągłaków, wykorzystywanych do budowy dróg i ścieżek, rozwiązano więc z iście szatańską pomysłowością i dukty dalekiej Północy układano z zamarznętych ciał. Kto wie, czy japońscy pseudonaukowcy nie zaczerpnęli określenia „kłody” od swoich sowieckich kolegów.

Jak się okazuje, piekło nie ma jednego dna. Bolszewicy, szukając coraz to nowszych sposobów na wykorzystanie więźniów, postanowili stworzyć jednostkę, która pod wieloma względami była bardziej przerażająca od najgorszego łagru. W literaturze popularnej ochrzczone ją mianem Laboratorium X. Pierwowzorem tej placówki było tak zwane Biuro do Zadań Specjalnych, które na polecenie Włodzimierza Lenina powstało już w 1921 roku. Na jego czele stanął Ignatij Nikołajewicz Kazakow. Ten lekarz i naukowiec miał za zadanie przygotowywać trucizny przeznaczone w głównej mierze do mordowania rosyjskich emigrantów. Wódz rewolucji liczył na zagraniczne pożyczki i robił wszystko, żeby pokazywać Kraj Rad w jak najlepszym świetle, tymczasem carscy wychodźcy zaświadczyli o czymś zgoła przeciwnym. W ich relacjach ojczyzna jawiła się jako miejsce terroru i absolutnego braku poszanowania własności prywatnej, co jeszcze skuteczniej odstraszało wielki biznes niż łamanie praw człowieka. W kraju Lenin mógł zwolenników *ancien régime'u* wyłapać i wysłać na Syberię lub eksterminować w murach butyńskiego więzienia, jednak w Paryżu czy Berlinie, gdzie osiedli, nie było to możliwe. I właśnie dlatego postanowił skorzystać z jądów, dzięki którym dawało się w białych rękawiczkach usunąć delikwenta, często symulując zgon z przyczyn naturalnych.

Od samego początku Laboratorium X prowadziło eksperymenty z kurarą jako niezwykle obiecującą trucizną. Wybór tej substancji nie był przypadkowy. W 1918 roku podczas wizyty Lenina na wiecu w moskiewskich Zakładach Michelsona z tłumu wystąpiła młoda kobieta, Fanny Jefimowna Kapłan, i oddała kilka strzałów w stronę wodza rewolucji. W zależności od wersji – jedna, dwie albo trzy kule niegroźnie raniły Władimira Iljicza. Powikłania okazały się jednak poważne, gdyż – jak przekonywali oskarżyciele, Grigorij Wasiljew i Lidja Konoplewa – dwudziestoosmiolatka przed załadowaniem rewolweru umoczyła naboje właśnie w kurarze. Lenin, doświadczywszy na sobie skuteczności tej trucizny, uznał, że powinna ona stać się częścią wyposażenia tajnych służb.

Oprócz wyciągu z kory kulczyby w Laboratorium X eksperymentowano z chloroformem i narkotykami. Otumaniające substancje wykorzystywał zwłaszcza Jakow Izaakowicz Sieriebrianski. Ten młody, ale doświadczony radziecki szpieg (w latach dwudziestych XX w. działał między innymi w Palestynie, Belgii i Niemczech) na polecenie szefa służ specjalnych Wiaczesława Rudolfowicza Mienżyńskiego rozpoczął akcję porywania „białych” generałów. W ich gronie ważnym działaczem był Aleksander Pawłowicz Kutiepow, który w Paryżu kierował Rosyjskim Związkiem Ogólnowojskowym. Uprowadzono go w biały dzień z gwarnej ulicy i uśpionego chloroformem przetransportowano do Hawru, gdzie czekał już radziecki statek „Nieftiesyndykat”. Operacja jednak nie do końca się powiodła i Kutiepow dotarł do ZSRR martwy. Najprawdopodobniej zmarł w efekcie przedawkowania środków uspokajających, jednak według innej wersji – skonał już w pierwszych minutach od uprowadzenia; powodem zgonu miała być źle wyliczona dawka chloroformu.

Sieriebrianski potrzebował skuteczniejszych trucizn i substancji, które działałyby w sposób bardziej przewidywalny, Mienżyński zlecił więc ich przygotowanie Biuru do Zadań Specjalnych. Historycy potwierdzają, że Grupa Jaszy, bo tak nazywali się szpiedzy dowodzeni przez Jakowa Izaakowicza, w latach trzydziestych otrzymała nowe jady i preparaty pozbawiające człowieka świadomości. Wiadomo, że po siedmiu latach od porwania Kutiepowa udało się im perfekcyjnie przeprowadzić kolejną akcję. Podobnie jak poprzednim razem w samym sercu Paryża uśpiono chloroformem i uprowadzono białego generała, Jewgienija Karłowicza Millera. Nieszczęśnika również przetransportowano do Hawru, skąd na pokładzie MS „Marii Ulianowej” żywy dotarł do Kraju Rad. Tam osądzono go i za zdradę kraju rozstrzelano.

Sukcesy Grupy Jaszy w dużej mierze wynikały z jakości dostarczanych im trucizn i substancji psychoaktywnych. Za ich przygotowanie odpowiadał już nie profesor Kazakow, ale ktoś znacznie bieglejszy w toksykologii – Grigorij Moisiejewicz Majranowski. Pracami tego lekarza zainteresował się przełożony Mienżyńskiego, szef

NKWD Gienrich Grigorjewicz Jagoda. Komisarz jako farmaceuta znał wartość toksyn i w pełni umiał docenić możliwości, jakie dawało ich zastosowanie w walce z wrogami państwa. I choć jego rządy miały się niebawem skończyć – nieopatrznie sprzeciwił się Stalinowi, w następstwie czego trafił do zarządzanych przez siebie kazamat i od niegdysiejszego podwładnego dostał kulkę w tył głowy – to zdążył przygotować podwaliny pod Laboratorium X. Rozmach, jaki nadał tym ściśle tajnym pracom, był tak wielki, że doszło do wycieku informacji i po Moskwie rozeszły się pogłoski, iż NKWD testuje środki chemiczne na ludziach. Władza próbowała za pomocą mediów zamydląć obywatelom oczy i w najpoczytniejszych gazetach opublikowano cykl absurdalnych artykułów tuszujących zbrodnicze praktyki NKWD. Ósmego czerwca 1938 roku na łamach „Prawdy” ukazał się tekst zatytułowany *Profesor – gwałciiciel, sadysta*, opisujący, jak prominentny kardiolog i współpracownik Jagody, Dmitrij Plietniew, miał znęcać się nad Bogu ducha winną pacjentką. W następstwie artykułu wytaczano procesy medykom, a prywatnie przyjaciółom Jagody, którzy jakoby z czysto sadystycznych pobudek pastwili się nad pacjentami.

Następca Gienricha Grigorjewicza, Nikołaj Iwanowicz Jeżow, zwany ze względu na niespotkane wręcz bestialstwo i niski wzrost (miał 153 cm) Krwawym Karłem, zabrał się do rozbudowy tajnych ośrodków NKWD. Powołał liczący ponad sześciuset pracowników Drugi Specjalny Wydział zajmujący się przygotowywaniem akcesoriów dla sowieckich agentów, a z Biura Wspierającego Grupę Jaszy stworzył mniejszy Czwarty Specjalny Wydział. W ramach jednostki liczącej sześćdziesięciu jeden pracowników wydzielono laboratorium toksykologiczne, na którego czele stanął dotychczasowy pracownik Wszechzwiązkowego Instytutu Medycyny Eksperymentalnej, Majranowski. Awans młodego badacza dokonał się w momencie kolejnej zmiany na fotelu komisarza spraw wewnętrznych. Na przełomie lata i jesieni 1938 roku Krwawy Karzeł czuł już zaciskającą się na szyi pętlę i został zmuszony do ustąpienia ze stanowiska (nie miną dwa lata, a wzorem Jagody zostanie rozstrzelany przez swego byłego pracownika). Jego następca, Ławrientij Pawłowicz Beria, nie dość, że zatwierdził nominację dokonaną przez poprzednika, to powierzył Grigorijowi Moisiejewiczowi nowe zadania. Oprócz przygotowania skutecznych trucizn miał także stworzyć substancje, które zabijałyby, nie zostawiając śladu w ciele ofiary. Na te działania młody badacz pozyskał kolosalne środki, o których nie mógł wcześniej nawet marzyć, oraz otrzymał duże i doskonale wyposażone laboratorium. Pisarz Władimir Bobreniew i dziennikarz Walery Riaziencew pokusili się, przeprowadziwszy wywiady z niegdysiejszymi pracownikami laboratorium toksykologicznego, o zrekonstruowanie królestwa Majranowskiego. „Z holu wchodziło się do pięciu cel; każda z cel drzwiami zwrócona była ku dużemu biurku – opisują autorzy książki *Kaci i ich ofiary*. – Drzwi miały judasze. Podczas

eksperymentów pracownicy laboratorium byli zobowiązani przebywać w tym biurze”. Następnie relacjonują, jak pozyskiwano osoby do bestialskich badań. „Niemal codziennie kilku skazanych na śmierć oddelegowywano do laboratorium” – wyjaśniają Bobreniew i Riaziencew. Najczęściej dostarczał ich Wasilij Michajłowicz Błochin, komendant pobliskiego aresztu śledczego. Kat otrzymywał od Majranowskiego „zamówienie”, zawierające charakterystykę ofiar do pseudonaukowych eksperymentów, na przykład rasę, wiek, stan zdrowia czy tuszę. Pan życia i śmierci łubiańskich podziemi wizytował cele i osobiście wybierał skazańców odpowiadających specyfikacji. Następnie sporządzał listę ich nazwisk i przekazywał samemu Berii. Po akceptacji szefa NKWD osadzonych przekazywano do Laboratorium X. Vadim Birstein, autor książki *Perwersje wiedzy. Prawdziwe historie sowieckiej nauki*, opisuje, jak byli transportowani do Majranowskiego:

Ciężarówki z niewinnym napisem „Chleb”, „Zaopatrzenie” albo „Zabawki” opuszczały Łubiankę albo Lefortowo [tu: moskiewskie więzienie – przyp. aut.]. Po krótkiej drodze zatrzymywały się w centrum Moskwy przed frontonem zwyczajnego domu. Ludzie tworzący „ładunek” tych ciężarówek byli na granicy zdrowia psychicznego. Po wielu miesiącach odosobnienia, tortur i pięciu do dziesięciu minutach parodii procesu sądowego, który kończył się słowami „skazany na śmierć”, przetrzymywani przez nieokreślony czas w celi śmierci, byli teraz zabierani do schludnego miejsca, w którym spotykali personel medyczny. „Lekarze” pytali o ich zdrowie. Skazańcy nie wiedzieli, że są jedynie *pticzkami* [ptaszkami – przyp. aut.] i właśnie zaczyna się ostatni akt brutalnego przedstawienia, które zakończy się niesłychanym cierpieniem i śmiercią z rąk tych właśnie „lekarzy”.

SOWIECKI JAMES BOND

Dwudziestego trzeciego sierpnia 1946 roku Wiktor Siemionowicz Abakumow, dowódca krwawej Smierszy, czyli jednostki kontrwywiadowczej Śmierć Szpiegom, oraz późniejszy minister bezpieczeństwa państwowego ZSRR, wysłał do Stalina notatkę:

Szumski podlega natychmiastowej izolacji, aby nie zwracać uwagi ukraińskich nacjonalistów, wskazane jest, aby Szumskiego nie aresztować, a wyeliminować przez zatrucie.

Stalin niezwłocznie ją zaaprobował. Potajemne zamordowanie tego działacza narodowego stało się palącym problemem, Ołeksandr Jakowicz Szumski w desperacji mógł bowiem sięgnąć po radykalne środki, łącznie z ucieczką za granicę lub podburzaniem kijowskich nacjonalistów. Od dawna zaś wiadano, że ma bardzo wielu zwolenników nie tylko w ZSRR, lecz także na emigracji. Poza tym sam Szumski nie ukrywał swych poglądów i od połowy lat dwudziestych działał na rzecz autonomii Ukrainy. Powstało nawet słowo „szumskizm”, które Stalin zdefiniował jako „szerzenie nastrojów antyrosyjskich”. W trakcie najokrutniejszej fali głodu lat 1932–1933 działacz stracił posadę ludowego komisarza republiki i wprost z Charkowa trafił do łagru na Wyspach Sołowieckich. Ze względu na paraliż nogi

został przewieziony do Krasnojarska, skąd wysyłał pisma do włodarza Kremla, w których domagał się swobód dla Ukrainy. Stalin nie mógł sobie jednak pozwolić na wyeliminowanie Szumskiego, gdyż jego śmierć mogłaby doprowadzić do rewolty, i postanowił internować go w Saratowie. Ołeksandr Jakowicz w ramach sprzeciwu targnął się na swoje życie, ale został odratowany. Po wyjściu ze szpitala postanowił wbrew zakazowi udać się do Kijowa. Abakunow, który z uwagą śledził poczynania Szumskiego, uznał wówczas, że czas najwyższy na ostateczne rozwiązanie.

Pawieł Anatoliewicz Sudopłatow, spec od międzynarodowych skrytobójstw, wraz z drugim agentem, Naumem Isaakowiczem Eitingtonem, opracowali plan usunięcia Szumskiego, który nazwali akcją „Łasica”. Intryga zakładała zweryfikowanie, którym pociągiem Ołeksandr Jakowicz będzie jechał do Kijowa, dostanie się do jego przedziału i w sprzyjającym momencie wykonanie śmiertelnego zastrzyku. Zadanie wstrzyknięcia kurary powierzono Majranowskiemu. Sporządzoną agendę operacji przyjął Stalin i 10 września 1946 roku z Moskwy wyjechały dwa samochody, które pomknęły w stronę Saratowa. W jednym z nich między enkawudzistami zasiadł „towarzysz profesor” Majranowski. Po dotarciu na miejsce agenci zajęli się rozpoznaniem i wykonywali niezbędne przygotowania do zbliżającej się operacji. Wieczorem 18 września wybiła godzina zero i do pociągu odjeżdżającego w kierunku Kijowa wsiedli w ślad za Ołeksandrem Jakowiczem jego oprawcy. Szef laboratorium toksykologicznego miał miejsce w przedziale ofiary, agenci wyczekiwali zaś w skrajnej kuszecie. O przebiegu samego morderstwa można dowiedzieć się z akt sprawy, która toczyła się w 1968 roku przeciw Sudopłatowowi. Jednym z argumentów, które wykorzystał przeciw niemu prokurator, był służbowy raport agenta z tego właśnie zabójstwa:

Operacja wyeliminowania Szumskiego była przeprowadzona w pociągu, do którego wsiadł pod pozorem wyprawienia go do ojczyzny [to jest na Ukrainę – przyp. aut]. Nocą uczestnicy grupy, dowodzonej przez Sudopłatowa, weszli do przedziału sypialnego, zakryli Szumskiemu usta, a następnie Majranowski wstrzyknął truciznę.

W aktach sprawy znalazło się także należące do Majranowskiego papierowe opakowanie od papierosów marki Kazbek. W jego wnętrzu Pawieł Anatoliewicz wyrysował rozkład wagonu sypialnego i wypisał godziny zmian drużyn konduktorskich, co miało ułatwić toksykologowi orientację w sytuacji. Oprócz tych świadectw w dokumentacji z 1968 roku jest także protokół z wykonanej 20 września 1946 roku sekcji zwłok Szumskiego. Jako przyczynę śmierci patolog z prowincjonalnego Kirsanowa (miasteczko leżące 300 km na północny wschód od Saratowa) wskazał udar mózgu.

Zabójstwo ukraińskiego działacza bynajmniej nie było jedyne w karierze Majranowskiego. Kierownik Laboratorium X brał również udział w likwidacji Isaiaha

Ogginsa. Ten amerykański Żyd i komunista do końca lat trzydziestych wykonywał misje zlecane przez Stalina. W Paryżu zajmował się dekonspiracją „białych” generałów, a w Chinach pracował na rzecz rozszyfrowania Japończyków okupujących Mandżurię. Najprawdopodobniej około 1935 roku nawiązał kontakt ze służbami amerykańskimi i od tej pory działał jako podwójny agent, oferując swe usługi zarówno Moskwie, jak i Waszyngtonowi. Sytuacja ta nie mogła trwać wiecznie i w 1939 roku tuż po przekroczeniu granicy radzieckiej został aresztowany. Przedstawiono mu zarzut posługiwania się fałszywym paszportem (jako szpieg miał ich kilka, jeśli nie kilkanaście), oskarżono o trockizm i skazano na osiem lat łagru w Norylsku. Po kilku latach, najprawdopodobniej ze względu na wiedzę, którą posiadał, został sprowadzony do Moskwy i osadzony w więzieniu butyryckim. Tam odwiedził go przedstawiciel amerykańskiej ambasady i zadeklarował pomoc w uwolnieniu. Od tego momentu Amerykanie regularnie wysyłali depesze do Stalina i Mołotowa z prośbą o zwolnienie Ogginsa. Kampania nasiliła się po 1946 roku i Abakunow zwrócił się o radę do Stalina, co zrobić z niewygodnym więźniem. Wypuszczenie go wiązałoby się z wyjawieniem niechlubnych tajemnic Kraju Rad, ignorowanie apeli mogłoby zaś doprowadzić do ustania pomocy materialnej, którą bolszewicy otrzymywali z USA. Krwawy Gruzin postanowił więc postąpić ze szpiegiem tak jak z Szumskim i jak stwierdza syn radzieckiego agenta Andriej Pawłowicz Sudopłatow, „w 1947 roku Majranowski podczas lekarskiej kontroli zrobił przebywającemu w więzieniu Ogginsowi śmiertelny zastrzyk”. Następnie „ojcu [to jest Pawłowi Sudopłatowi – przyp. aut.] i Eitingtonowi zlecono pochowanie go na żydowskim cmentarzu w Penzie i załatwienie daty pogrzebu na rok 1944 lub 1945”.

Do grona ofiar Majranowskiego należy zaliczyć także biskupa Romzę – którego próbowano zabić, symulując wypadek samochodowy, dopiero jednak zastrzyk z kurary wykonany przez pracownicę toksykologa okazał się skuteczny – oraz Żyda polskiego pochodzenia, inżyniera Nauma Sameta. Nieszczęśnik zamierzał opuścić ZSRR i udać się do Izraela. Zapewne nigdy by mu nie przyszło do głowy, że jego losem zainteresuje się sam Stalin. Wódz Kraju Rad osobiście podpisał rozkaz eliminacji inżyniera i diabelskiej trójcy – Sudopłatowi, Eitingtonowi i Majranowskiemu – nakazał przeprowadzenie egzekucji. Także i w tym przypadku scenariusz zakładał wykorzystanie trucizny. Mordercy dwoma samochodami udali się do Uljanowska i tam wprost z ulicy porwali swą ofiarę. Wmówili mu, że jadą potwierdzić jego tożsamość do pobliskiej wsi, i w czasie podróży szef laboratorium toksykologicznego wykonał zastrzyk. Zgon nastąpił w ciągu kilku minut. Wówczas ułożono trupa na ulicy i kierowca samochodu NKWD dwukrotnie przejechał po ciele. Na tym operację zakończono. Miejscowy lekarz podczas sekcji zwłok nie miał wątpliwości, co było przyczyną zgonu Sameta, i w protokole z oględzin denata zapisał: „Śmierć w wyniku rozległych obrażeń organów wewnętrznych wywołanych

wypadkiem drogowym”.

Po wyeliminowaniu polskiego inżyniera mordercy wrócili do Moskwy i najprawdopodobniej otrzymali nagrody finansowe za swoją pracę; zwyczajem władz NKWD było bowiem każdorazowe premiowanie udanych akcji. Majranowski, będąc przykładowym mężem i ojcem dwóch synów, zapewne od razu po odprawie udał się do domu, gdzie przemieniał się w najnormalniejszego, nieco nudnawego obywatela. Czy jego najbliżsi wiedzieli, że ich Grisza ma na sumieniu ponad sto pięćdziesiąt ofiar zamordowanych własnoręcznie za murami Laboratorium X, czy znali szczegóły jego delegacji, podczas których niczym zwyczajny zbir uśmiercał ludzi, trudno ocenić. Bez wątplenia był dla rodziny kimś ważnym i godnym szacunku. Jego synowie na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych wystąpili nawet o rehabilitację ojca. W prokuraturze generalnej zdawano się jednak nie podzielać ich punktu widzenia i znany z negowania zbrodni katyńskiej Wiktor Iluchin zamknął sprawę Majranowskiego konstatacją: „W świetle zgromadzonych materiałów dowiedziono winę. Nie ma powodów do wznawiania sprawy”.

TABLETKA PRAWDY I DŁUGOPIS ŚMIERCI

Toksykologiczne królestwo Majranowskiego w tajnych dokumentach NKWD było nazywane Laboratorium nr 1 lub po prostu Kamera, czyli Celą; rosyjskie słowo *kamera* oznacza zarówno więzienny loch, jak i celę tortur. Personel oprócz szefa stanowiło trzech, czterech naukowców i pięciu techników. Wszyscy ci ludzie zajmowali się najczęściej produkowaniem i testowaniem trucizny. Do wybuchu wojny między ZSRR a Trzecią Rzeszą eksperymentowano z kurarą oraz tak zwanymi digitoksynami, talem i kolchiciną. Po zebraniu wywiadu lekarskiego „ptaszкови” wmawiano, że ma otrzymać witaminy, i – w zależności od przyjętej formy podania – robiono zastrzyk bądź aplikowano pigułkę. Innym, równie częstym sposobem dostarczenia do organizmu trucizn było wymieszanie ich z pożywieniem. Zwyródniałym eksperymentatorom zależało na tym, żeby sytuacja podania toksycznej substancji jak najwierniej odpowiadała warunkom przyszłych operacji agentów NKWD. W swej książce *Doktor Śmierć* Bobreniew cytuje akta sprawy Majranowskiego z 1952 roku i przytacza zeznanie formalnego przełożonego Grigorija Moisiejewicza (faktycznie podlegał bezpośrednio Berii i Stalinowi), Michaiła Filimonowa. Stwierdził on, że Sudopłatow i Eitington nie przyjmowali nigdy trucizn, których wcześniej nie przetestowano na ludziach. Zwierzchnik Majranowskiego dorzucił także kilka istotnych szczegółów, ilustrujących działalność samego Laboratorium X:

Uczestniczyłem w kilku trucicielskich testach, ale zazwyczaj starałem się nie brać w nich udziału, nie mogłem bowiem patrzeć na wpływ tych substancji na psychikę i ciało ludzkie. Niektóre trucizny

wywoływały ekstremalne cierpienia. Aby zagłuszyć krzyki, kupiliśmy nawet radio, które włączaliśmy [w czasie eksperymentów – przyp. aut.].

Majranowski, chcąc sprostać oczekiwaniom swoich mocodawców, między innymi zamawiał wykwintne posiłki, których skazaniec, przyzwyczajony do więziennej aprowizacji, nie widział od lat. Faszerował je truciznami i badał nie tylko skuteczność jadów, lecz także ich rozpoznawalność, zapisując w tabelce, czy ofiara między jednym a drugim kęsem de volaille'a wyczuje inny, nieznanym dotąd smak.

Do Grigorija Moisiejewicza należy również niemało innowacji, na przykład wcześniej niż Mengele rozpoczął badania par. Wyszukiwał więźniów spokrewnionych ze sobą lub o podobnych cechach fizycznych i podawał im tę samą toksynę. Po przeanalizowaniu śmiertelnościowego wpływu substancji na ich organizmy ciało jednej z ofiar kazał zostawić w centrum Moskwy (na przykład na skwerze). Następnie agenci NKWD śledzili postępowanie milicji w sprawie odnalezionego denata i analizowali protokoły niczego nieświadomych patologów. Żaden z nich nie doszukał się w ciele podrzucanych ofiar znamion substancji aktywnej i w zależności od trucizny wykorzystanej przez Majranowskiego wpisywano do rubryki „Przyczyna zgonu” zawał serca lub udar mózgu.

Nazistowska inwazja na ZSRR przyczyniła się do zweryfikowania tematów badawczych Laboratorium nr 1 i na polecenie Berii Majranowski wznowił pracę nad środkami bojowymi, które mogły oddziaływać nie tylko na jedną osobę, lecz dziesiątki czy setki tysięcy ludzi jednocześnie. Pseudonaukowiec wrócił wówczas do swoich młodzieńczych doświadczeń z iperytem i rycyną. Pierwsza z substancji nie znalazła większego zastosowania na polach bitwy drugiej wojny światowej. Inaczej było z białkiem rycyny. Działo ono błyskawicznie i niezwykle skutecznie. Cechy te dostrzegli oprócz bolszewików także Niemcy i Anglicy. W Wielkiej Brytanii powstał nawet preparat Compound W, który później wykorzystano w walce z Japończykami. W Laboratorium X skupiono się jednak na opracowaniu skutecznej metody dostarczania trucizny i eksperymentowano z rycynowymi aerozolami i pigułkami. Podczas prób wyliczenia minimalnej śmiertelnej dawki Majranowski odkrył, że więzień, jeśli tylko przeżyje, staje się „bardziej prawdomówny”. Ponieważ był niezwykle skrupulatny i nie wysuwał hipotez pochopnie, wielokrotnie powtórzył ten eksperyment i otrzymawszy zbliżone wyniki, napisał do Berii list, w którym zawiadamiał o istnieniu tabletki prawdy. Szef NKWD odpisał, że pozyskanie takiego specyfiku dałoby wielką korzyść Krajowi Rad i towarzyszy Stalinowi bez wahania przyzna jego odkrywcy nagrodę swego imienia. Była ona najwyższą premią w ZSRR i Majranowski za punkt honoru postawił sobie jej zdobycie.

Do stworzenia tabletki prawdy Doktor Śmierć przygotował się z iście naukową konsekwencją. Opracował szczegółowy plan badań, w którego ramach rozpiął profil fizjologiczny i psychologiczny optymalnego kandydata do eksperymentów. Musiał

być to zdrowy, silny i wytrzymały mężczyzna w średnim wieku. Na liście cech charakterologicznych znalazły się wytrzymałość na ból, samodyscyplina i oddanie. Wśród wymęczonych torturami więźniów NKWD trudno było wyszukać osoby posiadające te właściwości i toksykolog uznał, że wykorzysta japońskich jeńców. Ze swojego wcześniejszego doświadczenia wiedział, że najtrudniej złamać właśnie oficerów z Kraju Kwitnącej Wiśni. Równolegle prowadził też prace nad udoskonaleniem preparatu rycynowego i stworzył truciznę, którą określił mianem K-2. Jak twierdzą biegli toksykolodzy, jest to najniebezpieczniejsza substancja, jaką udało mu się wyprodukować. Wystarczyło już siedem mikrogramów, żeby pozbawić życia dorosłego człowieka. Mniejsze porcje K-2 skutkowały zaś wywołaniem efektu „szczeroci”. Mimo to wyliczenie optymalnej dawki dla tabletki prawdy okazało się niezwykle trudne i w celach Laboratorium X jeden po drugim ginęli japońscy oficerowie. Cierpliwość władz szybko się wyczerpała i w 1946 roku Beria zawiesił program. Wiadomo, że jego efekty były dalekie od zamierzonych i nie stworzono środka, dzięki któremu można by zmusić kogokolwiek do zeznań. Najprawdopodobniej jednak szef Celi uzyskał pewien preparat, który następnie stosowano w praktykach operacyjnych. Zaświadcza o tym między innymi radziecki marszałek lotnictwa Aleksandr Aleksandrowicz Nowikow, którego w 1946 roku skazano na pięć lat łagru. We wspomnieniach z przesłuchań zapisał: „Dostałem jakiś rodzaj papierosa i całkowicie straciłem świadomość, gdzie jestem i co się ze mną dzieje”.

Majranowski fiasko z tabletką prawdy odebrał osobiście i desperacko poszukiwał nowych inspiracji. Tuż po zakończeniu wojny udał się do Niemiec i wizytował nazistowskie laboratoria, w których przeprowadzano eksperymenty na ludziach z wykorzystaniem środków toksycznych. Odbył też wiele rozmów ze zbrodniarzami wojennymi, którzy w Trzeciej Rzeszy mienili się naukowcami. Na podstawie obserwacji i wywiadów przygotował notatkę dla Berii, w której dumnie oświadczył, że dokonania niemieckich toksykologów są „znaczaco mniejsze niż nasze”.

Koniec wojny zwiastował nadejście zimnowojennej epoki. Nastął czas szpiegów i prace Majranowskiego podporządkowano nowym realiom. W jego laboratorium przygotowywano teraz trucizny z myślą o nietypowych narzędziach będących częścią wyposażenia sowieckich agentów. Do grona tych „zabawek” zaliczały się papierosy strzelające śmiertelnymi toksynami, specjalne elektryczne pistolety wyposażone w kule z cyjankiem czy też laski albo parasolki ze szpikulcem nasączonym jadem. Wyjątkową popularnością wśród radzieckich szpiegów cieszyły się także długopisy z zatrutymi nabojami. Jak wynika ze źródeł historycznych, pracownicy Majranowskiego z pewnym rozbawieniem testowali ten gadżet i zdarzało się nawet, że ich Celę odwiedzali koledzy z innych departamentów, żeby poćwiczyć strzelanie.

Wbrew zapewnieniom Filimonow, zamiast włączać radioodbiornik zagłuszający jęki ofiar, regularnie wpadał na te makabryczne sesje treningowe. Vadim Birstein, radziecki naukowiec i historyk nauki, w artykule *Eksperymenty na ludziach w ścianach NKWD* tak opisuje jego wizyty:

Kule były lekkie, z przestrzenią na truciznę, dlatego zabójstwa nie zawsze szły gładko. Zdarzały się wypadki, gdy kula wpadała pod skórę i ofiara wyciągała ją, błagając przy tym Filimonowa, żeby więcej nie strzelał. Filimonow strzelał powtórnie.

FROM RUSSIA WITH LOVE

Grigorij Majranowski w odróżnieniu od większości badaczy, którzy dobrowolnie współpracowali z NKWD, nie był naukową miernotą. Ten Żyd urodzony w 1899 roku w Batumi świetnie się uczył i niezwykle szybko przyswajał języki obce; ostatecznie biegle władał sześcioma. Interesował się też polityką i od czasów gimnazjum należał do Bundu, czyli żydowskiej partii robotniczej. Po egzaminie dojrzałości bez problemów dostał się na studia medyczne i najpierw uczęszczał na wydział lekarski w Baku, a później w Tbilisi. W każdym z miast wyróżniał się wśród kolegów wiedzą i profesorowie pomogli mu przenieść się do Moskwy. W stolicy ZSRR zakończył studia z wyróżnieniem i nieoczekiwanie zderzył się z nieprzychylną mu rzeczywistością. Nie tylko miał świetne oceny, lecz także opracował metody pracy naukowej. Był cierpliwy, systematyczny i dociekliwy. Umiał też nawiązać kontakt z pacjentem, a mimo to drzwi do kariery akademickiej wciąż były przed nim zamknięte. Dlaczego? Najprawdopodobniej miało na to wpływ kilka czynników. Jednym z nich mogły być jego zainteresowania naukowe. Od pierwszych lat studiów pasjonował się wpływem substancji chemicznych na organizm, a przy tym sprawiał wrażenie człowieka pozbawionego jakichkolwiek granic etycznych. Dla starych profesorów, często sympatyzujących z obalonym caratem, utożsamiał najgorsze cechy nowej władzy. Był butny, roszczeniowy, a przy tym niezwykle uzdolniony. Nie był Rosjaninem i zwolennikiem panslawizmu, a takich w ZSRR nigdy nie brakowało, jawił się jako żydowski przybłęda z peryferii imperium; podobne korzenie miała również większość bolszewickiej wierchuszki. I co najgorsze, wykazywał się chorobliwą ambicją.

Grigorij Moisiejewicz rozpoczął pracę w poradni zakładowej jako lekarz i do skromnej pensji dorabiał korepetycjami. Nie zrezygnował jednak ze snów o karierze naukowej i zaproponował jednemu z profesorów akademickich, że będzie za darmo myć naczynia w jego pracowni. W zamian prosi tylko o możliwość korzystania z laboratoriów. Akademik zgodził się i Majranowski po nocach eksperymentował z toksynami. Jak twierdzą jego biografowie, pierwsze doświadczenia przeprowadzał na sobie samym. Oddanie nauce wzruszyło przełożonego i profesor zaproponował

Majranowskiemu współpracę. Dzięki temu w drugiej połowie lat dwudziestych młody adept medycyny dostał szansę pisania pracy kandydackiej (czyli według polskiej nomenklatury – doktoratu), przyznano mu także pensum dydaktyczne i zezwolono prowadzić wykłady dla studentów. Po zajęciach pędził do pracowni i eksperymentował. Mógł w końcu zamawiać droższe, ściśle zachowane odczynniki. Za każdym razem, żeby je dostać, wypełniał fiszkę, na której wpisywał cel i przewidywany efekt eksperymentu. Karteczki, zanim trafiały do rąk zaopatrzeniowca, przeglądali surowi enkawudziści. Najpewniej po jednym z takich zamówień do klitki, w której gnieździli się aspiranci moskiewskiego instytutu biochemii, zapukał ktoś w czarnym skórzanym płaszczu i mocno nasuniętym na oczy kapeluszu. Poprosił o rozmowę z Majranowskim i już następnego dnia na biurku dyrektora instytutu leżało podanie nakazujące mianować towarzysza Grigorija Moisiejewicza kierownikiem laboratorium. Pod listem widniał podpis Gienricha Jagody, na którego widok każdemu obywatelowi Kraju Rad zamarłoby serce.

Z roku na rok miłośnik toksyn otrzymywał coraz więcej zleceń od Biura Wspierającego Grupę Jaszy i niebawem stał się jego stałym współpracownikiem. Jako zaufany człowiek regularnie bywał w budynkach służb i wkrótce otrzymał propozycję wstąpienia w ich szeregi. Czy się wahał? Najprawdopodobniej nie zastanawiał się ani chwili. Przygotowywał dysertację *Biologiczna aktywność produktów wzajemnego oddziaływania iperytu z tkankami skóry podczas aplikacji powierzchniowej*. Tytuł tej pracy wprost informował, że bazuje ona na eksperymentach przeprowadzanych na ludziach, choć Majranowski zapewniał, że nie opryskuje badanych, a jedynie podaje iperyt enteralnie, czyli za pomocą pigułek lub sondy. Tego typu doświadczenia można było realizować tylko pod parasolem służb specjalnych, więc ani się obejrzał, a stał się oficerem NKWD pełną gębą.

Majranowski, przez lata szefując Laboratorium X, uczestniczył w niegodziwościach Berii i Abakunowa, dzięki temu jego wiedza na temat systemu opresji ZSRR była olbrzymia. Po fiasku tabletki prawdy przymierzano się do jego wyeliminowania, ale nie znaleziono dobrego sposobu. Odsunięto go od prac Celi i wysłano jako prostego inżyniera do podmoskiewskiego instytutu chemicznego. Grigorij Moisiejewicz przełknął tę zniewagę, gdyż wierzył, że jest to zapowiedź zmian na górze, w których efekcie niebawem wespnie się jeszcze wyżej. Tymczasem w 1951 roku został aresztowany. O dziwo, zarzucono mu jednak nie dziesiątki morderstw, które naprawdę popełnił, ale „niewłaściwe wykorzystanie służbowego stanowiska i niezgodne z prawem przechowywanie silnie trujących środków”. W areszcie zachowywał się wyniośle, tak jakby wciąż był ważnym pracownikiem służb bezpieczeństwa, i chadzał w czapce generalskiej, choć posiadał tylko stopień oficerski. Domagał się uwolnienia i w listach, które słał do Berii i Stalina, przypominał usługi, które im wyświadczał. Nie miał jednak pojęcia, że poza

więziennymi murami jest już inny świat. Zabalsamowanego Stalina złożono w mauzoleum obok Lenina, a Berię, jak głosi jedna z wersji, zastrzelono na posiedzeniu CK, wyniesiono w dywanie i zakopano w bezimiennym grobie.

Majranowski odsiedział dziesięć lat więzienia i wrócił do swego apartamentu. Pierwsze, co zrobił, to napisał podanie o rehabilitację. Po kilku dniach otrzymał w odpowiedzi nakaz opuszczenia Moskwy i przydział do pracy w stolicy Dagestanu, Machaczkałe. Rad nierad udał się w podróż do tej nadkaspiskiej republiki. Na miejscu objął stanowisko wykładowcy na lokalnym uniwersytecie, które piastował przez kolejne trzy lata. Zmarł w 1964 roku i w jego akcie zgonu wpisano zawał serca. Jednak kto wie, czy na kilka dni przed śmiercią do lokalnej siedziby KGB nie dotarł telegram, w którego następstwie jakaś Waleria Andriejewna czy Tatiana Pawłowa nie udała się do uniwersyteckiej lecznicy, żeby wesprzeć pracę tamtejszych pielęgniarek. Zbliżał się właśnie czas rutynowej kontroli zdrowotnej i pracownicy naukowci pojawiali się z obiegówkami, żeby poddać się medycznym oględzinom. Wszystkim pobierano krew. Strzykawka nie musiała być nawet napełniona. Wystarczyło zanurzyć igłę w K-2 i zwyczajnie wbić ją w przedramię...

WYBRANA LITERATURA

1. Akta sprawy Sudopłatowa i Eitingtona KPK przy CK KPZR, sierpień 1968, za: <http://www.novayagazeta.ru/apps/gulag/59410.html> [dostęp: 30.01.2016].
2. Birstein V., *Ekspierimenty na ludjach w stienach NKWD*, „Czełowiek”, 1997, 5, s. 114–132.
3. Birstein V., *The perversion of knowledge: The true story of Soviet science*, Cambridge 2004.
4. Blumenthal R., Miller J., *Japan rebuffs requests for information about its Germ-warfare atrocities*, „The New York Times”, 4 marca 1999.
5. Bobreniew W., *„Doktor Smierć” ili Warsonofiewskije prizraki*, Moskwa 1997.
6. Bołtianska N., *Ławrentij Berija – wiernyj soratnik*, „Echa Moskwy”, <http://www.echo.msk.ru/programs/staliname/677212-echo/> [dostęp: 30.01.2016].
7. Burbyga N., *Prigoworen k „miedosmotru”. Kak diejstwowali spieclaboratorii NKWD*, „Izwesti”, 1992, 114, s. 6.
8. Pietrow N., *Stalin i organy NKWD-MGB w sowietizacji stran Centralnoj i Wostocznoj Jewropy. 1945–1953 gg.*, Amsterdam 2008.
9. Pietrow N., *Szatnyj gosudarstwiennyj ubijca (reabilitirowannyj): dwa dnia iz żyzni Pawła Sudopłatowa*, „Nowaja Gazieta”, 2013, 86, s. 18–19.
10. Smolencew L.N., *Golgofa Rossii*, Moskwa 1993.
11. Sudopłatow A.P., *Tajnaja żyzn gienerała Sudopłatowa. Prawda i wymysły o mojem otcu*, Moskwa 1998.
12. Sudopłatow P.A., *Spiecsoperaczi: Łubianka i Krieml, 1930–1950 gody*, Moskwa 1998.
13. Sudopłatow P.A., *Wspomnienia niewygodnego świadka*, Warszawa 1999.
14. Szałamow W., *Opowiadania kołymskie*, Poznań 2011.

GWIAZDA POLARNA

APOKALIPSA NOCY POLARNEJ

– Towarzyszu kapitanie, pęknięcie z lewej burty!

Wszyscy rzucają się w tę stronę i jak zahipnotyzowani patrzą na ryse wędrującą po zamrożonej powierzchni morza. Szczelina dosięga kadłuba, a statek zaczyna wyć i strzelać nitami niczym armia zajadłych karabinów. W arktycznej ciszy te dźwięki są jeszcze bardziej przerażające. Grube na dwa metry kry napierają, piętrzą się i nachodzą jedna na drugą, jakby zamierzały wdrzeć się na pokład. Przerazeni ludzie się cofają. Wówczas pęka poszycie statku i blacha jak zrolowany papier odpada z burty. Na lód sypie się zawartość kajut. Lecą lampki, pościel i naczynia stołowe. Białą taflę zaścielają książki naukowców podróżujących „Czeluskinem”.

– Na stanowiska! – ryczy kapitan. – Dzieci i kobiety na lód, radiotelegrafiści do roboty, pozostali do wynoszenia! – rozkazuje i ludzie posłusznie wykonują przydzielone im zadania. Mają kilkanaście, może kilkadziesiąt minut, zanim otchłań wciągnie statek. W tym czasie muszą uratować tony ładunku i oprócz namiotów, ciepłego ubrania i żywności wyładowują węgiel i będący na wyposażeniu „Czeluskina” niewielki hydroplan. Woda zalała już maszynownię, nie działa generator prądu, więc samolot trzeba zdjąć ręcznie. I gdy marynarze zastanawiają się, jak na własnych barkach znieść go na lód, dziób okrętu zapada się w głębinę. Po pokładzie przelatują niezabezpieczone przedmioty i w ślad za nimi bezwładnie przesuwa się kilka osób. Ich krzykom towarzyszą odgłosy miażdżonego metalu, które przywodzą na myśl jęki rannego zwierzęcia.

Dziobowa część pokładu jest teraz na wysokości dwóch metrów nad lodem i załoga spuszcza ładunki wprost w ręce stojących na krze. Ci zaś podają tobołki kolejnym i kolejnym. Tusza po tuszy są zsuwane zapasy zamrożonej wieprzowiny, w dłoniach polarników lądują ciężkie akumulatory i przenośne węglowe nagrzewnice. Praca wre i nie bacząc na czterdziestostopniowy mróz i zalegające ciemności (zapadła już noc polarna), dziesięć osób spycha hydroplan ogonem w dół. Na dole przechwytuje go równie liczna ekipa i odholowuje w kierunku prowizorycznego składowiska. W ciągu dwóch godzin powstały tam prawdziwe hałdy z uratowanego dobytku.

Nagle następuje kolejna zapaść i dziób sięga odmętów. W akompaniamencie przeraźliwych trzasków zamrożonych tafli i pisków wydawanych przez masakrowaną stępkę rozwierają się trzewia statku. Puszczają kolejne grodzie i do „Czeluskina”

wdziera się Morze Czukockie.

– Wszyscy opuszczają statek! – rozkazuje kapitan.

Ludzie wyskakują i biegną co sił w kierunku prowizorycznego obozowiska.

– Krenkel! – przekrzykuje apokaliptyczny rumor dowódca. – Na lód!!!

Szef radiostacji kończy nadawać komunikat o tragicznej sytuacji, chwytając sprzęt i gna po wyślizganym pokładzie ku rufie. Przekazuje delikatną aparaturę w wyciągnięte dłonie i wybija się z pokładu. Za nim idą ostatni pasażerowie. Z okrętu pogrążającego się w morzu skaczą kapitan Woronin i kierownik ekspedycji Szmidt. Obok nich gotuje się do skoku intendent, Borys Mogiliewicz. Przysiada w kucki, traci równowagę i leci w dół. W tym momencie „Czeluskin” staje dęba i przelatująca belka uderza podróżnika. Mężczyzna wpada do wody i jeszcze sekundę unosi się na powierzchni. Ludzie podbiegają, by go ratować, ale kłębiąca się kipiela odgradza ich od nieszczęśnika.

Z rozwartej szczeliny, w którą się pogrążył, wypływa kra. Zapewne dryfowała wraz z „Czeluskinem” i wyszlifowały ją morskie prądy. I owa kra objawia się niczym ostatnia wiadomość nadana z głębin: „To już wszystko” – zapisze po latach Ernst Teodorowicz Krenkel.

MOJA DROGA – SIEWIER

W 1924 roku dwudziestojednoletni Krenkel zapragnął powłóczyć się po świecie. Nie wiedział jednak, co zrobić, żeby zrealizować to marzenie. Wówczas ZSRR zaledwie podnosił się z głodnych, ciemnych lat rewolucji i młody podróżnik nie miał zbyt wielu perspektyw. Mimo to los podsunął mu rozwiązanie i w Moskwie, gdzie przeniósł się z rodzinnego Białegostoku, spotkał starszego o kilka lat studenta (Krenkel zwykł się szczycić swoją doskonałą pamięcią i jedną z niewielu niewiadomych, do których się przyznawał, było właśnie nazwisko owego młodzieńca). Chłopak ten oprócz zamiłowania do modnych ubiorów (trwała wówczas epoka NEP-u i ZSRR na krótko otworzył się na zachodnie trendy) miał w swej biografii epizod marynarski i przed wstąpieniem na uczelnię przez dwa miesiące służył na statku transportowym. Student posiadał dar narracji i roztoczył przed Krenkelem wizję rozpasanego żywiołu naszpikowanego morskimi dziwami. To wystarczyło, żeby słuchacz odkrył w sobie wilka morskiego. „Tylko od czego zacząć?” – dręczyło go pytanie, ale i na to szykowny kompan miał gotową odpowiedź. Nabazgrał na karteczce liścik do kolegi, który wciąż służył na okręcie: „Piecia, pomóż mu, to swój chłop”. Aby podkreślić walory Krenkela, po chwili dopisał jeszcze, że kompan jest „w dechę”. Przyszły polarnik porzucił szkołę radiotelegraficzną, pożegnał się z rodziną i z przebojowymi referencjami w kieszeni ruszył do Leningradu.

Szczęście mu sprzyjało. Statek „Profsojuz” [pol. „Związek Zawodowy” – przyp. aut.] akurat cumował na nadbrzeżu Newy, przy Wyspie Wasiljewskiej. Młodzieniec pierwszy raz w życiu opuścił stały ląd i wkroczył na pokład okrętu. Z bijącym sercem odszukał Piecię i wręczył mu list. Marynarz zapoznał się z jego treścią i – o dziwo – od razu odstąpił Krenkelowi swą koję. Zaprowadził go też do kuka i wyprosił o wpisanie na listę obiadową; co prawda mógł otrzymać tylko zupę, ale i to było wielkim wsparciem. Niestety, z darmowej gościny Ernst Teodorowicz mógł korzystać tylko kilka dni. „Profsojuz” niebawem miał wyjść w morze i wówczas na pokładzie nie byłoby już miejsca dla dzikich lokatorów. Zmotywowany do działania udał się zatem do siedziby Bałtyckiej Floty Towarowej i poprosił o spotkanie z kierownikiem kadr. Sekretarka, zaskoczona bezpośredniością tej prośby, zaanonsowała go u przełożonego. Spotkanie z osobą decyzyjną rozwiązało jednak marzenia Krenkela o pracy radiotelegrafisty na dalekomorskich statkach.

– Nie zdążyłeś żopy oderwać od szkolnej ławy, a już śpieszno ci do rejsów zagranicznych? – zapytał retorycznie armator. – A czy wiesz, że za granicę pływają tylko dwa statki? Patrz – gestem ręki wskazał okno: za nim rozpościerał się widok na podwórze, po którym przechadzała się grupa mężczyzn – wiesz, ilu wśród nich jest doświadczonych radiotelegrafistów? I każdy szuka pracy.

Cóż było robić, Krenkel opuścił dyrektorski gabinet i dołączył do grona petentów wydeptujących ścieżki. Po dwóch dniach dowiedział się, że zwolniło się jedno, choć nie nazbyt atrakcyjne miejsce. Po pierwsze, nie był to rejs, ale trwająca rok praca stacjonarna w radiostacji, po drugie, płacili mało, a po trzecie – i to poszukiwaczy zatrudnienia odstraszało najbardziej – należało popłynąć na *siewier*, czyli północ, do samego serca Arktyki. Przeszkody te nie zniechęciły przyszłego polarnika i ochoczo udał się do urzędu morskiego, gdzie prowadzono przygotowania do ekspedycji.

Nie wiedziałem i nie mogłem wiedzieć – zapisze później w autobiografii *RAEM – mój znak wywoławczy* – że wyprawa do admiralicji była owym wielkim przypadkiem, który wybucha w ludzkim życiu, żeby potem swą mocą wywrócić je w całkowicie nieprzewidywanym kierunku.

Ktoś życzliwy wskazał Krenkelowi „żółty budynek z iglicą” stojący po drugiej stronie Newy i chłopak ruszył na spotkanie swojego przeznaczenia. Tuż po wejściu do olbrzymiego kompleksu gmachów zgubił się i przez godzinę błąkał po przestronnych korytarzach. Swoje spostrzeżenia opisał w autobiografii. Ścianyapełniały oszklone gabloty, w których „eksponowano dzienniki pokładowe, mapy z wyrysowanymi trasami rejsów, opisy ekspedycji – czyli krótko mówiąc, wszystko to, co weszło do historii i poświadczało niegasnącą sławę rosyjskich marynarzy”. W końcu na jednych z wielkich rzeźbionych drzwi znalazł kartkę z napisem „Siewliedok”, czyli Ekspedycja Północnego Lodowatego Oceanu. Uchylił wierzaje i w pomieszczeniu niezwykle wysokim, ale wąskim i zawalonym aż pod sufit stosami

książek, czasopism i notatników, ujrzał mężczyznę w generalskim mundurze. Wojskowy uniósł głowę znad papierów, uważnie przyjrzał się Krenkelowi i radośnie wykrzyknął:

– Młody człowieku, jak dobrze, że do nas przyszliście. Tak was wyglądaliśmy. W Archangielsku statek już zaokrętowany i załadowany, stoi i czeka, aż się zjawicie!

Na dźwięk tych słów pod chłopakiem ugięły się nogi. Idąc do admiralicji, zastanawiał się jeszcze, gdzie spędzi najbliższą noc. „Profsojuz” wychodził właśnie w morze, młodzian rozważał więc nocleg na ławce w parku lub po prostu na plaży nad Newą. Tymczasem siedzący naprzeciw wybitny hydrolog, geodeta i wykładowca akademii oficerskiej Nikołaj Nikołajewicz Matuszewicz po kilku pytaniach weryfikujących umiejętności chłopaka przeszedł do zagadnień praktycznych.

– Pójdziecie teraz do magazynu – stwierdził – i tam dostaniecie wszystko, co potrzebne, a w kasie wydadzą wam pieniądze na bilet. – Podpisał arkusz zamówień i przekazując go Ernstowi Teodorowiczowi, rzekł: – Pociąg wychodzi dziś wieczorem.

Był początek lipca, z nieba lał się żar, a Krenkel opuścił admiralicję w stroju odbiegającym od letniego sznytu i przemierzał ulicę Leningradu w grubej kurtce oraz w ciężkich, rozszerzanych u dołu spodniach. „Nie było trudno mnie śledzić, bo dosłownie od stróżek spływającego potu zostawiałem mokry ślad” – zapisał. Pozostałe elementy polarnego stroju miał poupychane w marynarskim worku, który z dumą zarzucił na ramię. W drodze na dworzec nie opuścił żadnej witryny, żeby nie przyjrzeć się swojemu odbiciu.

Zgodnie ze słowami Matuszewicza w Archangielsku pod parą czekał już statek. Podczas rejsu Krenkel poznał się z kolegami z ekspedycji i po raz pierwszy dokładnie zaznajomił z rolą, którą miał odegrać. Jako zmiennik radiotelegrafisty z ulokowanej na Nowej Ziemi stacji Matoczkin Szar był zobowiązany przez najbliższy rok utrzymywać kontakt z lądem oraz przekazywać wyniki prowadzonych badań. Ta wizja wydała mu się niezwykle romantyczna i z niecierpliwością wypatrywał miejsca swojego przeznaczenia. Rozpierała go radość i wielokrotnie, nawet podczas złej pogody, stawał pośrodku pokładu i nie trzymając się niczego, spoglądał w morską dal. Z godziny na godzinę było mu jednak coraz trudniej złapać równowagę. Mimo że panowało arktyczne lato, zacinął deszcz ze śniegiem i szalały wichury. Tuż przed Nową Ziemią rozpogodziło się jednak i pasażerowie dostrzegli cieśninę wąską na sześćset–osiemset metrów i długą na sto kilometrów. Statek wpłynął w jej światło i wówczas oczom polarników ukazały się cudowne widoki. „Przyroda rozrzuciła swoje dary z niebywałą szczodrością i zrozumiałem – wspomni po latach Krenkel – że prawdziwa Arktyka, a nie ta z obrazów czy książek, gdzie nad wszystkim króluje śnieg, jest czarodziejsko piękna”.

Statek „Juszar” powoli wpływał do niewielkiej zatoczki, na której brzegu wesoło

machali przebywający tu od roku polarnicy. Ponad niewielką plażą w zaciszu skał było widać duży parterowy dom, który przywieziono tu aż z Archangielska, gdzie do 1922 roku służył za przybytek płatnej miłości. Powyżej historycznego budynku stała budka z wysokim masztem antenowym, do której przez długie dwanaście miesięcy będzie chadzać Krenkel. Drogę tę przemierzy setki razy w ciemnościach, smagany śnieżnymi zamieciami, dzierżąc pistolet w dłoni. Respekt wobec niedźwiedzi charakteryzuje bowiem każdego prawdziwego polarnika.

BIEGUN SOWIECKIEJ PROPAGANDY

Na początku XX wieku celem polarników było dokonanie odkryć naukowych i zdobycie sławy. Niebawem do głosu miały dojsć bardziej przyziemne motywacje. Zanim się to jednak stało, w 1926 roku nad skutymi mrozem morzami pojawił się olbrzymi sterowiec N-1. Jego załozde, w której skład wchodzili między innymi Umberto Nobile i Roald Amundsen, nie udało się postawić stopy na biegunie. Szalała śnieżyca i śmiałkowie musieli odlecieć. Dwa lata później ci sami odkrywcy na pokładzie sterowca Italia znów ruszyli na północ. Wystartowali z Rzymu i nad Górnym Śląskiem złapała ich burza. Wówczas Polskie Radio Katowice przerwało audycję, by po włosku nadać dla nich prognozę pogody. Nobile, ryzykując życie załogi, leciał dalej i 24 maja dotarł nad biegun. Warunki pogodowe były bardzo trudne i podobnie jak dwa lata wcześniej nie odważono się zejść na lód. Zrzucano tylko włoską flagę i krzyż, który pobłogosławił sam papież Pius XI. Następnie statek udał się w drogę powrotną. Podczas manewrowania jedna z dwóch gondoli zahaczyła o górę lodową i łagodnie opadła na krę. Odciążony statek uniósł się i z sześcioma członkami załogi zaginął bez wieści. Nobile i Amundsen mieli to szczęście, że znaleźli się w gronie ocalałych. Sytuacja wcale nie była jednak wesoła. Znajdowali się setki kilometrów od zamieszkałych osad i rozciągająca się przed nimi mroźna pustynia łatwo mogła się przemienić w ich grobowiec. Trzech śmiałków postanowiło zatem szukać pomocy i ruszyło na południe. Tuż po ich odejściu sześciu polarników, którzy pozostali w miejscu katastrofy, złapało kontakt ze stałym lądem. Ich sygnał SOS odebrał rosyjski radiotelegrafista amator Nikołaj Rejngoldowicz Szmidt i niezwłocznie powiadomił władze w Moskwie. Nawiązano regularną łączność z polarnikami i ustalono ich geograficzne koordynaty. Na ratunek wystartowały samoloty z całej Europy. Maszyny pilotowane przez asów lotnictwa zmagaly się z trudnymi warunkami atmosferycznymi i albo nie dolatywały do miejsca, w którym czekali pasażerowie feralnego sterowca, albo lądowały uszkodzone. Wówczas ich piloci powiększali grono rozbitków. W tej sytuacji bolszewickie władze zdecydowały o wysłaniu na miejsce katastrofy lodołamacza „Krasin”. Statek 12 lipca uratował dwóch z trzech śmiałków, którzy postanowili pieszo przebyć

zamarznięte morze. Polarnicy oświadczyli, że ich kolega umarł z wycieńczenia, ale prasa, która z wypiekami śledziła całą akcję ratunkową, miała na ten temat inne zdanie. *Sjeli go* – zawyrokowali dziennikarze. Po pięciu dniach „Krasin” dotarł do czerwonego namiotu – polarnicy przemalowali pałatkę na jaskrawy kolor – i z kry zjął ostatnich żywych pasażerów sterowca. I tak oto dla dziewięciu śmiałków i pinczerka Titiny, który również leciał sterowcem, wyprawa zakończyła się szczęśliwie. W lodach Arktyki na zawsze pozostało zaś ośmiu członków załogi Italii.

Powrót lodołamacza do macierzystego portu w Leningradzie stał się wielkim świętem. Rosjanie dosłownie na rękach ponieśli załogę statku. Dla nich byli oni bohaterami, którzy przywrócili Krajowi Rad mocarstwową pozycję. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że to obywatel ZSRR jako pierwszy odebrał SOS Italii, a następnie „Krasin”, duma sowieckiej floty arktycznej, wywiózł rozbitków z lodowej pułapki. Stalin, który rządził od niespełna dwóch i pół roku i nieustannie szukał sposobów legitymizacji swej władzy, nie mógł nie skorzystać z tej lekcji. Naród nie tylko klaskał i wiwatował na cześć polarników, lecz także żył ich losem. Nie było dnia, żeby najpoczytniejsze sowieckie gazety nie poświęcały Arktyce co najmniej jednego artykułu. Ale i rozmowy zwykłych obywateli ZSRR przez cały czerwiec zaczynały się od pytania o nowe informacje na temat mieszkańców czerwonego namiotu. Jeśli zaś naród jest zajęty śledzeniem wydarzeń z lodowych pól – dedukował Krwawy Gruzin – to w kraju łatwiej będzie po cichu wprowadzać niewygodne, a często i zbrodnicze zmiany. Odtąd więc wszystkie imprezy związane ze świętowaniem powrotów ludzi Arktyki będzie organizować najlepszy radziecki filmowiec Siergiej Michajłowicz Eisenstein. Wyreżyserowane przez niego widowiska z udziałem polarnika Ottona Szmida czy polskiego lotnika Zygmunta Lewoniewskiego będą ważnym narzędziem w ogłupianiu narodu.

Od drugiej połowy lat dwudziestych bolszewicy mieli jeszcze jeden argument za eksploracją Oceanu Lodowatego. W Republice Jakuckiej, znajdującej się na północnym wschodzie kraju, odkryto bardzo duże pokłady złota i władze zaczęły się przymierzać do wydarcia ziemi jej skarbów. W ZSRR nie było kłopotu z taną siłą roboczą – stanowili ją skazańcy. Nie potrzebowano też wymyślnych technologii, gdyż wszystkie, nawet najbardziej skomplikowane prace odkrywkowe osadzeni wykonywali siłą swoich mięśni. Problematyczne okazało się jedynie zaopatrywanie nowo wybudowanych kopalń w sprzęt i żywność oraz odbieranie kruszcu. Do tej liczącej wówczas tylko trzysta tysięcy ludzi republiki, która swym obszarem przewyższa Argentynę czy Meksyk, nie wiodły żadne drogi lądowe (nawet dziś, nie dość że do stolicy okręgu, Jakucka, nie dociera kolej, to w całym regionie nie ma ani jednego mostu przez olbrzymią rzekę Lenę). Pod koniec lat dwudziestych minionego stulecia transport był możliwy albo drogą lotniczą, albo Leną do Morza Łaptiewów, stanowiącego część Oceanu Lodowatego. Droga wiodąca przez arktyczne akweny do

Archangielska była niezwykle trudna i przez większą część roku dostępna tylko dla masywnych lodołamaczy. Statki tego typu charakteryzują się niesamowitą siłą i wytrzymałością, ale mają stosunkowo niewielką ładowność. I gdy rozważano, co z tym fantem zrobić, pojawił się niezwykle zdolny profesor matematyki Otto Juljewicz Szmidt, i zapewnił, że nie trzeba budować nowych dróg lądowych. Obiecał iż opracuje drogę morską, którą w ciągu jednego rejsu przepłyną nie tylko lodołamacze, lecz także zwykłe statki transportowe. Stalin przyklasnął temu pomysłowi i od tej pory Arktyka stała się strategicznym rejonem Kraju Rad.

NA KOŁDRZE CZY POD KOŁDRĄ?

Jedenastu członków ekspedycji, do której trafił Krenkel, rekrutowało się z różnych środowisk i tylko kilku z nich było naukowcami z prawdziwego zdarzenia. Sam kierownik, Dawid Fedorowicz Wierbow, niewiele miał wspólnego z metodycznymi badaniami. Przed rewolucją zajmował się akwizycją i sprzedawał ołówki oraz inne materiały biurowe, a do polarnego zespołu trafił przypadkiem. Podobnie Paul i Otto, dwaj niemieccy marynarze, którzy w czasie pierwszej wojny światowej służyli na statku wojennym „Magdeburg”. Jednostkę zatopiła rosyjska flota, ale większość załogi się uratowała i trafiła od niewoli. Wielu niemieckich marynarzy podczas rewolucji październikowej przyłączyło się do bolszewików i w ich gronie znaleźli się też dwaj przyszli polarnicy. Na tle takich osobistości Ernst Teodorowicz nie wyróżniał się specjalnie i braki w specjalistycznym wykształceniu nadrabiał cechami charakteru. Dobrze znosił odizolowanie, miał towarzyskie, ale łagodne oraz koncyliacyjne usposobienie, dzięki czemu zdobył sympatię towarzyszy ze stacji zwanej od polarnej cieśniny Matoczkin Szar. Szybko jednak wykazał się dużym profesjonalizmem jako radiotelegrafista. Wówczas obsługa radiostacji wymagała zaawansowanej i interdyscyplinarnej wiedzy technicznej, większość tego typu urządzeń była bowiem produkowana w jednym, najwyżej kilku egzemplarzach i dopiero z czasem, dzięki użytkownikom, ulegała modyfikacjom. Zatem radiotelegrafista, siadając przed nieznanym sobie sprzętem, musiał poznać go od podstaw. Z tym zadaniem Ernst Teodorowicz od początku radził sobie doskonale. A gdy czegoś nie wiedział, nawiązywał połączenia z bardziej doświadczonymi kolegami i na falach eteru pytał o nurtujące go zagadnienia. Dzięki temu po zakończeniu ekspedycji w wieku dwudziestu dwóch lat stał się jednym z najlepszych radzieckich specjalistów w tej dziedzinie. Pierwsza arktyczna wyprawa Krenkela obfitowała także w wydarzenia towarzyskie. Mała społeczność bazy zżyła się ze sobą i przez rok znalazło się wiele powodów do wspólnego świętowania. Podczas takich dni Wierbow wydzieliał spirytus i polarnicy oddawali się hulankom, których stałym elementem była popisowa sztuczka Paula, polegająca na zjedzeniu kęs po kęsie

szklanki.

Rok minął szybko i Krenkel powrócił do rodzinnej Moskwy. Tam czekało już na niego wezwanie do armii i przez dwa kolejne lata pracował w wojskowej radiostacji oraz pełnił funkcję trębacza. Po odbyciu służby był gotów kolejny raz zmierzyć się ze swoim przeznaczeniem. Opracował koncepcję przekazywania informacji na północnym arktycznym szlaku za pomocą radiostacji działających na krótkich falach i jesienią 1926 roku udał się do najważniejszego radzieckiego ośrodka, moskiewskiej filii Niżnonowogrodzkiego Laboratorium Radiowego. Tam swoim zwyczajem poprosił o spotkanie z kierownikiem i oznajmił, że został oddelegowany przez Naczelne Biuro Hydrologiczne do pozyskania i przetestowania w warunkach polarnych nadajnika działającego na falach krótkich. Wiedza i kompetencje młodego człowieka były jego najlepszą wizytówką, więc rozmówca nie pytał o listy polecające. Gdyby to zrobił, przekonałby się, że Ernst Teodorowicz zwyczajnie blefuje i nie stoi za nim żadna instytucja.

Krenkel z deklaracją potwierdzającą gotowość przekazania najnowszego nadajnika, podpisaną przez wysokiej rangi specjalistę od urządzeń wojskowych, profesora Michaiła Boncza-Brujewicza, ruszył do Leningradu. Tam odwiedził „żółty budynek z iglicą” i zajrzał do znanego już sobie pokoju. Przywitano go nie mniej entuzjastycznie niż za pierwszym razem. Młody człowiek zasiadł za stołem i wyłuszczył swój plan. Miał asa w rękawie w postaci sprzętu radiowego i tym razem jego pomysł przyjęto jednogłośnie. Znow jechał do Arktyki.

Drugi pobyt na Nowej Ziemi okazał się wielkim sukcesem. Podczas tych dwunastu miesięcy Krenkelowi udało się potwierdzić skuteczność prowadzenia komunikacji na falach krótkich. Wyniki jego testów zaintrygowały Szmida, który realizował właśnie kolejne rządowe zadanie. Było ono następstwem odezwy wydanej 15 kwietnia 1926 roku. Radzieckie władze informowały w niej wszystkie zainteresowane strony, że ziemie znajdujące się na północ od europejskich i azjatyckich granic kraju należą do ZSRR. W odpowiedzi popłynęły do Moskwy depesze, w których zagraniczni dyplomaci informowali, że decyzja bolszewików wymaga omówienia na forum Ligi Narodów, gdyż żaden kraj nie może ot tak, jednym ukazem zagarnąć terytorium uznawane dotychczas za wspólne dobro. Wówczas Stalin postanowił pójść krok dalej i nakazał sformować ekspedycję, która będzie odkrywać i zajmować dla Kraju Rad arktyczne wyspy. Na jej czele stanął właśnie Otto Juljewicz. Profesor, planując wyprawę, umiał doceniać znaczenie bezpośredniej komunikacji między polarnikami a stałym lądem i do współpracy zaprosił właśnie Krenkela.

Polarnicy poznali się w leningradzkim Instytucie Badań nad Północą. Zgodnie z relacjami syna Szmida Otto Juljewicz od pierwszej chwili wiedział, że stoi przed nim człowiek, który wejdzie do triumwiratu mającego dla ZSRR odkryć i przystosować do eksploracji Arktykę. Pozostałymi członkami tego zespołu byli sam

profesor oraz kapitan Władimir Iwanowicz Woronin. Na dwudziestoczteroletnim Krenkelu spotkanie wywarło ogromne wrażenie, czego świadectwem jest zapis w autobiografii:

Do pokoju wkroczył człowiek o niezwykłym obliczu. Ogromna, krzaczasta broda, bujne włosy zaczesane do tyłu. Cudowna fryzura. Niezapomniane rysy twarzy i oczy – inteligentne szare oczy, które mogły mienić się dziesiątkami różnych odcieni. I wystarczyło, że Schmidt wszedł do pokoju, a miało się uczucie, że ten człowiek wszystko wie, wszystko rozumie, wszystko potrafi.

Nie każdy jednak postrzegał kierownika ekspedycji tak dobrze jak słynny radiotelegrafista. Syn Krenkela, Teodor Ernstowicz, w wywiadzie udzielonym rosyjskiej telewizji NTV wspomina historię zasłyszaną od ojca. Zgodnie z tą relacją sowiecki dziennikarz tuż przed wyprawą na Ziemię Franciszka Józefa dopytywał Ottona Juljewicza o jego brodę. Zasugerował też, że dzięki profesorowi rozpoczęła się w Kraju Rad moda na potężny zarost, i zapytał, czy Szmidt śpi z brodą nad kołdrą, czy ją okrywa. Polarnik nie umiał odpowiedzieć. Najwyraźniej jednak pytanie męczyło go przez całą noc, gdyż następnego dnia, już na statku, przeklinał wścibskiego pismaka.

TAJEMNICA MORZA KARSKIEGO

Szesnastego lipca 1933 roku na leningradzkim nabrzeżu zebrały się tysiące gapiów. Operator kroniki filmowej z pasją kierował obiektyw w stronę pięknych pań. Widać więc blondynkę z włosami schowanymi pod białą chusteczką. Warkocz sływa jej po prawym ramieniu i sięga talii. Kobieta trzyma w dłoniach bukiet kwiatów, którym wymachuje na pożegnanie wypływającego w dziewiczy rejs „Czeluskina”. W połowie lat trzydziestych panowie preferowali damy o pełniejszych kształtach i gust kamerzysty zdaje się nie odbiegać od tych standardów. Kolejne panie uwiecznione na celuloidzie wymachują kapelusikami i gesty te wprowadzają w ruch ich obfite ciała. Jednak żaden sowiecki filmowiec, nawet tak wrażliwy na kobiecą urodę, nie mógł nie dostrzec wielkiego transparentu. „Naprzód na szturm Arktyki z wysokości drugiej pięciolatki” – krzyczą litery wykaligrafowane na płótnie.

Uniesiono kotwice, zawyły syreny i „Czeluskin” majestatycznie wypłynął w rejs. Zanim jednak wyszedł na wody Zatoki Fińskiej, zawinął do pobliskiego portu towarowego, gdzie załadowano nań trzy i pół tysiąca ton węgla i łącznie jego obciążenie sięgnęło prawie pięciuset tysięcy ton. Wielkie ilości opału miały być nie tylko wykorzystane w maszynowni statku, lecz także dostarczone radzieckiemu lodołamaczowi „Krasin” oraz rozdysponowane dla badaczy z Wyspy Wrangla. Do ich bazy wieziono również bale drewna, sprzęt naukowy i racje żywnościowe.

Wśród załogi „Czeluskina” znajdowali się ludzie, którzy mieli zastąpić zimujących polarników. Oprócz nich płynęła duża grupa naukowców. Jedni wieźli ze sobą balony

meteorologiczne, dzięki którym zamierzali badać stratosferę (do zapisu danych stosowano wynalezioną niedawno radiosondę), drudzy – specjalistyczną aparaturę do rejestrowania ruchów sejsmicznych czy też analizowania składu wody i lodu. Niemniej głównym celem „Czeluski” było przebycie podczas jednego rejsu całej trasy wiodącej od Murmańska do Władywostoku. Kierownik ekspedycji, Otto Szmidt, uważał, że da się wytyczyć taki letni szlak dla statków transportowych. Jako argument podawał swój wyczyn sprzed roku, kiedy to na pokładzie lodołamacza „Sibiriakow” pokonał północną marszrutę. Krytycy profesora, w których gronie znajdował się także kapitan „Czeluski”, Woronin, przypominali, że wyczynu tego dokonał na jednostce specjalnego przeznaczenia, wybudowanej do żeglugi wśród lodów. Nie dość na tym – statek złamał śrubę i przez jakiś czas płynął na prowizorycznych żaglach, później przymarzył do lodu i do Morza Beringa dotarł niesiony dryfem kier lodowych. „To tak jakby mówić, że wyrzucona na leningradzkim nabrzeżu butelka po fińskiej lemoniadzie odbyła świadomą podróż do ZSRR” – drwili oponenty Szmidta. Brodaty polarnik niewiele sobie robił z tych uwag. Obiecał Stalinowi, że przygotuje drogę przez Północny Ocean Lodowaty, która skróci podróż z Władywostoku do europejskiej części ZSRR o siedemdziesiąt procent, i miał zamiar dotrzymać słowa.

Już na Morzu Bałtyckim odkryto w maszynowni „Czeluski” pierwszą usterkę i statek zawinął do kopenhaskiej stoczni, gdzie zaledwie miesiąc wcześniej go zwodowano. W tym czasie licząca przeszło sto osób załoga udała się na zwiedzanie stolicy Danii i tylko Krenkel, Szmidt i Woronin pozostali na pokładzie. Polarnicy toczyli żaźarty spór o sens dalszego rejsu. Kapitan uważał, że nieprzystosowany do arktycznych warunków „Czeluski” nie poradzi sobie z polami lodowymi zalegającymi północny ocean i cała wyprawa jest skazana na niepowodzenie. Jako argument przywoływał raport radzieckiej komisji technicznej, która na początku lipca wizytowała statek i doszukała się w nim równo stu usterek w maszynowni oraz niemal tyłu wad w korpusie. Wówczas Szmidt po raz kolejny zapewnił Woronina, że nie musi się tym przejmować, gdyż jego zadaniem jest doprowadzenie okrętu do Murmańska, a tam przejmie go już inny kapitan. Otto Juljewicz powołał się też na doskonałą łączność radiową, którą zapewniał Krenkel, i stwierdził, że w sytuacji awaryjnej będzie można wezwać operujący na Zachodzie lodołamacz „Krasin”, a po przepłynięciu połowy trasy – lodołamacz „Litke”, który wówczas stacjonował we Władywostoku.

W Murmańsku nie czekał żaden zmiennik kapitana i Woronin, będący człowiekiem odpowiedzialnym, musiał pozostać na mostku. Oszustwo szefa ekspedycji popsuło i tak napięte relacje między dwoma najważniejszymi osobami na statku i co rusz dochodziło do sprzeczek. Nie wróżyło to dobrze dalszej wyprawie, tym bardziej że w związku z przedłużającym się załadunkiem i wymuszonym postojem w Kopenhadze mieli już trzytygodniowe opóźnienie. Na początku sierpnia

w Murmańsku temperatury dochodziły do dwudziestu stopni, ale już kilkaset kilometrów na wschód pasażerów Czeluskińki czekały śnieżyce i lodowe pola. Na Morzu Karskim statek przedzierał się przez kry i doszło do uszkodzenia kadłuba. Wówczas polarnicy zatrzymali się i zabrali do likwidacji przecieków. Czas poświęcony na naprawę naukowcy wykorzystali na badania i z pobliskiej tafli lodu puszczali balony meteorologiczne, obecni na pokładzie reporterzy postanowili zaś uwiecznić ten moment na taśmach filmowych. Dwaj redaktorzy gazet przygotowali również artykuły, które Krenkel przesłał alfabetem Morse'a do Moskwy i w ten sposób zapoczątkował w „Prawdzie” dział arktyczny, na którego łamach codziennie pojawiały się krótkie noty dokumentujące życie na „Czeluskińce”. Jedną z takich relacji zawierała cytata z dziennika podróży:

31 sierpnia o godz. 5, min 30 u rodziców Wasiljewych przyszło na świat dziecko, dziewczynka. Szerokość geograficzna płn. 75°46'51", długość wsch. 91°06'.

Podanie koordynatów geograficznych zamiast zwyczajowej długości i wagi ciała nie było tylko zabiegiem technicznym. Dziewczynka, otrzymawszy na cześć Morza Karskiego imię Karina, była jedyną obywatelką ZSRR, która w paszporcie miała wpisane Morze Polarne jako miejsce urodzenia. Poród na „Czeluskińce” rzuca także światło na wydarzenia, które potem okryto tajemnicą. Wzięcie matki Kariny, a także dziesięciu innych żon polarników oraz dwuletniego dziecka na pokład statku płynącego do Arktyki świadczy albo o całkowitym przekonaniu Szmida o powodzeniu ekspedycji, albo o prowadzeniu przygotowań do akcji propagandowej. O ileż wymowniej za bezpieczeństwem wytyczonej trasy przemawia kobieta z noworodkiem na rękach niż brodaci i surowi polarnicy?

Nie wszystko jednak poszło po myśli Szmida. Napierające lodowe kry przepołowiły „Czeluskińkę” jak łupinę orzecha i załoga ekspedycji utknęła na zamrożonym morzu. Na szczęście na okręcie znajdowali się ludzie tacy jak Woronin, którzy zawczasu przygotowali wszystko z myślą o ewakuacji, i przed zatonięciem statku udało się wyładować nie tylko żywność, lecz także namioty, opał oraz sprzęt radiotelegraficzny. Dzięki determinacji Krenkela już w godzinę od katastrofy nawiązano łączność z lądem i powiadomiono Moskwę o nieszczęśliwym wypadku. Władze nie miały wątpliwości, że w środku arktycznej zimy do rozbitków można dotrzeć jedynie drogą powietrzną, i jako pierwszy na ratunek ruszył as radzieckiego lotnictwa i pupil Stalina, Zygmunt Lewoniewski. Nie dotarł do miejsca katastrofy i rozbił samolot na Czukotce. Dopiero 5 marca nad Obozem Szmida (tak nazwano miejsce, w którym schronili się pasażerowie feralnego statku) pojawił się pierwszy samolot ratunkowy. Nie obyło się jednak bez perturbacji. Lotnik podczas przyziemienia zgubił pilotkę i ocieplającą maskę. W samolocie, który nie miał oszklonej kabiny, przez kilka minut był narażony na arktyczny wichur. Gdy

wylądował, jego twarz przypominała poszarpany kawał mięsa. Mimo to od razu załadował pierwszych pasażerów (cztery osoby weszły do kadłuba, a po dwie upchnięto do baków podwieszonych do skrzydeł i służących za magazyn na spadochrony). Od tego dnia regularnie docierały na krę sowieckie samoloty i wywoziły z lodowej pułapki po kilka osób. Ostatni rozbitek stanął na lądzie 13 kwietnia, czyli równo trzy miesiące od dnia katastrofy. Wówczas władze radzieckie urządziły fetę na cześć uratowanych polarników i dzielnych pilotów. Na początku defilada na placu Czerwonym, później audyencja u Stalina, a potem miesięczne *tournée* po Kraju Rad, podczas którego witano Szmida, towarzyszących mu czeluskinowców oraz bohaterskich lotników owacjami należnymi olimpijskim zwycięzcom czy gwiazdom kina. Oczywiście nikt nie zająknął się o karygodnych niedopatrzeniach popełnionych podczas rejsu i euforia, podsycana przez sowiecką propagandę, zdawała się nie mieć granic. Niebawem na cześć brodatego polarnika przyszły na świat Juszminaldy i Juszminaldzi (od: *Otto Juljewicz Szmida na lądzie*, czyli krze) i Łagszmiwary (*łagier*, czyli obóz, *Szmida w Arktynie*).

BIĄŁYSTOK

– Anis, Anis! – Urwis nie potrafi poprawnie wymówić imienia Ernst.

Wywołanemu nic a nic to nie przeszkadza. Pojawia się w uchylonym oknie małego drewnianego domku i już jest gotów do skoku, gdy na jego ramieniu ląduje kobieca dłoń.

– *Mutti*, mogę wyjść? – pyta po niemiecku i gdy otrzymuje zezwolenie, skacze na podwórze, przesadza płot i z kolegą biegną po błotnistej ulicy. Po drodze dołączają do nich kolejni chłopcy. Dorośli mówią w domu po polsku, ukraińsku czy też „po swojemu”, ale dla urwisów nie ma to znaczenia. Ich cel – kałuża – w słowiańskich językach brzmi podobnie. Nie jest to jednak zwykłe bajorko. Na Bojarach, ubogiej dzielnicy Białegostoku, głęboka, bagnista sadzawka dumnie rozlewała się w poprzek całej ulicy jeszcze do końca lat pięćdziesiątych XX wieku. Tymczasem jest rok 1909, gorące lato. Chłopcy pędzą wzdłuż drewnianych parkanów i szukają dużych kamieni. Nazbierawszy pełne kieszenie otoczków, kierują się w wiadome miejsce i czatują na dorożkę. Gdy tylko się pojawi, udają, że usłużnie zmierzają głębokość kałuży i pokażą woźnicy, którędy może jechać. Podchodzą pod same drzwiczki i nagle z pomocnych malców przemieniają się w rozszalałe diabłatka. Ciskają kamieniami i fale brunatnej wody, gęstej od gliny, zalewają pasażera, konie i woźnicę...

Białystok dla Ernsta Krenkela był niczym raj utracony i do wydarzeń, które się tam rozegrały, polarnik z lubością wracał podczas arktycznych ekspedycji. Szczególnie dużo czasu na wspomnianie miał podczas wyprawy rozpoczętej na początku czerwca 1937 roku. Wówczas wraz z trzema towarzyszami został wysadzony na dużej krze

dryfującej w okolicach bieguna i pozostał na tej lodowej wyspie przez kolejne dwieście siedemdziesiąt cztery dni. W ciągu ośmiu miesięcy polarnicy przeprowadzili setki eksperymentów i jako pierwsi na przestrzeni tysięcy kilometrów wykonali dokładny pomiar głębokości oceanu oraz regularnie badali stratosferę nad biegunem. Większość tych działań miała nowatorski charakter, nikt wcześniej nie wpadł bowiem na pomysł, żeby olbrzymią krę przerobić na pływające laboratorium. Luty 1938 roku przyniósł radykalne zmiany i na lodowej płaszczyźnie pojawiły się pęknięcia. Szczeliny się pogłębiały i ostatecznie z tafli powstało kilka mniejszych. Na jednej z nich wciąż dumnie stała baza Krenkela. Mniejsze rozmiary sprawiły jednak, że kra niebawem wpadła w strumień prądu morskiego i zaczęła się poruszać z dużo większą prędkością niż dotychczas. Dryf stał się niebezpieczny i 19 lutego po polarników przybyły aż dwa lodołamacze, które przetransportowały śmiałków do Moskwy. W stolicy czekała ich niesamowita feta. Wszyscy otrzymali wysokie stopnie naukowe, a Krenkelowi przyznano Order Lenina i tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. W przededniu wybuchu drugiej wojny światowej niegdysiejszy łobuziak z Białegostoku był czołowym specjalistą z zakresu łączności radiowej i bezapelacyjnym guru międzynarodowych krótkofalowców. Nagrody państwowe nijak się jednak miały do pompy zgotowanej polarnikom przez zwykłych obywateli Kraju Rad. Przebywając na krze, nie mieli świadomości, że większość ich meldunków publikuje prasa i czyta w sowieckim radiu lektor. Ludzie fascynowali się ich codziennym menu, odzieżą, a zwłaszcza bielizną, oraz omawiali comiesięczne banie, czyli kąpiele w łaźni urządzonej na środku kry lodowej. Żaden cykl telewizyjnego *Big Brothera* nie mógłby się równać z lodową stacją Ernsta Teodorowicza i jego kolegów.

Niebotyczna sława, jaką cieszył się Krenkel, nie stała się jego przekleństwem i inaczej niż wielu bohaterów masowej radzieckiej wyobraźni polarnik nie stoczył się do kazamat Łubianki. Po wielkiej czystce nastąpiła wojna ojczyźniana. Także i wówczas, mimo niemieckich korzeni oraz germańsko brzmiącego imienia i nazwiska, nie trafił do łagru i podczas wojny organizował radziecką sieć łączności. Dzięki stworzonemu przez niego systemowi nawigacji radiowej amerykańskie samoloty wlatywały w głąb Kraju Rad, zrzucały tony broni, żywności i odzieży i bezpiecznie wracały do swych baz. Istnieją jednak relacje, zgodnie z którymi nad Krenkelem gromadziły się burzowe chmury. Strach był nieodzownym elementem funkcjonowania radzieckiej społeczności i w czasach stalinowskich represji polarnik, jak wszyscy, drżał o los rodziny i najbliższych. Wówczas mimowolnie przychodziły mu na myśl wydarzenia, które rozegrały się w Białymstoku jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Jego ojciec uczył tam języka niemieckiego. Praca była przyjemna, wynagrodzenie – godne. Co najważniejsze jednak mieszkańcy polskiego grodu okazywali wielką życzliwość profesorowi Krenkelowi i jego rodzinie. Idylla miała swój kres i pewnego razu przez miasto przetoczyła się fala żydowskich

pogromów. Wówczas leniwa i spokojna stolica Podlasia przemieniła się w upiorne miejsce. Ojciec polarnika nie błyszczał ani odwagą, ani jakimś wyjątkowym humanitaryzmem, był jednak człowiekiem prawym i na wieść o nadchodzących tłumach pijanych okrutników, którzy biją Żydów i grabią ich mienie, nałożył profesorski mundur, przypiął do pasa starą szpadę i na oścież otworzył drzwi szkoły. Szybko wbiegli wystraszeni wyznawcy religii mojżeszowej, stary Krenkel zamknął wierzaje i zadzwonił na policję z prośbą o ochronę. Carski oficer wyśmiał go i zapewnił, że nie zamierza wspierać Żydów. Wówczas profesor Teodor Ernstowicz pobiegł do pobliskiego sklepu monopolowego, który zabezpieczało carskie wojsko, i zaczął przekonywać oficera, żeby ten oddelegował swoich podwładnych pod bramę gimnazjum. Rosyjski żołnierz spojrzał na Krenkela. Stał przed nim niewysoki, krępy i zdeterminowany człowiek z białą bronią; nikt nie wiedział, że jej ostrze jest złamane. Mówił o konieczności ochrony bezbronnych starców, kobiet i dzieci. Wszystko to było bardzo logiczne, pełne zwykłego ludzkiego braterstwa i oficer nakazał dwóm żołnierzom pełnić straż przed gimnazjum. To wystarczyło, żeby nie dopuścić do gwałtów. Uratowani Żydzi nie mieli jednak wielu okazji, żeby podziękować swojemu dobroczyńcy. Tuż po krwawych zajściach przyjechał do Białegostoku generał z Petersburga i rozpoczął dochodzenie mające na celu wskazać winnych pogromów. Jako świadek zgłosił się ojciec polarnika. Uważał bowiem to za swój obywatelski obowiązek. Surowy, o czerwonej, nalanej twarzy i wielkich wąsiskach urzędnik wysłuchał Krenkela i na odchodne podziękował za właściwą postawę. Nie minęło kilka dni, a dzielny profesor, zamiast dostać nagrodę, został zwolniony ze stanowiska i otrzymał nakaz opuszczenia miasta. Wówczas w poszukiwaniu jakiegokolwiek pracy Krenkelowie wyjechali do Moskwy, gdzie nastoletni Ernst musiał zrezygnować z wielu przyjemności, które na Podlasiu zapewniali mu rodzice. Miał jednak ojcowski charakter – został wychowany w duchu praworządności, a także był cierpliwy i niebawem nad jego życiem rozbłysła gwiazda polarna. Los nie wodził go na pokuszenie i nie musiał nikogo bronić ani też nikogo atakować. Inaczej niechybnie zginąłby w lochach moskiewskich katowni. A tak mógł zając się swą pasją i dziś historycy nauki twierdzą, że wartość odkryć dokonanych przez ekspedycje, w których uczestniczył, można przyrównać do lotu w kosmos. Aczkolwiek znajdują się i tacy, dla których arktyczne wyprawy to igranie ze śmiercią. Dla nich Krenkel miał jedną odpowiedź:

Gdzieś na górze, gdzie kosmonauci jeszcze nie dolatują, pracuje w pocie czoła niebieska kancelaria. I jak we wszystkich szanujących się urzędach, działa na pewno w tej niebieskiej kancelarii dział kadr, w którym prowadzona jest słynna księga życia i śmierci. Nie wiem, co w takiej księdze jest napisane pod hasłem „Krenkel”, ale jeśli stoi tam, że mój los to udławić się szprotką, to ani czytanie czasopisma „Zdrowie”, ani systematyczne łykanie witamin A, B i C nie pomogą, choć nie znaczy to absolutnie, że nie trzeba przyjmować witamin lub dzwonić po lekarza, gdy czujesz się słabo.

WYBRANA LITERATURA

1. [hasło *Krenkel E.T.*], *Moja Moskwa*, <http://www.mmsk.ru/people/unit/?id=44973> [dostęp: 16.02.2016].
2. Bielimow E., *Tajnoje stanowitsja jawnym*, „Ruskij Sietil”, http://www.russianseattle.com/hidden_chelyuskin_2003.htm [dostęp: 16.02.2016].
3. Frejdgejm L., *Domysły i prawda ob ekspedycji „Czeluskina”*, <http://www.promved.ru/articles/article.phtml?id=474> [dostęp: 16.02.2016].
4. Frolow I.E., Gudkowicz Z.M., Radionow W.F. i wsp., *The Arctic basin: results from the Russian drifting stations*, Chichester 2005.
5. Krenkel E.T., *RAEM – moi pozywnyje*, Moskwa 1973.
6. McCannon J., *Positive Heroes at the Pole: celebrity status, socialist-realist ideals and the Soviet myth of the Arctic, 1932–39*, „The Russian Review”, 1997, 56 (3), s. 346–365.
7. Michajłow A., *Ernst Krenkel: samyj ruskij niemiec*, „Prawda”, 10 stycznia 2013, <http://www.pravda.ru/society/fashion/models/10-01-2013/1141306-krenkel-0/> [dostęp: 16.02.2016].
8. Papanin I.D., Krenkel E.T., Fiedorow J.K., Szirszow P.P., *Dziewjać miesiacow na drejfujuszczzej stancji „Siewiernyj poljus”*, Moskwa 1938.

GWIAZDA FIZYKI I SZCZĘŚCIA

AB OVO

Wieczorem 6 stycznia 1962 roku w willi fizyka Lwa Dawidowicza Landaua zadzwonił telefon:

- Halo, w czym mogę pomóc? – rzekł do słuchawki gospodarz.
- Dau, to ja... – wysapał głos i zamilkł.
- Co znowu za „ja”? Do stu tysięcy neutrin, przedstaw się albo szejnij w rzecznych odmętach! – wykrzyczał naukowiec znany z ekstrawagancji.
- Gdyby na Wołdze nie było lodu – powiedział ktoś po drugiej stronie łącza – dawno bym to zrobił.
- Sieniuszka... – Landau rozpoznał w końcu swojego najlepszego ucznia – ...to ty?
- Dau – nieoczekiwanie rozszłochał się Siemion Sołomowicz Giersztejn – ja już tego nie wytrzymam. Bóg mi świadkiem, że skończę ze sobą. Wierzysz mi, że mam dość odwagi?

Fizyk zapewnił rozmówcę, że zawsze miał o nim wysokie mniemanie i nie śmiałyby wątpić w jego determinację, ale chciałby wiedzieć, co go tak wzburzyło, że zamierza targnąć się na swoje życie.

– Ełoczka odeszła. Zabrała małego i... – najwyraźniej było coś jeszcze, co bolało bardziej niż rozstanie z żoną i synem – Dau, nie dam rady, mówię poważnie, zabiję się...

Lwu Dawidowiczowi udało się skłonić zrozpaczonego przyjaciela do zwierzeń i wysłuchał całej litanii trosk. Po godzinie wyczerpującej rozmowy odłożył słuchawkę na widełki i podreptał do gabinetu. Na sofie i na podłodze pełno było kartek zapisanych formułami. Landau wpasował się w wolny skrawek leżanki i wziął papier, który trzymał w dłoni przed rozmową. Próbował się skoncentrować i zrozumieć, dlaczego na końcu wzoru umieścił symbol przyspieszenia. I kiedy już prawie miał przed oczami ulotną ideę, przypomniał sobie, że w Dubnej, gdzie pracował Giersztejn, na wysokości Dmitrowskiej szosy znajduje się spora elektrownia wodna. Odnoga rzeki nie zamarzała całkowicie i tuż przy metalowej kładce nawet w najsrozsze zimy w tumanach pary przewalały się hektolitry wody. Poruszony tą wizją usiadł na swych papierach. „Sieniuszka tam się rzuci” – wymamrotał i po sekundzie krzyknął na cały głos:

- Kora!!! Korusza!!! – Skoczył na równe nogi i zbiegł po schodach do salonu. –

Kora! – Z pokoju dobiegały odgłosy telewizora. Uchylił drzwi i na tapczanie dostrzegł rozłożonego naukowca Jewgienija Michajłowicza Lifszycy. – Żenia, gdzie Konkordia? – spytał.

Sąsiad, który więcej czasu spędzał w domu Landauów niż swoim, nie odrywając oczu od telewizora, wymamrotał:

– Kąpie się.

Mężczyzna pobiegł truchtem pod drzwi łazienki. Przyłożył ucho i usłyszał pluśnięcia. Poskrobał w futrynę i zagadnął:

– Korusza, mogę wejść? – Żona zgodziła się bez wahania i Lew Dawidowicz wsunął się do środka. – Jak dwa razy dwa Sieniuszka popełni samobójstwo – rzekł.

– Kto? – wyrwało się Konkordii, choć dobrze wiedziała, o kim mowa; jej mąż nadawał swym przyjaciołom niepowtarzalne imiona bądź przezwiska.

Mężczyzna przysiadł na wannie i wyjaśnił:

– Siemion Sołomowicz z Instytutu Jądrowego w Dubnej. Ełoczka zabrała syna i odeszła od niego – klarował, a jego lewa poła szlafroka namakała w wannie. – Ale nie to jest najgorsze.

– A co, kochany? – Konkordia uniosła się na łokciach.

– Przeprowadziła się drzwi obok do innego fizyka i Sieniuszka szaleje. – Landau czule pogłaskał stopę żony. – Muszę tam jechać.

Kobieta na znak aprobaty ucałowała jego dłoń. Landu spróbował się uśmiechnąć, zmienił temat, opowiedział, nad czym teraz pracuje, po czym w mokrych skarpetkach wyszedł do przedpokoju. Uniósł słuchawkę i z pamięci wybrał numer.

– Sieniuszka, słyszysz, to ja, Dau, jutro o dziesiątej przyjeżdżam do ciebie pociągiem. Nie zawieź mnie...

Siódmego stycznia nieoczekiwanie spadł deszcz i Moskwa zmieniła się w lodowisko. Lifszyc, który na tym miniosiedlu zamieszkałym przez samych naukowców zajmował domek nieopodal, wywinął na ścieżce orła. Teraz ostrożnie wdrapał się na schody i swoim kluczem otworzył drzwi Landauów.

– W taką pogodę nie pojedę na żaden dworzec – oznajmił, zzuwając buty.

– Twoja sprawa – rzekł Landau. – Telefonuję po Sudaka.

– Jeśli się nie boisz, to dzwoń – ripostował miłośnik telewizji.

Po półgodzinie pod dom Landauów podjechała nowiutka jasnozielona wołga. Za kierownicą auta siedział fizyk Władimir Wasiljewicz Sudakow, a na tylnej kanapie ulokowała się jego piękna żona Wieroczka.

– Dau! – Kierowca odkręcił szybę. – I tak mieliśmy jechać do Dubnej. Za tydzień czy teraz, co za różnica?

Lew Dawidowicz ostrożnie zszedł przed dom i odwrócił się w stronę żony:

– Konkordio Terentiewna, jesteś moją pierwszą i największą miłością i chcę, żebyś była szczęśliwa – przyjął typowy, serdeczny ton – więc jeśli nie sprowadzisz

kochanka, przywiozę ci z Dubnej świecącego fizyka.

Otworzył drzwi wołgi i zaczął gramolić się do środka.

– Jajka! – pisnęła z udawaną trwogą w głosie *madame* Sudakowa. – Mamy tu kopę kurzych skarbów.

– Ti, ti, ti – odrzekł i odziany w szubę i futrzaną czapę wcisnął się do wnętrza wozu. – Prawdziwe skarby to są... – jego odpowiedź nie dotarła jednak do stojącej na schodach Konkordii i Lifszycy, który zrezygnował z telewizji i wyszedł na podwórze. Trzasnęły drzwi i samochód niespiesznie ruszył ku bramie instytutu.

Był pierwszy dzień prawosławnego Bożego Narodzenia, stolica laickiego ZSRR wbrew obowiązującej propagandzie świętowała i po oblodzonych ulicach z rzadka tylko przejeżdżał jakiś samochód. Kierowca przyspieszył i jechał siedemdziesiątką.

– Tak, tak, słyszeliśmy o Siemionie Sołomowiczu... – Sudakow dostrzegł w lusterku, że Landau, zrzuciwszy z siebie futro, pomaga jego żonie wyzwolić się z kurteczki i co rusz zerka w jej bujny dekolt. Postanowił więc zainteresować pasażera rozmową.

– Nie gadaj, tylko prowadź! – ofuknęła męża Wieroczka i w tym momencie samochód niebezpiecznie zbliżył się do autokaru. Obdarty i obstukany pojazd jeszcze przyhamował i zazdrośnik ostro go wyminął. Traf chciał, że działo się to na zwięzonym odcinku Dmitrowskiej szosy i auto dostało się na przeciwległy pas, po którym dostojnie toczyła się przedwojenna ciężarówka. Przestraszony Sudakow nacisnął hamulec i wołga zakręciła się niczym bączek. Szofer nadjeżdżającej maszyny próbował jeszcze ratować sytuację i zjechał na krawędź drogi, mimo to osobówka nieznacznie zahaczyła o zderzak gruzawika i do jej wnętrza posypało się drobniutkie szkło.

– Chwała Bogu! – wykrzyknęła Wieroczka, gdy samochód w końcu się zatrzymał, i już była gotowa rzucić się na męża z piąstkami, gdy na jej kolana osunął się Landau.

ŻART POŚRÓD TOTALITARNEJ NOCY

Sudakow nabił sobie guza, a jego żona miała lekkie zadrapania. Nie stłukło się nawet żadne z jajek, które wieźli przyjaciołom z Dubnej. Tylko w prawych tylnych drzwiach wypadła szyba i wygiął się słupek przedzielający okno. O ten metalowy pałak oparł głowę Lew Dawidowicz i zniekształcenie metalu odznaczyło się na jego skroni deformacją przypominającą wklęsnięcie w aluminiowej puszcze. Wieroczka spojrzała na ranę, ale nie dotarło do niej, że Landau jest nieprzytomny, i niczym lalkę posadziła mężczyznę w fotelu. W tym czasie Władimir Wasiljewicz wyskoczył zza kierownicy, obiegł samochód i szarpnął za rozbite drzwi. Wówczas długie i chude jak patyk ciało Landaua (mierzył ponad sto osiemdziesiąt centymetrów i ważył sześćdziesiąt kilogramów) bezwładnie wypadło na asfalt.

Pogotowie pojawiło się na miejscu wypadku po dwudziestu minutach i kwadrans po jedenastej fizyk był już na izbie przyjęć Moskiewskiego Szpitala nr 50. Niebawem do ośrodka zdrowia zaczęli jeden po drugim zjeżdżać najznamienitsi stołeczni medycy zwożeni przez przyjaciół naukowca. Przeprowadzono gruntowną diagnostykę i ustalono, że pacjent ma obrażenia żołądka oraz rozdarte przez żebra płuca, ale najgorsze okazały się rany głowy. Mózg Landaua puchł i lekarze na gwałt szukali ratunku. Jeśli nie udałoby się powstrzymać obrzęku, zgon nastąpiłby w ciągu kilku, najwyżej kilkunastu godzin. Nieoczekiwanie pomoc przyszła z zagranicy. Międzynarodowe rozgłośnie radiowe podały, że genialny fizyk uległ wypadkowi i znajduje się w stanie krytycznym. Ta informacja około piętnastej dotarła do londyńskiego wydawcy i właściciela Pergamon Press, Roberta Maxwella. Jego syn kilka dni wcześniej również ucierpiał w kraksie i zmagał się z podobnymi obrażeniami. Brytyjscy lekarze zastosowali u młodzieńca eksperymentalną terapię moczniową, co umożliwiło zmniejszenie opuchlizny. Maxwell poruszył więc niebo i ziemię, żeby dostać ten preparat, i pojechał z nim na lotnisko. Tam od godziny czekał rejsowy samolot, na którego pokładzie cenne medykamenty poleciały do Moskwy. Jeszcze tego samego dnia podano je Lwu Dawidowiczowi. Dzięki brytyjskim ampułkom obrzęk zaczął się zmniejszać. Niestety, niebawem dały o sobie znać uszkodzenia związane z układami oddechowym i trawiennym i nastąpiła kolejna zapaść. Także i w tym przypadku sięgnięto po rozwiązania eksperymentalne i w szpitalnej sali wybudowano namiot tlenowy, dzięki któremu utrzymano Landaua przy życiu. Wciąż nie udawało się jednak przywrócić mu świadomości i po ponad pięćdziesięciu dniach od wypadku do Moskwy przybył kanadyjski neurochirurg Wilder Penfield. Medyk obejrzał pacjenta i wyznał dziennikarzom, że „jeśli byłby to jego własny ojciec, to by nie robił operacji”, po czym udał się na konsultacje z sowieckimi kolegami, zmienił zdanie i jeszcze tego samego dnia przewieziono Landaua na blok operacyjny. Podczas zabiegu otwarto czaszkę chorego, usunięto pokruszone kości i skrzepy i w ten sposób zmniejszono opuchliznę mózgu.

Minęło kilkanaście godzin od operacji i stał się cud – Landau otworzył oczy. Pierwszymi osobami, które zobaczył, byli jego żona i kanadyjski chirurg. Konkordia Terentiewna z przerażeniem w głosie poprosiła męża, aby mrugnął. I gdy ten nie zareagował, uniosła jego dłoń i nakłaniała, żeby uściskiem dał znać, że ją słyszy. Wówczas prawica fizyka nieznacznie drgnęła. O dziwo, pacjent szybciej zareagował na polecenia wydawane w języku angielskim i na prośbę Penfielda zmrużył lewą powiekę. Radość najbliższych nie miała granic i niebawem w długiej kolejce do izolatki Landaua ustawili się wszyscy pracownicy „kapticzynnika”, czyli moskiewskiego Instytutu Problemów Fizycznych. Media jeszcze tego samego dnia podały informację o wybudzeniu się Lwa Dawidowicza i szpital obległy tłumy gapiów. I to najprawdopodobniej w tej ciszy zrodziła się plotka, jakoby fizyk

przeszedł trzy śmierci kliniczne lub nawet zmartwychwstał w kostnicy. Niestety, rokowania wciąż były niepomyślne. Penfield uznał, że potrzeba co najmniej kilku lat rehabilitacji, żeby chory mógł wstać z łóżka. Sowieccy neurologowie wykazali się jeszcze większym sceptycyzmem i zawyrokowali, że prawa połowa ciała genialnego naukowca na zawsze pozostanie martwa i wielkim sukcesem będzie, jeśli mężczyzna kiedykolwiek przemówi.

Mijały tygodnie i na twarzy badacza zaczęły odmalowywać się emocje. Ze strachem spoglądał na lekarzy i pielęgniarki i tylko na widok kilku osób się rozpromieniał. Do ich grona, oprócz żony i syna, należeli jeden z neurologów oraz opiekunka Marina. Latem 1962 roku Landau nieoczekiwanie przemówił. Żalił się na potworne bóle, ale największą niedogodnością, która przyprawiała go o myśli samobójcze, okazała się niemożność skupienia uwagi. Ponadto jego organy wewnętrzne wciąż były niewydolne i co jakiś czas we krwi gromadziły się toksyny. Wówczas na kilka dni popadał w stan nieświadomości. Zdarzały się także sytuacje odwrotne – zwłaszcza nocami uaktywniał się i prowadził wielogodzinne ożywione rozmowy z personelem, podczas których znów jawił się jako czarujący naukowiec. Świadkiem tych rozgorączkowanych metamorfoz była najczęściej owa Marina i z dnia na dzień jej relacje z fizykiem stawały się coraz bardziej osobiste. Konkordia Terentiewna ze zdumieniem zauważyła, że pielęgniarka, inaczej niż pozostali pracownicy szpitala, nie mówi do jej męża „towarzyszu akademiku” czy nawet „Lwie Dawidowiczu”, ale po prostu „Dau”. Z czasem zaczęła także na powitanie całować go w usta. Sam pacjent przyjmował te przejawy bliskości naturalnie i ani razu ich nie skomentował. Dało się jednak dostrzec, że kobieta ma na niego korzystny wpływ. Pielęgniarka godzinami masowała i ćwiczyła sparaliżowane kończyny mężczyzny i po kilku miesiącach Landau mógł już w miarę sprawnie poruszać lewą ręką i nogą. Wzrastająca zażyłość między nią a chorym ośmieliła Marinę do tego stopnia, że zaczęła pouczać Konkordię Terentiewną i zadawać jej niedwuznaczne pytania. Na przełomie sierpnia i września pani Landau jak co dzień przyszła odwiedzić męża i trafiła na osobliwe spotkanie. Przy łóżku chorego zebrało się kilkoro rehabilitantów, pielęgniarek i salowych i głośno deliberowało nad losem Mariny. Wejście żony pacjenta bynajmniej nie przerwało ich dysputy, przeciwnie – usłużna i oddana siostra zwróciła się do niej z pytaniem:

– Wszyscy tutaj zastanawiamy się, co mam zrobić. Urodzić dziecko czy wykonać aborcję? Mam już trzydzieści siedem lat i chciałabym zostać matką. Co mi radzicie?

Wówczas żona Landaua kierowana kobiecą intuicją odpowiedziała:

– Marina, nie znam waszego męża. Jeśli jest zdrowy, płód trzeba koniecznie donosić, ale jeśli cierpi na jakieś schorzenie, dziecko może się urodzić nie całkiem normalne. Uważam, że to największy ból dla kobiety dać życie niepełnowartościowemu dziecku.

Słowa te skomentował Landau, który w całości poparł żonę. Wówczas pozostali goście, łącznie z Mariną, bez słowa opuścili salę i od tego dnia relacje między pielęgniarką a Lwem Dawidowiczem radykalnie się zmieniły. Kobieta traktowała pacjenta z coraz większym dystansem, aż pewnego razu nie pojawiła się przy jego łóżku. Konkordia Terentiewna zainteresowała się losem Mariny i pielęgniarki uświadomiły ją, że dokonała aborcji i na własne życzenie przeniosła się do innej placówki. Dau nie zdziwił się tymi doniesieniami i z rozbijającą szczerością wyznał:

– Ona nawet płakała i przekonywała mnie, że ją w sobie rozkochałem. Wyjaśniłem więc, że jestem pięknistą, że szanuję ją jako pielęgniarkę, ale Kocham cię, a choć czasami miewam kochanki, to ona, Marina, nie jest w moim guście.

Pobyty w szpitalu obfitowały także w inne, nie mniej spektakularne wydarzenia. Pierwszego listopada 1962 roku o godzinie dwunastej trzydzieści przy łóżku pacjenta rozdzwonił się telefon. Zarówno tę rozmowę, jak i inne wypowiedzi z czasów hospitalizacji Lwa Dawidowicza Konkordia Terentiewna przytacza w książce biograficznej *Akademik Landau. Jak my żyli*:

– Czy to sala akademika? – dopytywał łamaną ruszczyzną głos w słuchawce.

– Tak – przytaknęła małżonka fizyka.

– Jestem szwedzkim korespondentem – przedstawił się obcokrajowiec. – Pół godziny temu w Sztokholmie Komitet Noblowski przyznał mu Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki.

Laureat nie mógł osobiście udać się po odbiór dyplomu i pierwszy raz w historii wręczono go poza granicami Szwecji – w moskiewskim szpitalu. Na czas uroczystości korytarz kliniki wyłożono czerwonym dywanem, na który 20 grudnia 1962 roku wkroczył Rolf Sulman. Ambasador z niekłamanym wzruszeniem wręczył Landauowi honorowe symbole i wypisał czek na astronomiczną sumę dwustu pięćdziesięciu tysięcy koron.

Wielomiesięczny pobyt w zamknięciu, obfitujący w „medyczne cuda”, lecz także romanse czy niecodzienne wydarzenia, dobiegł końca i geniusza wypisano do domu. Kolejny etap rehabilitacji miał przebiegać już poza ośrodkiem zdrowia. Postępy czynione przez Landaua zdecydowanie wykraczały poza plan minimum zakreślony przez medyków, mimo to naukowiec nie mógł wrócić do świata, który kochał. Fizyka teoretyczna wymaga niebywałego skupienia, a on nie potrafił skoncentrować się na linijce tekstu. W instytucie czuł się zatem jak impotent i ostatecznie rzucił wszystko i na lata schronił za drzwiami swego gabinetu. Odizolowanie pogłębiło depresję i niegdysiejszego króla życia zaczęły nawiedzać myśli samobójcze. Na problemy psychiczne nałożyły się reemisje niezaleczonych chorób i wczesną wiosną 1968 roku Lew Dawidowicz ponownie trafił do szpitala. „Tak lubił żartować i znów zażartował – zmarł w prima aprilis” – zapisała pogrążona we łzach żona.

ENFANT TERRIBLE RADZIECKIEJ NAUKI

W powietrzu pachnie dymem, benzyną i kwitnącymi jabłoniemi. Ostre promienie słoneczne odbijają się od żółtej fasady dworca i ta poświata zdaje się zalewać perony i czarne od smarów torowiska. W jasności brodzą mężczyźni w białych ludowych koszulach z ukraińskimi wyszywankami na piersi, eleganckie panie w zwiewnych sukienkach i dzieci w marynarskich ubrankach. Co rusz przewijają się też wychudli chłopcy obwieszani drewnianymi walizkami, którzy przyjechali do Charkowa w poszukiwaniu pracy. I przez ten tłum przebijają się dwudziestosześcioletni mężczyźni w luźnych lnianych spodniach i kolorowej koszuli. Jest niezwykle szczupły i wysoki i jego czarna rozwichrzona czupryna góruje nad morzem głów. Przebiega w kierunku platformy, przy której oprócz zwykłych zjadaczy chleba ustawili się mężczyźni w garniturach i wojskowa orkiestra. Nagle peron wypełniają kłęby pary i wtacza się umajony kwiatami pociąg. W ruch idą błyszczące jak małe słońca talerze, trąbki i puzony. Damy po raz ostatni szminkują usta, a notable zerkają do przemówień. Zamieszanie to wykorzystuje barwnie odziany człowiek i przeciska się do pierwszego rzędu. Krok w krok idzie za nim milicjant. I gdy młodzieniec wyciąga wielkie zielone jabłko, stróż prawa nie wytrzymuje i chwytą go za ramię:

– Towarzyszu, pozwólcie ze mną. – Pragnie uchronić znamienitych gości od widoku takiego gorszyciela i ciągnie go ku mniej eksponowanym rzędom.

Jego słowa zagłusza wrzawa. „Ura!!!” – tłum wita sławnych fizyków i skanduje imię najznamienitszego z nich, Nielsa Bohra. Ku odkrywcy struktury atomu ruszają miejscy włodarze, aparatczycy z CK Ukrainy z Polakiem Stanisławem Kosiosem na czele oraz pionierzy z naręczami bżów. Słynny Duńczyk zdaje się ich nie widzieć i wypatruje kogoś w tłumie. Nagle dostrzega. To ów rozczochrany odszczepieniec. „Dau!!!” – wykrzykuje radośnie Bohr i rozpościera dłonie. Landau wyrывa się ogłupiałemu stróżowi prawa i pędzi w objęcia noblisty. Cichnie orkiestra. Z rąk oniemiałych partyjniaków sypią się kartki z przemówieniami, młodzież rozdziawia usta, gubi kwiaty. Oto mistrz i jego najlepszy uczeń spotkali się po latach niewidzenia.

Nawiązanie znajomości z Bohrem było możliwe dzięki półtorarocznej podróży, w którą w 1929 roku oddelegowano Landaua. Wówczas ten dwudziestojednolatek dał się poznać jako niebywale obiecujący naukowiec. Jednak nie wszyscy młodzi ludzie, nawet jeśli wykazali się niecodziennymi osiągnięciami, mogli opuścić ZSRR. Sytuacja Lwa Dawidowicza była szczególna. W wieku czternastu lat, ciesząc się opinią genialnego dziecka, rozpoczął studia na bakijskim uniwersytecie. Po dwóch latach zrealizował program edukacyjny i dziekan wydziału matematyczno-fizycznego wysłał go do naukowej mekki Związku Radzieckiego. W liście do swojego odpowiednika pisał:

Jestem przekonany, że uniwersytet w Leningradzie będzie dumny z tego, że przygotował dla naszej ojczyzny Lwa Dawidowicza Landaua, który w przyszłości, w co nie wątpię, stanie się wybitnym naukowcem.

W mieście nad Newą młodzieniec publikował artykuły z fizyki kwantowej oraz uczestniczył w profesjonalnych konferencjach. Dał się także poznać jako wielki ekscentryk i grywał na trąbce w studenckim jazzbandzie oraz chadzał po Newskim Prospeckie z czerwonym balonikiem. Paradoksalnie ów niecodzienny sposób bycia w dużej mierze przyczynił się do uzyskania przez niego zagranicznego stypendium. Tuż po brawurowej obronie dyplomu trafił pod skrzydła profesora Abrama Fiedorowicza Joffego. Ten świetny badacz i wychowawca przyszłych noblistów nie znosił sposobu bycia swojego pracownika i w Lwie Dawidowiczu raziło go dosłownie wszystko – począwszy od ubioru (Landau stronił od garniturów i preferował kwieciste koszule), przez luźne maniery (nastolatek z każdym był na ty), a skończywszy na naukowych zainteresowaniach (zajmował się najmodniejszą wówczas budową atomu). Nie na darmo jednak Abram Fiedorowicz zyskał przydomek ojca radzieckiej fizyki. Umiał powściągnąć osobiste animozje i nie zwolnił niesfornego chłopaka. Przeciwnie, dostrzegłszy jego niespotykany potencjał, pozwolił mu iść własną drogą. W 1927 roku osiemnastoletni Landau uczynił rzecz niebywałą i opracował tak zwaną macierz gęstości (dzieła tego niezależnie i – należy też dodać – skrupulatniej niż Rosjanin dokonał również Węgier John von Neumann). Radzieckim fizykom spadły z oczu klapki – „dzieciak” dał im narzędzie, dzięki któremu mogli opisywać tajemnicze układy kwantowe. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie niepokorny i może nieco złośliwy charakter młodzieńca, który niejako dla relaksu zajął się wynajdywaniem błędów w pracach swych nobliwych kolegów. Wówczas Abram Fiedorowicz poruszył niebo i ziemię, żeby pozyskać dla niego grant na zagraniczny wyjazd. Byłe dalej, byłe go od siebie na dłużej odsunąć.

Landau w ciągu kilku miesięcy opanował języki niemiecki oraz angielski i wyposażony w pokaźną sumkę ruszył po wiedzę i doświadczenie. Pierwszym przystankiem na jego trasie był Berlin, gdzie poznał Alberta Einsteina. Spotkanie to wywarło na nim wielkie wrażenie, później zwykł mawiać, że ogólna teoria względności poraziła go swym pięknem, mimo to obaj naukowcy nie przypadli sobie do gustu. Nie zważając na liczne zbieżności, nie tylko związane z prowadzonymi badaniami (na przykład obaj mieli żydowskie korzenie), nie znaleźli wspólnego języka i Lew Dawidowicz nie zabawił długo u geniusza. Po latach Konkordia Terentiewna, zastanawiając się nad tym fenomenem, doszła do wniosku, że Einstein nie potrafił dzielić się swą wiedzą i w przeciwieństwie do jej męża był kiepskim pedagogiem. Kolejne kroki Rosjanin skierował ku lipskiej uczelni, w której działał Werner Heisenberg. Między fizykami była niewielka różnica wieku (zaledwie siedem lat) i przyszli nobliści obdarzyli się wzajemnym szacunkiem i życzliwością. Relacja ta nabrała z czasem także wymiaru koleżeńkiego, bowiem twórca teorii

nieoznaczoności nie tylko zgłębiał zagadnienia zbliżone do problematyki interesującej Lwa Dawidowicza, lecz także miał podobny do niego temperament. W ciągu półtorarocznego pobytu na Zachodzie Rosjanin zawitał także do Anglii, gdzie w Cambridge, w słynnym Laboratorium Cavendisha pracował jego rodak, trzydziestotrzyletni Piotr Leonidowicz Kapica. Spotkanie tych dwóch wychowanków Ojczulka Joffego przebiegło bardzo życzliwie. Starszy z naukowców zaprezentował swoje dokonania z zakresu fizyki niskich temperatur i mając do dyspozycji unikatową w skali świata aparaturę, zademonstrował zmrożone ciała, których zachowania przeczyły prawom konwencjonalnej dynamiki. Następnie zaproponował Landauowi pracę w Anglii. Sam bowiem nie kwapił się z powrotem do Kraju Rad i swoją przyszłość wiązał z dostatnią wyspą. Lew Dawidowicz zdecydowanie odmówił i zadeklarował wierność sowieckiej ojczyźnie; naukowiec rzadko wypowiadał się na tematy polityczne, ale z zachowanych świadectw wynika, że do końca życia wierzył w zasadność pracy dla ZSRR.

Wizyty w Anglii i Niemczech były niczym jednodniowe wycieczki w porównaniu z pobytem w Danii. Do stolicy tego niewielkiego kraju Rosjanin trafił niesiony sławą Nielsa Bohra. Uznany badacz od pierwszych chwil zapalał wielkim sentymentem do gościa z Kraju Rad i z czasem obdarzył go uczuciami rodzicielskimi (Duńczyk stracił dwóch synów). Nie znaczy to jednak, że przyjaźń fizyków była łatwą relacją. Lew Dawidowicz, podobnie jak niegdyś Heisenberg, został zaliczony w poczet seminarzystów Bohra. Nie potrafił jednak spokojnie usiedzieć w szkolnej ławie i biernie słuchać. Zdarzało się, że wyskakiwał zza pulpitu i rozpoczynał spór z odkrywcą struktury atomu, a bywało, że w ogóle nie dopuszczał mistrza do głosu i brylował przed tablicą, czyniąc ze studentów i samego Bohra zwykłych uczniów.

Czas spędzony poza granicami ZSRR Landau wykorzystał, jak tylko mógł najlepiej, i w 1931 roku wrócił do kraju otoczony nimbem jednego z ważniejszych na świecie fizyków teoretyków. Leningradzcy koledzy, nie mogąc się z nim równać, postanowili go ignorować. Ostracyzm udzielił się także Papaszy Joffemu, który z dużą ostrożnością na powrót przyjął młodzieńca do zespołu. Niebawem jednak wybuchł konflikt między dwoma uczonymi. Jedna z wersji głosi, że powodem sporu było odkrycie przez młodego naukowca kolejnego bardzo ważnego błędu w rozprawie Abrama Fiedorowicza, druga, nie mniej prawdopodobna, dotyczy zagadnień natury osobistej. Po latach Landau wielokrotnie nakłaniał swoich starzejących się kolegów do nawiązywania miłosnych relacji z młodymi kobietami i jako przykład podawał właśnie Papaszę:

Ot, na przykład, nasz profesor Joffe ożenił się z koleżanką swojej córki. [...] I znów zapłonął lub mówiąc prościej – ożył w nim rosyjski bies.

Możliwe, że w czasie gdy ta relacja się zawiązywała, czyli w 1932 roku, Lew

Dawidowicz wprost, i bez wątpienia szczerze, pogratulował Joffemu podjęcia – w jego mniemaniu – właściwej decyzji. Konserwatywny profesor mógł odebrać to jako wyrefinowaną kpinę i śmiertelnie obraził się na podwładnego. Niezależnie od motywacji spór między naukowcami był faktem i Landau nie mógł już liczyć na zatrudnienie w Leningradzie. Miał jednak kwalifikacje, dzięki którym przebierał w stanowiskach jak w ulęgalkach. Kierowany idealistycznym pragnieniem zbudowania czegoś od podstaw udał się do ówczesnej stolicy Ukraińskiej Republiki Radzieckiej, Charkowa. Objął tam stanowisko szefa działu teorii Instytutu Fizyczno-Technicznego oraz wykładowcy na lokalnym uniwersytecie. Swoje pierwsze spotkanie z młodzieżą (jego słuchacze byli młodszy od niego o rok, najwyżej dwa lata) rozpoczął od słów: „Nazywam się Dau. Nienawidzę, gdy mówi się na mnie Lew Dawidowicz”.

Mimo tak radykalnego skrócenia dystansu szybko stał się najbardziej szanowaną postacią na całej uczelni. Dydaktyka, choć bardzo ważna, była jednak poboczną aktywnością Landaua. Fizyk stworzył dynamiczny zespół i w ciągu pięciu lat z prowincjonalnego ośrodka uczynił jedną z ważniejszych placówek badawczych na świecie.

CZERWONE RĘKAWICZKI

Wybudowany w 1932 roku Dom Projektów i przekształcony w charkowski uniwersytet mógłby powstać i dziś. Składa się z licznych brył, wśród których najwyższa liczy sześćdziesiąt trzy metry. Innym przykładem konstrukttywizmu są wzniesione na początku lat trzydziestych poczta oraz instytuty fizyczno-techniczny i medyczny. Wszystkie te budynki łączy rozmach, śmiałe zagospodarowanie przestrzeni, a zarazem dążność do jak największej praktyczności. Sowieccy architekci nie zapomnieli też o kompleksach zieleni, mających służyć rekreacji mieszkańców, a także nieść im ukojenie. Nieraz w sensie ostatecznym. W latach 1932 i 1933 na charkowskich skwerach stały tablice: „Tu kategorycznie zabrania się pochówku ludzi”, mimo to nie tylko nocami, lecz także w świetle dnia kopano groby, do których składano zagłodzonych. Największy problem był z rozkułaczonymi rolnikami, którzy dekretem Kosiora nie mogli „na odległość strzału kuli armatniej” zbliżyć się do swoich zagród. Pozbawieni środków do życia udawali się więc do Charkowa i tysiącami umierali na ulicach. Zdjęcia z epoki dokumentują niezwykłego mężczyznę leżącego pod sklepem, dziecko konające z głodu czy kobietę, która umarła na schodach wiodących na plażę; w tle widać rzekę i kąpiących się ludzi.

Mimo starań propagandzistów wieści o ofiarach wielkiego głodu zaczęły docierać do zachodnich mediów. Były jednak na tyle przerażające, że tylko nieliczni dawali im wiarę. Ludziom nie mieściło się w głowie, że na wymęczonymi wojnami kontynencie

można rozwiązywać problemy, głodząc na śmierć własnych obywateli. Stalin, świadomy intelektualnego oportunisty Europejczyków, na zewnątrz kreował obraz ZSRR jako państwa sprzyjającego ludziom pracy, a w kraju realizował okrutną politykę kolektywizacji. Rozbudowa Charkowa została zaprzęgnięta do tej schizofrenicznej gry. Po sztucznym wywołaniu fal głodu komuniści zdecydowali o zorganizowaniu w stolicy Ukrainy cyklu międzynarodowych imprez. Jedną z nich była konferencja, na którą zaproszono między innymi przyjaciela Landaua, Nielsa Bohra. Duńczyk wraz z pozostałymi zagranicznymi gośćmi wysiadł w mieście, które niczym potiomkinowska wioska za fasadą lśniących budynków ukrywało prawdę o swej najnowszej historii. Obrazu radzieckiej *prosperity* dopełniały laboratoria, którymi dysponowali Landau i jego koledzy. Zorganizowana w tym *entourage'u* konferencja przebiegła bez zarzutu i nieświadomi niczego zachodni naukowcy stali się ambasadorami sowieckiej propagandy.

Fizyka była jednak nie tylko narzędziem w politycznej grze. Już Włodzimierz Iljicz Lenin dostrzegł jej podmiotowy charakter i wspierał takich naukowców, jak Abram Fiedorowicz Joffe czy Lew Siergiejewicz Termen. Promowany przez wodza rewolucji Ojczulek zapraszał do swojego instytutu najbardziej uzdolnionych absolwentów. Jednym z nich był Piotr Kapica. Tu jednak poniósł klęskę, gdyż jego wychowanek, inaczej niż Landau, rozsmakował się w zagranicznych wojażach i w 1921 roku nie powrócił ze stypendium w Cambridge. Rozpoczął badania pod okiem noblisty Ernesta Rutherforda i śmiało hipotezy weryfikował w laboratorium, które wówczas stanowiło symbol nowoczesności. Poza tym badacze pracujący w tym ośrodku cieszyli się bardzo wysokim standardem życia. Mieli do dyspozycji luksusowe domy oraz prywatny kompleks rozrywkowo-wypoczynkowy. Wszystko to sprawiało, że na dekady Cambridge stało się jedną ze światowych stolic nauk ścisłych. W tym czasie radzieckie władze postanowiły uczynić skok rozwojowy w nauce; Stalina interesowały dyscypliny, które dostarczały technologii wojsku lub wspomagały inżynierię społeczną. Plany te zbiegły się z odkryciem złota w Jakucji i wybrani badacze otrzymali dotacje, o których wcześniej nie mogli marzyć. Szerokim strumieniem popłynęły fundusze także do instytutu Landaua. Na sukcesy nie trzeba było długo czekać i w latach trzydziestych Charków dołączył do grona międzynarodowych placówek, w których dokonano rozszczepienia jądra atomu, wytworzono płynny hel i wodór oraz skonstruowano radar czy opracowano technologię próżniowego wytopu metali. Trudno jednoznacznie określić wkład Lwa Dawidowicza w te przedsięwzięcia. Wiadomo, że opracował wraz ze swym uczniem, Jewgienijem Michajłowiczem Lifszycem, teorię przejść fazowych, która legła u podstaw wielu działań charkowskich eksperymentatorów. Można jednak przypuszczać, że inspiracje Daua sięgają dużo głębiej. Badacz nie przywiązywał wagi do praw autorskich i swoimi konceptami hojnie obdzielał wszystkich

zainteresowanych. Dostrzegli to nawet studenci, którzy tak skomentowali wydany przez niego i jego pomocnika wielotomowy *Krótki kurs fizyki teoretycznej*: „W tych książkach nie ma ani jednego słowa napisanego przez Landaua i ani jednej myśli Lifszyca”.

Mimo starań Kraj Rad wciąż był krok za czołowymi ośrodkami naukowymi Europy i Stanów Zjednoczonych. Na horyzoncie pojawiły się zaś nowe rozwiązania, wykorzystujące między innymi odkrytą przez Kapicę nadciekłość helu czy też czerpiące z energii jądrowej (idea broni atomowej zaświtała w mózgach charkowskich naukowców już w początkach lat trzydziestych). Radzieccy decydenci nie zamierzali być maruderami i mieli sposób, jak z niemożliwego uczynić możliwe. W 1937 roku do rezydencji Kapicy zastukał agent tajnych służb Rudolf Iwanowicz Abel (znany szerzej dzięki filmowi Stevena Spielberga *Most szpiegów* z 2015 roku) i namówił go na krótką wycieczkę do ZSRR. W Moskwie Piotrowi Leonidowiczowi zabrano paszport i oznajmiono, że ma pracować dla sowieckiej ojczyzny. Oczywiście rozległy się protesty. Do Stalina pisał między innymi Rutherford, domagając się wypuszczenia pracownika. W odpowiedzi wysłano następującą replikę: „Jest w pełni zrozumiałe, że Anglia chciałaby pana Kapicę i tak samo Związek Radziecki ze swej strony chciałby pana Rutherforda”.

Piotr Leonidowicz sądził, że uda się mu przechytryć bolszewików i zgodę na współpracę uzależnił od zagwarantowania mu warunków, jakie miał w Laboratorium Cavendisha. Partyjni aparaczczyki wyłożyli wówczas zdjęcia budowanego w Moskwie ośrodka, który do złudzenia przypominał instytut z Cambridge. I nie tylko laboratoria wyposażono w analogiczny sprzęt, lecz nawet skopioowano układ mieszkań, które niebawem mieli zasiedlić fizycy. Kapica znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Tymczasem Lew Landau popadł w tarapaty. Żyjąc w świecie teorii fizycznych, niewiele miał wspólnego z rzeczywistością. Był jednak człowiekiem bezkompromisowym i w końcu sprzeciwił się okrutnej polityce decydentów. Jego protest polegał na podpisaniu listu kontestującego poczynania władz. Niebawem sygnatariusze tego dokumentu zaczęli trafiać do aresztów. Mimo że nad geniuszem rozpościerał się parasol ochrony – jego prace miały charakter strategiczny – otrzymał wypowiedzenie. Wówczas, nie czekając, aż zjawią się po niego enkawudziści, ruszył do Moskwy i na początku 1938 roku na ręce Kapicy złożył podanie o przyjęcie do nowo powstałego Instytutu Problemów Fizycznych. Jego aplikacja została przyjęta i Lew Dawidowicz stanął na czele komórki teoretycznej. Nie dane mu było jednak na długo zagościć w „kapiczynniku”. W kwietniu otrzymał od jednego z kolegów broszurę porównującą Stalina do Hitlera. Zgodził się z zawartymi tam тезami i ochoczo wprowadził własne zmiany do tekstu, a następnie przekazał bibułę dalej. Nie minęło kilka dni, a do jego apartamentu wkroczyli mężczyźni w czarnych płaszczach i pod ramię wyciągnęli go z gabinetu. Wywlekli do samochodu i na rok

Lew Dawidowicz zginął swym przyjaciółom z oczu.

W uwolnienie Landaua zaangażował się między innymi sam Bohr, który w liście do Stalina pisał: „Nie mogę sobie wyobrazić, żeby prof. Landau, którego głowa jest zajęta tylko myślami o teoretycznej fizyce, mógł uczynić coś, co by tłumaczyło jego aresztowanie”.

Prośby noblisty pozostałyby bez odzewu, gdyby nie Kapica. Szef Lwa Dawidowicza, choć nie darzył go wielkim sentymentem, zaryzykował nie tylko karierę, lecz także życie i wysłał szereg listów, w których osobiście ręczył, że zatrzymany nie popełni już żadnego występku przeciw władzom ZSRR. Ponadto twierdził, nie bez racji, że Landau jest brakującym ogniwem radzieckiego programu nuklearnego. Ten argument nie mógł pozostać niezauważony i w marcu 1939 roku fizyka przeniesiono do szpitala, aby po miesiącu mógł na własnych nogach wyjść poza więzienną bramę. Żona na widok jego obrzękniętych, czerwonych przedramion wykrzyknęła:

– Dauńka, kochany, co się stało z twoimi rękami!

– Wystraszyłaś się? – odpowiedział pytaniem Landau, by po chwili wyjaśnić: – To drobiazg, wszystko minie. Po prostu mam zachwianą przemianę materii. Rozumiesz, tam było pszenne menu. A ja pszenicy nie jem, ona mi nie smakuje. I kiedy przyszło polecenie, by rozwiązać moją sprawę, już nie chodziłem, tylko leżałem i cichutko zajmowałem się nauką.

WZÓR NA SZCZĘŚCIE

Konkordia Terentiewna ze strachem dopytywała męża o miesiące spędzone w kazamatach:

– Dauńka, miły, jak wychudłeś. Stałeś się zupełnie przezroczysty. A gdzie są twoje piękne czarne loki? – Bała się zagadnąć wprost.

– Koroczka, wszystko to drobiazg – odrzekł Landau. – Jestem szczęśliwcem. [...] A najważniejsze, że jesteśmy razem. Cały ten rok żyłem myślą o tobie. Wyobraź sobie, nagle śledczy pokazał mi twoją fotografię i powiedział: „Jeśli podpiszecie, za tymi murami są takie właśnie kobiety”. Wówczas mu odparłem, że w rzeczywistości jesteś jeszcze piękniejsza, ale podpisać, iż jestem niemieckim szpiegiem, nie mogę. „No pomyślcie sami – tłumaczyłem mu – całe życie zakochywałem się w kobietach o aryjskim typie urody, a naziści nie pozwalają na to Żydom”.

Przywołana rozmowa oprócz arkanów więziennej codzienności odsłania dwa fakty z biografii fizyka. Po pierwsze, badacz nie taił żydowskiego pochodzenia, a po drugie, zamierzał mieć liczne romanse. W odróżnieniu od większości wiarołomnych mężów nie krył się z tym marzeniem, przeciwnie – już podczas pierwszej randki oznajmił przyszłej żonie, że jest zwolennikiem poliamorii. Kobieta uznała to za przejaw

ekstrawagancji i nie mieściło jej się w głowie, że już niebawem podzieli się ukochanym z wieloma kobietami. Nie dość na tym, mąż miał od niej oczekiwać, że postąpi równie frywolnie i rozpocznie życie uczuciowe z innymi mężczyznami. Tymczasem jednak Lew Dawidowicz i Konkordia Terentiewna cieszyli się pierwszym, najbujniejszym etapem związku. Zakochany fizyk po zajęciach na charkowskiej uczelni pędził z kwiatami do swej wybranki i mówił jej najczulsze słowa o miłości i radości z cielesnego zbliżenia. Dzielił się także przemyśleniami bardziej abstrakcyjnymi i pewnego razu wyznał: „Nie jestem nogistą. I nie rękistą. Niektórzy wielbią kobiece dłonie. A ja jestem czystym piękniwą i wielbię, i kłaniam się przed kobiecym pięknem jako całością”.

Z czasem refleksje te zaczęły łączyć się w spójną teorię miłości i dobrego życia – niespełna trzydziestoletni Landau oznajmił wybrance, że oto opracował wzór na szczęście. Formuła, którą przedstawił jako dzieło życia, była niezwykle prosta. Zgodnie z nią czas, który każdy człowiek otrzymał w darze, to swego rodzaju tryptyk i jedną trzecią należy poświęcić na pracę, jedną trzecią na miłość i analogiczną część – na bycie z bliskimi. Poszczególne zmienne rozwinął opisowo. Praca jest zatem nieodzownym elementem bytu człowieka i bez niej dwunożne istoty, które opanowały Ziemię, nie nazywałyby się myślącymi. Należy jednak pamiętać, że nie wszystkie działalności można określić tym mianem. Pracą dla Landaua nie było zajmowanie się teorią literatury czy snucie rozważań z zakresu marksizmu i leninizmu. Drugi element formuły – miłość – zdaniem fizyka został przez ludzi zakłamany. Uczucie to, podobnie jak praca, wymaga szczerości i odwagi. Kochać znaczy więc słuchać serca, które – zdaniem naukowca – nie potrafi poprzestać na monogamii. Fizyk pogardzał jednak kłamcami i wierzył, że nic tak nie cementuje związku jak planowanie z partnerem przyszłych romansów. Trzecią zmienną, czyli możliwość spotykania się z przyjaciółmi i najbliższą rodziną, postrzegał jako konieczność. Nie wyobrażał sobie, żeby nie poświęcić choć godziny dziennie na spotkanie z domownikami, a rozmowa z nimi stanowiła dla niego coś więcej niż tylko wymianę informacji i – niczym antyczni filozofowie – widział w niej cel sam w sobie.

Teoria szczęścia, jak każda abstrakcyjna konstrukcja, wymagała sprawdzenia, Lew Dawidowicz weryfikował więc jej założenia w praktyce. Pierwszy i trzeci element już od początku działały świetnie. Problem był z miłością. Tu Landau przez lata nie mógł wyjść poza intelektualne dywagacje. Sytuacja uległa zmianie po drugiej wojnie światowej. Wówczas uświadomił sobie, że stracił wiele lat, i przedsięwziął radykalne kroki. Zaoferował łasemu na pieniądze Lifszycowi pięćset rubli (miesięczne wynagrodzenie inżyniera wynosiło wówczas dwa tysiące rubli) za każdą piękność, którą do niego sprowadzi, i równolegle sam nawiązywał znajomości z atrakcyjnymi kobietami; był przystojnym i błyskotliwym mężczyzną i szybko zdobył grono wielbicielek. Wiosną 1946 roku jedna z adoratek stała się jego pierwszą oficjalną

kochanką.

– Koroczka, mam dla ciebie niezwykle przyjemną wiadomość! – Landau wpada do domu jak na skrzydłach. – Dziś wieczorem o dwudziestej pierwszej wrócę nie sam, przyjdzie do mnie dziewczyna i będzie mi się oddawać! Powiedziałem jej, że jesteś na dacz, więc, proszę, siedź cichutko jak myszka albo wyjdź. Nie trzeba, żebyście się spotkały.

Oznajmiwszy to, obejmuje mocno żonę – dzięki temu uściskowi Konkordia Terentiewna nie osuwa się na podłogę – i wybiega. Na schodach się odwraca:

– Ach, zapomniałabym, połóż, proszę, w mojej szafie świeżą pościel – mówi, a jego twarz rozpromienia się dziecięcą radością.

Powoli mijają godziny. Pani Landau zgodnie z prośbą męża przygotowała czyste prześcieradła i teraz przypomina sobie wszystkie jego słowa o wolnej miłości i zaufaniu. Nie wie, co zrobić. Spakowała już walizkę. Czeki. O dziewiątej wieczorem Landau wraca. Jego głos miesza się z trelem kobiety, która mu towarzyszy. Skrzypią schody na piętro, trzaskają drzwi od sypialni. Siadają na łóżku. Zamiast czułych czy frywolnych słów padają suche informacje dotyczące optymalnej pozycji seksualnej. Mężczyzna po chwili wstaje i kieruje się ku szafie. Uwielbia czystą, chłodną i pachnącą pościel. Działa na niego jak afrodyzjak. Otwiera skrzydło bieliźniarki... skąd marszowym krokiem wychodzi Konkordia Terentiewna.

Kobieta do wczesnych godzin porannych jak w amoku włóczy się po Moskwie. W końcu zdeterminowana wraca, idzie do swego pokoju i bierze walizkę. W pokoju syna spotyka się z mężem:

– Kiedy w końcu zrozumiesz, ile dla mnie znaczysz?! – mówi Landau i groźnie dodaje: – Powiedz, że nic podobnego się więcej nie wydarzy!

– Dauńka – żona już wie, że nie znajdzie w sobie dość siły, żeby odejść – to nie może się więcej wydarzyć. Drugi raz tego nie przeżyję. To nie do pomyślenia!

– Przeczyś zdrowemu rozsądkowi – łagodnieje Lew Dawidowicz i obejmuje swą Korę. – Wiem, że mnie kochasz, w moich objęciach cała trzepoczesz, niczego dla mnie nie żałujesz, wszystko, co najlepsze, tylko dla mnie. I teraz nie chcesz, bym na chwilę miał jakąś całkiem obcą, zupełnie tobie niepotrzebną dziewczynę? Gdzież tu logika?

Konkordia Terentiewna bezradna siada na łóżku i od tego wiosennego poranka wiernie towarzyszy mężowi we wszystkich jego poczynaniach. Wspólnie przeżyją tak jeszcze szczęśliwe dwadzieścia dwa lata.

WYBRANA LITERATURA

1. Bessarab M., *Formuła szczęścia Landau (portriety)*, Moskwa 1999.
2. Bessarab M., *Landau: straniczy żywni*, Moskwa 1988.
3. Bessarab M., *Tak goworil Landau*, Moskwa 2003.

4. Gizburg W.L., *Lew Landau – uczytel i uczonej*, „Moskowskij Komsomolec”, 18 stycznia 1968.
5. Landau-Drobancew K., *Akademik Landau. Kak my žili*, Moskwa 2011.
6. *Most szpiegów*, reż. S. Spielberg, 2015.
7. Pacepa I.M., *Russian Spies of the Future*, FrontPageMagazine.com, <http://archive.frontpagemag.com/readArticle.aspx?ARTID=29087> [dostęp: 29.02.2016].
8. Spruch G.M., *Pyotr Kapitza, Octogenarian dissident*. „Physics Today”, 1979, 32 (9), s. 34–41.
9. I.M. Halatnikow (red.), *Wospominanija o L.D. Landau*, Moskwa 1988.

GWIAZDA SERCA

MĄDRY KOT

Nad zachodnimi rubieżami Moskwy powoli gasną ostatnie promienie słońca i na niebie rozpala się czerwona poświata. Niejeden z mieszkańców sowieckiej stolicy myśli teraz o wojnie, która toczy się gdzieś tam, za szkarłatnym horyzontem. Przez otwarte okno wygląda dwudziestoczteroletni Władimir Pietrowicz. Nie w głowie mu jednak polityka. Uważnie taksuje podwórze, nie dostrzega tego, czego szuka, i zabiera się do wypełniania *Protokołu z doświadczenia*. W punkcie „Miejsce eksperymentu” wpisuje „Katedra Fizjologii Człowieka i Zwierząt MGU imienia M.W. Łomonosowa” i tuż obok skreśla „6 sierpnia 1940 roku”. Nagle zza okna dobiegają głosy kociej awantury. Młodzieniec zrywa się na równe nogi, zawisa na parapecie i stara się zanęcić zwierzaki. Dzikusy nie zamierzają reagować na jego zaczepki. Wówczas wybiega z pokoju, pędzi ciemną i duszną klatką schodową cztery piętra w dół i staje jak osłupiały. Po futrzakach ani śladu. Idzie w kierunku krzaków, skąd dobiegały wrzaski. „Barsik, Barsik!” – woła, ale nikt nie odpowiada. Zagląda do kontenera na śmieci – nic. Klęka przy okienku do piwnicy – cisza. Nie daje jeszcze za wygraną i przez godzinę szuka swego pupila. Bezskutecznie.

Jest już noc, kiedy Demichow włącza lampkę i ponownie pochyła się nad protokołem. Został mu do wypełnienia „Opis eksperymentu”. Ciężko wzdycha i skrobie szarym ołówkiem:

W narkozie eterowej przeprowadzono operację przeszczepu serca od trzymiesięcznego kociaka (samiec) do mądrego kota [w oryg. ‘k umnomu kotu’ – przyp. aut.] pod skórę w okolicach pachwiny. Naczynia krwionośne zszyto metodą Carella...

Następnie szczegółowo relacjonuje, jak w ciągu trzech godzin złączono *art. subclavia* i *v. cava* dawcy z *art. femoralis* i *v. femoralis* biorcy[4]. Po wszyciu naczyń „i wznowieniu obiegu krwi u gospodarza pojawiły się słabe, fibrylarne skurcze przeszczepionego serca”. Słowa te dają do myślenia – pobrany od kociaka mięsień przez niemal dwie godziny był wyłączony z pracy, a jednak zaczął bić. Mężczyzna wie, że tylko kilka osób na całym świecie przeprowadziło podobne doświadczenia. Nie czas jednak na zachwyty, tym bardziej że dopuścił się tak karygodnych niedopatrzeń – strofuje się – i pisze dalej:

Przyjęto, że pełne zatrzymanie drugiego serca nastąpi w ciągu najbliższych chwil. Nałożono więc szwy na

skórę. Przestrzeń pachwinową owinięto bandażem. Kota owinięto w koc elektryczny i pozostawiono na sali operacyjnej. Zabieg przeprowadzili: Demichow i student I. Zawjazkin, uczestniczył A.E. Gurwicz...

Wraca pamięcią do wydarzeń sprzed kilku godzin. Była trzynasta, a on od wczoraj nie miał nic w ustach i wystarczyło, że zamknęli drzwi od sali operacyjnej, od razu poczuł, że w bufecie dają zupełną rybą i ziemniaki ze skwarkami. Niby mieli tylko zjeść i od razu wracać, ale spotkali kolegę, który opowiedział o nowym szwie, potem wszyscy się zagadali... Dym było czuć już na schodach...

Po półtorej godziny od operacji – po powrocie z bufetu wszystkich uczestników – w sali operacyjnej odkryto pożar idący od przewodów w kocu elektrycznym przykrywającym zoperowanego kota. Zapaliła się podłoga i częściowo już opalił ogon kota. Po likwidacji ognia ze względu na skandaliczne wydarzenia kot został przewieziony do akademika, gdzie mieszkał Demichow...

Sądził, że jest to najlepsze rozwiązanie. Wymęczony podczas operacji, a później poparzony zwierzak dopiero zaczynał się budzić. Nieznacznie unióś powieki i znów pograżył się w chemicznym śnie. Demichow ułożył go ostrożnie w torbie i przewiózł przez pół Moskwy do swojego pokoju. Tam umieścił na łóżku i osłuchał stetoskopem. Drugie serce najprawdopodobniej jeszcze biło. „Czyżby transplantacja dopełniającego organu się powiodła?”. Przeszedł go dreszcz. Nie znał doniesień poświadczających przeprowadzenie podobnego zabiegu u ssaka. Spojrzał na kota.

– Może dzięki tobie uratuję tysiące istnień – rzekł i przykrył czworonożnego pacjenta prześcieradłem. Sięgnął po książkę i postanowił czytać aż do zmierzchu. Techniczne opisy zabiegów rozpałały go bardziej niż powieści przygodowe i wyobrażał sobie, że to on sam nachyla się nad chorym i mistrzowsko łączy naruszone tkanki. Pochłonięty lekturą nie zauważył, jak kot próbował wyprężyć ciało i wstrząsnął nim dreszcz bólu. Przeleżał nieruchomo kilka sekund, po czym chwiejnie, w strasznych cierpieniach, stanął na czterech łapach. W tym momencie coś tknęło Wowę, unióś oczy znad książki i zerknął na łóżko. Było puste. Zaskoczony omiół spojrzeniem ubogie lokum i dostrzegł czworonoga, jak wchodzi na parapet.

– Barsik! – zawołał i wyciągnął dłonie, żeby go schwycić. Zwierzę, miauknąwszy, skoczyło na gzyms i przeszło po nim kilka metrów wzdłuż fasady. „Kis, kis, kis!” – wołał z parapetu młody naukowiec, ale kot unióś opalony, bezwłosy ogon i parł do przodu. Dotarł do rogu budynku, z wrzaskiem skoczył na gałąź pobliskiej lipy i po chwili zniknął w płataninie konarów.

Władimir Demichow wielokrotnie wychodził szukać kota. W końcu uznał, że nie uda mu się go znaleźć, i zabrał się do pracy nad protokołem. Teraz nad Moskwą króluje ciemna noc i młodzieniec po raz ostatni postanawia wyjrzeć przez okno. Nie ma księżycy, niewiele widać i tylko w rogu budynku błyszczy żarówka, nad którą unosi się chmara meszek. Po Barsiku ani śladu. Badacz siada zrezygnowany za stolikiem i wpisuje ostatnie zdanie protokołu:

...skąd w efekcie niedostatecznej opieki kot uciekł, co sprawiło, że przeprowadzenie oceny pooperacyjnej okazało się niemożliwe.

ŻÓŁW Z WIDOCZKIEM

„Urodziliśmy się, żeby bajkę zmienić w życie / Pokonując przestrzenie i podniebne tory / Nam rozum dał stalowe ręce-skrzydła / A zamiast serc – płomienne motory!”, śpiewali radzieccy piloci w latach dwudziestych minionego wieku. Niebawem w *Marszu awiatorów* dokonano istotnej korekty i zamiast „rozumu” pojawił się „Stalin”. Można by rzec – przeobrażenie godne epoki. Zmiana ta miała także konkretny wymiar i odzwierciedlała marzenie sowieckiego przywódcy o zasiedleniu ZSRR ludźmi maszynami.

Idea człowieka hybrydy zakiełkowała w mózgu Iosifa Wissarionowicza pod wpływem dokonań fizjologów. Zanim jednak pod koniec XIX wieku Kraj Rad stał się jednym z dwóch – obok Stanów Zjednoczonych – liderów w tym obszarze wiedzy, na samym początku XX wieku w Austrii Emerich Ullmann jako pierwszy przeszczepił nerkę. Zabieg ten nie miał nic wspólnego z dzisiejszymi operacjami ratującymi ludzkie życie. W czasach Ullmanna żadnemu racjonalnemu naukowcowi nie mieściło się w głowie, żeby podmieniać narządy, i wiedeński badacz pobrał organ od jednego psa i wszczepił go innemu jako drugi, tak zwany dopełniający, wprost na szyję. I stała się rzecz niebywała. Zwisająca na piersi nerka zaczęła wydzielać mocz. Niestety, ani dawca, ani biorca nie przeżyli tego eksperymentu, ale sam zabieg wpisał się do historii i uznaje się, że właśnie wtedy narodziła się transplantologia. Luminarzom nowej dyscypliny nie tylko brakowało podstawowej wiedzy z zakresu immunologii, lecz także nie znali samego pojęcia grup krwi (rodak Ullmanna, Karl Landsteiner, dopiero prowadził badania w tej dziedzinie), nie mówiąc już o technikach anestezjologicznych (śmiertelność z powodu podania eteru czy chloroformu była zaskakująca). Wielkim wyzwaniem dla wszystkich operatorów było łączenie naczyń krwionośnych, a bez tej umiejętności żaden przeszczep nie mógł się udać. Tu jednak z pomocą przyszedł noblista Alexis Carrel. W pierwszej dekadzie XX wieku Francuz opracował sposób zszywania arterii; dzięki temu nie tylko ulepszono zabiegi chirurgiczne, lecz także usprawniono wstawianie organów do ciała biorcy.

Wielka wojna nie sprzyjała transplantologom i badacze zajęli się leczeniem rannych. Wystarczyło jednak, że przycichły bitewne wystrzały, by wrócili do cięcia żab i jaszczurek, a wraz z rozwojem technik chirurgicznych – także stałocieplnych szczurów, kotów i psów. Wówczas do grona czołowych fizjologów doszłusowali naukowcy amerykańscy i radzieccy. Awans sowieckich badaczy wynikał z ogólnej sytuacji geopolitycznej kraju i wielu rosyjskich medyków zapragnęło uczestniczyć w budowie nowej rzeczywistości. Ponadto świetnie wykształceni naukowcy,

pracujący dotychczas w zagranicznych jednostkach, dali się zwieść hasłom rewolucji i powrócili do ojczyzny. Zwłaszcza przedstawiciele nauk przyrodniczych, często bez odpowiedniego zaplecza, w warunkach urągających ich godności podjęli wyzwanie rzucone przez komunistycznych dogmatyków.

Fizjologowie pod przewodnictwem Siergieja Siergiejewicza Briuchonienki wyznaczyli sobie bodaj najambitniejsze zadanie – postanowili ożywić organy. W tym celu szef zespołu skonstruował aparat będący prototypem rozpowszechnionego obecnie płucoserca, bez którego trudno sobie wyobrazić jakąkolwiek skomplikowaną operację. Powstały w 1924 roku autożektor (z franc. *autojector*, „maszyna nadająca tempo”) okazał się narzędziem o dekady wyprzedzającym swój czas. Wynalazcy nie zdawali sobie z tego sprawy i byli przekonani, że tylko krok dzieli ich od ujarznienia nieokiełznanej natury. Przeświadczenie to oddaje film z końca lat dwudziestych XX wieku. „Oto izolowane serce” – mówi narrator i podłączony do rurek narząd zaczyna bić. W tle stoi autożektor, który przypomina skrzyżowanie aparatu do pędzenia bimbru z tokarką. Dostarcza on do wiszącego na stelażu organu natlenioną krew. Następnie na planszy widać układ krwionośny psa. Komentator wyjaśnia, że Briuchonienko opracował unikatową technikę podłączania urządzenia do całych zespołów narządowych, i kamera pokazuje metalową tacę z psim łbem oplecionym rurkami. Lektor ogłasza: „Izolowana głowa reaguje na bodźce”. Wówczas w kadrze pojawia się badacz z młotkiem i rytmicznie uderza w stół. Uszy strzygą, jakby zwierz był anatomiczną całością. „Izolowana głowa reaguje na światło” – poucza głos i pod wpływem impulsów świetlnych psie powieki drżą.

Radzieccy badacze postępowali z autożektorem niczym dzikus, który – obdarowany radiem tranzystorowym – naciska wszystkie guziki i delektuje się płynącymi z głośników szumami i trzaskami. Podobnie naukowcy – na oślep podłączali urządzenia do różnych zwierzęcych organów. Następnie zajęli się „ożywianiem” całych zmarłych istot. Licytowano się przy tym, komu uda się później od zgonu uruchomić organizm. W latach trzydziestych moskiewscy naśladowcy Briuchonienki dokonywali „zmartwychwstań” psów dwadzieścia minut od ich śmierci. Zazwyczaj po półgodzinie następował „ponowny zgon” z powodu rozszczelnienia rurek łączących ciało z aparatem bądź w efekcie zapaści układu krwionośnego. Pod koniec trzeciej dekady XX wieku rozpoczęto także badanie impulsów mózgowych u „wskrzeszanych” zwierząt. Zapisy wykazywały istnienie aktywnych połączeń między neuronami, ale nie umiano rozstrzygnąć, czy ucięta głowa myśli (obecnie większość badaczy odpowiada na to pytanie twierdząco).

Wciąż jednak nie udawało się znaleźć medycznego zastosowania dla autożektora. Badacze – świadomi jałowości swoich pokazów (pojęcie eksperymentu jest w tym przypadku nieadekwatne) – szukali kolejnych rekordów. Szczytem możliwości

aparatu było w 1955 roku wzbudzenie na kilkadziesiąt minut serca ludzkiego noworodka martwego od stu godzin (dokonał tego zespół prof. Fiodora Andriejewicza Andriejewa). Jedyne znane zastosowanie autożektora w ratowaniu życia człowieka opisano w 1933 roku w prowincjonalnym Chersoniu. Urządzenie wykorzystał syn profesora Uniwersytetu Warszawskiego Jurij Jurewicz Woronoj podczas pierwszego w historii przeszczepu nerki człowiekowi. Zabieg wykonano u pacjentki, która w wyniku zawodu miłosnego trwała się ręcą. Jej organizm był w krytycznym stanie i nie mógł sam się oczyścić. Woronoj pobrał więc od zmarłego mężczyzny nerkę i wszczepił ją umierającej. Zanim jednak wszął narząd, musiał go odpowiednio przygotować i podłączyć do autożektora. Następnie wstawił na biodro pacjentki i przez dwie doby nerka spełniała swoją funkcję, czyli oczyszczała krew i wydalala mocz. Niestety, w trzeciej dobie kobieta zmarła.

Badacze zachodzili w głowę, dlaczego podłączone do autożektora organy obumierają po kilkadziesiąt minutach. Nie mieli również pojęcia, czym są spowodowane ich klęski podczas transplantacji. Dziś wiadomo, że nie uwzględniali koncepcji zgodności tkankowej, wedle której organizm reaguje alergią na wszczepiany narząd. W latach dwudziestych i trzydziestych przyjęto jedynie założenie (na marginesie – błędne), że niemożliwe są transplantacje od przedstawicieli różnych gatunków i na przykład świńskiego serca nie da się wstawić człowiekowi. Z czasem postawili jedynie hipotezę, że oprócz odkrytych i zdefiniowanych grup krwi istnieją inne, bliżej niezidentyfikowane czynniki odpowiedzialne za przyjęcie się narządów. Aby je odkryć, radzieccy naukowcy prowadzili badania porównawcze. Dobierali parę szczurów i jednemu z nich przeszczepiali – na przykład na szyję bądź w pachwinę – nerkę drugiego. W sytuacji gdy się nie przyjmowała, szukali sposobu na uniknięcie alergii. W tym celu zszywali gryzonie bokami, żeby wymieszała się ich krew. Jeśli taka chimera przeżyła, rozłączali zwierzęta i ponownie eksperymentowali z transplantacjami. Zabiegi te mimo ich sadystycznego wymiaru niezwykle przyczyniły się do rozwoju nauki.

Postępu nie dało się powstrzymać i kolejnym krokiem w kierunku transplantacji medycznej stało się opracowywanie technik pobierania i wszczepiania organów. Na świecie do 1939 roku nie odnotowano jednak ani jednego udanego przypadku wszczepienia biorcy narządu w jego fizjologiczne miejsce, czyli na przykład serca po lewej stronie pod żebrami. Wszystkie zabiegi wykonywano na szyję albo w pachwinę, albo – co było już wielkim osiągnięciem – do jamy brzusznej (w ZSRR specjalizował się w tym profesor Nikołaj Pietrowicz Sinicyn). Po przeprowadzeniu takiego doświadczenia zwierzę należało obserwować i badać, jak zachowuje się nowy organ. W przypadku operacji polegającej na wszczepieniu narządu na zewnątrz nie było z tym problemu. Jednak bardziej zaawansowane eksperymenty z wprowadzeniem narządu pod powłoki skórne okazały się wielkim wyzwaniem dla diagnostów. Nie

znano bowiem ani ultrasonografu, ani tym bardziej rezonansu magnetycznego. Jedyne dostępne narzędzie, za pomocą którego można było nieinwazyjnie zajrzeć do wnętrza organizmu, aparat rentgenowski, nie miało dostatecznej czułości. Znalaziono jednak wyjście – jakże charakterystyczne dla radzieckich badaczy. Sinicyn podczas drugiej wojny światowej nie przerywał swoich eksperymentów i pierwszy na świecie w 1943 roku przeszczepił żółwiowi do jamy brzusznej serce. Organ zabił jako drugi, dopełniający. Wyczyn ten opisano w pierwszym powojennym numerze „Nature”. Ale jak zbadać, czy serce pracuje? Żółw ma grubą skorupę – skonstruowali badacze – dlaczego nie wprawić w nią wziernika, przez który dałoby się zajrzeć do środka? Naukowcy od idei przeszli do czynu i dziś w muzeum uniwersytetu medycznego w Niżnym Nowogrodzie można obejrzeć pancerz gada z okienkiem.

Z GAZETKI ŚCIENNEJ

W prowincjonalnym uniwersytecie w Woroneżu ukazywała się gazetka „Dla Kadr Naukowych”. Pisemko oprócz obszernego działu poświęconego badawczym i dydaktycznym dokonaniom pracowników miało rubrykę *Naukowa działalność studentów*, gdzie zamieszczano krótkie notki prezentujące najzdolniejszych żaków. W wydaniu z 7 maja 1938 roku na tak zwanych studenckich kolumnach omówiono osiągnięcia trzech osób. Jako pierwszą zaprezentowano słuchaczkę piątego roku genetyki, niejaką towarzyszkę Kaniewską, która przygotowała interesujący referat o kwitnięciu i owocowaniu wyki. Kolejne wersy należały do autora pracy *Dendroflora woroneskiego parku kultury i rozrywki*, studenta Maszkina. Między tymi młodzianami znalazło się miejsca dla „wzorowego ucznia czwartego roku genetyki, towarzysza Demichowa, który skonstruował w narzędziowni WGU [Woroneski Państwowy Uniwersytet – przyp. aut.] wyjątkowo oryginalne narzędzie, mające na celu zastąpić serce, i całkowicie samodzielnie przystąpił do eksperymentu na psach”.

Dokument ten jest pierwszym w historii świadectwem zastosowania wewnętrznego sztucznego serca. Nikt wcześniej nie podjął się czegoś podobnego. Istniał autożektor, ale stosowano go jako urządzenie zewnętrzne. Tu zaś dokonano wstawienia blaszanego aparatu do klatki piersiowej w miejsce dotychczas pracującego serca. Ponadto lakoniczna notka odsłania arkaną samego eksperymentu. Demichow nie tylko opracował jego teoretyczne założenia, a następnie przeprowadził skomplikowany zabieg (wówczas na całym świecie było może kilkudziesięciu chirurgów operujących serce), lecz także własnoręcznie wykonał samo urządzenie. Wczesną wiosną 1938 roku chłopak zastukał do kanciapy uniwersyteckich złotych rączek. Dał się im poznać jako małomówny, ale konkretny „swojak” o prostych robotniczych rysach twarzy i uzyskał dostęp do narzędzi. Źródła milczą o materiałach, którymi mógł dysponować. Można jednak przypuszczać, że otrzymał

co najwyżej arkusz uszlachetnionej blachy. Próżno bowiem sądzić, że w warsztacie zajmującym się naprawami zniszczonych ławek posiadano stal chirurgiczną bądź antyalergiczne złoto lub platynę. Mimo to Wowie udało się skonstruować upragnione metalowe serce. Aparat wielkości cytryny zaopatrzone w system łączy umożliwiających podczepienie naczyń krwionośnych oraz rurkę, wewnątrz której obracał się cieniutki wał poruszający całą machinerię. Źródłem napędu był zaś najzwyczajniejszy silnik elektryczny. I gdy student miał już przygotowany „wsad”, udał się do opiekuna naukowego, ucznia samego Pawłowa, Pietra Michajłowicza Nikiforowskiego, i poprosił go o pomoc w uzyskaniu niezbędnych dokumentów na przeprowadzenie eksperymentu. Profesor dostrzegł wielki potencjał w tym doświadczeniu, ale przed udzieleniem zgody zapytał o motywacje, którymi kieruje się młodzieniec. Wówczas Wowa zadeklarował, że „koniecznym celem [tych] doświadczeń jest uczynić możliwym transplantację serca i innych organów u człowieka”; tej wytycznej pozostał wierny do końca życia i wielokrotnie przywoływał ją na kartach swych publikacji. Następnie z niezbędnymi zezwoleniami w kieszeni udał się do zwierzętarni i tam wybrał średniej wielkości psa; od tej chwili los czworonoga był już przesądzony. Teraz wystarczyło tylko przygotować się do zabiegu. Jego przebieg Demichow opisał w protokole. Passus dokumentujący kluczowy moment brzmi następująco:

O 6.15 skostatowano śmierć psa, spowodowaną wyłączeniem naturalnego serca (w drodze podwiązania naczyń). Po 12 minutach włączono urządzenie zamieniające serce i napędzane przez silnik elektryczny. W ciągu 16 minut pracy urządzenia pies przejawiał pełne oznaki życia (oddech, wzrokowe i inne odruchy).

W ten sposób z dala od dobrze wyposażonych laboratoriów Moskwy czy Leningradu została wcielona w życie idea serca jako płomiennego motoru.

Jak to się jednak stało, że student dokonał rewolucji w fizjologii? Współczesny rosyjski kardiochirurg i historyk medycyny Siergiej Pawłowicz Glancew prześledził inspiracje, którymi mógł kierować się młodzieniec, i wskazał na jego wcześniejszą praktykę zawodową oraz podkreślił znaczenie uczestnictwa w doświadczeniach z autożektorem. W pierwszym przypadku piętnastoletni chłopak nie miał wielkiego wyboru i po śmierci ojca zaczął szukać pracy. Zatrudnienie znalazł w Stalingradzie, w słynnej fabryce traktorów (w czasie drugiej wojny przez halę, w której pracował, przebiegała linia frontu) i tam nauczył się obsługiwać tokarkę. Tę umiejętność wykorzystał między innymi podczas budowy metalowego serca. Ponadto konieczność łączenia edukacji z zarobkowaniem wyrobiła w nim nawyk szczegółowego planowania oraz uzbroiła w żelazną determinację. Te cechy stały się jego wizytówką. Umiał nie przejmować się opiniami krytyków i zmierzał prosto do celu. Z drugiej strony – owa stanowczość uczyniła zeń autsajdera radzieckiej nauki i nie tylko zamknęła przed nim drzwi do sławy, lecz także sprawiła, że jego dokonania przez lata

pozostawały nieznanemu szerszemu gronu naukowców. Kolejne wydarzenie, dzięki któremu Demichow stał się jednym z ojców światowej transplantologii, jest związane z woroneską uczelnią. Jak się okazuje, w zakładzie fizjologii, w którym jako student spędzał większość czasu, znajdował się autożektor. Wiadomo, że w celach dydaktycznych wyposażono weń większość radzieckich uniwersytetów. Zgodnie z założeniami bolszewików miał unaocznić przyszłym lekarzom czy biologom skrajnie materialistyczną naturę życia. Nie dość na tym, w Kraju Rad w ramach kronik filmowych puszczano reportaże przedstawiające urządzenie w działaniu. Celem tych projekcji było przekonanie obywateli, że człowiek jest w gruncie rzeczy skomplikowaną maszyną i nie ma w nim żadnego boskiego pierwiastka. W przypadku Demichowa kontakt z aparatem Briuchonienki nie zaowocował refleksjami nad kondycją istot żywych, ale sprowokował do rywalizacji. Przyszły transplantolog zadeklarował, że samodzielnie wykona coś lepszego od tego urządzenia, i słowa dotrzymał. W wieku dwudziestu dwóch lat Władimir Pietrowicz Demichow stał się ojcem pierwszego na świecie sztucznego serca wszczepianego do wnętrza organizmu.

Wiadomość o niecodziennym eksperymencie zasługiwała na większą oprawę niż nota w gazetce uczelnianej i profesor Nikiforowski o dokonaniach podopiecznego powiadomił samego Briuchonienkę. W odpowiedzi została wysłana sugestia, żeby młodzieniec wystosował prośbę o przeniesienie do MGU, czyli moskiewskiej uczelni. W owym czasie trwała wielka czystka i w odróżnieniu od lat dwudziestych i początku trzeciej dekady XX wieku władze utrudniały, jak tylko mogły, migracje obywatelom. Ponadto stosunkowo egalitarne uczelnie Moskwy i Leningradu z czasem przemieniły się w szkoły dla dzieci prominentnych aparatczyków i tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej mieszkańcy prowincji nie mieli co marzyć o edukacji w stolicy. Mimo to Demichow wraz z kolegą, który pełnił rolę jego asystenta, napisał do ludowego komisarza oświaty podanie:

Prowadzimy badania naukowe z zakresu fizjologii zwierząt z wykorzystaniem sztucznego krwioobiegu całego organizmu. Ta praca ma bardzo duże teoretyczne i praktyczne znaczenie. W celu jej kontynuowania i uzyskania niezbędnej praktyki konieczne jest przeniesienie się na 4. [w podaniu znalazł się błąd, powinno być na 5. – przyp. aut.] rok biofaku [tj. wydziału biologicznego – przyp. aut.] moskiewskiego uniwersytetu. Takiej specjalizacji z fizjologii zwierząt w Woroneskim Państ. Uniwersytecie brak. Dlatego prosimy o Waszą zgodę na przeniesienie nas do Moskiewskiego Uniwersytetu. Jesteśmy wybijającymi się uczniami, miejsca w akademiku nie potrzebujemy. Demichow, Ratgauzer, 31 lipca 1938 r.

Władza umiała czytać między wierszami i efektem tego pisma były dwa ważne działania. Po pierwsze, młodych naukowców niezwłocznie zaliczono w poczet studentów Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego, po drugie, za zaniedbania i niedostateczną opiekę nad zakami profesor Nikiforowski trafił do więzienia. I tym oto sposobem zasłużony badacz i jego młodzi podopieczni na zawsze pożegnali się z woroneską uczelnią.

ROZBÓJNIK, ŁYSY I PISKUN...

Przeprowadzka do stolicy dała Władimirowi Pietrowiczowi nowe możliwości. Mógł korzystać ze sprzętu będącego na wyposażeniu wydziału biologicznego oraz uczęszczać do świetnie zaopatrzonych bibliotek. Zwłaszcza perspektywa wizyt w specjalnych księżnicach, które miały niemal wszystkie publikacje wychodzące na Zachodzie, była dla młodzieńca atrakcyjna. Zachował się dokument, w którym zastępca dziekana biofaku Wasilij Aleksandrowicz Rakow zwraca się do dyrekcji biblioteki Narodowego Komisariatu Zdrowia ZSRR z prośbą o udostępnienie Demichowowi zbiorów. Uniwersytecki urzędnik list motywuje prowadzonymi przez żaka „specpracami”. Glancew docieka, co kryło się za tym sformułowaniem, i stawia hipotezę, że na piątym roku studiów chłopak na zlecenie Briuchonienki wykonywał urządzenie do wewnętrznego masażu serca. Jakie były wyniki tych prac – jak przystało na działania objęte klauzulą tajności – nie wiadomo. Poza zleceniami od naukowych opiekunów Władimir Pietrowicz zajmował się doskonaleniem technik operacyjnych. Świadcowie jego eksperymentów potwierdzają, że jako mańkut potrafił lewą ręką prowadzić zabieg, a prawą wykonywać czynności przewidziane dla asystenta. Taki system pracy niezwykle utrudniał współdziałanie z innymi operatorami i z czasem Demichow stał się kimś w rodzaju medycznego multiinstrumentalisty, który do perfekcji opanował własny styl prowadzenia operacji, co w efekcie pogłębiło jego status naukowego banity.

Wszystko to jednak wydarzyło się później, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a na razie Demichow dopiero wkraczał do świata wielkiej nauki. Na moskiewskiej uczelni otrzymał stypendium i pierwszy raz w życiu mógł całkowicie oddać się ukochanej fizjologii. Zbliżały się egzaminy końcowe, które zdał przyzwoicie, ale nie wykazał się szczególną wiedzą, z wyjątkiem interesujących go dyscyplin. Na tym polu mógł konkurować z każdym profesorem i wiosną 1940 roku na ocenę bardzo dobrą obronił pracę *O adaptacji serca stałocieplnych*. Na jego dyplomie znalazła się adnotacja, zgodnie z którą mógł ubiegać się o stanowiska „pracownika naukowego w zakresie nauk biologicznych, a także wykładowcy szkół wyższych i wyższych uczelni technicznych oraz nauczyciela w szkole średniej”. Jego celem była jednak praca doświadczalna i złożył aplikację na stanowisko asystenta Wydziału Biologicznego MGU. Do rozpatrzenia tego dokumentu niezbędna była opinia o partyjnych walorach kandydata. Taką charakterystykę wystawił mu dziekan, Siergiej Dmitrijewicz Judincew:

Tow. Demichow Władimir Pietrowicz urodził się w 1915 roku [faktycznie w 1916 roku – przyp. aut.]. Od 1931 roku członek WLKSM [Wszeczziwżkowy Leninowski Komunistyczny Związek Młodzieży, czyli tak zwany Komsomoł – przyp. aut.]. Akademickie postępy zadowolające. Społeczne prace w MGU wypełniał następująco: odpowiedzialny w wybranej przez siebie sekcji czerwonego narożnika. Do realizacji tych zadań

przystępował sumiennie. Demichow podczas nauki w MGU dał się poznać jako „polityczeski-gramotnyj” [to jest świadomy politycznie – przyp. aut.] i zdyscyplinowany towarzysz.

Abstrahując od enigmatycznego „czerwonego narożnika”, powyższa opinia mogłaby powstać na każdym etapie życia Władimira Pietrowicza. Okazała się też wystarczająca dla przyszłego asystenta i w czerwcu 1940 roku młody naukowiec przestał być studentem i został zaliczony w poczet pracowników moskiewskiego biofaku. Ta zmiana miała charakter często formalny i dokonała się w trakcie planowania eksperymentu, zwieńczonego wszczęciem „mądremu kotu” dopełniającego serca. To przełomowe doświadczenie nie otworzyło mu jednak drzwi do kariery i pod koniec sierpnia 1940 roku został powołany do wojska. W nadwołżańskiej Kostromie przeszedł „kurs młodego żołnierza” oraz inne szkolenia i otrzymał stopień lejtnanta (odpowiednik polskiego porucznika). Wszycie na kołnierzyku bluzy Demichowa brązowego prostokąta z czerwoną gwiazdką zbiegło się z atakiem Niemiec na ZSRR i badacz w wieku dwudziestu pięciu lat trafił do frontowego laboratorium. Do jego zadań należało ustalanie przyczyn zgonów żołnierzy oraz opisywanie odniesionych przez nich ran. Jak wspominają świadkowie, Władimir Pietrowicz z dużą wyrozumiałością traktował kolegów, którzy ucierpieli podczas bitew. W czasie gdy wojska radzieckie cofały się pod naporem Niemców, taka postawa świadczyła nie tylko o wrażliwości, lecz o odwadze.

Demichow, podobnie jak dziesiątki milionów radzieckich obywateli, koniec wojny przywitał pełen entuzjazmu i wiary w lepsze jutro. Niestety, z miesiąca na miesiąc spotykało go coraz więcej rozczarowań. Nie znalazło się dla niego miejsce na uniwersytecie i musiał rozpocząć pracę w zakładzie fizjologii Instytutu Futrzarskiego w podmoskiewskiej Bałaszyrze. Jednostka ta specjalizowała się w hodowli zwierząt i nie prowadzono tam badań eksperymentalnych. Młody naukowiec zdawał się tym nie przejmować, zapoznał się z doświadczeniem Sinicyna opisanym w „Nature” i postanowił je powtórzyć u ssaka. W tym celu pozyskał dwa psy: niewielkiego czworonożnego dawcę (jego imię się nie zachowało) oraz biorcę, owczarka niemieckiego o imieniu Rozbójnik. Mniejszemu wyciął serce i wszył je do klatki piersiowej wilczura jako organ dopełniający. Niestety, jeszcze na stole operacyjnym ze względu na źle przeprowadzone udrożnienie tchawicy zwierzę się udusiło. Demichow prześledził cały zabieg i uznał, że oprócz błędów z intubacją dopuścił się wielu niedociągnięć chirurgicznych, i szybko przygotował kolejną parę czworonogów: szczeniaka Żuczka i wilczura Łysego. Tym razem owczarek biorca przeżył dwie godziny. Naukowiec opisał cały eksperyment i przez następne tygodnie analizował każde cięcie i każdy szew. Uznał, że podobnie jak za pierwszym razem dopuścił się wielu błędów w sztuce; nie brał nawet pod uwagę konfliktu tkankowego. Przekonany, że udało mu się wyeliminować wszystkie potknięcia, w odstępach dwu-, trzytygodniowych sprowadzał na blok operacyjny kolejne czworonożne duety i za

każdym razem psy zdychały po kilkudziesięciu minutach. Dziesiąta operacja przeprowadzona 30 czerwca 1946 roku wróżyła sukces. Serce pobrane od szczeniaka Piskuna było już szóstą godzinę w klatce piersiowej wilczura Czarnogłowego. Nieoczekiwanie stan zdrowia owczarka się pogorszył i drugi dopełniający organ ucichł po ośmiu godzinach od transplantacji. Sam pies skonał nad ranem 1 lipca. Śmierć dwudziestego czworonoga stała się kroplą, która przepełniła czarę, i dyrektor instytutu poprosił Demichowowa o wstrzymanie się na jakiś czas z eksperymentami. Można podejrzewać, że badacz, przekonany o celowości swych działań, wybuchł i wywiązała się między nimi kłótnia, której efektem był kategoryczny zakaz korzystania z sali operacyjnej i zwierzętarni. Zrozpaczony Władimir Pietrowicz szukał rozwiązania, które umożliwiłoby mu kontynuowanie badań. Wyjście z tej sytuacji nasunęło się samo. Podczas podróży do pracy na trasie Moskwa–Bałaszycha mijał osadę Nowogirejewo, w której znajdowało się schronisko dla zwierząt. Zawitał do tego przybytku i wprost zapytał majora Bagajewa, czy mógłby wykonywać u niego doświadczenia na psach. Wojskowy przez wzgląd na frontową przeszłość Demichowa zgodził się i od 17 września 1946 roku badacz kontynuował swe operacje w kanciapie w przytułku. Udało mu się uzyskać przeżywalność rzędu kilkunastu godzin i każdego psa, który dobrze rokował, wkładał do torby i jechał z nim pociągiem do Moskwy, do Instytutu Nauk Medycznych, gdzie wykonywano czworonogowi zdjęcia rentgenowskie. Jeśli zwierzę wciąż żyło, Demichow wiozł je trolejbusem do oddalonej o cztery kilometry jednostki, w której robiono mu kardiografię. Niebawem starania Władimira Pietrowicza miały zostać nagrodzone.

OJCIEC NIEZNANY

– A słyszałyście, jak śmiesznie mówił – powiedziała Wiera, odłożyła papierosa i stanęła na palcach. – „Zdrystfujcie, kuda doktor Demikhow?” – papugowała jego nieudolny rosyjski.

– Cha, cha, cha! – roześmiały się pozostałe kobiety, a zadowolona z siebie naśladowczyni przedefilowała jak na paradzie.

– I co mu powiedziałaś – dopytywały się koleżanki.

– Co, co, nic! – odfuknęła kobieta – pojawił się Władimir Pietrowicz i poprowadził go do siebie.

– A ja bym mu już powiedziała – rozmarzyła się Ninoczka.

– Nic byś nawet nie wydukała – rozeźliła się Wiera – oni po angielsku gadali, to co byś mogła tam powiedzieć, ha? – Kobiety nienawistnie spojrzały sobie w oczy.

– Obieście dobre! – wtrąciła się Galina Pietrowna. Jako oddziałowa cieszyła się mirem wśród koleżanek i dziewczyny umilkły. – A co prawda, to prawda – kontynuowała rozjemczyni – że ten gość to jak sam Batałow.

– A ja myślę, że piękniejszy – włączyła się Lizawieta. – Batałow w *Lecą żurawie* niby wysoki, ale w życiu to kurdupel. A ten jak nic metr dziewięćdziesiąt. A zęby – cmoknęła i z głębi ust błysnęły jej srebrne plomby – to jakbyś pokrywę od pianina otworzyła.

Ninoczka parsknęła śmiechem.

– Kumo, co wy wygadujecie – salową uznawano za gorszą i nie zwracano się do niej po imieniu – musiałyby się maku najeść, żeby mu między zęby powchodził. Widziałam, to wiem. Był jak z filmów amerykańskich albo z żurnala... – Kobiety podzieliły się na dwie grupki.

– Myślicie, że to był lekarz jakiś? – zwróciła się Wiera do oddziałowej.

W tym czasie Ninoczka kontynuowała omawianie jego wyglądu:

– A jak zdjął kapelusz, to uszy mu sterczały jak, nie powiem, nietoperzowi. Nadia, co myślisz, też go widziałaś, odstające? – zwróciła się do koleżanki palącej w milczeniu.

– Ja myślę – odrzekła z flegmą trzydziestoparoletnia krępa kobieta w wielkim przybrudzonej czepku – że jak mu uszy sterczą, to i tam sterczy.

– Nadieżdo Osipowna! – skarciła ją Galina Pietrowna. – I w ogóle czas już na nas. Kończyć palenie tych śmierdziu... – urwała.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi od zapasowej sali operacyjnej, zwanej atomową, i wyszło z niej dwóch mężczyzn w białych fartuchach. Wyższy szedł ze spuszczoną głową i słuchał w zamyśleniu. Niższy i nieco tęższy rażno maszerował i wymachiwał rękami.

– Opracowaliśmy technologię transplantacji kompleksu płucoserce, to raz, opracowaliśmy sposób przeszczepu samego serca, i to bez sztucznego krwioobiegu, dwa, przeszczepiliśmy ortotopicznie nerkę, wątrobę, to trzy i cztery, oraz pięć, dokonaliśmy transplantacji głowy. Dwadzieścia sześć dni żyła na ciele biorcy – rzekł po angielsku Demichow.

– Doprawdy?! – Mężczyzna o wyglądzie playboya otworzył szeroko oczy i spojrzął z niedowierzaniem na rozmówcę.

– A tak, tak – potwierdził Rosjanin i skłonił się pielęgniarkom, które jak uczennice pochowały papierosy za plecami.

Obcokrajowiec nawet ich nie dostrzegł i tylko powtarzał jak mantrę:

– Miesiąc, prawie cały miesiąc. Jak to możliwe?

Zanim jednak mogło dojść do spotkania Demichowa z Christiaanem Barnardem, wykonawcą pierwszego przeszczepu serca u człowieka, w życiu radzieckiego naukowca musiała minąć cała epoka. Badacz już pod koniec lat czterdziestych opracował podstawowe schematy przeszczepu organów u zwierząt stałocieplnych i był gotów we współpracy z medykami podjąć się zabiegów ratujących ludzkie życie. Glancew uważa, że fizjolog, wsparty przez któregoś z wybitnych radzieckich

chirurgów, na przykład profesora Aleksandra Aleksandrowicza Wiszniewskiego, mógłby już w 1949 roku dokonać epokowej transplantacji serca u człowieka. Niestety, Władimir Pietrowicz nie zdążył swoimi ideami zarazić utalentowanych kolegów. Po słynnej sesji Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych imienia Lenina w 1948 roku na scenę weszli zmotywowani politycznie pseudobadacze i za swoimi mentorami – Trofimem Łysenką i szaloną Olgą Lepieszynską – powtarzali bzdury o rzekomych związkach między teorią dziedziczenia a faszyzmem. Ofiarą tych absurdalnych tez padli nie tylko genetycy czy immunolodzy, lecz także badacze pokroju Demichowa, którzy w świecie nauki wytyczali własne ścieżki. Odsunięty na boczny tor Władimir Pietrowicz zaczął zapraszać do laboratorium filmowców i zagranicznych naukowców, licząc na to, że rozgłos pomoże mu skłonić decydentów do wsparcia jego badań. Niestety, miało to skutek przeciwny do zamierzonego i w latach pięćdziesiątych fizjologa zwolniono z trzech instytutów badawczych. Sfrustrowany zwrócił się więc o pomoc do zwolenników Łysenki i dokonał czegoś, co miało ich zjednać – przeszczepił na psi korpus głowę drugiego psa. Powstała hybryda wywołała w świecie naukowym konsternację. Wówczas Demichow zoperował czterdzieści kolejnych psów i udało mu się uzyskać przeżywalność od kilku do kilkudziesięciu dni. Jednak ponownie zamiast wsparcia uzyskał coś przeciwnego i w wielu środowiskach okrzyknięto go sadystą. Więcej szczęścia miał jego przyszły uczeń Christiaan Barnard, który stał właśnie u progu wielkiej kariery. Otrzymał grant i wyjechał z ojczystej Republiki Południowej Afryki na dwa lata do Stanów Zjednoczonych. Tam pod okiem najlepszych specjalistów szkolił się z chirurgii klatki piersiowej i fizjologii. I w czasie jego pobytu w USA na łamach prasy ukazał się cykl artykułów poświęconych Demichowowi. Tygodnik „Time” opisywał przeprowadzony przez Rosjanina przeszczep psiego łba:

Głowa szczeniaka zachowała własną osobowość. Choć nie miała prawie własnego ciała, to była tak zabawna jak u każdego innego szczeniaka. To warknęła, a potem zapalczywie polizała rękę, która ją pieściła. Pies gospodarz wydawał się tym wszystkim przestraszony, ale wkrótce pogodził się z wyrastającym z jego karku kundelkiem. [...] Gdy w laboratorium zrobiło się goręcej, zarówno pies gospodarz, jak i szceniak sapały i wywiesiły języki, aby się ochłodzić. Po sześciu dniach życia zmutowane zwierzę zdechło.

Barnard zaintrygowany bohaterem tych tekstów przeczytał wszystkie materiały poświęcone radzieckiej transplantologii i zaczął marzyć o podróży do Moskwy. W 1958 roku jego stypendium dobiegło końca i wrócił do RPA, gdzie został dyrektorem Zakładu Chirurgii na Uniwersytecie w Kapsztadzie. Szybki awans nie zdławił w nim snów o wielkich odkryciach i w cichości ducha zaczął przygotowywać się do operacji, której nie wykonał jeszcze żaden człowiek. Wystarał się też o radziecką wizę i przyleciał do stolicy ZSRR. Tam spotkał się z Władimirem Pietrowiczem, omawiał z nim naukowe zagadnienia i do Kapsztadu wrócił bogatszy o nowe techniki operacyjne. W tym samym roku ukazała się też najważniejsza

książka Demichowa *Eksperymentalna transplantacja ważnych życiowo organów*. W ZSRR przyjęto ją sceptycznie. Inaczej na Zachodzie – tam uznano ją za dzieło przełomowe. Po publikację sięgnął również Barnard, ale lektura nie rozwiązała jego wszystkich wątpliwości i chirurg postanowił po raz kolejny odwiedzić Kraj Rad. Tym razem nie otrzymał pozwolenia na przyjazd. Był jednak na tyle zdeterminowany, że wbrew decyzji komunistycznych władz w 1966 roku postanowił przedostać się za żelazną kurtynę. Pojechał do Europy i tam wykupił wycieczkę turystyczną do stolicy ZSRR. Już na miejscu oddzielił się od grupy i czym prędzej udał do Demichowa, aby wspólnie przeprowadzać eksperymenty. Następnie wrócił do RPA i po niespełna roku przeszczepił człowiekowi serce. Po wielu latach wyznał kardiochirurgowi Igorowi E. Konstantinowowi, że wkład radzieckiego fizjologa w to wydarzenie jest większy, niż się przypuszcza:

Zawsze utrzymywałem, że jeśli istnieje ktoś taki jak ojciec transplantacji serca i płuc, to bez wątpienia jest nim Demichow.

Sam Władimir Pietrowicz pod koniec lat sześćdziesiątych dostał udaru mózgu i nie wrócił już do aktywnej pracy. Wciąż prowadził eksperymenty, ale ich skala i rozmach znacznie się zmniejszyły. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych przeszedł na emeryturę i z żoną oraz psem, który przeżył ostatnie doświadczenie, starzał się w zwyczajnym bloku z wielkiej płyty. Co jakiś czas przypominali sobie o nim jego znajomi, ale honory spływały tylko z zagranicy – otrzymał tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Lipskiego, został członkiem rady słynnej kliniki Mayo oraz wielu stowarzyszeń naukowych. Rozpoczął się czas pieriestrojki i w Rosji niemal o naukowcu zapomniano. Była już nowa epoka w historii kraju, gdy Borys Nikołajewicz Jelcyn zachorował na serce. Wówczas do Moskwy przyleciał słynny amerykański chirurg Michael Ellis DeBakey i nadzorował wykonywanie zabiegu u prezydenta. Po udanej operacji medyk postanowił od razu wracać za ocen i poprosił tylko, żeby kłaniać się w jego imieniu „akademikowi Demichowowi”. Prezydenccy urzędnicy nie mieli zielonego pojęcia, o kim mowa, i sporo się natrudzili, żeby na jednym z blokowisk odszukać ojca światowej transplantologii. Trzeba było coś zrobić, więc wręczono starcowi Order Zasług dla Ojczyzny... klasy III.

WYBRANA LITERATURA

1. Cooper D.K., *Vladimir Demikhov*, „Annals of Thoracic Surgery”, 1995, 59 (6), s. 1628.
2. Demikhov V.P., *Experimental transplantation of vital organs. Authorized translation from the Russian by Basil Haigh*, Nowy Jork 1962.
3. Glancew S.P., *Fenomen Demichowa*, „Transplantologia”, 2012, 1–2, s. 74–83; 2013, 1, s. 35–41; 2013, 2, s. 40–47; 2013, 4, s. 43–48; 2015, 2, s. 39–47; 2014, 4, s. 55–61; 2015, 3, s. 90–100; 2015, 4, s. 49–69, <http://transplantologiya.elpub.ru/jour/issue/archive> [dostęp: 10.03.2016].
4. Konstantinov I.E., *At the Cutting Edge of the Impossible. A Tribute to Vladimir P. Demikhov*, „Texas Heart

- Institute Journal”, 2009, 36 (5), s. 453–458, <http://www.ncbi.nlm.nih.gov/pmc/articles/PMC2763473/> [dostęp: 10.03.2016].
5. Langer R.M., *Vladimir P. Demikhov, a pioneer of organ transplantation*, „Transplant Proc.”, 2011, 43 (4), s. 1221–1222.
 6. *Science: Transplanted Head* [art. redakcyjny], „Time”, 17 stycznia 1955, <http://content.time.com/time/magazine/article/0,9171,891156,00.html> [dostęp: 10.03.2016].

GWIAZDA MILITARNA

Z GNIEWU I ŁEZ...

Michaił Timofiejewicz Kałasznikow dostrzegł, jak jadąca przed nim maszyna dowódcy rotę stanęła w ogniu. Nakazał nagły zwrot i w tym momencie ogłuszył go huk, a jego T-34 zatrzęsł się niczym zabawka. Następnie zaległa całkowita cisza, jakby na zewnątrz wszystko zamarło. Jako komandir krzyknął do kolegów z załogi, by dali znać, czy są cali. Otrzymał od każdego potwierdzenie, uchylił włącznik w wieży i wyjrzał na zewnątrz. Wówczas rozległ się kolejny huk i na ułamek sekundy oślepił go srebrny blask. Co się działo dalej, nie wie. Ocknął się dopiero w wojskowej ziemiance, gdy lekarz ściągał z niego kombinezon. Medyk dostrzegł, że otwiera oczy, i rzekł:

– Cudem, mały, ocalałeś. Jesteś w czepku urodzony.

„Dzięki Bogu, żyję” – pomyślał Kałasznikow i znów pogрузzył się w odmętach nieświadomości. Miał przebite ramię, rozharatane plecy i nie czuł lewej ręki, mimo to mógł uważać się za szczęściarza. W momencie, w którym wyjrzał z czołgu, w korpus maszyny uderzył niemiecki pocisk artyleryjski, rozpruł pancierz i zabił pozostałych członków załogi.

Obrażenia dwudziestodwuletniego Michaiła Timofiejewicza okazały się na tyle poważne, że zdecydowano o odesłaniu go z pola bitwy i wraz z dwunastoma innymi pacjentami ułożono na pace ciężarówka. Maszyna, zwana półtorką (od półtoratonowej ładowności), ruszyła na wschód. Po drodze jej pasażerowie nie spotykali swych wojsk i zaczęli podejrzewać, że linia frontu błyskawicznie się zmieniła i mogą być już po niemieckiej stronie. Pełni złych przeczuć dotarli do małej wsi nieopodal Briańska. Domostwa wyglądały na opuszczone. Należało się jednak co do tego upewnić i lekarz nakazał dwóm rannym, którzy mogli chodzić, oraz kierowcy sprawdzić, czy w osadzie naprawdę nikogo nie ma. Kałasznikow jako jeden z tych mobilnych otrzymał pistolet TT, jego towarzysz, porucznik artylerii, stary karabin, a szofer Kola – pałkę i tak uzbrojeni udali się na zwiady. Wierzeje domów stały otworem, w środku – żywej duszy. Podobnie w oborach czy kurnikach – żadnych zwierząt. Nie było oznak walki, ale wyglądało na to, że mieszkańcy opuszczali swoje siedziby w pośpiechu. Na stołach nieposprzątane naczynia, wszędzie porozrzucane rzeczy, a z otwartych szaf i skrzyń zionęło pustką.

Zwiadowcy doszli do drugiego krańca wioski i zamierzali wracać do swoich, gdy

ciszę przerwały serie z automatu. Rzucili się na ziemię i podczołgali w stronę drogi. Po chwili terkoczący dźwięk się powtórzył i w ciemnościach między domami zabłyszczało od wystrzałów. W oddali Rosjanie dostrzegli dwa motocykle z koszami; na jednym z nich był zamontowany reflektor oświetlający ich połutorkę. Odbezpieczyli broń i wymieniwszy spojrzenia, zaczęli iść w tamtym kierunku. Na ich szczęście Niemcy raz i drugi obeszlili samochód i niepewni, kto może kryć się w chałupach, odjechali.

Kałasznikow i jego dwaj towarzysze podeszli do ciężarówki, a ich oczom ukazał się przerażający widok. Rannych rozstrzelano wprost na pacy. Tuż przy szoferce konał medyk, a kilkanaście metrów dalej leżała martwa pielęgniarka. Ci, którzy ocalili, zaciśniętymi pięściami ścierali łzy płynące po ich policzkach. Nie mieli jednak czasu na oddanie należnych honorów. Znajdowali się na terytorium wroga i pozostawanie przy szosie groziło śmiercią. Postanowili więc niezwłocznie iść do lasu i przebijać się do swoich.

Wędrówka okazała się nadzwyczaj trudna. Kałasznikow wspomina, że co chwila tracił świadomość i odzyskiwał ją w ramionach szofera Koli, który robił, co mógł, żeby pomagać towarzyszom. Niekiedy musiał taszczyć ich obu, gdyż stan kontuzjowanego porucznika był równie zły co Michaiła Timofiejewicza. Żołnierze odpoczywali za dnia, skryci w leśnych ostępach. Podczas jednej z takich chwil wytchnienia szofer wyszedł na rekonesans i dostrzegł idącego skrajem lasu zgarbionego mężczyznę. Upewnił się, że jest sam, i zagadnął. Okazało się, że starzec wbrew zakazowi Niemców udał się zbierać zboże. Gdy usłyszał, że towarzysze kierowcy są ciężko ranni, oddał im część kłosów i wyjaśnił, jak dotrzeć do odległej o piętnaście kilometrów wioski, gdzie mieszka felczer.

– Nie ma tam wojskowego posterunku – rzekł leciwy chłop –ale i tak trzeba zachować ostrożność, gdyż osada znajduje się przy uczęszczanej trasie.

Zapadł zmierzch i żołnierze udali się w dalszą drogę. Szli, jak tylko mogli najszybciej, a mimo to do świtu nie dotarli do wsi. Przeczekali kolejny dzień i znów ruszyli. Niebawem ujrzeli osadę i chyłkiem, od strony ogrodów podeszli pod dom felczera. O dziwo, mężczyzna na nich czekał. Skwapliwie opatrzył ropiejące rany i uznał, że rodacy muszą co najmniej trzy dni leżeć. Przygotował skrytkę w stodole, a żołnierze bez sprzeciwu zastosowali się do jego zaleceń. Kałasznikow w czasie tej rekonwalescencji na przemian śnił o rodzinnym domu oraz marzył o stworzeniu nowego karabinu. W myślach dopracowywał jego najdrobniejsze elementy, a później wyobrażał sobie, jak z takim cudem w dłoniach kładzie trupem niemiecki patrol, który rozstrzelał jego towarzyszy. Gdy zaś minęły trzy doby i Michaił Timofiejewicz znów ruszył przez las, wiedział już, co będzie robił w przyszłości.

KAŁASZNIKOW DLA DELFINA

Ranni żołnierze zdołali przebić się do swoich i Kałasznikow trafił do szpitala, skąd wypisano go po miesiącu. Nie wrócił jednak na front. Kontuzja okazała się zbyt poważna i odesłano go na wielomiesięczną rekonwalescencję do domu, na Ałtaj. W drogę tę udał się przez Kazachstan i w ciągu kolejnych dni rozmyślał wyłącznie o swym przyszłym karabinie. W autobiografii *Trajektoria losu* barwnie opisuje przełomowy moment tej marszruty. Na jednej ze stacji do zatłoczonego wagonu wsiadł żołnierz w czarnych okularach; nietrudno było się domyślić, że wzrok stracił na froncie. I ów mężczyzna do akompaniamentu harmonii zaśpiewał „Niemcy doszli do Smoleńska / Idą i końca nie widać! / A ruski żołnierz z okopów / Z karabinem...”. Ostatnie słowo zapadło w pamięć przyszłemu konstruktorowi i niedosłuchawszy wersu „Wpadliście / [przekleństwo] waszą matkę”, postanowił jak najszybciej wysiąść z pociągu. Na malutkiej kazachskiej stacji Mataj udał się do warsztatów kolejowych i otwarcie, po żołniersku, oznajmił kierownikowi:

– Proszę okazać mi szybką pomoc w skonstruowaniu prototypu automatu wymyślonego przeze mnie podczas pobytu w szpitalu. – Aby wzmocnić siłę argumentów, wyciągnął zza pazuchy zeszyt, w którym miał przygotowane rysunki śmiertelnej broni.

Główny mechanik uważnie je przejrzał. Szkice się nie zachowały, ale można przypuszczać, że zawierały interesujące rozwiązania, gdyż Kałasznikow już w 1940 roku dał się poznać jako samorodny talent. Wówczas, będąc prostym artylerzystą, stworzył z budzika urządzenie zliczające naboje wystrzelone z karabinu, ulepszył też pistolet TT oraz przygotował narzędzie określające żywotność silnika czołgu. Wynalazki te zainteresowały samego dowódcę Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego Gieorgija Konstantinowicza Żukowa. Generał zaprosił chłopaka do sztabu i po godzinie rozmowy uznał, że młodzian jest niezwykle uzdolniony. Wysłał go do Moskwy, a potem do Leningradu, żeby w prawdziwej fabryce, pod okiem najlepszych sowieckich inżynierów rozwijał swój talent. Niestety, zbliżała się wojna i Kałasznikow, przepracowawszy w mieście nad Newą tylko kilka miesięcy, znów zasiadł w T-34. Tym razem warunki nie sprzyjały optymalizacjom.

Rozmowę z głównym mechanikiem matajskich warsztatów opisano we wszystkich oficjalnych życiorysach Michaiła Timofiejewicza. Ponoć kierownik długo wpatrywał się w młodzieńca i ostatecznie zgodził się, żeby ten wykonał na jego maszynach prototyp automatu, który niebawem miał się stać ikoną radzieckiego przemysłu zbrojeniowego. W autobiografii napisanej wspólnie z córką Jeleną Kałasznikow oświadcza, że wsparli go pozostali pracownicy i nawet przydzielono do pomocy kilka kobiet z biura technicznego. Tu jednak zaczynają się piętrzyć niekonsekwencje. Konstruktor przywołuje anegdotę, zgodnie z którą pomocnice na własną rękę zaczęły nazywać poszczególne detale broni i tak oto w technicznym opisie pojawił się „facecik”. Inaczej zostało to przedstawione w filmie dokumentalnym *Człowiek*

i automat (z 2013 roku), gdzie konstruktor opowiada, jak w 1945 roku przystąpił do konkursu na stworzenie nowego radzieckiego karabinka. Oddelegowano wówczas do jego biura grupę kobiet, które przygotowywały rysunki techniczne. „Biorę do ręki te szkice – wyznaje przed kamerą leciwy Kałasznikow – patrzę, a tam napisane »zajączek«, »gęś«, »facecik«”. Ta z pozoru banalna nieścisłość jest jedną z licznych rys na spójnej i heroicznej biografii Michaiła Timofiejewicza i prowokuje historyków oraz miłośników militariów do własnych dociekań. Najbardziej rozpowszechniona wariantywna narracja głosi, że Kałasznikow wcale nie pojawił się w Mataju z projektem nowej broni, nie pojechał z przygotowanym prototypem do Ałmatów, gdzie – zgodnie z oficjalną wersją – miał przedstawić swoje cudo lokalnym władzom. Ktoś taki jak on był potrzebny propagandzie i – jak wielu twierdzi – po prostu namaszczone go na wynalazcę nowej broni, a jego biografię zmyślono. Sam karabinek AK, nazywany kałasznikowem bądź familiarnie kałaszem, miał zaś być kopią niemieckiego karabinka Sturmgewehr 44 zaprojektowanego przez genialnego Hugona Schmeissera. Zwolennicy tej koncepcji swoje rozumowanie wyprowadzają z powszechnie znanych faktów. Tuż po zakończeniu wojny do niemieckiego miasta Suhl wkroczyli czerwonooarmiści i od razu skierowali się do zakładów produkujących karabiny maszynowe. Odnaleźli konstruktora Sturmgewehr 44 (StG44) i wywieźli go do Izewska. W radzieckim centrum przemysłu zbrojeniowego Schmeisser wraz z innymi niemieckimi inżynierami pracował przy produkcji nowych rodzajów automatów i amunicji. Nie wiadomo jednak, jakie modele powstały pod jego kierownictwem, mimo to okres obecności konstruktora w ZSRR zbiegł się ze stworzeniem ostatecznej wersji kałasznikowa. Już na pierwszy rzut oka można stwierdzić, że radziecki automat bardzo przypomina Sturmgewehra 44. Teza o niemieckim pochodzeniu najpopularniejszego radzieckiego automatu zyskuje jeszcze na prawdopodobieństwie, gdy uwzględni się, jak wiele wynalazków uznawanych oficjalnie za radzieckie zostało najzwyczajniej skradzionych. Mimo to rzeczywistość zdaje się bardziej skomplikowana. Polski specjalista od militariów, Bronisław Trzaskała, w branżowym czasopiśmie „Broń i Amunicja” szczegółowo analizuje budowę obu automatów i dochodzi do następujących wniosków:

[...] karabinek AK [...] jest zatem niezwykle udaną i bardzo dobrze opracowaną konstrukcją kompilacyjną, jednak pomimo zewnętrznego podobieństwa z StG44 nie łączy go prawie nic, poza podobnym układem, wspólnym zresztą dla bardzo wielu innych wzorów.

Przywołany autor w tekście *Pochodzenie karabinka AK* dokonuje dwóch kolejnych konstatacji. Po pierwsze, dostrzega niejako anatomiczne podobieństwa między radziecką bronią a amerykańskim karabinem samopowtarzalnym M1, który zaprojektował samouk John Cantius Garand, oraz – co ważniejsze – nie kwestionuje wkładu Michaiła Timofiejewicza w budowę kałasza.

Wraz z ukazaniem się głośnej książki Christophera Johna Chiversa pod tytułem *Kałasznikow* (z 2015 roku, amerykański pierwodruk *The Gun* ukazał się w 2010 roku) coraz częściej mówi się także o trzeciej hipotezie. Zdaniem dziennikarza „New York Timesa” proces tworzenia tej broni był wieloetapowy. Pod koniec wojny czerwoni decydenci w jednym miejscu zgromadzili najznamienitszych radzieckich konstruktorów broni i podzieliwszy ich na grupy, nakazali skonstruowanie nowego modelu automatu. Otrzymałszy kilka prototypów, komisja wybrała dwa, trzy i zlecała zespołom inżynierów ponowne dopracowanie tych propozycji. Następnie z dostarczonych produktów wybierano poszczególne elementy i kazano tym samym osobom połączyć je w jeden karabinek. Cały proces mógł trwać około dwóch lat i zdaniem Chiversa na końcowym etapie do zespołu przygotowującego finalny produkt wcielono Kałasznikowa. Dziennikarz nie podważa talentów Rosjanina, uważa jednak, że dokooptowanie go do grona wybitnych konstruktorów było zabiegiem czysto propagandowym i władze ZSRR zamierzały w ten sposób upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Po pierwsze, chciano ukryć istnienie wielu zespołów, które – co do tego nie ma wątpliwości – posiłkowały się nie tylko rodzimą, lecz także niemiecką czy amerykańską myślą techniczną, a po drugie, stworzyć kolejnego radzieckiego bohatera, którym miał stać się samouk, Michaił Timofiejewicz Kałaniszkow.

Chivers uważa również, że zaproponowana przez niego geneza AK może być głosem w szerszej dyskusji dotyczącej istoty systemu totalitarnego w ZSRR. Jak w soczewce – argumentuje dziennikarz – skupia się w niej nie tylko dążność do zakłamywania historii, lecz także wielkość sowieckiego przemysłu zbrojeniowego, który w odróżnieniu od przemysłu lekkiego był na niezwykle wysokim poziomie. Płodna – z perspektywy historycznej – jest także lansowana od siedmiu dekad w ZSRR, a później Federacji Rosyjskiej koncepcja indywidualnego autorstwa Kałasznikowa. Uzmysławia bowiem, jak władza największego kraju na świecie postrzegała i niestety wciąż postrzega swych obywateli. Społeczeństwo jawi się dla niej niczym dziecko, które trzeba izolować od niepożądanych informacji. W tych poczynaniach radzieccy i rosyjscy decydenci podobni są do francuskich monarchów, którzy nakazywali pisać dla swych nieletnich potomków, zwanych Delfinami, specjalne podręczniki, gdzie rzeczywistość malowano w różowych barwach. Analogia nie jest jednak dokładna. Książątka kiedyś dorastały i poznawały prawdę, a możnowładcy ZSRR i Rosji pragnęli i pragną dla swych obywateli wiecznego infantylizmu.

„MILIONY TRUPÓW PO 3 GROSZE!”

„Policja znalazła przy zwłokach zamachowca z lotniska w Brukseli karabin

Kałasznikowa” – krzyczały 22 marca 2016 roku nagłówki gazet po serii samobójczych zamachów w stolicy Belgii. Cztery i pół miesiąca wcześniej światem wstrząsnął cykl tragicznych wydarzeń z Paryża. Prasa i portale internetowe od takich słów rozpoczynały wówczas swe relacje: „Świadkowie twierdzą, że co najmniej dwóch napastników poruszało się samochodem po centrum Paryża i na oślep strzelało do przechodniów z kałasznikowa”; „kilku napastników wtargnęło na widownię w hali Le Bataclan z bronią typu kałasznikow i zaczęło ślepo strzelać do tłumu, krzyząc »Allāhu Akbar« (arab. »Bóg jest wielki«)”.

Nie od razu radziecki automat trafił na globalny rynek. Kałasz, zaakceptowany przez sowieckie władze w 1947 roku i wprowadzony do seryjnej produkcji dwa lata później, był początkowo produktem ściśle tajnym. Próba generalna nowej broni odbyła się jesienią 1956 roku. Wówczas za sprawą radzieckiej interwencji Węgry przeistoczyły się w scenę bitewną. Krew lała się strumieniami, a ofiary liczone w tysiącach. Najpoważniejsze walki toczyły się w Budapeszcie. Do centrum miasta wjechały czołgi, a za nimi wbiegli żołnierze. Dysproporcja sił między lokalnymi powstańcami a zbójcekim mocarstwem była na tyle duża, że bitwa zakończyła się po kilku dniach. Jednak to nie liczebność wojsk przeważała wojenne szale. Głównym powodem klęski Węgrów okazał się brak scentralizowanego dowodzenia oraz niedostatki w uzbrojeniu. Madziarzy oprócz determinacji i znajomości terenu mogli przeciwstawić radzieckim żołnierzom arsenał rodem z drugiej wojny światowej. Najeźdźcy dysponowali zaś instrumentarium, które o generację przewyższało tę broń. Ponadto Węgrzy musieli zmierzyć się z agresorem realizującym nieznaną im dotychczas filozofię walki. Najnowocześniejsze na świecie czołgi T-54 i T-55, zaopatrzone w peryskopy i noktowizyjne przyrządy celownicze, umożliwiały prowadzenie działań nie tylko w dzień, lecz także w nocy. Maszyny wyposażono w wiele półautomatycznych rozwiązań (na przykład system gaśniczy), dzięki którym załoga wozu bojowego mogła skupić się na efektywnym eliminowaniu przeciwników. Jednak największą zmorą powstańców były karabinki AK. Kałasznikowy, którym słusznie zarzucano niedostateczną celność, okazały się idealne w miastach, gdzie odległość między walczącymi nie przekracza stu metrów. Uzbrojeni w te automaty Sowieci bez problemu mogli poruszać się i jednocześnie kierować ciągły ogień w stronę przeciwnika, który odpowiadał pojedynczymi wystrzałami lub co najwyżej puszczał serie zza barykady. Te zaś bez większych problemów niszczyły czołgi.

Prawdziwa premiera karabinka sygnowanego nazwiskiem Kałasznikowa odbyła się jednak kilka lat później, w innej części globu. Zimna wojna rozwijała się w najlepsze i co rusz otwierano jej nowe fronty. Jednym z nich pod koniec lat pięćdziesiątych stał się Półwysep Indochiński. Oprócz agentów CIA do południowego Wietnamu trafili jankescy żołnierze oraz sprzęt militarny. Władze ZSRR nie próżnowały i choć nie wysłały regularnego wojska, przerzuciły do komunistycznego Wietnamu militaria

oraz specjalistów z GRU. Niebawem doszło do zaostrzenia sporu i w latach sześćdziesiątych region ten przeżywał swój czas apokalipsy. Spór między dwoma państwami wietnamskimi stał się dla supermocarstw okazją do testowania nowej broni i w odpowiedzi na wyposażenie żołnierzy z Południa w nowe amerykańskie karabiny M-16 Moskwa wysłała swoim sojusznikom kałasznikowy. Duże połacie Półwyspu Indochińskiego pokrywa dżungla i w takich ekstremalnych warunkach szybko okazało się, który karabin jest skuteczniejszy. Zaprojektowany przez Eugene'a Stonera automat w tropikach regularnie się zapychał i zacinał. Inaczej było z radziecką konstrukcją. Kałasz zdawał się nie reagować na nieustanne deszcze czy monsuny. Odkryto także, że jako jedyna ze znanych wówczas broni może być wrzucony do mętnej wody i po wyjęciu wciąż będzie gotowy do użycia. Wieści o niezawodności AK rozchodziły się lotem błyskawicy i zdarzało się, że Amerykanie odrzucali swój sprzęt i przejmowali zdobyczne kałasznikowy.

Oprócz legendarnej wytrzymałości i odporności na różne warunki atmosferyczne karabinek Kałasznikowa zasłynął z prostoty wykonania. W ZSRR krążył nawet dowcip odzwierciedlający tę cechę automatu:

Pracownica fabryki odkurzaczy idzie na emeryturę i dyrektor wręcza jej dyplom.

– A czy mogłabym zamienić go na odkurzaczy? – pyta emerytka.

– Jak to – dziwi się pryncypał – a nie ukradłyście go sobie, towarzyszeko, w częściach i nie poskładałyście w domu?

– A jakże, próbowałam – odpowiada kobieta – ale za każdym razem wychodził mi kałasznikow.

Popularny wic tłumaczy sam konstruktor. W latach pięćdziesiątych, gdy już oficjalnie został mianowany kierownikiem zespołu udoskonalającego karabinek AK, wprowadził swoisty test. Objeżdżał rubieżę ZSRR i w nadgranicznych bazach wojskowych rozkazywał zgromadzić żołnierzy, aby na ich oczach rozebrać dziesięć karabinków. W przypadku jednego automatu taka czynność zajmuje przeciętnie piętnaście sekund. Następnie wszystkie części mieszano ze sobą i wybierano wojskowego, któremu zlecano ponowne złożenie broni. Przyjmuje się, że w przypadku jednego automatu trwa to do dwudziestu pięciu sekund, ale internet pełen jest filmów dokumentujących rozłożenie i złożenie AK w czasie krótszym niż pół minuty. W testach Michaiła Timofiejewicza nie chodziło jednak o bicie rekordów. Miały one raczej walor psychologiczny i biorący w nich udział żołnierze naocznie przekonywali się, że karabinek, który dzierżą w dłoniach, można złożyć z części innych egzemplarzy i nawet wówczas będzie tym samym niezawodnym kałaszem.

Zimna wojna zataczała coraz szersze kręgi i wraz z nią kałasznikow dotarł do kolejnych państw azjatyckich oraz do Afryki. Karabinek AK odegrał szczególnie ważną rolę w walkach egipsko-syryjsko-izraelskich. Kair – początkowo stłamszony przez żydowskie wojska – otrzymał istotne wsparcie militarne oraz logistyczne

z ZSRR i jesienią 1973 roku konflikt z niewielkim, acz bardzo silnym sąsiadem stał się mniej jednostronny. Do gry włączył się też Damaszek i pod naporem arabskich koalicjantów żołnierze z gwiazdą Dawida na ramieniu zaczęli się wycofywać. W październiku dzięki wsparciu USA Izraelczycy zdołali przeprowadzić kontratak i starli się z Egipcjanami już na afrykańskim brzegu Kanału Sueskiego. Kilkudniowa bitwa pod miastem Ismailia zakończyła się zwycięstwem sił arabskich. Nastąpił impas. Oficjalnie supermocarstwa groziły sobie atakiem nuklearnym, jednak świadome możliwych konsekwencji podpisały w Moskwie porozumienie. Przyjęty rozejm był dla Egipcjan pierwszym od dekad paktem sankcjonującym ich częściowe zwycięstwo. Na fali narodowej euforii wzniesiono nad brzegiem Kanału Sueskiego pomnik upamiętniający poległych Arabów. Monument wyobraża wielki na kilkadziesiąt metrów bagnet przypięty do lufy kałasznikowa.

Obecność karabinka AK w Afryce symbolicznie odzwierciedlała zaangażowanie ZSRR w wydarzenia rozgrywane się na tym kontynencie. Radzieccy specjaliści wojskowi regularnie dozbierali kraje, które próbowały wywalczyć niepodległość, gdyż wiedzieli, że w ten sposób kreuja siebie na stronników wolności oraz osłabiają niegdysiejszych kolonizatorów. Doszło do sytuacji, w której najpopularniejsza broń na świecie stała się synonimem walki narodowowyzwoleńczej. Tani, prosty w obsłudze, a zarazem niesłychanie skuteczny kałasznikow trafił na flagę Mozambiku, gdzie do dziś widnieje obok motyki i książki. Ale to niejedyny ślad AK w tym kraju. Nazwa automatu dla rdzennych mieszkańców musiała brzmieć na tyle dumnie i wzniośle, że w latach siedemdziesiątych XX wieku chłopcom nadawano imię „Kałasz”. W latach osiemdziesiątych znaczenie kałasznikowa jeszcze wzrosło. Jako nieodłączny atrybut żołnierza Układu Warszawskiego wszedł do kinematografii i stał się częścią popkultury. Do utrwalenia nazwy tego automatu przyczynił się również pochodzący z Sarajewa Goran Bregović. Muzyk do swojego repertuaru włączył niezwykle popularny utwór *Kałasznikow*, w którym w języku romskim śpiewa: „Gdy nie ma pieniędzy, hej ja / Boże, Boże, Boże, / Boże, muszę iść szukać w mieście / Wielki Kałasznikow”. Karabinek AK w wielu krajach, zwłaszcza afrykańskich i południowoamerykańskich, pełnił również funkcję swoistych insygniów władzy. Na wiecach czy nawet w studiach telewizyjnych przeróżnej maści dyktatorzy i religijni szaleńcy wymachiwali nim jak berłem. I kto wie, czy niebawem nie przeistoczyłby się w narzędzie całkowicie symboliczne, gdyby nie Amerykanie, którzy postanowili wesprzeć Afgańczyków walczących z ZSRR. Nie zamierzali jednak dostarczać im broni wyprodukowanej u siebie, chociażby dlatego, że była droższa, i zaopatrywali mudżahedinów w kałasznikowy. To rozwiązanie wydawało się skuteczne, zastosowano je także w przypadku innych konfliktów na Bliskim Wschodzie. Niebawem jednak strategia mająca na celu wyekwipowanie arabskich bojowników w karabinki AK zwróciła się przeciw USA oraz krajom europejskim

i z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że ikona terroryzmu, Osama bin Laden, wymachiwał kałaszem, który sprezentowali mu wysłannicy Wuja Sama.

Zanim jednak automat Kałasznikowa nabrał terrorystycznego sznytu, rozegrało się jeszcze jedno, niezwykle ważne wydarzenie. Zachwiał się w posadach i runął kolos, którym był Związek Radziecki. Brak silnej ręki na postsowieckich terytoriach przyczynił się do uwolnienia demonów. Bandyci kupowali za kilkadziesiąt dolarów od żołnierzy nieistniejącego już kraju używane AK i ze śmiercionośnym narzędziem w ręku od Lwowa przez Duszanbe aż po Władywostok siali przemoc. W efekcie karabinek AK, funkcjonalny, niezawodny i niczym łyżka stołowa długowieczny, stał się najtańszym i najpowszechniejszym narzędziem zbrodni. By przytoczyć Juliana Tuwima: „Pif-paf! [...] Miliony trupów po 3 grosze!”.

PIÓRO I MIECZ

Aleksandra Frołowna i córki, Agafia oraz Anna, jeszcze krzątają się po kuchennym klepisku, aby po chwili wkroczyć na drewnianą podłogę obszernej izby. Niosą w rękach tacę parujących ziemniaków, śmietanę w emaliowanym kubku i talerz pełen skwarek. Głowa rodziny, Timofiej Aleksandrowicz, przejmuje naczynia i stawia na ogromnym stole; na blacie tego mebla przyszło na świat dwa razy więcej dzieci, niż jest teraz w domu. Do niedawna czasy były dzikie i okrutne – pierwsza wojna światowa, później wyjazd całej rodziny z południa Rosji na Ałtaj, następnie wojna domowa, o jakiegokolwiek opiece medycznej próżno było marzyć – i śmierć zabrała jedenaścioro potomków państwa Kałasznikowów. Ale teraz nie myślą o minionych traumach. Po całym dniu pracy są głodni jak wilki i łapczywie spoglądają na smakowitą ucztę. Wiedzą jednak, że nie można tknąć kolacji bez pacierza. Chłopcy, Wicia, Wania, Andriusza i Miszka, oraz maluchy, Wasia i Kola, tłoczą się obok ojca, córki stają po obu stronach matki i rodzina ze splecionymi dłońmi spogląda na ikonę. Timofiej Aleksandrowicz rozpoczyna *Ojcie nasz* i wspólnie recytują najważniejszą dla prawosławnych modlitwę. *Iże jesi na niebiesiech...* – rozbrzmiewa w izbie i tylko sześćioletni Miszka błądzi gdzieś myślami. *Da swiatitsia imia Twoje, da priidiet carstwije Twoje...* Chłopak zastanawia się, co znajduje się wewnątrz świętego obrazu. Coś mu podpowiada, że musiałby najpierw delikatnie powyciągać zasuszone zioła, kłosa zbóż, zgasić i zdemontować lampkę oliwną palącą się przez całą dobę, a potem nożem odczepić blaszaną sukienkę Bogurodzicy... „Amen”, mówi ojciec i zaczyna nakładać ziemniaki. Najpierw sobie, potem żonie i według starszeństwa synom i córkom.

Kara za zniszczenie ikony była sroga, ale pozostałe harce uchodziły Miszy płazem. Po pierwsze dlatego, że chłopczyk był słabego zdrowia i jego matka, Aleksandra Frołowna, zwykła mawiać, że nie ma takiej choroby, której by nie przeszedł. Rodzice

– często bezradni wobec cierpienia dziecka – starali się obdarzać je specjalną opieką i wyjątkową czułością. Tym bardziej że dolegliwości, na które cierpiał, były niezwykle poważne i pewnego razu sądzili już, że go stracili. Malec od najwcześniejszych lat wykazywał też wyjątkowe zdolności. Szybko nauczył się czytać i pisać, i wszędzie widywano go z nieodłącznym zeszytem, w którym co chwila coś skrobał. Pogodzono się nawet z myślą, że zostanie literatem, i często do jego imienia dodawano „poeta”. Miszka wymykał się jednak prostemu zaszufładowaniu. Ciekawy świata prowadził różnorakie eksperymenty i nie tylko starał się rozłożyć na części pierwsze obraz Bogurodzicy, lecz także badał skład lodu pokrywającego staw. Mało brakowało, a doświadczenie to przypłaciłby życiem.

Sytuacja rodziny Kałasznikowów uległa radykalnej zmianie na przełomie drugiej i trzeciej dekady XX wieku. Do tego czasu ciężką pracą udało się im na łańskim odludziu zbudować duży dom i stworzyć nowoczesne i rozległe gospodarstwo (mieli nawet amerykański traktor i inne zagraniczne narzędzia rolnicze). W 1930 roku całą rodzinę zakwalifikowano do grona zwalczanych kułaków i przesiedlono na północ, do obwodu tomskiego. Pociąg zatrzymał się w okolicach wsi Niżnaja Mochowaja i zesłańcom wskazano tajgę, oznajmiając, że od teraz to jest ich dom. Timofiej Aleksandrowicz nie zamierzał się jednak poddawać, zakasał rękawy i z synami postawił nową rodzinną siedzibę. Niestety, trudne warunki bytowania przyczyniły się do rozwoju choroby ojca i mężczyzna niebawem zmarł. Począwszy od tego wydarzenia, warunki życia rodziny zaczęły się pogarszać. Z tego też powodu Michaił Timofiejewicz od razu po skończeniu siedmiolatki wyjechał w poszukiwaniu pracy. Dotarł w okolice rodzinnej wsi na Ałtaju i tam zatrudnił się w fabryce jako mechanik. Młodzieniec czas wolny spędzał na majsterkowaniu i pewnego dnia w jego ręce trafił stary zardzewiały pistolet. Wyczyścił go, dorobił brakujące części i przysposobił do użycia. Nie wiadomo, w jaki sposób milicja się o tym dowiedziała, jednak wkrótce w pokoju, który zajmował, pojawili się funkcjonariusze. Przeszukali każdy kąt, a mimo że nie znaleźli pistoletu, zabrali nastolatka do komisariatu i tam solidnie nastraszyli. Nakazali oddać broń i zagrozili, że w przeciwnym razie niechybnie trafi do łagru. Chłopak wiedział, ile znaczą obietnice czerwonej władzy, i zamiast przynieść browninga na milicję, wyrzucił go do rzeki i dał drapaka. Musiał też sfałszować swoje dokumenty, ale na ten temat jego oficjalne biografie milczą. I tylko w filmie *Człowiek i automat* Michaił Timofiejewicz opowiada, jak tułał się po lasach i zginąłby niechybnie z głodu, gdyby nie zwykli ludzie, którzy go dokarmiali. Ostatecznie w jednym z prowincjonalnych miast trafił do warsztatu i tam znalazł zatrudnienie przy obsłudze tokarki.

W 1938 roku Michaiła Kałasznikowa powołano do wojska i jako osobę szczupłą i niewysoką przydzielono do czołgu. Zaświadczają to nie tylko sam konstruktor, lecz także niezależni historycy. Młodzieniec musiał wykazać się również nie lada

umiejętnościami technicznymi, gdyż zaliczono go do personelu obsługującego wprowadzane dopiero do użycia T-34. Do takich maszyn politycy nie wpuściliby syna kułaka, zatem pośrednio potwierdza to tezę o sfalszowaniu przez chłopaka dokumentów. Jednak już po przejściu garnizonowego szlabanu życie Kałasznikowa potoczyło się nowymi torami i rozpoczął się niezwykle twórczy okres. Oprócz wynalazków, dzięki którym zaskarbił sobie sympatię samego Żukowa, zasłynął także utworem *Tankisty* (Czołgiści). Przesłał go do dziennika „Czerwona Armia” i wiersz ukazał się na łamach tej gazety 5 kwietnia 1940 roku. Liryk przypadł do gustu wyższym rangom wojskowym i niejedną akademię artyleryjską rozpoczęto w ZSRR od słów „Śpiewajmy o heroizmie i sile / O czołgach radzieckiej krainy / W bitwy odważnie je prowadzili / Wielkiej Ojczyzny syny” [przekład filologiczny – aut.].

Krótką służba na froncie, a później pobyt w szpitalu zamykają okres sprawdzalnej, dającej się zweryfikować biografii. Wszystko, co nastąpiło potem, niezależnie od tego, czy Michaił Timofiejewicz był twórcą karabinka AK, czy też nie, poddano obróbce propagandowej. Spece od czerwonej indoktrynacji nie mogli przegapić takiej okazji i w ZSRR konsekwentnie budowano legendę Kałasznikowa, obywatela z ludu, prowincjusza, samouka, który zaprojektował najlepszą broń na świecie. O samym człowieku trudno cokolwiek powiedzieć. Ożenił się w 1942 roku z Jekateriną Daniłowną Astachanową i miał z nią syna Wiktora. Niestety, wybranka życia Michaiła Timofiejewicza przedwcześnie zmarła. W 1957 roku konstruktor po raz wtóry stanął na ślubnym kobiercu, łącząc swe losy z Jekateriną Wiktorowną Mojsiejewną. Związek był ponoć niezwykle zgodny i szczęśliwy. Z licznych przekazów wynika, że druga pani Kałasznikow, podobnie jak jej mąż, lubiła poezję i wspólnie pisywali zabawne wierszyki. Zachował się liryk, który stworzyli w 1971 roku podczas podróży do Tuły, gdzie w lokalnym instytucie badawczym konstruktorowi miano przyznać stopień doktora nauk technicznych: „W samolocie od szumu i huku / Wokół rozlega się dzwon / Jak przyjmie nas zapchlona Tuła / Podkuje czy każe iść won [przekład filologiczny – aut.]”.

Poszczególne wersy nie są tylko grą słowną, ale zawierają także aluzję do opowiadania *Mańkut* autorstwa dziewiętnastowiecznego rosyjskiego literata Nikołaja Siemionowicza Leskowa. W tym tekście jest przywołana ludowa legenda, zgodnie z którą tulscy rusznikarze otrzymali niegdyś od angielskich konkurentów naturalnej wielkości stalową pchłę. Nie skapitulowali przed tym dowodem rzemieślniczej maestrii, przeciwnie – podkuli podarek i odesłali z powrotem. Nawiązanie do rywalizacji między producentami broni znalazło swoje odzwierciedlenie w biografii Kałasznikowa. Michaił Timofiejewicz reprezentował szkołę iżewską i bardzo stresował się przed czekającą go uroczystością w konkurencyjnym ośrodku zbrojeniowym. Czas jednak pokazał, że jego wkład w radziecką naukę był trudny do przecenienia (nawet przy założeniu, że nie brał udziału w tworzeniu AK) i wzorem

Andrieja Tupolewa czy Ernsta Krenkela zapoczątkował nowe trendy w naukach technicznych.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku życie rodzinne Kałasznikowa zdawało się rozwijać zgodnie z jego marzeniami. Na świat przyszły trzy córki, został uhonorowany stopniem naukowym, a państwo radzieckie doceniało jego wkład w rozwój przemysłu zbrojeniowego. Otrzymywał liczne nagrody finansowe, w tym najważniejsze w ZSRR, Stalinowskie i Leninowskie; za jedną z nich kupił nowiutką pociąg. Niestety, w 1977 roku po ciężkiej chorobie zmarła jego ukochana żona Jekaterina Wiktorowna. Od tego czasu coraz więcej pracował i każdą wolną chwilę poświęcał na konstruowanie militariów. Z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością można stwierdzić, że kolejne modernizacje karabinka AK przeprowadzał już sam Kałasznikow. Poza tym Michaił Timofiejewicz zajmował się szeroko rozumianą innowacyjnością, którą nazywał dżubanią bądź majsterkowaniem. W wywiadzie dla niemieckiego „Die Weltwoche” przyznał się nawet do realizacji dość niecodziennych zadań:

Majsterkowanie pozostało do dziś moim ulubionym zajęciem. Moim ostatnim pomysłem jest pułapka na krety, które rozkopują mi ogród. Zaproponowano mi nawet patent. Ale czy można wyobrazić sobie coś takiego jak „kałasznikow – pułapka na krety”? Odmówiłem, no i moja pułapka istnieje tylko w jednym egzemplarzu.

MICHAŁ MANICHEJCZYK

„Wasza Świątobliwość – tak 7 kwietnia 2013 roku do Cyryla, patriarchy moskiewskiego i całej Rusi, pisał Michaił Timofiejewicz Kałasznikow – wiele lat poświęciłem pracy konstruktorskiej. Mam na koncie ponad sto pięćdziesiąt rodzajów broni strzeleckiej, które stworzono w jednym celu – aby chronić Ojczyznę od jej wrogów”. Wyznanie to, złożone przez staruszka, który osiem miesięcy od wysłania listu odszedł z tego świata, brzmi co najmniej naiwnie. Jak wynika z bardzo szacunkowych wyliczeń, w ZSRR oraz krajach satelickich powstało ponad sto milionów słynnych karabinków AK. Taka liczba kałasznikowów pozwoliłaby uzbroić trzecią część wszystkich obywateli Kraju Rad. Wiadomo jednak, że to nie sowieckie niemowlęta i starcy sięgali po ten automat, ale różnej maści rewolucjoniści, wywrotowcy czy w końcu terroryści. Najwyraźniej słynny konstruktor miał świadomość ambiwalencji swoich słów, gdyż w kolejnych wersjach stwierdził:

Cierpię okrutne duchowe bóle, torturuje mnie jedna i ta sama wątpliwość: jeśli mój automat pozbawiał życia ludzi, czyżby i ja, Michaił Kałasznikow, liczący sobie dziewięćdziesiąt trzy lata od narodzin, syn chłopki, chrześcijanin i wyznawca prawosławia, winny jestem ich śmierci, nawet gdyby byłby naszymi wrogami?

Za tym pytaniem kryje się coś więcej niż tylko chęć publicznej spowiedzi. Wielu

naukowców i historyków idei uważa, że karabinek AK stał się najbardziej masowym narzędziem zbrodni w historii XX wieku i od kul wystrzelonych z automatu zginęło więcej osób niż od bomby atomowej czy zrzucanego w Wietnamie napalmu. Jednak to nie liczba ofiar stanowi najwłaściwszy wyznacznik demonicznego charakteru tej broni. Chivers zauważa:

Najlepszą miarą jest sposób, w jaki automat działa przeciwko większemu zbiorowisku ludzi. Jak działa wobec cywilów, jak jest wykorzystywany w punktach kontrolnych oraz jak stosuje się go podczas popełnianych przestępstw. [...] To strasznie skuteczna broń.

I najprawdopodobniej Michaiła Timofiejewicza męczyła ta tak dosadnie opisana przez amerykańskiego dziennikarza efektywność wynalazku. Konstruktor nie chciał i nie mógł przyjąć odpowiedzialności za ofiary karabinka AK i w liście do patriarchy starał się wpisać je w jakiś szerszy – chciałoby się rzec: boski – kontekst:

Zwiększa się liczba Kościołów na naszej ziemi, a mimo to zło nie maleje! Dobro i zło żyją, sąsiadując, walcząc i – co najstraszniejsze – łącząc się jedno z drugim w ludzkich duszach. Oto, do czego doszedłem na jesieni swego życia. Powstaje swego rodzaju *perpetuum mobile*, które tak chciałem wynaleźć w młodości. Światło i cień, dobro i zło – dwa przeciwieństwa jednej całości, nieistniejące jedno bez drugiego. Czyżby Wszechmogący tak to skonstruował?

Opisana przez Kałasznikowa wizja przeczy chrześcijańskiej teologii i przywodzi na myśl słynne średniowieczne herezje, zgodnie z którymi Bóg i Szatan są dwiema równorzędnymi i koniecznymi siłami. Takie przekonanie można również znaleźć w licznych wschodnich wierzeniach, gdzie każdy element, zarówno fizyczny, jak i duchowy, z czasem przeistoczy się w swe przeciwieństwo. Możliwe, że taki obraz świata był najbliższy konstruktorowi, który na łożu śmierci pragnął zrozumieć, dlaczego nazwisko chłopaka, pragnącego w latach czterdziestych minionego stulecia usprawniać codzienną pracę zwykłych ludzi, stało się synonimem najpopularniejszej na świecie broni.

Po miesiącu przyszła odpowiedź na pismo Kałasznikowa. „Szanowny Michaiile Timofiejewiczu, serdecznie Was pozdrawiam ze świętem Zwycięstwa naszego narodu podczas wielkiej wojny ojczyźnianej” – pisał patriarcha i po oficjalnych formułach grzecznościowych stwierdził:

Z bólem serca donosicie o tym, że stworzona przez Was z dobrym zamiarem broń nie zawsze jest wykorzystywana do ochrony pokoju na świecie. Należy jednak rozumieć, że odpowiedzialność za złe czyny pada nie na wynalazcę, ale na tych, którzy zło czyniąc, osiągnięcia technicznego postępu obracają na niekorzyść swych bliźnich.

Pocieszenie płynące od głowy Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego jest absolutne i dusza wiekowego konstruktora powinna była czuć się już zupełnie bezpieczna. „Zło – zaznaczał bowiem hierarcha Cyryl – nie jest oddzielnym bytem i weszło do świata razem z ludzkim grzechem; przemóc je może tylko Boża łaska poprzez Tajemnice

Wiary, lekturę Pisma Świętego i modlitwę”.

Po takiej replice w łoskocie automatycznej tokarki tworzącej wciąż nowe i nowe wersje kałasznikowa można usłyszeć szum anielskich skrzydeł.

WYBRANA LITERATURA

1. Alex C., *Who Really Designed The AK-47?*, The Firearm Blog, <http://www.thefirearmblog.com/blog/author/alex-capps/> [dostęp: 27.03.2016].
2. Canzoni contro la guerra, *Kalašnjikov: Goran Bregović* [tłumaczenie piosenki Gorana Bregovicia *Kalašnjikov* z j. romskiego na j. włoski], <http://www.antiwarsongs.org/canzone.php?id=46343&lang=it> [dostęp: 27.03.2016].
3. Chivers C.J., *Kałasznikow*, Kraków 2015.
4. Chivers C.J., *The Story of the World's Deadliest Gun – the AK-47* [film], <https://vimeo.com/16404716> [dostęp: 27.03.2016].
5. *Czelowiek i awtomat* [film], koncert Kalashnikov, <https://www.youtube.com/watch?v=RZls6pKClwc> [dostęp: 27.03.2016].
6. *Kalashnikov*, reż. D. Rogozin, <https://www.youtube.com/watch?v=FO7ui-PDQVY> [dostęp: 27.03.2016].
7. Kałasznikow M.T., *Pismo Michaiła Kałasznikowa*, Pienzenskaja Mietropolija, <http://pravoslavie58region.ru/index.php?loc=missioner-obzor-19-26-01-2014.htm> [dostęp: 27.03.2016].
8. Kałasznikow M.T., Kałasznikowa J.M., *Trajektorija sud'by*, Moskwa 2015.
9. Kałasznikow M.T., wywiad dla „Die Weltwoche”; tłum. „Forum”, 20 grudnia 2010, https://pl.wikiquote.org/wiki/Michaił_Kałasznikow [dostęp: 27.03.2016]
10. Trzaskała B., *Pochodzenie karabinka AK*, „Broń i Amunicja” 02/2006, za: <http://remigiuszwilk.pl/ak/index.html> [dostęp: 27.03.2016].
11. Użanow A.J., *Michaił Kałasznikow*, Moskwa 2009.

GWIAZDA POKOJU

SĘKACZ

Ósmego grudnia 1975 roku do pociągu Moskwa–Wilno wsiadło dwóch mężczyzn. Starszy zajął miejsce przy oknie i zapatrzył się na smutnych panów w jednakowych kapeluszach, stojących na peronie. Skład ruszył i wszystko zasłoniły kłęby wirującego śniegu. Młodszy sprawdził mocowania górnego łóżka i upewniwszy się, że wszystko w porządku, przywołał prowadnicę. Zamówił dwie herbaty oraz bombonierę o poetyckiej nazwie Natchnienie. Mężczyźni nie zjedli jednak słodyczy. Pociąg kołysał miarowo i podróżni, przebrawszy się w dresy, posnęli.

Na dworcu w Wilnie nikt nie czekał. Moskwiczanie wyszli więc na zewnątrz i kuląc się przed deszczem, przebiegli na przystanek. W trolejbusie na dźwięk ich stołecznych akcentów ludzie odwracali się plecami. Starszy z podróżnych zapisał później:

Bez wątplenia mają do tego prawo. Statystyki represji lat czterdziestych na Litwie są przerażające. Tam pamiętają jeszcze słowa Susłowa [Michaił Andriejewicz Susłow, działacz odpowiedzialny za czystki narodowościowe w ZSRR – przyp. aut.]: „Potrzebujemy Litwy, nawet bez Litwinów”.

Wysiedli nieopodal sześciokątnego budynku mogącego uchodzić za duże przedszkole i udali się w jego kierunku. Drogę zagrodzili im milicjanci. Przyjezdni wyciągnęli paszporty i oznajmili, że idą na rozprawę w Najwyższym Sądzie Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

– Znamy was, znamy – warknął jeden z funkcjonariuszy.

Mężczyźni nie dali się sprowokować i weszli do hallu, gdzie kłębił się rozgadany tłum. Ludzie rozpoznali nowo przybyłych i rzucili się im w objęcia.

– Jak się ma Siergiej Adamowicz? – spytał starszy z gości.

– Ponoć dobrze – odpowiedział leciwy wileński dysydent – ale nie wpuszczają nas na salę.

– Cóż, poczekamy – odrzekł przybysz ze stolicy – a gdy będzie wychodzić, damy wyraz naszej solidarności.

Niestety, podsądnego wyprowadzono tylnymi drzwiami i przyjaciele stracili okazję do zademonstrowania wsparcia. Nie zamierzali się jednak poddawać i udali się do mieszkania lokalnego opozycjonisty, gdzie do późna omawiali plan na kolejny dzień.

Nocą sypał śnieg i rankiem 10 grudnia Wilno obudziło się białe i ciche. Przybysze

na chwilę zapomnieli o celu swojej wizyty i zauroczeni przyglądali się miastu zza okien trolejbusu. Czar przysł dopiero na placu przed sądem. Sam budynek, opatulony śnieżną czapą, wyglądał niemal przyjaźnie, ale znajdujące się obok więzienie zionęło grozą. Jego fasada na tle królującej bieli wydawała się jeszcze brudniejsza i jakby przypominała o tym, że w sowieckim świecie jedynie kara jest realna.

Podobnie jak i minionego dnia centrum opozycjonistów stał się hall sądu. Tym razem jednak w tłum w mieszał się kagebiści i prowokowali do konfrontacji. Upodobali sobie zwłaszcza najstarszego z dysydentów i drwili z jego rękawic, które przyszyte do kurtki zwisały jak w dziecinnym płaszczku.

– Żydku, leć do Izraela – szeptał mu do ucha.

Jeszcze gorsze rzeczy działy się na sali rozpraw. Zgromadzeni na widowni „reprezentanci ludu” chrząkali i mlaskali. Oskarżony, obwiniany o druk broszur szkalujących ZSRR, nie wytrzymał i wykrzyknął:

– Nie będę zeznawał przed stadem świń!

Wówczas sędzia zawołał:

– Obraziliście sąd! – i skazał dysydenta na siedem lat pozbawiania wolności, w tym trzy lata kolonii zaostrego rygoru Perm-36.

Dla wielu mogło to oznaczać jedno – śmierć. Ale o tym przyjaciele opozycjonisty dowiedzieli się następnego dnia. Nieświadomi niczego opuścili budynek sądu i pojechali do mieszkania działacza niepodległościowego Viktorasa Petkusa, gdzie odbyło się niecodzienne spotkanie. Starszego z moskwičan przywitano brawami. Po toastach na jego cześć włączono Radio Wolna Europa, które nadawało transmisję z Oslo. Przez trzaski i szumy dało się słyszeć, jak norweska polityk Aase Lionæs oświadczyła, że „za nieustraszone wsparcie podstawowych zasad pokoju między ludźmi i odważną walkę z nadużyciami władzy i przeciwstawianie się deprecjacji ludzkiej godności” Pokojową Nagrodę Nobla za rok 1975 otrzymuje Andriej Dmitrijewicz Sacharow. Z przyczyn politycznych laureat nie może być obecny i dyplom w jego imieniu odbierze żona, Jelena Bonner-Sacharow. Zgromadzeni w mieszkaniu Petkusa spoglądali na przyjeźdnego. Mężczyzna jak zahipnotyzowany wsłuchiwał się w słowa żony. „Na początku trafił do mnie tylko jej tembr głosu – zapisał we *Wspomnieniach* – taki bliski, rodzinny, a zarazem jakby wybrzmiewający w jakiejś innej, świątecznej i jaśniejszej przestrzeni”. Po wysłuchaniu audycji wszyscy przeszli do drugiego pokoju, gdzie na suto zastawionym stole królował sękacz. Jego widok na zawsze wyrył się nobliście w pamięci.

STADIUM KIJANKI

Dziadek Andrieja Sacharowa, Iwan Nikołajewicz, nie poszedł w ślady przodków i sutannę zamienił na togę. Po rewolucji 1905 roku zdobył uznanie wśród

moskiewskiej palestry i zaangażował w walkę o zniesienie kary śmierci. Pracował też nad książką poświęconą tej tematyce, do której rozdział – *Nie mogę milczeć* – napisał sam Lew Tołstoj. Zainteresowanie problematyką społeczną nie było jednak właściwe całej rodzinie. Ojcu noblisty zdarzało się pomylić generała Klimienta Jefriemowicza Woroszyłowa z prominentnym działaczem Siergiejem Mironowiczem Kirowem. Ten błąd mógłby mu wytknąć byle radziecki smarkacz. Za to Dmitrij Iwanowicz doskonale realizował się w zawodzie i z powodzeniem wykładał fizykę oraz pisał książki popularnonaukowe. Publikacje przynosiły spore dochody, dzięki którym rodzina, inaczej niż większość radzieckich inteligentów, mogła sobie pozwolić na posiadanie aż dwóch pokoi, regularne wyjazdy na wakacje czy zatrudnienie guwernantki. Niestety, gratyfikacje nie wystarczały już na zakup dóbr ekskluzywnych, takich jak motocykl, zwany wówczas motocykietką, czy też radio. W odróżnieniu od ojca Sacharowa, jego brat, wujaszek Wania, namiętnie komentował sowiecką politykę. Te zainteresowania dwukrotnie zawiodły go do więzienia i w końcu pasję przyplacił życiem, w 1943 roku zakatowano go bowiem w krasnojarskim areszcie. Jego żona nie wiedziała, że został zgładzony, i słała na Syberię list za listem. Ostatecznie zwrócono jej korespondencję z urzędową adnotacją: „Adresat wybył na cmentarz”.

Polityka była obecna nie tylko w świecie dorosłych. Wielkim szokiem dla piętnastoletniego Andrieja było usłyszeć z ust kolegi, że „Lenin wcale nie był taki dobruteńki i jego ulubionym słowem było »rozstrzelać«”. Zrozumiał wtedy, że wśród rówieśników są osoby o odmiennych poglądach. Wówczas oponował i stwierdził, że Władimir Iljicz miał szczytne i „ludzkie” motywacje. Ponadto przyszły twórca bomby wodorowej miał ambiwalentny stosunek do religii. W dzieciństwie matka nauczyła go modlitw i zabierała do cerkwi. Kobieta była jednak w tym osamotniona, gdyż pozostali członkowie rodziny oraz szkolni pedagodzy stali na stanowisku, że wiara w Boga jest przeżytkiem. Chłopak niebawem przyjął punkt widzenia większości i dopiero w latach siedemdziesiątych, już jako jeden z lepiej rozpoznawanych fizyków XX wieku, oświadczył:

Nie mogę sobie wyobrazić Wszechświata i ludzkiego życia bez jakiegoś dającego się pojąć początku, bez źródła duchowego „ciepła”, leżącego poza materią i jej prawami.

Dzieciństwo stanowiło dla młodzieńca również czas pierwszych prób charakteru. Chłopak z powodu wyjątkowych zdolności w nauce i milczącego usposobienia był uważany nie tylko za kujona, lecz także skarżypytę. Dwaj szkolni chuligani postanowili się o tym ostatecznie przekonać i wkręcili mu rękę w imadło. Andriusza rozpląkał się, ale nie doniósł, dzięki czemu zyskał szacunek i pomoc „gorszej” młodzieży. Wsparcie przyszło w najmniej oczekiwanym momencie. Sacharow nie radził sobie na zajęciach z prac technicznych i jeden z klasowych rozrabiaków zrobił

za niego taboret.

Andriej Dmitrijewicz zakończył szkołę jako „otlicznik” (wzorowy uczeń) i bez egzaminów został przyjęty na Wydział Fizyki Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego. Oto rozpoczynał się czas, o którym marzył. Podczas pierwszych lat studiów jedną z nielicznych rzeczy, która mogła oderwać go od książek, była rozmowa o wojnie na Półwyspie Iberyjskim. Po latach, zastanawiając się nad tym fenomenem, zapisał:

Dziwne – minęło niemal 45 lat, a emocje i gorycz związane z hiszpańską wojną wciąż w nas żyją, ówczesnych młodzieńcach. Tam była jakaś zaraźliwa siła, coś prawdziwego – romantyzm, heroizm i walka (i możliwe, że tragiczne przecucie tego, co niesie ze sobą faszyzm).

Pakt Ribbentrop–Mołotow był dla Andrieja Dmitrijewicza szokiem i z niedowierzaniem przysłuchiwał się wykładowcy marksizmu-leninizmu, który starał się ten alians wytłumaczyć. W sposób charakterystyczny dla politruków po wielokroć zadawał pytanie: „Czy sowiecko-niemieckie porozumienie ma charakter koniunkturalny, czy zasadniczy?”. Odpowiedź była tylko jedna i młodzi ludzie recytowali: „Zasadniczy, gdyż odzwierciedla głęboką bliskość stanowisk”. Tę, można by rzec Gombrowiczowską, edukację Sacharow znienawidził z całych sił i dziesięć lat później miał już odwagę sprzeciwić się mantrze większości. Wówczas do ośrodka nuklearnego w Sarowie, gdzie był zatrudniony, przybyła komisja i pytała naukowców, czy zgadzają się z polityką partii. Pytanie to wybrzmiało w okrutnych stalinowskich czasach i niemal wszyscy odpowiedzieli „tak”. Tylko Siemion Aleksandrowicz Altszuler oraz właśnie Sacharow stwierdzili, że nie godzą się z działaniami komunistów w zakresie nauk biologicznych. Władza zapamiętała to wsparcie udzielone wrogom Trofima Łysenki.

Wybuch wielkiej wojny ojczyźnianej wywrócił na nice radziecki świat i Sacharow na własnej skórze doświadczył panującego w Moskwie chaosu. Zapisał się do strażaków i po jednym z bombardowań wpadł po instrukcje do uniwersyteckiego partkomu. Mężczyzna zawiadujący komunistyczną siatką na uczelni „spojrzał bezrozumnymi oczami i zakrzyknął »ratuj się, kto może!«”. Po pierwszych tygodniach wojny czerwoni włodarze ochłonęli i postanowili zmobilizować mężczyzn zdatnych do walki. Sacharow, podobnie jak jego koledzy z roku, nie znalazł się na tej liście. Mimo to wielu studentów zgłaszało się na ochotnika. Andriej Dmitrijewicz do nich nie dołączył. Po latach na kartach autobiografii przekonywał, że ma czyste sumienie, choć z jego słów przebija chęć usprawiedliwienia się, iż nie walczył z karabinem w dłoni. Po wysłaniu świeżej krwi na front nastąpił kolejny etap obrony. Wojenna łuna płonęła już na horyzoncie, gdy moskwiczyńskie rozpoczęły ewakuację strategicznych instytucji. Jedną z pierwszych był uniwersytet. Forpocztę stanowiły nauki ścisłe.

W ciepłuszkach, czyli ogrzewanych dwuosioowych wagonach towarowych, na których burcie widniał napis „Czterdzieści osób lub osiem koni”, fizycy ruszyli do Turkmenistanu. W Aszchabadzie ulokowano ich w barakach, w których panowały insekty, było brudno i – co najgorsze – brakowało żywności. Studenci radzili sobie z przeciwnościami, jak tylko mogli. Jednym ze sprawdzonych przez Sacharowa sposobów było przeprowadzenie się na dach prowizorycznego akademika. Decyzja okazała się warta wyrzeczeń. „W nocy było nade mną południowe niebo – zapisał po latach – a na wschodzie niesamowite widowisko, łańcuch górski Köpetdag rozświetlony pierwszymi promieniami słońca; czerwone szczyty przy tym wydawały się jakby przezroczyste”.

Edukację skrócono o dwa semestry i latem 1942 roku Andriej Dmitrijewicz zdawał ostatnie egzaminy. Po ich zaliczeniu profesor zaproponował mu pozostanie na uniwersytecie. Chłopak uważał, że ma dług wobec narodu, i poprosił o skierowanie do fabryki. Jego życzenie spełniło się szybciej, niż się spodziewał, i już 2 września trafił do kombinatu zbrojeniowego w Uljanowsku. Początkowo nie mógł znaleźć dla siebie miejsca i pracował jako drwal, potem monter, aby ostatecznie trafić do departamentu innowacji. Peregrynacja przez działy fabryki okazała się pouczająca, choć uzyskana wiedza była bardzo smutna. Sacharow widział setki kobiet, które – ściągane z miasteczek i wsi – pracowały po jedenaście godzin dziennie i szybko przemieniały się w wyzute z emocji roboty. Zanim pogodziły się z losem, próbowały jeszcze wyrwać się z powrotem do rodzin. Samowolne oddalenie z miejsca pracy traktowano jako dezercję i karano dziesięcioma latami łagru lub śmiercią. Nieszczęśnice miały zatem tylko jeden sposób, żeby opuścić kombinat – zająć w ciążę, więc po uściskach z byle kim i byle gdzie ustawiały się w kolejkę do zakładowego lekarza.

Pobyty w Uljanowsku stał się dla Sacharowa okazją do rozwinięcia skrzydeł. Najpierw zaprojektował urządzenie do kontroli jakości naboju, które wykorzystywano w wielu radzieckich zakładach. Następnie skonstruował narzędzie do rozpoznawania rodzajów stali oraz kilka innych mniej lub bardziej udanych przyrządów. Praca w departamencie innowacji miała też luźniejszy charakter niż na hali maszyn i Andriej Dmitrijewicz zaglądał do pobliskiego laboratorium, gdzie zatrudniano same kobiety. Rozmowy młodych ludzi mimo toczącej się wojny były wesołe i przyjacielskie, nawiązywały się znajomości i sympatie. Do gustu fizykowi przypadła zwłaszcza techniczka Kławdia Aleksiejewna Wichirjew. Para spędzała ze sobą coraz więcej czasu, fizyk zabrał nawet dziewczynę na wycieczkę po Wołdze, podczas której utopił jej bucik, i niebawem młodzi postanowili razem zamieszkać. Minął miesiąc i Kławdia z Andriejem zarejestrowali związek w urzędzie stanu cywilnego. Nie dane było jednak Sacharowowi osiąść w prowincjonalnym mieście. Kończył się rok 1944, losy wojny były przesądzone i Moskwa wyciągnęła po naukowca zachłanne dłonie.

Znajomy jego ojca, wybitny fizyk Igor Jewgieniewicz Tamm, proponował mu stanowisko asystenta.

Z HISTORII WYPIEKÓW

Andriej Sacharow po przyjeździe z Uljanowska udał się do moskiewskiego Instytutu Fizyki imienia Lebidiewa, gdzie Igor Tamm odpytał go jak uczniaka. Noblista zmartwił się, że młodzian nie zna angielskiego, i nakazał mu przyswoić ten język. Wręczył też kilka książek i oświadczył, że oto dwudziestoczterolatek stał się asystentem Akademii Nauk. Andriej Dmitrijewicz czuł się szczęśliwy i od razu rzucił w wir pracy. Skoncentrował się na zagadnieniach fizyki teoretycznej i tematem dysertacji uczynił szczególną reakcję jądrową, w której występuje zerowe promieniowanie. Równolegle zajął się sprawami rodzinnymi i sprowadził żonę z nowo narodzoną córeczką. Życie w Moskwie okazało się jednak trudniejsze niż w nadwołżańskim grodzie i rodzinie doskwierały problemy lokalowe. Fizyk zanotował we *Wspomnieniach*, że średnio co miesiąc zmieniali lokum. Działo się tak z powodów finansowych, gdyż nędznie wynagradzany asystent musiał szukać coraz tańszych pokoi. Ostatecznie wylądowali na peryferiach Moskwy. Przez cały ten czas Sacharowowi uważnie przyglądał się jego szef, Siergiej Iwanowicz Wawilow. Szybko docenił znaczenie młodego człowieka dla instytutu i wystarał się dla niego o miejsce w hotelu. Od tego momentu losy Andrieja Dmitrijewicza potoczyły się nowym torem. Od razu powstał ważny artykuł jego autorstwa oraz została ukończona dysertacja zatytułowana *Przejście typu $0 \rightarrow 0$* . Jeszcze przed jej obroną, w grudniu 1946 roku, Sacharow otrzymał urzędowy list, w którym proszono go o stawienie się w hotelu Pekin. O wyznaczonej godzinie pełen obaw zastukał do pokoju nr 91. Wewnątrz, za stołem ustawionym w literę T siedział wojskowy. Z tyłu wisiał „urzędowy” portret Stalina. Gospodarz poprosił, żeby Andriej Dmitrijewicz usiadł, i oznajmił:

– Od dawna obserwujemy wasze sukcesy w nauce. Proponujemy wam po zakończeniu asystentury przejść do pracy w naszym systemie i realizować ważne rządowe zadania.

Nieznajomy kusił „najlepszymi na całym świecie bibliotekami”. Dodał też, że wie, iż badacz ma kłopoty lokalowe i jeśli się zgodzi przyjąć propozycję, od razu otrzyma mieszkanie. Sacharow domyślił się, że chodzi o prace nad bronią nuklearną, i odpowiedział, iż „zamierza kontynuować czysto teoretyczne badania na wydziale Tamma”. Rozmówca nie nalegał i wyraził nadzieję, że fizyk zmieni zdanie. Po kilku miesiącach od spotkania w Pekinie Andriej Dmitrijewicz otrzymał stopień kandydata nauk i został zaproszony z wykładem do sławnego Laboratorium nr 2. Jednostkę powołano w 1942 roku w celu stworzenia bomby jądrowej. Niemal od początku kierował nią fizyk zwany w ZSRR ojcem broni nuklearnej, Igor Wasiljewicz

Kurczatow. I ów sławny badacz po prelekcji przeszedł z młodzieńcem do gabinetu.

To był bardzo duży pokój – zapisał Sacharow w autobiografii – w którym można było przeprowadzać spotkania, z wielkim stołem i górą naukowych czasopism oraz mnóstwem kolorowych telefonów. [...]. Na ścianie wisiał duży, półtora raza większy od człowieka, namalowany farbą olejną i bez wątplenia oryginalny portret Stalina z fajką stojącego na tle Kremla.

W takim *entourage*'u uzdolniony naukowiec po raz wtóry otrzymał propozycję zmiany pracy. Kurczatow nie owijał w bawełnę i oznajmił, że widzi go w projekcie jądrowym. Także i tym razem Sacharow odmówił, argumentując swą decyzję zamiłowaniem do teorii.

Władza pokazała, że dla jednego jabłka gotowa jest kupić cały sad. Pod koniec czerwca 1948 roku po tak zwanym piątkowym seminarium w Instytucie Fizyki profesor Tamm przybrał „tajemniczą minę” i poprosił, żeby Sacharow oraz Siemion Zacharowicz Bielenkij zostali po zajęciach. Gdy sala opustoszała, przekazał swym najzdolniejszym uczniom niesłychaną nowinę:

Decyzją Rady Ministrów Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego w FIAN [rosyjski akronim Instytutu Fizyki Akademii Nauk – przyp. aut.] powołano grupę badawczą. Ja jestem jej kierownikiem, wy członkami. Zadanie grupy – teoretyczne i obliczeniowe prace w celu określenia możliwości stworzenia bomby wodorowej.

Tym razem odmówić się nie dało.

Sacharow nie od razu miał świadomość konsekwencji swoich działań. Od początku prac przyjął jednak założenie, któremu pozostał wierny aż do śmierci. Wierzył w równowagę sił między Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi. Z czasem zaczął postrzegać tę kruchą relację jako warunek niezbędny do utrzymania pokoju na świecie. Poza tym, choć nie zajmował się polityką, odgadł bez pudła, że bierze udział w planie zaaranżowanym przez samego Ławrientija Berię. Za sprawą Stalina i jego propagandzistów pod koniec lat czterdziestych państwo pogrążyło się w strachu przed trzecią wojną światową, a jednocześnie kreowano wrogów i rozkręcano falę nowego terroru. W takiej sytuacji praca nad bombą nieoczekiwanie okazała się formą politycznej emigracji.

Nowo powołana grupa przy FIAN otrzymała za zadanie sprawdzić model ładunku wodorowego, rzekomo opracowanego przez innego radzieckiego fizyka, Jakowa Borisowicza Zeldowicza. Dziś wiadomo, że plany te wykradziono Amerykanom. Podejrzewał to również Sacharow, który szybko dostrzegł nieporadność Sowietów wobec niezwykle skomplikowanego tworu. Zamiast weryfikować szczegółowe wyliczenia, postanowił więc podać w wątpliwość podstawowe założenia śmiertelnej konstrukcji. Jego bezpośredni przełożony, Tamm, stwierdził:

Sacharow obserwuje w sposób świeży każde zjawisko fizyczne. Nawet jeśli badano je dwadzieścia razy i jego struktura została opisana dwadzieścia razy, to on traktuje je jako niezapisaną kartę papieru. Dzięki tej

metodzie dokonuje wielkich odkryć naukowych.

Fizyk uznał, że forma rury, w której planowano zainstalować ładunek, nie jest najlepsza. zaproponował więc kulę składającą się z powłok paliwa wodorowego, zapalnik zaś miał być umieszczony w samym jej środku. Swojej koncepcji nadał imię bułeczki przygotowanej z wielu warstw ciasta z nadzieniem, czyli słoiki. Oprócz tego w pierwszym tajnym meldunku zatytułowanym *Sacharow pierwszy* zawarł szereg obliczeń, dzięki którym uprościł zasadę wybuchu.

Termojądrowa reakcja – napisał w autobiografii – to tajemne źródło energii gwiazd i Słońca i w efekcie źródło życia na Ziemi i możliwa przyczyna jej zniszczenia była już w moich dłoniach, działa się na moim biurku!

Nad propozycją Sacharowa pochyłili się najważniejsi badacze zaangażowani w budowę radzieckiej bomby wodorowej – Kurczatow, Zeldowicz oraz naukowy kierownik tajnego miasta Sarowa Julij Borisowicz Chariton. Przeanalizowali też opisaną przez niego łańcuchową reakcję słoiki. Te rozwiązania były odmienne od wykradzonych Amerykanom. Ponadto z obliczeń wynikało, że bomba Sacharowa może być jeszcze straszliwsza od ładunku przygotowywanego za oceanem. Decyzje zapadły w ekspresowym tempie. Należy przygotowywać dotychczasowy termojądrowy pocisk o kryptonimie „Truba” (czyli rura) – ustalili decydenci – oraz metodą „sacharyzacji” budować słojkę. To rozstrzygnięcie zaskoczyło nie tylko największych radzieckich fizyków, lecz także bliskich Andrieja Dmitrijewicza, w tym jego kolegę Bielenkija, który w pierwszym dniu powołania zespołu biadolił, że „będą lizać Zeldowiczowi zad”.

SZKLANA GÓRA REKRUTUJE

– Proszę za mną – mówi sierżant i uchyla drzwi emki. Sacharow spogląda za siebie: wnuki starszej kobiety, z którą dzielą daczę, ciskają zielonymi jabłkami w kota ukrywającego się na drzewie, na progu stoi jego żona, ma oczy wielkie z przerażenia, tuż obok niefrasobliwie skacze Tania. – Ręczę, że za trzy kwadransy będziecie z powrotem – żołnierz widzi, że fizyk się waha, i gestem nakłania go do wejścia do samochodu.

„Przecież mnie nie zabiją” – naukowiec w myślach dodaje sobie odwagi i gramoli się na tylną kanapę. Po niespełna pięciu minutach czarne auto z długim, wąskim przodem hamuje przed niepozornym domkiem. Wewnątrz ratanowe mebelki, wypełniona książkami pękata biblioteczka. Z jednego z ażurowych foteli wstaje tęgi, okrągły na twarzy i całkowicie łysy Boris Lwowicz Wannikow.

– Latacie na samolocie? – wypala bez przywitania.

– Tak – odpowiada Sacharow i nieśmiało rozgląda się dookoła. Na ścianie wiszą

dwa szkice przedstawiające chłopców kąpiących konie.

– A ja nie. – Komisarz do spraw tajnych i sekretnych marszczy krzaczaste brwi. – Musimy niezwłocznie jechać na gospodarstwo Julija Borisowicza. Przyszykujcie się, pożegnajcie z żoną, córką, a potem jedźcie tam. – I wręcza złożoną na czworo kartkę. – Powiedzą wam, co i jak.

Sacharow w drodze powrotnej rozwija liścik: „Skup owoców i warzyw”.

Sierżant zatrzymuje się pod daczą i oznajmia, że zaczeka, ile będzie trzeba. Andriej Dmitrijewicz wysiada z auta, mija czatujące na kocura dzieciaki i idzie do Kławdii Aleksiejewny. Bierze na kolana córkę i długo milczy. Kobieta w myślach dziękuje Bogu, że mąż wrócił, ale boi się pytać, z jakimi przychodzi wieściami.

– Jadę dziś w delegację – odzywa się w końcu fizyk.

– Na długo? – pyta żona lękliwie.

– Nie wiem – odpowiada naukowiec i całuje Kławdię w dłoń.

Sacharow od początku wakacji wielokrotnie mijał skup owoców i warzyw, ale dopiero dziś ma powód, żeby przekroczyć jego próg. Wchodzi do piwnicznego pomieszczenia i mija robotników. Ktoś gra w domino, ktoś pije piwo. W powietrzu unosi się zapach truskawek zmieszany z dymem papierosowym. Podłoga jest miękka od rozgniecionych jagód. Przechodzi przez półotwarte drzwi i dostrzega w kantorku „bladego, nerwowego mężczyznę”. Oznajmia mu, że „jedzie na gospodarstwo” i dodaje, że jeszcze tam nie był.

– A, świeżak – żartuje mężczyzna. – Dziś, punkt jedenasta wieczór z kazańskiego rusza pociąg. Wasz wagon ma numer 3. Powiecie żołnierzowi, że czeka na was Borodin.

Na moskiewskim dworcu wokół składu, który nie widnieje na żadnym rozkładzie, kłębi się tłum wojskowych.

– Nie ma przejścia. – Jeden z nich zastępuje Sacharowowi drogę.

– Jadę na gospodarstwo. Czeka na mnie Borodin – odpowiada fizyk i mundurowy nie dość, że schodzi z drogi, to jeszcze wskazuje wagon, w którym gość ma podróżować. Przed wejściem do salonki Andriej Dmitrijewicz po raz wtóry powtarza sekretną frazę i młody żołnierz prowadzi go do przedziału. Nie przypomina on fizykowi żadnego ze znanych slipingów. Wewnątrz znajdują się duże łóżko, szafa, dwa krzesła i fotel, biurko z lampką oraz lustro. Ściany są obite grubym zielonym sukmem.

Bładym świtem pociąg staje. Sacharow wygląda przez okno i widzi nowo wybudowaną rampę kolejową, rzędy magazynów i tuż za budynkami aż po horyzont szczerze pole. Wzdłuż wagonów ustawiają się samochody i żołnierze zapraszają gości do maszyn. Fizyk siada z tyłu z dwoma innymi mężczyznami. Dyskretnie zerka w lewo, prawo. Skądś ich zna. „Może na konferencji optyków w Kijowie...” – zastanawia się.auta ruszają i kierowcy od razu cisną gaz do dechy. Na wyboistej

drodze podskakują i głowami uderzają w sufit, wpadają na siebie, obłukują o ścianki wozu. Po pięciu minutach wjeżdżają do jakiejś wsi. Same biedne, chylące się ku ziemi chatki, gdzieś widać chłopów, którzy skoro świt oporządzą zwierzęta. Nagle głuchy trzask przerywa rozmyślenia Andrieja Dmitrijewicza. Po szybie przetacza się potrącona kura. Jej ciało bębni po dachu i spada pod koła kolejnego samochodu. W wycieraczkach powiewają zakrwawione piórka.

Po kwadransie kolumna zatrzymuje się przy budce strażnika. Żołnierz idzie od samochodu do samochodu i zlicza wjeżdżających. Następnie jadą drogą między pasami zaoranej ziemi. Gdy mijają zaskaki z drutu kolczastego, kierowca jakby sam do siebie mówi: „Oto i nasze rodzime ciernie”. Podjeżdżają do wysokiego na cztery metry płotu i przy bramie spotykają dziesięciu wojskowych, którzy kontrolują dokumenty, zaglądną do bagażników, otwierają torby podróżne. W końcu komandir saltuje, mogą jechać. Jest godzina piąta dwadzieścia, 18 lipca 1949 roku. Za stalowymi wierzajami rozpościera się pogrążone we śnie miasto. Przy ulicy ciągną się piętrowe schludne domki. Okna i drzwi są otwarte na oścież; widać minionego dnia był straszny upał. Kolumna jedzie dalej. Po obu stronach szerokiej arterii co rusz stoją wyższe bloki mieszkalne lub biurowe. Wszystkie są zadbane i nowe. Mijają park z alejkami wysypanymi piaskiem, w dali widnieje jezioro z przystanią i kołyszającymi się rowerami wodnymi. Coraz częściej pojawiają się też gmachy, które trudno zakwalifikować jako budynki użyteczności publicznej. Wielkie, ze szklanymi dachami bądź rozsuwanymi kopułami niczym obserwatoria astronomiczne. Przed jednym z nich rozpościera się wyasfaltowany plac, gdzie zajeżdżają samochody. Na ich spotkanie wychodzi grupa wojskowych, na której czele kroczy mężczyzna w garniturze. Fizyk rozpoznaje go od razu. Charakterystyczny sprężysty chód oraz bujna broda przypominająca ostrze szpadla zapadają w pamięć. Kurczatow wita się z Wannikowem i oznajmia, że Julij Borisowicz śpi. Następnie podchodzi do Sacharowa.

– W końcu daliście się zaprosić staremu Borodinowi – mówi, ściskając jego dłoń.

POŻEGNANIE Z BOMBĄ

Sarow, zwany Arzamasem-16 bądź Obiektem, zazdrośnie strzegł swych sekretów. Każdy z nowo przybyłych pracowników przez rok nie opuszczał jego murów. Rodzinę można było zaś sprowadzić dopiero po kilku latach. Cóż więc pozostawało Sacharowowi, jeśli nie całkowicie oddać się pracy? Otrzymywał miesięcznie 2000 rubli (średnie zarobki inżyniera wynosiły wówczas 400–500 rubli), ale nie miał na co ich wydać. Żywił się w stołówce – „generałce”, mieszkał w hotelu dla sarowskiej wierchuszki i całą pensję słał żonie. Od czasu do czasu spotykał się z kolegami i podczas „wieczorynek” uczestniczył w politycznych dyskusjach. Mieszkańcy

Obiektu głęboko wierzyli w komunizm, mimo to nie wyobrażali sobie pracy bez odrobiny wolnomyślicielstwa. Partyjni nadzorcy przymykali na to oko. Gdyby donieśli przełożonym, sami zostaliby ukarani, a poza tym zarządca zarządców, Beria, wiedział, że naukowcy, aby efektywnie myśleć, potrzebują swobody.

Pierwsze dni marca 1953 roku wstrząsnęły szklaną górą. „Po ulicach chodzili niespokojni i zdezorientowani ludzie, wszędzie rozbrzmiewała żałobna muzyka – zanotował Sacharow i z otwartością wyznał: – W liście do Kławdii (przeznaczonym tylko dla niej) zapisałem: »Jestem pod wrażeniem śmierci wielkiego człowieka. Myślę o jego człowieczeństwie«”. Kolejne miesiące po śmierci Stalina nie przyniosły ukojenia. Do Sarowa docierały wieści o wojnie toczącej się na górze, potem o przewrocie pałacowym. W Arzamasie-16 mieszkali wojskowi, którzy szykowali się do przejęcia władzy w ZSRR, i możliwe, że to z ich inicjatywy Berię zawinięto w dywan i martwego wyniesiono z Kremla. Te wydarzenia zeszły jednak na dalszy plan, a Andriejem Dmitrijewiczem oładnęły emocje związane z wybuchem słoiki. Tydzień przed detonacją pierwszej na świecie bomby wodorowej sarowscy naukowcy przybyli do kazachskiego Semipałatyńska (obecnie Semej). Jedenastego sierpnia główny pomysłodawca ładunku, Sacharow, poszedł spać wcześniej niż zwykle. O godzinie czwartej rano obudził go warkot motorów. Wyrzął za okno i dostrzegł ciężarówkę z aparaturą do rejestrowania wybuchu. Zmierzały w kierunku odległej o godzinę drogi wieży z zamontowaną bombą. W różnej odległości od punktu zero ustawiono także sto czołgów oraz samolotów, żeby sprawdzić na nich siłę uderzenia. O piątej naukowcy opuścili hotel i przejechali do punktu obserwacyjnego oddalonego o trzydzieści pięć kilometrów od miejsca wybuchu. Tam atmosfera była niezwykle napięta i minister przemysłu Wiaczesław Aleksandrowicz Małyszew zwrócił się do generała Wannikowa:

– Borisie Lwowiczu, dawajcie ekspres anegdotę.

– Dlaczegoście tacy smutni? – zapytał łysy komisarz i sam sobie odpowiedział: – Prezerwatywy kiepskie. – A co, rwą się? – Nie, gną się.

– Dobrze! – parsknął dygnitarz, zszedł z platformy i zaczął obchód.

Niebawem głośniki zaskrzeczały:

– Dziesięć minut do detonacji!

Wszyscy położyli się na ziemi.

– Zostały dwie minuty, założyć okulary ochronne! – instruował megafon. – Trzydzieści sekund..., pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...

W tym momencie [zapisał Sacharow] nad horyzontem błysnęło, po czym pojawiła się rosnąca biała kula – jej światło zalało całe niebo. [...] Zobaczyłem rozszerzający się ogromny obłok, pod którym rozprzestrzenił się purpurowy pył. Chmura poszarzała, wirując i błyskając na pomarańczowo, szybko podniosła się ku górze. Stopniowo przeobraziła się jakby w kapelusz grzyba. Z ziemią łączyła ją nóżka grzyba [...]. I w tym momencie dotarła do nas fala uderzeniowa – ogłuszający cios w uszy i wstrząs na całym ciele...” .

Po półgodzinie obłok zaczął odpływać. Wówczas z ziemianki wyszedł Małyszew i oznajmił:

– Przed chwilą dzwonił Przewodniczący Rady Ministrów ZSRR Gieorgij Maksimilianowicz Malenkow i pozdrawia twórców bomby wodorowej. [...] Osobiście prosił objąć i ucałować Sacharowa za jego olbrzymi wkład w dzieło pokoju.

Wyrazy uznania nie robiły na fizyku wrażenia i jak we śnie dawał się wszystkim obściskować. Ożywił się dopiero, gdy Fiedor Pietrowicz zaproponował, by sprawdzić, „co tam wyszło”. Mężczyźni założyli kombinezony i ruszyli do epicentrum. Po drodze mijali coraz bardziej zniszczone budynki i wypalone maszyny. Nagle samochody zahamowały. Po pustyni skakał orzeł. Trzepotał skrzydłami pozbawionymi piór. Kierowca kopnął ptaka okutym butem. Oznajmił, że jeździł w okolice detonacji i widział opalone i oślepięte ptaki.

– Giną ich tysiące – dodał.

Mężczyźni wsiedli do wozów i ruszyli dalej. Na miejscu zamiast czterdziestometrowej wieży sterczały betonowe kikuty. Stalowe rusztowanie wyparowało. A dookoła niczym lód chrzęściła stopiona ziemia. Gdy wrócili do bazy, Kurczatow skłonił się Andriejowi Dmitrijewiczowi w pas i rzekł:

– Dzięki ci, zbawco Rosji.

Na Sacharowa spływał deszcz honorów. W drugiej połowie 1953 roku trzydziestodwuletni fizyk otrzymał także powołanie do Akademii Nauk. Był drugim najmłodszym członkiem w historii tej instytucji. Decyzję o wprowadzeniu go do naukowego Olimpu utajniono, niemniej władze postanowiły puścić do akademika oko i w noc sylwestrową przeczytano w radiu czastuszkę, czyli rosyjskie haiku, następującej treści:

Kto odprawia taki taniec,
Obcasami puk-puk-puk?
Oto młody jest wybraniec
Akademii Nauk.

Czar noworocznych balów szybko prysł i Nikita Siergiejewicz Chruszczow kontynuował swą *Realpolitik*. Broń termojądrowa była dla niego argumentem w dyskusji z USA i żądał od naukowców większych ładunków oraz częstszych eksperymentów. W zamian dawał to, co wydawało mu się najcenniejsze: pieniądze (Sacharow otrzymał 500 tysięcy rubli), domy (zwłaszcza dacje) czy inne luksusowe dobra. Można podejrzewać, że tak „ordynarna” transakcja zaczęła uwierać Andrieja Dmitrijewicza. Z drugiej strony twórca słójki coraz krytyczniej oceniał swe prace. Doszło do niego, że detonacje przyczyniały się nie tylko do śmierci tysięcy zwierząt i dziesiątków ludzi. Rozmowa z ubogą kazachską dziewczyną, która mieszkała na

obszarze radioaktywnych opadów, uświadomiła mu, że całe pokolenia istot będą cierpieć z powodu detonacji. Przełomowy moment nastąpił najprawdopodobniej w 1958 roku podczas spotkania z admirałem Pietrem Fomiczem Fominem. Fizyk opowiedział wojskowemu o pomysle odpalenia u brzegów Ameryki torped ze stumegatonowymi ładunkami wodorowymi. Słuchacza przeraziła szacowana liczba ofiar; zginęłoby kilkadziesiąt milionów osób. Ta rozmowa dała Sacharowowi wiele do myślenia i naukowiec z miesiąca na miesiąc coraz częściej występował jako przeciwnik zwiększania mocy ładunków oraz oponował wobec podejmowania nowych eksperymentów.

Na początku lipca 1961 roku odpoczywał w Mischorze, luksusowym sanatorium na Krymie. Dwa dni przed końcem turnusu wezwano go do Moskwy. Dziesiątego lipca stawił się w Gabinetcie Owalnym (także Rosjanie mają takie pomieszczenie) i wraz z innymi naukowcami wysłuchał powitania Chruszczowa. Włodarz Kremla otworzył część roboczą posiedzenia i od razu napadł na Andrieja Tupolewa, oskarżając go o marzycielstwo i gigantomanię. Następnie oznajmił, że zrywa moratorium na próby nuklearne (na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych istniało taktyczne porozumienie między USA i ZSRR dotyczące wstrzymania eksperymentów). Nikita Siergiejewicz, pokazawszy Amerykanom „kuzkinumać” (czyli wulgarny gest „Ja wam dam!”), postanowił przejść do czynów. Wówczas Sacharow napisał na kartce, że odrzucenie moratorium jest niecelowe, i poprosił o przekazanie notatki Chruszczowowi. Pierwszy sekretarz przeczytał zwitek, spojrział na jego autora i – jak się wydawało – zignorował. Po spotkaniu goście przeszli do sali jadalnej i zasiedli do stołu. Chruszczow odczekał, aż wszyscy ucichną, i uniósł kieliszek. Nie takiego toastu się spodziewano.

Otrzymałem od akademika Sacharowa notatkę, oto ona [Chruszczow zamachał karteczką]. Sacharow pisze, że nie potrzebujemy doświadczeń. Sacharow idzie dalej. Od techniki przechodzi do polityki! [...] A przecież polityka jest jak w tej starej anegdocie. Jadą dwaj Żydzi pociągiem. Jeden pyta drugiego: „Powiedźcie, gdzie jedziecie?”. „Jadę do Żytomierza”. Ot, chytrus – myśli drugi Żyd – wiem, że jedzie do Żytomierza, a on tak mówi, żebym pomyślał, że jedzie do Żmerynki.

Po dykteryjce wybrzmiała przestroga:

Nie starajcie się nam, politykom, dyktować, co robić, jak się zachowywać! Byłbym ostatnim obszczymurem, a nie Przewodniczącym Rady Ministrów, gdybym słuchał takich jak Sacharow!

CZTERDZIEŚCI LAT ANDRIEJA DMITRIJEWICZA

W 2013 roku w popularnym rosyjskim programie telewizyjnym *Ścisłe tajne* udział wzięli syn przyjaciela Sacharowa, Boris Siemionowicz Altszuler. Prowadzący chciał się od niego dowiedzieć, dlaczego wynalazca słoiki poświęcił karierę naukową i został opozycjonistą. „To nie jest dobre pytanie – odrzekł gość – właściwe brzmi:

»Dlaczego w ZSRR było tak mało dysydentów humanistów, a wielu ścisłowców?«». Gospodarz programu, Dmitrij Pawłowicz Gubin, najwyraźniej nie zrozumiał i Boris Siemionowicz wyjaśnił, że filozofowie, historycy czy filologowie, którzy w ZSRR wykazali się krytycznym myśleniem, w najlepszym wypadku tracili pracę, w najgorszym – życie. Fizycy czy matematycy mieli zaś swój świat, w którym latami mogli cieszyć się stosunkowo dużą swobodą. Ale nawet bombowicy (tak twórców broni nuklearnej nazywał Leonid Iljicz Breżniew) musieli zapłacić za wolnomyślicielstwo. Większość wybierała konformizm i zagłuszała sumienie dobrami materialnymi. Inaczej stało się z Sacharowem. Fizyk – zdaniem Altszulera – będąc prawdziwym rosyjskim patriotą, przez dwadzieścia lat pracował nad bombą, aby w ciągu kolejnych dwóch dekad, również jako prawdziwy patriota, zajmować się prawami człowieka. Prowadzący audycję drażył temat i Boris Siemionowicz wyłożył filozofię radzieckich naukowców pracujących w Sarowie. Do końca swych dni byli przekonani, że postępują słusznie, opracowując ładunki mogące zniszczyć całą Ziemię, bowiem – jak dedukowali – nie można dopuścić, żeby tylko Stany Zjednoczone posiadały tak potężną broń. Problem jednak tkwi w tym, że większość mieszkańców Obiektu równowagę sił postrzegała jako nieustający wyścig. W tym duchu postępowali też ci spośród amerykańskich badaczy, którzy w latach czterdziestych przekazali radzieckim szpiegom plany broni jądrowej. Sacharow zaś rozumował zgoła inaczej i apelował, żeby ZSRR i USA niczym kowboje, którzy na trzy, cztery odrzucają wycelowane w siebie pistolety, dokonały demilitaryzacji. W tym duchu była też notatka, którą przekazał Chruszczowowi. Reakcja radzieckiego przywódcy nie wystraszyła Andrieja Dmitrijewicza i badacz wysłał list do bliskiego współpracownika Nikity Siergiejewicza. Sugerował podpisanie z USA moratorium na wstrzymanie badań nuklearnych w atmosferze, pod wodą i w kosmosie. W propozycji nie było mowy o zaprzestaniu wybuchów pod ziemią. Ten sposób detonacji niósł ze sobą najmniejsze ryzyko skażenia środowiska, a zarazem był najtrudniejszy do wykrycia. Chruszczow, który uwielbiał sprytne rozwiązania, przyklasnął tej idei i latem 1963 roku z inicjatywy kremłowskiego władarza ZSRR, USA i Wielka Brytania sygnowały nuklearne moratorium. Ten sukces pomógł Sacharowowi przekroczyć psychologiczną granicę strachu, z jego oczu spadły klapki i dostrzegł całe morze nieprawości. Nie mógł już pozostawać biernym obserwatorem i do roku 1968 kilkakrotnie stawał w obronie represjonowanych kolegów oraz uczestniczył w akcjach proekologicznych (między innymi dotyczących Bajkału). Czas Praskiej Wiosny był dla niego okresem świadomego wejścia w etap dysydencki. Ukazała się wówczas jego broszura *Rozmyślenia o postępie, pokojowym współistnieniu i wolności intelektualnej* (przetłumaczona na polski jeszcze w tym samym roku przez paryski Instytut Literacki). Licząca kilkadziesiąt stron książeczka składała się z dwóch części. W pierwszej badacz omówił niebezpieczeństwa mogące zniszczyć ludzkość,

w drugiej – zaproponował antidotum. Jako główne zagrożenia wskazał wojnę nuklearną, głód, zanieczyszczenie środowiska, ale również brak wolności słowa czy też ogłupiającą kulturę masową. Przeciwdziałać im można na wiele sposobów, ale najważniejszym narzędziem – zdaniem Sacharowa – jest konwergencja, którą definiował jako umiejętność wybierania tego, co najlepsze w ZSRR i USA i budowanie na podstawie tych wzorców nowej rzeczywistości. Rosjanom, zniewolonym przez zerojedynkowe myślenie o świecie, taka propozycja wydała się genialna. Po raz pierwszy od dekad ktoś zamiast antagonizować, proponował pokojowe wyjście z zimnowojennego klinczu. Maszynopis *Rozmyślań...* wyrywano sobie z rąk i w ciągu roku stworzono wiele milionów kopii, a do każdego odpisu ustawiało się po kilku czytelników. Reakcja władz była natychmiastowa. Sacharowa wyrzucono z pracy i przegoniono z Sarowa. Niebawem pozbawiono go też nagród i tytułów oraz ochrzczono zdrajcą, choć pozostawiono na wolności. Paradoks ten dużo mówi o realiach ZSRR końca lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ówczesni decydenci z Breżniewem na czele postrzegali fizyka jako odszczepieńca, ale mimo wszystko był swój. Sam naukowiec zdawał się to potwierdzać, pozostając do końca życia zwolennikiem sowieckiego modelu świata.

Politycznym narodzinom Sacharowa towarzyszyły radykalne zmiany w życiu osobistym. Przedwczesna śmierć Kławdii Aleksiejewny sprawiła, że fizyk na lata pograżył się w żałobie i dopiero pojawienie się Jeleny Georgiewny Bonner odmieniło jego świat. Druga żona była przeciwieństwem pierwszej. Od lat sześćdziesiątych jako lekarka i aktywistka wspierała więźniów politycznych oraz wyjeżdżała na misje humanitarne. Ale nie tylko swym światopoglądem zaintrygowała Andrieja Dmitrijewicza, zauroczyła go również semicką urodą. Małżonkom nie dane było jednak cieszyć się rodzinnym spokojem. Rewizje, podsłuchy czy zleczone przez KGB kradzieże stały się ich codziennością. Mimo to Sacharowowie nie ustawali w walce z nieprawościami i organizowali spotkania najważniejszych radzieckich dysydentów. Fizyk gościł również w 1979 roku Zbigniewa Romaszewskiego. Opozycjoniści wspólnie przygotowali oświadczenie nawołujące ZSRR do wyjawienia prawdy o zbrodni katyńskiej oraz wsparli Komitet Obrony Robotników. Koniec lat siedemdziesiątych to również radziecka inwazja w Afganistanie, wobec której Andriej Dmitrijewicz nie pozostał obojętny. W licznych wywiadach udzielanych zachodnioeuropejskim mediom podkreślał bandycki charakter tych działań i nakłaniał do bojkotu moskiewskiej olimpiady. Tego sowieccy decydenci nie mogli mu wybaczyć. Dwudziestego drugiego stycznia 1980 roku Sacharow jak co dzień wybrał się do FIAN. Służbowy samochód, którym jechał, zatrzymało KGB i fizyk usłyszał, że jest internowany. Wraz z żoną odtransportowano go na lotnisko, skąd pod eskortą polecili do zamkniętego miasta Gorki (dziś Niżny Nowogród). I tak oto rozpoczął się przedostatni etap życia Sacharowa. Fizyk otrzymał małe mieszkanie w bloku,

w którym każdy kąt był naszpikowany podsłuchami. Ponadto o różnych porach dnia i nocy milicjanci, posługując się własnymi kluczami, wchodzili do środka i dokonywali rewizji. Nie zważając na te warunki, małżonkowie wciąż występowali w obronie radzieckich więźniów sumienia. Trzykrotnie podejmowali też głodówki, które kończyły się przymusową hospitalizacją. Areszt domowy w Gorkim trwał sześć lat i miał nieoczekiwany finał. Grudniowego wieczoru 1986 roku ktoś zapukał do drzwi dysydentów. Para początkowo nie uwierzyła, gdy mężczyźni przedstawili się jako monterzy, uznała bowiem, że przyszli założyć im doskonalsze podsłuchy. Robotnicy zgodnie z tym, co oznajmili, zamontowali telefon i poinformowali, że następnego wieczoru aparat zadzwoni. Także i tym razem powiedzieli prawdę. Telefon naprawdę zabrzączał i w słuchawce Sacharow usłyszał znany z telewizji głos. To Michaił Siergiejewicz Gorbaczow oznajmiał, że naukowiec i dysydent jest wolny i może wracać do Moskwy.

Sacharow nie od razu przyjął łaskę inicjatora pierestrojki i starał się wynegocjować zwolnienie innych więźniów politycznych. Sekretarz KC obiecał, że wszystkie przypadki rozpatrzy indywidualnie. Wówczas fizyk zdecydował się wrócić do stolicy, gdzie przez kolejne cztery lata prowadził aktywną działalność polityczną. Zawiodła go ona na mównicę parlamentu ZSRR i w marcu 1989 roku wystąpił przed członkami pierwszego Zjazdu Narodowych Deputatów. Jego przemówienie transmitowały radzieckie media.

Poseł Sacharow, powoli poruszając głową, zaproponował zmienić wszystkie paragrafy konstytucji, które przeszkadzają wprowadzeniu w kraju wolnego rynku [zapisał współczesny rosyjski literat i polityk Eduard Limonow]. Smutnym głosem, bez emocji poseł Sacharow wypowiedział swe tezy i mnąc w dłoni kartkę, zszedł z trybuny, głowę schował w ramiona, które przez siedemdziesiąt lat zdążyły uschnąć.

Niedługo potem Andriej Dmitrijewicz zmarł. Pozostała po nim wielka spuścizna naukowa i – niestety – wciąż niewykonana robota na niwie praw człowieka. Pustką zionie jeszcze jeden niezasypany rów. Troje dorosłych dzieci Sacharowa żyje odseparowana od siebie i niechętnie mówi o ojcu. Nauka i praca na rzecz społeczeństwa nie zawsze idą w parze z udanym rodzicielstwem.

WYBRANA LITERATURA

1. Altszuler B.S., Gubin D.P., *Sacharow. Um, czest' i sowiest'* [program *Sowierszenno siekrietno*, 3 lipca 2013 roku], <https://www.youtube.com/watch?v=8NFGbbdAozE> [dostęp: 18.04.2016].
2. Gorielik G.J., *Andriej Sacharow. Nauka i swoboda*, Moskwa 2004.
3. Limonow E., [komentarze do:] *Innostraniec w Smutnoje wriemja*, „Echo Moskwy”, <http://echo.msk.ru/blog/echomsk/777657-echo/> [dostęp: 18.04.2016].
4. Nauczna Rossija, *Andriej Sacharow*, <http://scientificrussia.ru/articles/andrej-saharov> [dostęp: 18.04.2016].
5. Nostalgija, Telewizjonnyj kanał, *Wystuplenije akademika A.D. Sacharowa na Pierwom sjezdzie narodnych dieputatow SSSR 9 ijunia 1989 goda* [film dokumentalny, 2015], <https://www.youtube.com/watch?v=LGNqZ8HPv0g> [dostęp: 18.04.2016].

6. Paukow W., *Gorkij. Sacharow* [film dokumentalny, Wołga 2013], <https://www.youtube.com/watch?v=KHmoEUPgx8s> [dostęp: 18.04.2016].
7. Radio Swoboda, *30 liet nazad w Wilnjusie naczalsja sud nad prawozaszczitnikom Siergiejem Kowalewym* [zapis audycji radiowej z 9 grudnia 2005 roku], <http://www.svoboda.mobi/a/110670.html> [dostęp: 18.04.2016].
8. Radio Swoboda, *W dień raǰdzienija akademika Sacharowa ob aktualnosti nasledija wielikogo gumanista goworim s czlenom Miežregionalnoj dieputatskoj grupy Jurijem Ryzowym i wdowej Nobielskogo laurieata Jelenoj Bonner* [zapis audycji radiowej z 22 maja 2009 roku], <http://www.svoboda.org/content/transcript/1737412.html> [dostęp: 18.04.2016].
9. Sacharow A.D., *Razmyszenija o progriesie, mirnom sosuszczestwowanii i intiektualnoj swobodie*, http://www.yabloko.ru/Themes/History/sakharov_progress.html [dostęp: 18.04.2016].
10. Sacharow A.D., *Wospominanija*, Nowy Jork 1990.

GWIAZDA PS (OD PAWŁOWA DO SACHAROWA)

W XIX wieku cesarstwo Romanowów – niesione na obłoku imperializmu, specyficznym pojmowanej ruskiej duszy i religii – wystrzeliło cząstkami zbuntowanej materii. Wyłonili się z niej anarchiści, narodnicy, syndykaliści czy marksiści i rozpoczęli budowę swych konspiracyjnych organizacji. Ich krecia robota doprowadziła do spektakularnego wybuchu i pod koniec drugiej dekady XX wieku kolos się rozpadł. Na gruzach starego świata każdy – nieważne: chłop, studentka, inteligent czy robotnik – chciał dać świadectwo swej gotowości na nowe. „Poruszyła się matka Rosja, nie może ustać w miejscu, wciąż chodzi i chodzi, gada i gada. I gadają nie tylko ludzie. Gromadzą się i dyskutują gwiazdy i drzewa, filozofują nocne kwiaty i obradują domy” – zapisał bohater Borysa Pasternaka, doktor Żywago. Niestety, historia szybko zepchnęła na margines to barwne towarzystwo. Prawo tworzenia się nowych gwiazdnych układów wymaga, żeby w centrum pojawiła się czarna dziura.

Sowiecka galaktyka potrzebowała broni, żeby pokonać wrogów, oraz szminki i pudru, by przed światem Zachodu ukryć swe prawdziwe oblicze. Naukowcy mogli dostarczyć zarówno jedno, jak i drugie. Ale jak ich przekonać, żeby zechcieli pracować dla Kraju Rad? – zachodzili w głowę nowi włodarze Kremla. Dla najwybitniejszych badaczy, którzy sukces osiągnęli jeszcze przed rewolucją, wygłodniała ojczyzna proletariatu zdobyła się na nadludzki wysiłek i zaproponowała im warunki, jakich nie mieliby nigdzie indziej w Europie. W targ z bolszewikami wdał się sam Iwan Pawłow i w zamian za instytut badawczy, gdzie mógł realizować swe marzenia, zgodził się zostać ikoną socjalistycznej nauki. Inaczej rozumowało młode pokolenie ścisłowców oraz przedstawiciele nauk inżynierskich. I tak jak Andriej Tupolew byli gotowi głodować, spać byle gdzie, żeby tylko wesprzeć swą myślą świeżo powstałe państwo. Czarna dziura radzieckiego gwiazdozbioru, owo centrum władzy, w którym na krótko zasiadał Lenin, a na dekady zagościł Józef Stalin, przyciągała nawet badaczy pracujących poza granicami kraju. Wszystko dla nowej ojczyzny. Z rzadka tylko pojawiali się uczeni pokroju Michaiła Bachtina. W latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku być tak jak on humanistą oznaczało znacznie więcej niż dziś. Wybitni znawcy języka i literatury w ZSRR odgrywali rolę społecznych inżynierów, gdyż kultura pisana – zdaniem bolszewików – stanowiła klucz do manipulowania masami. A co zrobić z narodami, które nie posiadają swojego alfabetu? – zachodzili w głowę czerwoni decydenci. – Jak nimi sterować?

Odpowiedź była prosta, choć sama realizacja wymagała rozmachu większego niż budowa Kanału Białomorsko-Bałtyckiego. Postanowiono bowiem stworzyć Ewenkom, Jakutom czy Czukczom pismo, potem literaturę, a następnie wyhodować im niejako *in vitro* warstwę społeczną zwaną inteligencją. Najprawdopodobniej w takich właśnie działaniach brał udział Bachtin. Badacz zbuntował się i po krótkim romansie z bolszewikami ruszył pod prąd historii. Wówczas zesłano go na rubieżę czerwonej galaktyki. Ktoś jednak nad nim czuwał, gdyż daleką północ zamieniono mu na kazachskie miasteczko, gdzie nie musiał stąpać po ścieżkach ułożonych z zamarzniętych ciał.

Sowiecki naukowy gwiazdozbiór w latach trzydziestych minionego stulecia rozbłysł z niebywałą mocą, dzięki temu ZSRR dołączył do grona największych światowych potęg. Trudno jednoznacznie wskazać, co się przyczyniło do tego bezprecedensowego tryumfu wiedzy. Jądro władzy, wewnątrz którego na dobre rozsiadł się gruziński wąsacz, nie było jeszcze na tyle potężne, żeby zdominować wszystkie przejawy życia, i ludzie nauki cieszyli się względną swobodą. Z drugiej strony Kraj Rad przechodził nacjonalizację gospodarstw rolnych i rozkwitowi sowieckich instytucji badawczych towarzyszyły wydarzenia niemające w Europie precedensu. Największe sukcesy, poza Moskwą i Leningradem, święcił wówczas Charków. W laboratoriach tego pięknego miasta w 1932 roku po raz pierwszy w ZSRR dokonano rozszczepienia jądra atomu. W tym samym roku zespół uczonych poszerzył Lew Landau i Charków na kilka lat stał się jedną ze światowych stolic fizyki teoretycznej. Wystarczyło jednak wyjść z Instytutu Fizyki i dotrzeć do pobliskiego skweru, żeby zobaczyć tabliczki z napisem: „Tutaj kategorycznie zabrania się przeprowadzania pogrzebów”. Mimo zakazów parki przypominały wielkie kretowiska, a na ulicach leżeli konający. Ich nie było już gdzie chować. Tego roku w okolicach miasta z głodu zmarły setki tysięcy osób. Na całej Ukrainie ofiarą kolektywizacji rolnictwa padły zaś miliony ludzi. Trudno się dziwić, że naukowcy szukali sposobów, żeby zaradzić tej tragedii. Jednym z tych uczonych był genialny agronom i genetyk Nikołaj Wawilow. Zapragnął wyzwolić świat od głodu i postanowił stworzyć bank wszystkich roślin na Ziemi. Podróżował w najdalsze zakątki globu, skąd przywoził skrzynie pełne orientalnych nasion i rozsąd. Tymczasem w siłę wzrastał hochsztapler Trofim Łysenko. Ten uzdolniony ukraiński chłop pobierał nauki u wielkich badaczy i uwierzył, że jest predestynowany do odegrania ważnej roli w nauce. Niestety, zabrakło mu zdolności, żeby pojąć, iż światem rządzą prawa niedające się zaobserwować gołym okiem. Mimo to jako człowiek z ludu doskonale odpowiadał obrazowi sowieckiego uczonego i Stalin postanowił wykorzystać go w rozprawie z jajogłowymi. Zagrał na ambicjach Łysenki i poszczuł na badaczy, którzy cieszyli się uznaniem nie tylko w kraju, lecz także poza jego granicami. Jedną z pierwszych ofiar Bosonogiego Profesora stał się Wawilow.

Genetyka zatrzymano i jako rzekomego szpiega osadzono w więzieniu, gdzie zmarł z głodu i wycieńczenia. *Non omnis moriar*. Po Wawiłowie przetrwała zarówno idea świata bez głodu, jak i kolekcja nasion, którą dziś uważa się za najcenniejsze dobro Rosji.

Śmierć genetyka marzyciela kończy okres niezwyklej aktywności gwiazd sowieckiej nauki. Chęć przeciwdziałania cierpieniom radzieckiego narodu, sny o urzeczywistnieniu komunistycznego raju na ziemi oraz przecucie nadchodzącej katastrofy zrodziły prawdziwych gigantów wiedzy. Nigdy później ZSRR nie będzie miał już tak wielu twórczych i innowacyjnych badaczy.

Nastał czas, gdy Stalin – niczym kosmiczna czarna dziura – pochłaniał wszystko, co mogło mu zagrozić. Brytyjski sowietolog Robert Conquest wyliczył, że w ZSRR tylko w latach 1935–1936 do więzień i łagrów trafiło sześć milionów ludzi, czyli niemal cztery procent wszystkich obywateli kraju. Wśród osadzonych znalazło się wielu wybitnych naukowców. Represje zataczały coraz szersze kręgi i wódz Krewla planował uderzyć w grupę fizyków. Wielu z nich, tak jak Lew Landau, już zostało wywleczonych wprost z gabinetów i wrzuconych do sowieckich katowni. Nieoczekiwanie jednak hitlerowskie Niemcy naruszyły pakt Ribbentrop–Mołotow i wkroczyły na teren ZSRR. W pierwszych tygodniach walk Armia Czerwona poniosła druzgocącą klęskę i wróg zbliżał się do Moskwy. Wówczas Stalin zmienił swą politykę i postanowił za wszelką cenę odbudować witalne siły kraju. Jedną z jego pierwszych decyzji było przerzucenie naukowców za Ural. Ewakuowano również osadzonych fizyków, matematyków oraz inżynierów. Następnie stworzono dla nich *szaraszki*, czyli laboratoria-więzienia, i nakazano pracę na rzecz zagrożonego państwa. Badacze nie sprzeciwiali się woli Krwawego Gruzina i tworzyli nowe, nieznane dotąd maszyny wojenne. Jedną z nich były słynne organy Stalina, czyli katiusze. Duży wkład w ich zaprojektowanie miał Lew Landau. Sam uczyony nigdy się jednak do tego nie przyznał.

Podczas drugiej wojny światowej ZSRR stracił dwadzieścia siedem milionów obywateli. Pozostali przy życiu wierzyli, że nic gorszego nie może ich już spotkać, z nadzieją ocalonych spoglądali w przyszłość. Nie wiedzieli jednak, że wśród nich są wspierani przez władze degeneracji pokroju Grigorija Majranowskiego. Ten pseudonaukowiec okres wojny wykorzystał na zintensyfikowanie swych eksperymentów i niczym Anioł Śmierci z Auschwitz testował na ludziach trucizny. Olbrzymia większość radzieckich uczonych pragnęła jednak żyć i pracować dla pokojowego rozwoju ojczyzny. Niestety, euforia pierwszych powojennych miesięcy szybko minęła. Stalin wskazał nowego wroga – Stany Zjednoczone – i cisnął sowiecką naukę na dwie przeciwstawne orbity. Pierwszy tor wiódł wokół zagadnień broni, a zwłaszcza bomby nuklearnej, drugi – z szaleńczą niefrasobliwością okrążał problematykę rodem ze średniowiecznych ksiąg alchemików. Uzdolnieni ścisłowcy,

wsparci przez agentów wywiadu, sporządzili bombę jądrową, która przewyższyła mocą te zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki. Do grona „militarnych” uczonych dołączył genialny trzydziestolatek Andriej Sacharow i dzięki niemu ZSRR jako pierwszy kraj na Ziemi posiadał taktyczną broń wodorową. Następca Stalina, Nikita Chruszczow, tupiąc i krzycząc, żądał jeszcze więcej i tak oto powstała Car Bomba. Wynalazcy przelękli się sił, które mogli wyzwolić, i zmniejszyli moc ładunku o połowę, mimo to bomba zrzucona na arktyczną Nową Ziemię spowodowała eksplozję bez precedensu w historii człowieka. Drugą z orbit radzieckiej powojennej nauki – za zgodą Stalina – wytyczyli Łysenko i jego poplecznicy, wśród których wyróżniała się nobliwa już Olga Lepieszynska. Ludzi tych charakteryzowały ideologiczne zaślepienie oraz całkowita nonszalancja wobec praw natury. Kapusta zmienia się w kalafiora – dowodził Bosonogi Profesor, a pierwsza materia jest źródłem wszystkich żyjących komórek – wrzeszczała stara bolszewiczka i nieoczekiwanie dodawała, że soda oczyszczona nie dość, że leczy raka, to gwarantuje długowieczność żółwia z Galapagos. Naukowcy mieszkający w krajach demokratycznych mogliby się z tego śmiać i robić swoje. Radzieckim genetykom, cytologom, histologom, mikrobiologom czy też embriologom, którzy nie zgadzali się z koncepcjami Łysenki, pozostało tylko nasłuchiwać u drzwi, kiedy przyjdą po nich służbowi oprawcy.

W latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku na tle zideologizowanej radzieckiej humanistyki oraz nauk ścisłych, podporządkowanych wojskowości, lub biologicznych, zanurzonych w oparach absurdu, wyraziście rysowały się nieliczne wyspy normalności. Jedną z nich powstała wokół utalentowanego fizyka Siergieja Wawilowa. Ten brat zamordowanego genetyka otrzymał od Stalina propozycję objęcia stanowiska prezydenta Radzieckiej Akademii Nauk. Zgodził się i dzięki jego staraniom setki uczonych uniknęły represji z karą śmierci włącznie. Jednak jak udawało mu się godzić obowiązki zarządcze i badawcze z rodzinną traumą, do której przyczynił się jego zastępca, Łysenko? Wielu badaczy, łącznie z Sacharowem, zadawało sobie to pytanie i nie znajdowało racjonalnego wyjaśnienia. Podpowiedzi można szukać w micie o Antygonie. Inne przykłady wielkiej nauki w radzieckim zimnowojennym świecie dawali badacze pochodzący z prowincji. Fizjolog Władimir Demichow czy specjaliści z zakresu nauk technicznych Ernst Krenkel oraz Michaił Kałasznikow dorastali w małych miejscowościach i swoją karierę rozpoczęli w laboratoriach przypominających ślusarnie. W przypadku Demichowa to porównanie nie oddaje rzeczywistości. Jako młodzieniec opracował pierwsze na świecie sztuczne serce w uczelnianych warsztatach, a później epokowe eksperymenty przeprowadzał w schronisku dla zwierząt. Wystraszeni represjami naukowcy nie podali mu pomocnej ręki i tak oto ZSRR stracił szansę na bycie pierwszym krajem, gdzie dokonano przeszczepu serca u człowieka. Inny los spotkał Kałasznikowa, który

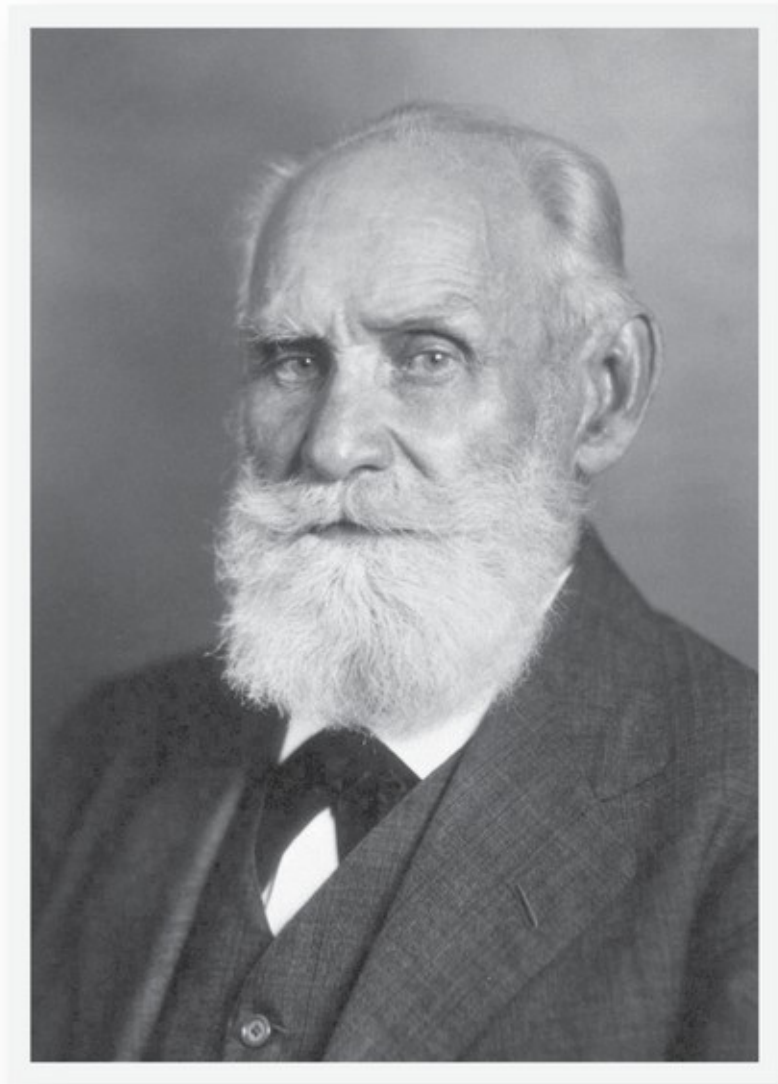
z czasem stał się ikoną radzieckiej myśli technicznej. I choć dziś kwestionuje się jego osiągnięcia, biografia tego wiejskiego chłopaka dowodzi, że w ZSRR łatwiej było o awans społeczny niż w krajach zachodniej Europy.

Dwa wydarzenia – wielka czystka oraz śmierć Stalina – stosunkowo wcześniej zapoczątkowały rozpad ZSRR. Powolne obumieranie sowieckiej galaktyki, zakończone spektakularnym rozczłonkowaniem, znalazło odzwierciedlenie również w świecie wiedzy. Chruszczow i jego następcy zaniedbali naukę i od lat sześćdziesiątych uczeni coraz częściej zajmowali się zagadnieniami nie tylko niepotrzebnymi czy absurdalnymi, ale wręcz szkodliwymi. W powszechnej świadomości wyraża się to w licznych anegdotach o radzieckich naukowcach i inżynierach. Nie powinny one jednak zdominować obrazu sowieckiej nauki. Warto odwiedzić moskiewski Instytut Fizyki imienia Lebidiewa, którym kierował niegdyś Siergiej Wawilow. Na głównym korytarzu, w otoczeniu kwiatów wiszą portrety siedmiu pracowników tej jednostki, którzy w latach 1945–1990 otrzymali Nagrodę Nobla. Ile instytucji na całym świecie może pochwalić się takim hallem sław?

Rok 1991 to koniec ZSRR. Wówczas rozpadł się nie tylko kraj łagrów, agresywnej polityki czy ruszającej się ziemi w okolicach Katynia i Miednoje. Zniknęło państwo polityki socjalnej, wielkich artystów i genialnych naukowców. *Homo sovieticus* nie mógł pogodzić się z utratą ojczyzny i skonał razem z imperium. Symbolicznie wyraził to jeden z bardziej innowacyjnych radzieckich badaczy – Lew Termen, który mając dziewięćdziesiąt pięć lat, wstąpił do partii. „Obiecałem to Leninowi”, wyznał na osiem miesięcy przed zniknięciem ZSRR z map świata.

PRZYPISY

- [1] NEP (Nowaja Ekonomiczeskaja Politika) – sowiecka polityka gospodarcza [przyp. red.].
- [2] Czeka – Wszechrosyjska Nadzwyczajna Komisja do Walki z Kонтrewolucją i Sabotażem [przyp. red.].
- [3] Rosyjskie słowo *szaraszka* wielu wywodzi od *szarić*, czyli przeszukiwać, przekopywać się. Jednak słownik slangu więziennego wskazuje na inne pochodzenie. Tuż po rewolucji, w okresie NEP-u jak grzyby po deszczu powstawały prywatne inicjatywy. Te najmniejsze, zwykle jednoosobowe, pogardliwie określano mianem kantorku Szaryszkina. Minęło kilka lat i większość szaryszkinów trafiła do więzień i z nieznanych powodów na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych „kantorek Szaryszkina” stał się w języku kryminalistów synonimem oddzielnego pomieszczenia lub bałaganu. Najprawdopodobniej to pierwsze znaczenie zostało wykorzystane do stworzenia słowa *szaraga*, określającego wydzielone laboratorium naukowe, w którym mieli pracować uwięzieni inżynierowie i badacze [przyp. aut.].
- [4] *Arteria subclavia* (łac.) – tętnica podobojczykowa; *vena cava* (łac.) – żyła główna; *arteria femoralis* (łac.) – tętnica udowa; *vena femoralis* (łac.) – żyła udowa [przyp. red.].



Iwan Pawłow



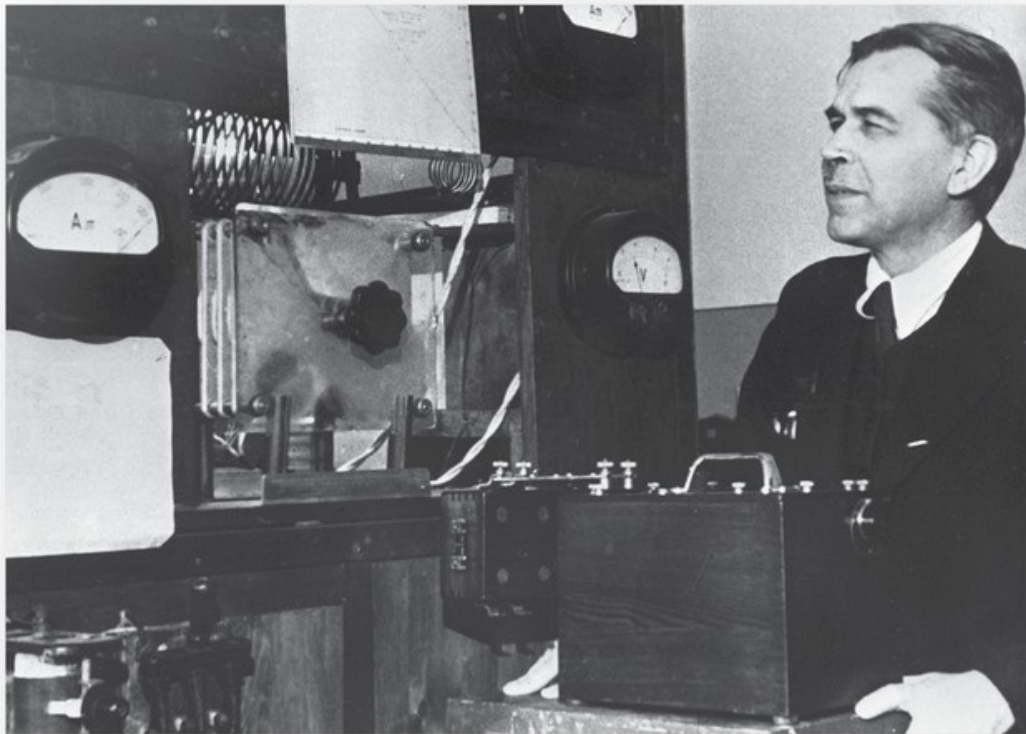
Iwan Pawłow (w środku) w laboratorium Wojskowej Akademii Medycznej prezentuje eksperymenty na psie. Petersburg, przed wybuchem pierwszej wojny światowej



Olga Lepieszynska, 1952 rok



Nikołaj Wawilow



Siergiej Wawilow w laboratorium Akademii Nauk, 1938 rok



Andriej Tupolew z modelem samolotu TU-114, 1968 rok



Andriej Tupolew w towarzystwie Jurija Gagarina (z prawej) i Wasilija Riabikowa podczas Rady Najwyższa ZSRR. Moskwa, 10 października 1967 roku



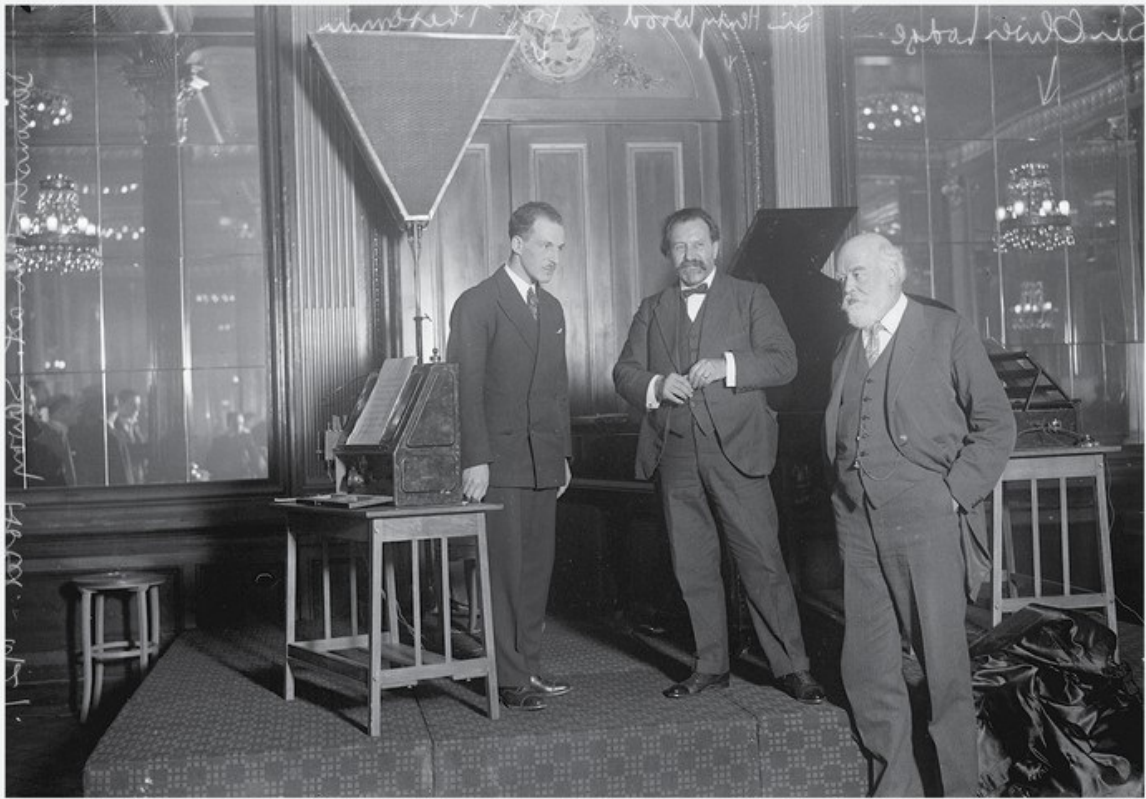
Krąg Bachtina. Siedzą od lewej: Michaił Bachtin, pianistka Marija Judina, Walentin Wołoszynow, Lew Pumpianskij i literaturoznawca Paweł Miedwiediew. Leningrad, połowa lat dwudziestych XX w.



Lew Termen grający na termenwoksie – instrumencie swojego projektu, 1932 rok



Pancerz „żółwia z widoczkiem” – ze zbiorów Muzeum Akademii Medycznej w Niżnym Nowogrodzie



Amerykańska demonstracja termenwksu. Od lewej twórca instrumentu Lew Termen, kompozytor i dyrygent Henry Wood oraz fizyk i pisarz, Oliver Lodge (23 grudnia 1927 r.)



Trofim Łysenko, 1955 rok



Grigorij Majranowski



Ernst Krenkel (z prawej), 1934 rok



Uczestnicy pierwszej na świecie ekspedycji naukowej na dryfującej krze Siewiernyj poljus-1. Od lewej: hydrolog Piotr Szirszow, radiotelegrafista Ernst Krenkel, dowódca wyprawy Iwan Papanin i meteorolog Jewgienij Fiodorow. Okolice bieguna północnego, 19 lutego 1937 roku



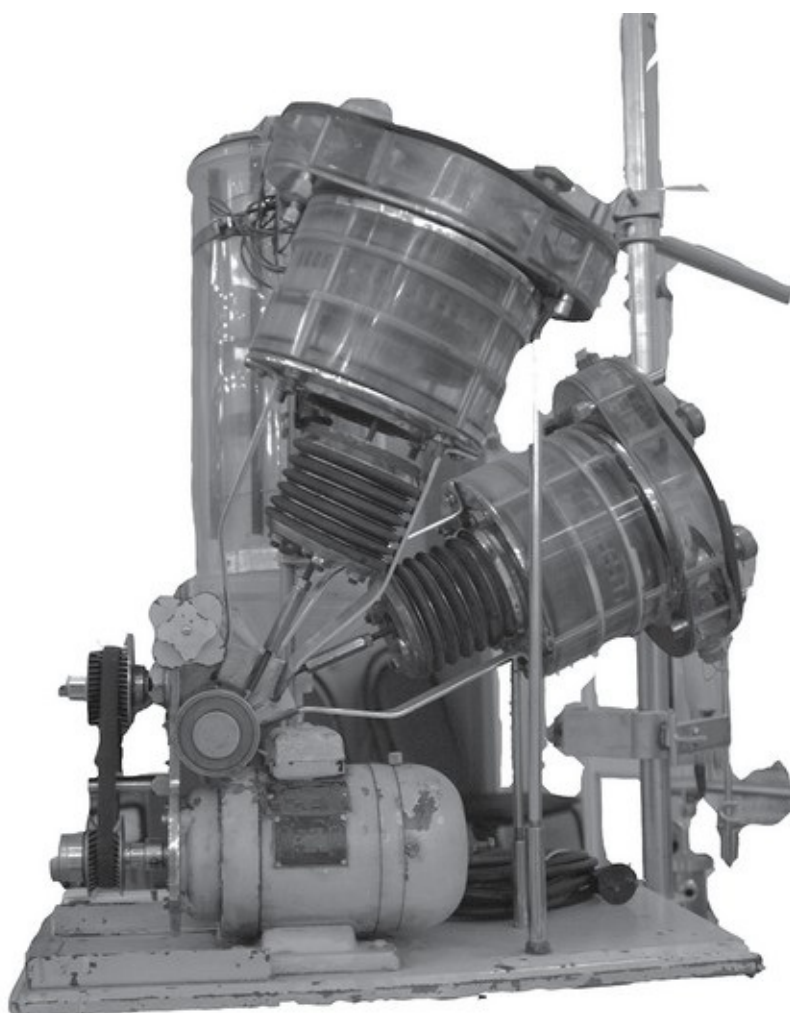
Lew Landau, 1963 rok



Lew Landau odbiera w moskiewskim szpitalu z rąk szwedzkiego ambasadora Rolfa Sulmana Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki, 20 grudnia 1962 roku



Władimir Demichow (w białym kitlu, pośrodku, stoi) i jego przełożony, chirurg Wiszniewski (w białym kitlu, pośrodku, siedzi). Zdjęcie wykonane w 1953 roku, podczas wizyty zagranicznych gości w Instytucie Eksperymentalnej Chirurgii Akademii Nauk ZSRR



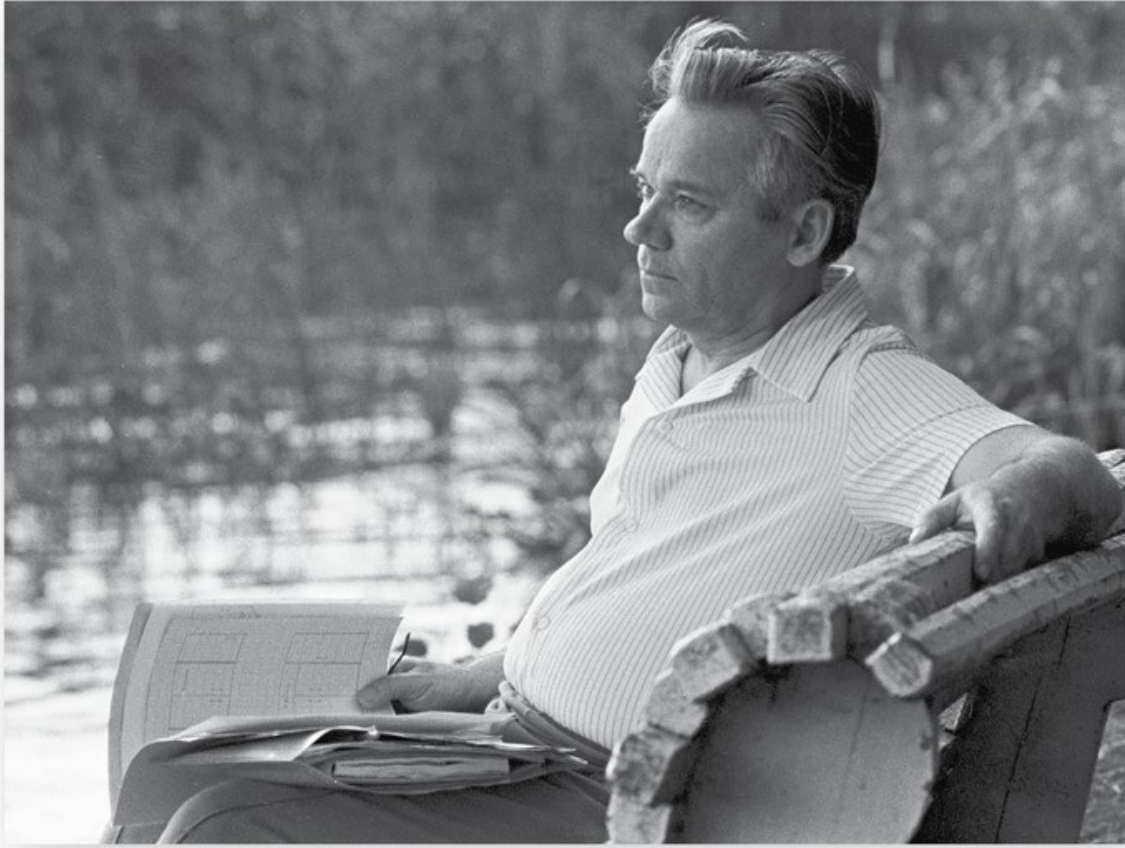
Autożektor Briuchonienki, wersja SB-3, zmodernizowana i wykorzystywana podczas operacji człowieka od 1958 roku



Władimir Demichow przed prototypem płucoserca, 1962 rok



Eksperyment transplantacji Władimira Demichowa – dwugłowy pies, 1967 rok



Michail Kałasznikow, 1965 rok



Michaił Kałasznikow odznaczony medalem za zasługi dla ojczyzny w 75. rocznicę urodzin, 1994 rok



Andriej Sacharow z żoną Eleną Bonner, 1986 rok



Andriej Sacharow (od lewej) odbiera tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu w Bolonii, luty 1989 roku